



PRERIA

*James Fenimore
Cooper*



Wydawnictwo Dolnośląskie

COOPER JAMES

FENIMORE

Sokole oko #5 Preria

**Pięcioksiąg Przygód Sokolego Oka Pogromca Zwierząt Ostatni Mohikanin Tropiciel
Śladów Pionierowie Preria**

JAMES FENIMORE COOPER

Tytuł oryginału The prairie

Okładkę projektował Janusz Wysocki

Teksty poetyckie przełożył Włodzimierz Lewik

Redaktor

Zenaida Socewicz-Pyszka

Redaktor techniczny Barbara Muszyńska

Książka pochodzi z dorobku państwowego Wydawnictwa "Iskry"

**For the Polish edition Copyright (c) by Państwowe Wydawnictwo "Iskry", Warszawa
1989**

Polish translation (c) copyright by Aldona Szpakowska, Warszawa 1974

Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1990 r.

Wydanie IV (I skrócone). Nakład 50 000 egz.

Ark. wyd. 17,2. Ark. druk. 18,00.

Oddano do składania 10 XI 1988 r.

Podpisano do druku 15 IX 1989 r.

Druk ukończono w lutym 1990 r.

Papier offset III kl. 70 g, rola 61.

Zam. nr 1752/88 F-4

Wrocławskie Zakłady Graficzne

Wrocław, ul. Oławska 11

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jeśli za czułość, pasterzu, lub złoto Można w tej pustce kupić coś dla ciała – Znajdź dla nas jadro i wygodne leże...

"Jak wam się podoba"

Szeroko w swoim czasie dyskutowano, słowem i piórem, sprawę przyłączenia rozległych terenów Luizjany* do ogromnego już i ledwie wpółzaludnionego obszaru Stanów Zjednoczonych. Lecz w miarę jak przygasał żar polemiki i ustępowały względy osobiste, zaczynało powszechnie uznawać, że transakcja była słuszna. Wkrótce najmniej nawet lotne umysły pojęły, że choć przyroda zahamowała naszą ekspansję ku zachodowi, zagradzając drogę pustynią, posunięcie to uczyniło nas panami urodzajnego pasa ziemi, który w zamęcie wydarzeń mógł przypaść wrogiemu państwu. Mądra ta decyzja oddała nam w niepodzielne władanie przejścia do wnętrza lądu i całkowicie uzależniła od nas niezliczone plemiona dzikich, mieszkających na granicy naszych ziem, położyła kres sprzecznym pretensjom i złagodziła zawiść między narodami, otworzyła dla handlu tysiące dróg w głąb kraju i ku wodom Pacyfiku.

Musiało upłynąć trochę czasu, nim liczni i zamożni koloniści dolnej Luizjany zmieszali się z nowymi współziomkami. Natomiast rzadszą i uboższą ludność górnej części kraju pochłonał natychmiast wir wytworzony przez nagły prąd emigracji.

Od roku 1763 Luizjana (obszar ziemi znacznie przewyższający dzisiejszą Luizjanę) należał do Hiszpanii. Stany Zjednoczone mogły wówczas wywozić wodami Missisipi zboże oraz miały prawo składu w Nowym Orleanie. W roku 1800 ziemie te wróciły do Francji, w czym kryło się poważne niebezpieczeństwo gospodarcze i polityczne dla Stanów. Napoleon zamierzał wzmocnić znaczenie Francji w Ameryce, jednakże w roku 1803, po walkach z Murzynami i malarycznym klimatem na San Domingo, mając przed sobą perspektywę nowej wojny z Anglią, zgodził się na sprzedaż tych ziem Stanom.

Do takiej pogoni za przygodą nakłania zazwyczaj siła dawnych przyzwyczajeń lub pobudzają skryte marzenia. Wśród emigrantów nie brakło śmiazków, którzy ścigając złudy ambicji spodziewali się łatwego wzbogacenia i wypatrywali cennych złóż na tych dziewiczych terenach. Przeważająca jednak część wychodźców osiadała nad brzegami większych rzek, rada, że aluwialne doliny nawet najbardziej niedbałą pracę hojnie nagrodzą obfitym plonem. W ten sposób, niczym za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wyrastały nowe społeczności. Wielu ludzi, którzy własnymi oczami oglądali kiedyś świeżo nabyty, prawie nie zaludniony obszar ziemi, dożyło chwili, gdy

powstał na nim niezależny stan*, posiadający ludność liczną, różną od jego poprzednich mieszkańców, i przyjęty na zasadzie politycznej równości w skład konfederacji narodowej.

Przedstawione w niniejszym opowiadaniu wypadki i sceny rozgrywają się w czasach, kiedy ta doniosła w skutkach emigracja dopiero się zaczynała.

Dawno już minęła pora żniw pierwszego roku naszego panowania nad tą ziemią i więdnące liście z rzadka rosnących drzew nabierały barw jesiennych, gdy pewnego dnia z łożyska wyschłej rzeczki wynurzył się sznur wozów i posuwał po sfałdowanej powierzchni "falistej prerii" (taką nazwą obdarzono ją w kraju, o którym piszemy). Wozy, ładowane sprzętami domowymi i narzędziami rolniczymi, niewielkie stado krnąbrnych owiec i holenderskiego bydła, pędzone z tyłu pochodu, niedbały strój i zuchwała postawa krzepkich mężczyzn, którzy szli ociężałym krokiem obok leniwych zaprzęgów – wszystko to zwiastowało wychodźców dążących ku wysnionemu Eldorado. Nie zachowali oni zwyczaju podobnych im wędrowców, gdyż pozostawili za sobą żyzne kotliny dolnej Luizjany i przedzierali się – sposobem znanym tylko takim jak oni poszukiwaczom przygód – przez jary i potoki, trzęsawiska i pustkowia daleko poza granicę ziem, na których osiedlali się ludzie cywilizowani. Przed nimi rozpościerała się rozległa, monotonna równina, ciągnąca się aż do stóp Gór Skalistych, a za nimi, o wiele mil uciążliwej drogi, pienięły się wezbrane muliste wody Platte.

Stan Missouri.

Skąpa roślinność prerii nie świadczyła dobrze o glebie. Koła wozów turkotały tak cicho na twardym gruncie, jak gdyby toczyły się po bitym gościńcu. Nie rysowały za sobą kolein, kopyta koni nie odciskały śladów, tylko kładła się pod nimi trawa i zioła wysuszone i zwiędłe, które bydło szczypało od czasu do czasu, ale najczęściej pozostawiało nie tknięte, gdyż nawet dla wygłodzonych żołądków był to zbyt gorzki pokarm.

Dokądkolwiek dążyli ci śmiali wędrowcy, jakikolwiek mieli tajemny powód, by cieszyć się poczuciem bezpieczeństwa w miejscu tak odosobnionym, gdzie od nikogo nie mogli oczekiwać pomocy – faktem jest, że ich twarze i zachowanie nie zdradzały najmniejszych oznak lęku ani niepokoju. Wyprawa obejmowała ponad dwadzieścia osób, jeżeli liczyć je bez względu na wiek i płeć.

Na czele pochodu, w niewielkiej odległości od reszty, szedł wysoki ogorzały mężczyzna, zapewne przywódca całej grupy. Cały wygląd tego człowieka, zwłaszcza niemłoda już, gnuśna twarz mówiły jasno, że nie gnębią go bynajmniej ani wyrzuty sumienia za przeszłe życie, ani niepokój o przyszłość. Jego niezdarne i z pozoru słabe, choć wielkie cielsko kryło ogromną siłę. Ale tylko chwilami, gdy maszerując leniwie napotykał jakąś drobną przeszkodę, ociężały mężczyzna przejawiał energię,

która drzemała w jego ciele, podobna uśpionej i spokojnej, lecz straszliwej sile słońca.

Ubiór przybysza stanowił połączenie najbardziej prostackiego odzienia farmera i ubrania skórzanego, jakie, dzięki modzie i swym praktycznym zaletom, stało się niemal niezbędne dla każdego, kto wyruszał na podobną wyprawę. Przez plecy przewiesił strzelbę i torbę, a także dobrze napełniony i pilnie strzeżony mieszek na kule i rożek na proch; ostry, błyszczący toporek niedbale-przerzucił przez ramię. Niósł to wszystko z taką łatwością, jak gdyby nic mu nie ciążyło i nie krępowało ruchów.

W niewielkiej za nim odległości szła gromadka prawie tak samo ubranych młodych ludzi, dostatecznie podobnych zarówno do siebie, jak i do swego przywódcy, by można ich było uznać za członków jednej rodziny. Chociaż najmłodszy z nich niedawno dopiero osiągnął lata subtelny językiem prawa określone jako

wiek ograniczonej zdolności do działań prawnych*, okazał się godnym swych przodków, bo jego chłopięca postać niemal dorównywała wzrostem innym przedstawicielom.

Tylko dwie z przedstawicielek płci pięknej były dorosłe. Z pierwszego wozu wychylały się Inianowłose główki dziewczynek o oliwkowej cerze, rozglądających się dokoła oczyma błyszczącymi ciekawością i dziecięcym ożywieniem. Starsza z dwu dorosłych była matką wielu w tej gromadzie; twarz miała śniadą, pokrytą zmarszczkami. Młodsza – zręczna, energiczna dziewczyna lat osiemnastu – zdradzała figurą, strojem i zachowaniem, że zajmuje w społeczeństwie pozycję o kilka szczebli wyższą od tej, jaka przypada w układzie jej obecnym towarzyszom. Nad drugim z kolei wozem rozpięto na obręczach budę z płótna tak szczelnie, że niepodobieństwem było dojrzeć, co się pod nią kryje. Na pozostałych wozach nie znajdowało się nic cennego, tylko proste sprzęty i przedmioty osobistego użytku, jakie służą zwykle ludziom, którzy w każdej chwili, bez względu na porę roku i odległość, gotowi są zmienić miejsce zamieszkania.

Ziemia tu była jak ocean, gdy ucisza się szalejąca burza i niespokojne wody wzbierają ciężką falą: tak samo regularnie sfalowana powierzchnia rozpościerała się niemal bez końca i nie było na czym zatrzymać spojrzenia. Tu i ówdzie wznosiło się z dna doliny drzewo z rozpostartymi, nagimi gałęziami, jak samotny statek. Wrażenie potęgowało jeszcze kilka dalekich kęp krzaków, które majaczyły na zamglonym widnokręgu jak wyspy wśród oceanu. Wędrowcy nie mogli się oprzeć przykreemu uczuciu, że przebyć trzeba jeszcze długie, nie kończące się chyba obszary, nim znajdą teren odpowiadający najskromniejszym choćby wymaganiom rolnika.

Mimo to przywódca emigrantów spokojnie szedł naprzód, nie mając innego przewodnika prócz słońca. Z każdym krokiem świadomie oddalał się od siedzib

cywilizacji i zapuszczał coraz głębiej, może bezpowrotnie, na tereny barbarzyńskich i dzikich mieszkańców kraju. Jednakże gdy dzień zaczął się chylić ku zachodowi, umysł emigranta, niezdolny zapewne wcześniej pomyśleć o sprawach nie związanych bezpośrednio z bieżącą chwilą, za-

Wówczas w Ameryce czternaście lat.

przątnęła troska o to, jak wobec nadchodzącej ciemności zaspokoić potrzeby rodziny.

Doszedł do szczytu wzgórza wyższego niż inne, zatrzymał się na chwilę i rozglądał ciekawie na prawo i lewo, szukając dobrze sobie znanych znaków wskazujących miejsce, gdzie znaleźć można trzy rzeczy niezbędne wędrowcom: wodę, opał i pastwisko.

Widocznie jego poszukiwania były bezowocne, bo po paru minutach leniwego obserwowania okolicy zaczął schodzić z łagodnego zbocza. Ogromna jego postać poruszała się ciężko i bezwładnie, podobna spasionemu zwierzęciu, pociąganemu przez spa-dzistość terenu.

Postępujący za nim młodzi ludzie poszli w milczeniu za jego przykładem. Powolne ruchy zarówno zwierząt, jak i ludzi świadczyły, że bliska jest już chwila, gdy będą musieli odpocząć. Dla pomęczonych zwierząt splątana trawa kotliny stanowiła okrutną przeszkodę i trzeba było popędzać je batem. W chwili gdy wszystkich, z wyjątkiem idącego na czele mężczyzny, ogarniać zaczęło znużenie, gdy wszyscy, jakby za wspólnym impulsem, rzucali przed siebie niespokojne spojrzenia, cała grupa zatrzymała się nagle, uderzona nieoczekiwanym widokiem.

Słońce zapadło już za najbliższą linię wzgórz, ciągnąc za sobą płonący tren. W samym środku tej powodzi ognistego światła zjawiała się postać ludzka, tak dobrze widoczna na złocistym tle i pozornie tak bliska, że – zdawało się – wystarczyło wyciągnąć rękę, by jej dotknąć. Człowiek ten był olbrzymiego wzrostu, a jego postawa świadczyła o smutku i zadumie. Choć stał zwrócony twarzą w kierunku naszych wędrowców, otaczał go blask tak jaskrawy, że nie sposób było zgadnąć, jak wygląda i kto on zacz.

Widok ten wywarł na podróżnych potężne wrażenie. Mężczyzna idący na czele zatrzymał się i wpatrywał w tajemnicze zjawisko z jakimś tępym zainteresowaniem, które wkrótce przemieniło się w zabobonny lęk. Synowie, opanowawszy pierwsze zdziwienie, zbliżyli się wolno ku ojcu, a za ich przykładem poszli ci, którzy prowadzili wozy; wkrótce wszyscy utworzyli jedną grupę, oniemiałą ze zdumienia. Choć większość z nich sądziła, że oglądają nadprzyrodzoną zjawę, paru śmielszych młodzieńców pochyliło w przód strzelby, gotowe do strzału. Dał się słyszeć szcęk odwodzonych kurków.

–Każ im iść na prawo! – ostrym, zgrzytliwym głosem zawołała dzielna żona i matka.
– Aza lub Abner na pewno opowiedzą nam dokładnie, co to za stworzenie.

–Nieźle byłoby popróbować strzelby – mruknął mężczyzna o tępej fizjonomii, którego rysy i wyraz twarzy przypominały w uderzający sposób ową energiczną kobietę. Zdjął z ramienia strzelbę, pochylił się zręcznie w przód i oświadczył stanowczo: – Mówią, że setki Wilków Pawni* polują na tych równinach. Jeżeli tak jest, to z pewnością nie zauważą braku jednego człowieka ze swego plemienia.

–Stój! – dał się słyszeć łagodny, lecz pełen przerażenia głos kobiety. Nietrudno było zgadnąć, że wypowiedziały te słowa drżące wargi młodszej z dwu kobiet. – Nie jesteśmy tu wszyscy, to" może być ktoś z naszych.

–Któż to teraz wychodzi na zwiady?! – krzyknął zagniewany ojciec obrzucając chmurnym spojrzeniem gromadkę krzepkich synów. – Zniż broń, zniż broń – powiedział odtrącając wycelowaną strzelbę ogromnym paluchem. Wyraz jego twarzy świadczył, że niebezpiecznie byłoby go nie posłuchać. – Nie dokonałem jeszcze tego, co powinienem, a choć niewiele już pozostało, muszę to skończyć w spokoju.

Tymczasem niebo zmieniało barwy. Oślepiający blask ustępował z wolna spokojniejszemu, przyćmionemu światłu, a w miarę jak gasły barwy tła, wyolbrzymione kształty tajemniczej postaci malały do naturalnych rozmiarów. Gdy już nie można było wątpić w oczywistą prawdę, przywódca wyprawy uznał, że niegodną byłoby rzeczą wahać się dłużej, i ruszył w drogę. Kiedy schodził ze zbocza pagórka, przezorność nakazała mu rozluźnić pasek strzelby i na wszelki wypadek trzymać ją w pozycji wygodniejszej do strzału.

Ale jasne było, że nie ma powodu do takiej czujności. Od chwili kiedy obcy tak nieoczekiwanie pojawił się, zda się, zawieszony między niebem i ziemią – ani nie ruszył się z miejsca, ani też nie okazywał żadnych wrogich zamiarów. Zresztą teraz, gdy widać go było wyraźnie, nie ulegało wątpliwości, że gdyby nawet

Pawni (ang. Pawnee – czyt. Pauni) – nazwa indiańskiego plemienia żyjącego na preriach mirclzy Missouri i Platte (stan Nebraska).

żywił względem wychodźców nieprzyjazne zamiary, nie zdołałby wprowadzić ich w czyn. Człowiek, który doświadczał trudów życia przez przeszło osiemdziesiąt zim i lat, wiosen i jesieni, nie mógłby wzbudzić lęku w mężczyźnie tak silnym jak przywódca emigrantów. Chociaż nieznanemu wyglądał na osłabionego, niemal na cierpiącego, było w nim coś, co wskazywało, że to czas położył na nim swą ciężką rękę, a nie choroba. Jego ciało zwiędło, lecz nie było zniszczone. Ubrany był prawie wyłącznie w skóry, obrócone włosami na wierzch. Z ramienia zwisał mu rożek z prochem i mieszkami na kule. Wspierał się na niezwykle długiej strzelbie, która, podobnie jak jej właściciel, nosiła na sobie ślady wieloletniej ciężkiej służby.

Gdy grupa wędrowców podeszła tak blisko do samotnego człowieka, że mogli się słyszeć nawzajem, z trawy u jego stóp rozległo się ciche szczekanie i duży, bezzębny pies myśliwski o zapadniętych bokach wstał leniwie ze swego legowiska i otrząsając się zajął pozycję, która wskazywała, że sprzeciwia się dalszemu zbliżaniu podróżnych.

–Leżeć! Hektor, leżeć! – powiedział jego pan głosem, który wiek uczynił nieco głuchym i drżącym. – Czegóż chcesz, piesku, od ludzi, którzy mają przecież prawo podróżować! *

–Choć jesteśmy ci obcy, wskaż nam miejsce, gdzie moglibyśmy schronić się na noc, jeżeli znasz tę okolicę – rzekł przywódca emigrantów. – Gdzie mogę rozbić obóz na noc? Nie jestem wybredny, gdy chodzi o spanie i jedzenie, ale tacy doświadczeni podróżni jak ja cenią świeżą wodę i dobrą paszę dla bydła.

–Chodź za mną, a znajdziesz i jedno, i drugie. Niewiele więcej mógłbym ci ofiarować na tej biednej ziemi.

Mówiąc to starzec zarzucił na ramię ciężką strzelbę – a uczynił to bez wysiłku, co w jego wieku było czymś niezwykłym – po czym bez dalszych słów poprowadził ich przez wzgórze do sąsiedniej doliny.

ROZDZIAŁ DRUGI

I

Rozbijcie namiot, tu spocznię dziś w nocy. A jutro... jutro? – ach, wszystko mi jedno.

"Ryszard III"

AVkrótce podróżni dostrzegli niezawodne wskazówki świadczące

o tym, że w pobliżu znajdują wszystko, czego im potrzeba. Przejrzyste źródło z głośnym bulgotem tryskało ze zbocza, łącząc swe wody z wodami podobnych źródełek w sąsiedztwie; i razem z nimi tworzyło strumień, którego bieg przez prerię widoczny był na mile, bo zdradzały go kępy krzewów i zieleni, rozrzucone tu i tam na ziemi zroszonej wilgocią. W tym więc kierunku szedł nieznajomy, a za nim ochoczo dążyły konie, czując instynktownie, że czeka je strawa i odpoczynek. Doszedłszy do miejsca, które uznał za odpowiednie, starzec zatrzymał się. Przywódca emigrantów rozejrzał się bacznie dokoła, badając okolicę z rozwagą, jak człowiek znający się na rzeczy.

–No tak, możemy tu zostać – powiedział zadowolony z wyników oględzin. – Chłopcy, słońce zaszło, ruszajcie się żwawo.

Młodzieńcy okazali mu posłuszeństwo w sposób dość osobliwy. Z szacunkiem wysłuchali rozkazu i nadal obserwowali okolicę sennym i obojętnym wzrokiem.

Tymczasem starszy podróżny, orientując się widocznie, jakie pobudki kierują jego dziećmi, zdjął torbę i strzelbę, po czym przy pomocy mężczyzny, który poprzednio zdradzał tyle ochoty do strzelania, zaczął spokojnie wyprzęgać konie.

Wreszcie najstarszy z synów wysunął się ociężale naprzód

1 bez najmniejszego wysiłku zagłębił siekierę aż po trzonek w miękkim drzewie topoli. Przez chwilę stał, przyglądając się skutkom swego uderzenia z lekceważeniem, z jakim olbrzym mógłby

patrzeć na bezsilny opór karła, a potem – wymachując siekierą nad głową z wdziękiem i zręcznością, z jakimi mistrz sztuki szermierczej mógłby władać szlachetniejszym, choć o wiele mniej pożytecznym orężem – szybko przerąbał drzewo, którego wysoki pień poddał się woli młodego zucha i runął. Pozostali podróżni patrzyli na to z jakimś leniwym zaciekawieniem, aż pokonane drzewo legło na ziemi. Wtedy, jakby na sygnał do ogólnego ataku, przystąpili wszyscy do pracy. Ze zręcznością i pośpiechem, które mogły wprawić w zdumienie laika, ogołocili z

drzew i krzewów teren niezbyt rozległy, lecz wystarczający na ich potrzeby, a zrobili to tak dokładnie i niemal tak szybko, jakby przeleciał tamtędy huragan.

Nieznajomy w milczeniu, lecz z uwagą przypatrywał się ich pracy, aż wreszcie odszedł z gorzkim uśmiechem, mrużąc coś do siebie, jak gdyby przez wzgardę nie chciał głośniejsz okazać swego niezadowolenia. Precyzyjny się przez gromadę energicznej i ruchliwej młodzieży, która zdążyła już rozniecić wesołe ognisko, zaczął z zaciekawieniem śledzić ruchy przywódcy emigrantów oraz jego odrażającego pomocnika.

Konie i bydło, puszczone przez nich na swobodę, skubały teraz chciwie smaczne i pożywne liście ściętych drzew, a przywódca emigrantów i jego pomocnik krzatali się koło wozu. Choć pojazd ten wydawał się równie cichy i pozbawiony pasażerów jak inne wozy, obaj mężczyźni nie szczędzili sił, by odciągnąć go daleko od reszty taboru, na miejsce suche i nieco wzniesione, leżące na skraju zarośli. Przynieśli potem tyczki, grubsze ich końce wbili mocno w ziemię, a cieńsze przytwierdzili do łąków, podtrzymujących pokrycie wozu. Z jego wnętrza wyciągnęli długi zwój płótna, rozpostarli je nad całością, a brzegi przymocowali kołkami do ziemi. W ten sposób powstał bardzo wygodny i dość przestronny namiot. Wspólnymi siłami ruszyli wóz, ciągnąc go za wystający spod namiotu dyszel. Gdy znalazł się pod gołym niebem, nie okryty, jak zwykle, zasłoną, traper zobaczył na nim jedynie kilka lekkich mebelków. Podróżny natychmiast przeniósł je sam do namiotu, jak gdyby wejście tam było przywilejem, nie przysługującym nawet jego najbliższemu kompanowi.

Ciekawość wzrasta w człowieku pod wpływem samotności, toteż stary mieszkaniec prairii, śledząc ostrożne i tajemnicze czyn-

ności dwóch mężczyzn, nie mógł oprzeć się temu uczuciu. Zbliżył się do namiotu i właśnie miał rozchylić dwie jego poły z widocznym zamiarem dokładnego obejrzenia wnętrza, gdy nagle ten sam mężczyzna, który już raz godził na jego życie, schwycił go za ramię i dość brutalnie manifestując swą siłę, odepchnął od miejsca, które starzec uznał za najbardziej dogodny punkt obserwacyjny.

–Jest taka uczciwa zasada, przyjacielu – zauważył sucho, ale z bardzo groźnym spojrzeniem – i na ogół bezpieczna, która mówi: pilnuj własnego nosa.

–Rzadko się zdarza, by ludzie przywozili na to pustkowie coś, co chcieliby ukryć – odrzekł starzec pragnąc widocznie przeprosić za zamierzone zuchwalstwo, lecz nie bardzo wiedząc, jak to uczynić. – Zaglądam tam nie chciałem nikogo obrazić.

–Pewnie rzadko się zdarza, by tu w ogóle ludzie przyjeżdżali – brzmiała szorstka odpowiedź. – To, zdaje się, stary kraj, ale nie jest chyba przeludniony.

–Kraina ta jest tak stara jak wszystko, co stworzył Wszechmocny, i ma pan rację, mówiąc, że nie jest przeludniona. Wiele miesięcy minęło od chwili, gdy oczy moje oglądały twarz koloru mej twarzy. Powtarzam, przyjacielu, że nie chciałem nikogo urazić. Liczyłem na to, że za płótnem ukaze się moim oczom coś, co mi przypomni minione lata.

Kończąc to proste wyjaśnienie nieznajomy cicho się oddalił, uznając zapewne, że każdy ma prawo do tego, by w spokoju cieszyć się swoim dobytkiem, i nie należy mu zakłócać tej przyjemności. Gdy szedł ku małemu obozowisku emigrantów, usłyszał ochrypy i władczy głos ich przywódcy, który zawołał:

–Ellen Wadę!

Dziewczyna, która razem z innymi przedstawicielkami jej płci krzątała się teraz przy ognisku, słysząc to wezwanie wybiegła ochoczo i minawszy nieznajomego z chyżością młodej antylopy, natychmiast zniknęła za zakazanymi ścianami namiotu.

Młodzi mężczyźni, których siekiery dokonały już swego dzieła, byli jak zwykle leniwie i niedbale zajęci różnymi pracami. Wkrótce ukończyli te zajęcia, a gdy otaczającą ich prerię okrywać zaczęła ciemność, zabrzmiał donośnie ostry głos energicznej niewiasty, która przez cały czas postoju nieustannie strofowała swą leniwą dziatwę, i obwieścił daleko i szeroko, że czeka już wie-

H

czorny posiłek. Choć różne cechy miewają ludzie pogranicza, zazwyczaj nie brak im cnoty gościnności. Gdy emigrant usłyszał wołanie żony, począł szukać wzrokiem nieznanego, by zaofiarować mu poczesne miejsce na skromnej wieczerzy, na którą zostali tak bez ceremonii wezwani.

–Dziękuję, przyjacielu – rzekł starzec w odpowiedzi na nieco szorstkie zaproszenie, by zajął miejsce przy dymiącym kotle – dziękuję serdecznie, lecz ja już spożyłem mój dzisiejszy posiłek, a nie należę do ludzi, co to własnymi zębami kopią sobie grób. Zasiądę jednak z wami, jeśli sobie tego życzysz, bo dawno już nie widziałem, jak ludzie mojej rasy spożywają swój chleb powszedni.

–To znaczy, że od dawna mieszkasz w tych okolicach – rzucił emigrant raczej w formie uwagi niż pytania, mając przy tym usta pełne – a nawet zbyt pełne wybornej homminy*, przygotowanej przez gospodarną, choć gburowatą połowicę. – Mówiono nam, że nie spotkamy tu wielu osadników, no i muszę przyznać, że powiedziano prawdę, bo – jeżeli nie liczyć kanadyjskich kupców na szlaku wielkiej rzeki – jesteś pierwszym białym człowiekiem, jakiego spotkałem na przestrzeni tych, jak powiadasz, pięciuset mil z górą.

–Chociaż spędziłem kilka lat w tej okolicy, trudno mnie nazwać osadnikiem, bo nie mam właściwie domu i rzadko kiedy przebywam dłużej niż miesiąc na tym samym terenie.

–Jesteś więc myśliwym – rzekł jego rozmówca i obrzucił spojrzeniem nowego znajomego, jak gdyby chcąc ocenić jego ekwipunek. – Wydaje mi się, że jak na myśliwego nie masz najlepszej broni.

–Stara jest i należy się jej odpoczynek, tak jak i jej panu – odparł starzec kierując na strzelbę spojrzenie pełne szczególnego wyrazu żalu i przywiązania. – A mogę też powiedzieć, że nie bardzo jesteśmy oboje potrzebni. Mylisz się, przyjacielu, zowiąc mnie myśliwym. Jestem tylko traperem.

–Jeśli jesteś dobrym traperem, musisz mieć w sobie także i coś z myśliwego, bo tutaj te dwa zajęcia na ogół idą w parze.

–Tym większy więc wstyd dla tych, co mają dość siły, by polować z bronią w ręku – zawołał stary traper. Przez przeszło

Hommina – potrawa z kukurydzy, jadana wówczas na kresach Ameryki.

pięćdziesiąt lat chodziłem ze strzelbą po preriach i lasach i nie zastawiałem sidła nawet na ptaka fruującego po niebie, a tym bardziej na zwierzę, którego jedynym ratunkiem są nogi.

–To przecież wszystko jedno, czy zdobywa się skórę zwierzęcia za pomocą strzelby czy pułapki – rzekł jak zwykle gru-biańskim tonem ponury i niemły towarzysz emigranta. – Ziemia została stworzona dla człowieka, a więc dla niego są i zwierzęta na ziemi.

–Wydaje mi się, że masz niewiele łupów, jak na człowieka, który zapuścił się tak daleko – szorstko przerwał mu emigrant, pragnąc widocznie zmienić temat rozmowy.
– Mam nadzieję, że lepiej powiodło ci się ze skórkami.

–Niewiele tego wszystkiego potrzebuję – spokojnie odpowiedział traper. – Trochę odzieży i jedzenia, oto wszystko, czego trzeba człowiekowi w moim wieku. I na cóż zdałoby mi się to, co nazywasz łupem? Mógłbym tylko, od czasu do czasu, przehandlować go za rożek prochu lub sztabę ołowiu.

–A więc nie urodziłeś się w tych stronach, przyjacielu? – zapytał podróżny.

–Urodziłem się nad brzegiem morza, choć znaczną część życia spędziłem w lasach.

Wszyscy emigranci spojrzeli na niego, jak patrzą ludzie, którzy niespodziewanie spostrzegli coś niezwykłego, interesującego.

–Słyszałem, że to bardzo daleko od wód Zachodu do brzegów wielkiego morza.

–Uciążliwa to wyprawa, przyjacielu, wiele podczas niej widziałem i wiele zaznałem znojów i utrapień.

–Trzeba zapewne pokonać wiele przeciwności?

–Siedemdziesiąt pięć lat wędruję tym szlakiem, a na całej jego długości, od Hudsonu zaczynając, nie znalazłbyś siedemdziesięciu pięciu mil... nie, nawet połowy tego... gdziebym nie posilał się kiedyś zwierzyną przez siebie złowioną. Lecz to są próżne przechwałki! Cóż znaczą czyny przeszłości, gdy życie dobiega kresu!

–Spotkałem raz kogoś, kto płynął statkiem po rzece, o której on mówi – odezwał się jeden z synów cichym głosem, jak gdyby nie był pewny swych wiadomości i sądził, że człowiekowi, który widział tak wiele, wypada okazać szacunek. – Z tego, co opo-

wiadał, przypuszczam, że to jest potężna rzeka i w całym swym biegu dość głęboka,

by mógł płynąć po niej statek.

–Jest to szeroka i głęboka droga wodna. Nad jej brzegami wyrosło wiele pięknych miast – odrzekł traper. – A jednak w porównaniu z wielką rzeką wydaje się zaledwie potokiem.

–Nie nazywam rzeką wód, które człowiek może obejść! – wykrzyknął niemiły towarzysz przywódcy wyprawy. – Przez prawdziwą rzekę człowiek musi się przeprawić, nie może jej okrążyć jak niedźwiedzia na łowach.

–Przyjacielu, czy zaszedłeś daleko na zachód? – przerwał znów ojciec, który wyraźnie chciał nie dopuścić do głosu swego gburowatego towarzysza. – Widzę, że dostałem się teraz na szeroki pas wyrębu.

–Możesz jechać tygodniami i wciąż będziesz widział to samo. Nieraz myślałem, że Pan umieścił pas nagich prerii na pograniczu Stanów, aby ostrzec ludzi, do czego mogą doprowadzić ziemię przez swą głupotę! O tak, całymi tygodniami, a nawet miesiącami można wędrować przez te otwarte pola i nie znaleźć domu ani schronienia dla człowieka, ani dla zwierzęcia.

Po chwili ciszy traper na nowo podjął wątek rozmowy, nie mówiąc wprost, jak to nieraz czynią mieszkańcy pogranicza.

–Na pewno nie było ci łatwo, przyjacielu, przechodzić w bród rzeki i przedzierać się aż tak głęboko w prerię z zaprzęgami koni i stadami bydła?

–Trzymałem się lewego brzegu głównej rzeki – rzekł emigrant – dopóki nie zaczęła prowadzić na północ. Wtedy przeprawiliśmy się tratwą na drugi brzeg, i to bez wielkich strat. Co prawda, moja kobieta będzie miała w przyszłym roku mniej o jedno czy dwa runa owcze, a dziewczęta straciły jedną ze swych krów, ale na tym się skończyło.

–Zapewne będziecie szli dalej na zachód, dopóki nie znajdziecie odpowiedniejszej dla osiedlenia się ziemi?

–Dopóki nie uznam za stosowne zatrzymać się lub zawrócić – odpowiedział szorstko emigrant.

Z wyrazem niezadowolenia na twarzy powstał nagle, przerywając dalszą rozmowę. Traper i reszta obecnych poszli za jego przykładem, po czym emigranci, nie zwracając wiele uwagi na gościa, zaczęli przygotowywać się do spoczynku. Już przedtem zbu-

dowano kilka altanek, a raczej szałasów z gałęzi drzew, szorstkich koców domowego wyrobu oraz skór bizona, nie dbając o nic prócz chwilowej wygody. Do tych szałasów schroniła się matka i dzieci, i z pewnością natychmiast pogrążyły się we śnie. Mężczyźni, zanim mogli pomyśleć o wypoczynku, musieli wykonać prace należące do ich obowiązków: uzupełnić obwarowanie obozu, starannie zasypać ogniska, dorzucić paszy bydłu, wyznaczyć straż, która miała czuwać nad bezpieczeństwem wędrowców w godzinach nadchodzącej już głuchej nocy.

Dwaj młodzieńcy wzięli strzelby i udali się jeden na prawy, drugi na lewy kraniec obozu, gdzie stanęli na posterunkach.

Traper nie przyjął zaproszenia, by ułożyć się do snu na słomie emigrantów. Oddalił się z wolna, pomijając ceremonię pożegnania.

Przez jakiś czas szedł bez celu, nie wiedząc dobrze, gdzie nogi go niosą. Wreszcie, doszedłszy do szczytu jakiegoś wzniesienia, zatrzymał się i po raz pierwszy od chwili opuszczenia obozowiska ludzi, którzy wzbudzili w nim tyle wspomnień, uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Postawił strzelbę na ziemi, oparł się na niej i pogrążył w głębokim zamyśleniu. Pies położył się u jego stóp. Nagle groźne warknięcie wiernego zwierzęcia wyrwało starca z zadumy.

–Co takiego, piesku? – spytał serdecznym głosem i spojrzał tak, jak gdyby zwracał się do stworzenia równego sobie inteligencją. – Cóż takiego, piesku? Ha! Hektor, co wietrzysz? To niepotrzebne, piesku, na nic niepotrzebne. Nawet łanie przychodzą teraz igrać sobie przed naszymi oczyma, nie lękając się dwóch starych niedołęgów. Mają instynkt, Hektorze, i wiedzą, że nie trzeba się nas obawiać.

Pies podniósł głowę i odpowiedział na słowa pana długim i żalonym skomleniem, a potem znów schował pysk w trawę, lecz skomlał dalej.

–Ależ ty mnie najwyraźniej przed czymś ostrzegasz, Hektorze! – rzekł jego pan ścisząc przezornie głos i bacznie rozglądając się dokoła.

Pies złożył głowę na ziemi i przestał skomleć. Zdawało się, że drzemie. Lecz bystre oczy jego pana dostrzegły daleko jakąś postać. W zwodniczym świetle miesiąca wydawało się, że płynie ona

nad tym samym wzniesieniem, na którym stał traper. Po chwili jej kształty zarysowały się wyraźniej i ukazała się zwiewna figurka kobieca. Przystanęła, namyślając się zapewne, czy może bez obawy iść dalej.

–Zbliź się, jesteśmy twymi przyjaciółmi – rzekł traper. – Jesteśmy twoimi przyjaciółmi i żaden z nas nie wyrządzi ci krzywdy.

Łagodny ton jego głosu ośmielił kobietę. Mając zapewne jakieś ważne zadanie do spełnienia, zbliżyła się i stanęła przy starcu. Wówczas poznał w niej dziewczynę, którą przedstawiliśmy już czytelnikowi jako Ellen Wade.

–Sądziłam, że pan odszedł – rzekła rozglądając się niespokojnie dokoła. – Nie myślałam, że to pan.

–Nie ma znów tak wielu ludzi na tych pustynnych przestrzeniach – odparł traper.

–Och, wiedziałam, że mam przed sobą człowieka, i zdawało mi się nawet, że poznaję głos psa – rzekła pośpiesznie, jak gdyby chciała coś wyjaśnić, choć sama nie wiedziała co, i nagle urwała, widocznie zaniepokojona, że powiedziała zbyt wiele.

–Nie spostrzegłem psa przy zaprzęgach twego ojca – sucho zauważył traper.

–Mojego ojca! – wykrzyknęła zapalczywie dziewczyna. – Ja nie mam ojca. Mogę chyba nawet powiedzieć, że nie mam przyjaciół. '

Traper spojrział na nią z wyrazem dobroci i zainteresowania, które sprawiły, że jego ogorzała twarz, zawsze szczera i łagodna, stała się jeszcze bardziej ujmująca.

–Dlaczego więc odważyłaś się przyjść tutaj, gdzie jest miejsce tylko dla silnych? – zapytał. – Czyż nie wiedziałaś, że gdy przeszłaś wielką rzekę, pozostawiłaś za sobą to, co zawsze stoi na straży słabszych i młodych, takich jak ty?

–O czym pan mówi?

–O prawie. Czasem prawo jest ciężkie, ale myślę, że jest

0 wiele trudniej żyć tam, gdzie go nie ma. Tak, tak, prawo jest potrzebne, by brało w opiekę tych, co nie zostali obdarzeni siłą

1 mądrością. Zapewne, moje dziecko, jeżeli nie masz ojca, masz przynajmniej brata?

–Niech Bóg broni, by ktoś z tych ludzi, których niedawno

pan widział, był mi bratem lub kimś bliskim czy drogim! Ale proszę, powiedz mi, staruszk, czy rzeczywiście nie spotkał pan tu białych prócz nas? – pytała dziewczyna, która była zbyt niecierpliwa, by czekać, aż powoli, w sposób właściwy jego wiekowi i rozwadze, udzieli jej wyjaśnień.

–Nie spotkałem ich przez długi czas. Spokój, Hektor, spokój – dodał słysząc ciche, przytłumione warczenie psa. – Pies węszy coś niedobrego! Czarne niedźwiedzie z tych gór zapuszczają się czasami jeszcze dalej. Ten pies nie zwykł się skarżyć na łagodną zwierzynę. Nie jestem obecnie tak zręczny do strzelby i tak pewny moich strzałów jak niegdyś, lecz w swoim czasie zabijałem najdziksze zwierzęta prerii. Nie lękaj się więc, dziewczyno.

Podniosła oczy, po kobiecemu badając najpierw wzrokiem ziemię u swych stóp, a potem objęła spojrzeniem wszystko, co znajdowało się w kręgu widzenia. Wyraz jej twarzy świadczył raczej o niecierpliwości niż zaniepokojeniu.

Słyszając krótkie szczeknięcia psa spojrzeli w drugą stronę i wtedy ukazała się im prawdziwa, choć niewyraźnie zarysowana przyczyna tego drugiego ostrzeżenia.

R O Z D Z I A

TRZE

C I

Takis gorący jak wszyscy w Italii I tak aę szybko unoszą zapaly, Jak się zapala w tobie chęć uniesień

"Romeo i Julia"

Traper, chociaż okazał zdziwienie spostrzegłszy zbliżającą się ku niemu jeszcze jedną ludzką postać, zwłaszcza że nadchodziła ona od strony przeciwnej obozowi emigrantów, zachował jednak spokój człowieka przywykłego do niebezpieczeństw.

–To jest mężczyzna – powiedział – mężczyzna, w którego żyłach płynie krew białej rasy, bo gdyby był Indianinem, szedłby lżejszym krokiem. Trzeba się przygotować na najgorsze – mieszkańcy, spotykani na tych dalekich ziemiach, są zwykle okrutniejsi niż dzicy czystej krwi.

Mówiąc to podniósł strzelbę do oka sprawdzając dotykiem stan krzemienia w kurku i prochu w panewce. Lecz gdy pochylał lufę strzelby, rękę jego gwałtownie powstrzymały drżące dłonie towarzyszki.

–Na miłość boską, nie śpiesz się zbytnio! – zawołała. – To może być przyjaciel, znajomy, sąsiad.

–Przyjaciel! – powtórzył starzec spokojnie, oswobadzając rękę, którą chwyciła dziewczyna. – Rzadko spotyka się przyjaciół, a w tym kraju rzadziej niż w innych. Okolice zbyt słabo jest zaludniona, by można było przypuścić, że człowiek, który się ku nam zbliża, jest choćby tylko znajomym.

–Gdyby to był nawet nieznajomy, nie chciałbyś chyba przelewać jego krwi!

Traper uważnie przyjrzał się jej niespokojnej, przerażonej twarzy, a potem opuścił na ziemię kolbę karabinu, widocznie zmieniając nagle zamiar.

21

–Nie – powiedział raczej do siebie niż do wylęknionej towarzyszki. – Niech się zbliży. Sidła na zwierzynę, skóry, a nawet moja strzelba staną się jego własnością, jeżeli ich zażąda.

–On ich nie zażąda, on ich nie potrzebuje – mówiła dziewczyna. – Jeśli jest uczciwym człowiekiem, zadowolony będzie tym, co ma, i nie będzie chciał rzeczy, które są

cudzą własnością.

Traper nie zdążył nawet wyrazić zdziwienia, jakim przejęły go te bezładne i sprzeczne słowa, gdy idący ku nim mężczyzna był już nie dalej, jak o pięćdziesiąt stóp. Hektor, gdy ujrzał obcego, począł podchodzić z wolna ku niemu, czając się jak pantera, kiedy gotuje się do skoku.

–Przywołaj psa – rzekł nieznajomy mocnym, głębokim głosem, lecz tonem raczej przyjacielskiego ostrzeżenia niż pogróżki. – Lubię psy myśliwskie i byłoby mi przykro, gdybym musiał wyrządzić mu krzywdę.

–Słyszysz, co tu mówią o tobie, piesku? – rzekł traper. – Chodź tutaj, głuptasie. On nie umie już teraz nic więcej, tylko warczy i szczeka. Możesz się zbliżyć, przyjacielu, pies nie ma zębów.

Nieznajomy natychmiast skorzystał z tej wiadomości. Posko-czył żwawo naprzód i stanął u boku Ellen Wadę. Rzucił na nią bystre spojrzenie, jak gdyby chciał się upewnić, że to ona, a potem skupił uwagę na jej towarzyszu. Niecierpliwość i przejęcie przybysza świadczyły, jak bardzo go interesowało, kim jest starzec.

–Z jakichże obłoków spadłeś, mój dobry staruszk? – zapytał bezceremonialnie i niedbale, lecz wydawało się, że jest to jego zwykły sposób mówienia. – Czyżbyś mieszkał tutaj, w prerii?

–Od dawna już przebywam na ziemi, a chyba nigdy nie byłem tak blisko nieba, jak w tej chwili – odrzekł traper. – Mój dom, jeśli to można nazwać domem, znajduje się niedaleko stąd. A czy teraz mogę się okazać tak natarczywy wobec ciebie, jak ty jesteś względem innych? Skąd przychodzisz i gdzie jest twój dom?

–Powoli, powoli, gdy skończę cię pytać, przyjdzie kolej na twoje pytania. Jakiejże rozrywce oddajesz się tutaj w świetle księżycy? Nie polujesz chyba na bizony?

–Idę, jak widzisz, do mojego wigwamu z obozowiska podróżnych, które leży za tym wzniesieniem, a czyniąc tak, nie krzywdzę nikogo.

–Wszystko to bardzo piękne. A tę młodą kobietę wzięłeś ze sobą, aby ci pokazała drogę, bo ona zna ją doskonale, a ty jej nie znasz?

–Spotkałem ją, tak jak i ciebie, przypadkiem. Przez dziesięć długich lat żyję na tych otwartych przestrzeniach i nigdy dotąd nie zdarzyło mi się spotkać o tej godzinie człowieka mającego białą skórę. Jeśli moja obecność tutaj okaże się natręctwem, przeproszę i pójdę swoją drogą. Gdy porozmawiasz z tą młodą przyjaciółką, będziesz na pewno bardziej skłonny uwierzyć w moje słowa.

–Przyjacielu -! odparł młodzian zdejmując z głowy futrzaną czapkę i zanurzając palce w gęstwinie czarnych, zwichrzonych loków – jeśli kiedykolwiek przedtem wzrok mój padł na tę dziewczynę, niech mnie...

–Dosyć, Pawle – przerwała dziewczyna kładąc mu dłoń na ustach z poufalością, która zadawała kłam jego zapewnieniom. – Możemy bezpiecznie powierzyć naszą tajemnicę temu zacnemu starcowi. Świadczy o tym jego twarz i mowa.

–Naszą tajemnicę! Ellen, czyś zapomniała...

–Nie. Nie zapomniałam o niczym, o czym powinnam pamiętać. Ale mimo to mówię, że możemy zaufać temu zacnemu traperowi.

–Traperowi! Podaj mi dłoń, ojczey Musimy się poznać, bo nasze zajęcia są podobne.

–Nie potrzeba rzemieślników w tych okolicach – rzekł traper przyglądając się atletycznej i zręcznej postaci młodzieńca, który w pozie niedbałej, lecz pełnej wdzięku stał wsparty o strzelbę. – Sztuka łapania w sieci i potrzaski stworzeń boskich wymaga raczej sprytu niż męstwa, a jednak ja na starość musiałem się jej poświęcić. Ale byłoby lepiej, gdyby człowiek tak młody, jak ty, oddawał się pracy bardziej odpowiadającej jego latom i odwadze.

–Ja! Ja nigdy nie zamknąłem w klatce nawet nurka czy piżmowca. Ale muszę przyznać, że przestrelilem kilku czerwono-skórych diabłów, choć uczyniłbym lepiej, chowając proch w rogu i kule w mieszk. O nie, staruszk, nic, co chodzi po ziemi, nie jest dla mnie.

–Czym więc zarabiasz na życie, przyjacielu? Te okolice nie-

wiele ofiarować mogą człowiekowi, który się wyrzeka swego słusznego prawa do zwierzyny.

–Nie wyrzekam się niczego. Jeżeli niedźwiedź wejdzie mi w drogę, już po nim. Jelenie uciekają przede mną, a co się tyczy bawołów, to zarżnąłem ich więcej niż rzeźnik w największej rzeźni

w Kentucky.

–Umiesz więc strzelać! A czy masz pewną rękę i celne oko? – wypytywał traper, a jego małe głęboko osadzone oczy płonęły dawnym ogniem.

–Ręka moja jest jak pułapka ze stali, a oko mam celniejsze od kuli.

–Wiele jest dobrego w tym chłopcu! Widzę to jasno z jego zachowania – rzekł traper zwracając się do Ellen ze szczerym i budzącym otuchę wyrazem twarzy. – I nawet powiem, że nie jest to nierozwaga z twojej strony, że się z nim tak spotykasz. Powiedz mi, chłopcze, czy trafiłeś kiedy skaczącego jelenia między rogi?

–Możesz równie dobrze zapytać, czy kiedykolwiek jadłem!

Strzelałem jelenie na wszystkie sposoby, w każdej sytuacji, tylko nie wtedy, kiedy spały.

–O! Przed tobą jest długie i szczęśliwe, o tak, i uczciwe życie. Jestem już stary... i mogę powiedzieć, wyniszczony życiem i na nic już niezdatny, lecz gdyby pozwolono mi powrócić do minionych lat i znanych dawniej miejsc... tobym powiedział: dwudziesty rok życia i preria. Ale powiedz mi, co robisz ze skórami?

–Ze skórami! Nigdy w życiu nie ściągałem skóry ze zwierzyny, nie oskubałem ptaka. Strzelam je od czasu do czasu, by mieć mięso i zachować celne oko i pewną rękę, lecz gdy zaspokoję głód, reszta przypada wilkom i prerii. Nie, nie, pozostaję wierny swojej pracy i otrzymuję za nią więcej, niżbym dostał za wszystkie futra, jakie mógłbym sprzedać po drugiej stronie wielkiej

rzeki.

Starzec zamyślił się, potrząsnął głową i rzekł w zadumie:

–Wiem tylko o jednym zajęciu, które może tu dawać zyski. Młodzian mu przerwał, podsunął przed oczy puszkę cynową,

którą miał zawieszoną na szyi, i podniósł jej wieko. W nozdrza trapera uderzyła rozkoszna woń cudnie pachnącego miodu.

–Bartnik -powiedział traper z żywością świadcząca, że

nieobce mu było to zajęcie, lecz jednocześnie z pewnym zdziwieniem, że młody człowiek, tak pełen temperamentu i odwagi, poświęca swój czas tej skromnej pracy. – Na pograniczu osad to się oplaca, ale daje chyba niewiele korzyści tutaj, na otwartych przestrzeniach.

–Myślisz, że rój nie znajdzie tu drzew, by w nich zamieszkać? Wiem, że znajdzie, i dlatego udałem się kilkaset mil dalej na zachód niż zwykle, chcąc zakosztować tutejszego miodu. A teraz, gdy zaspokoilem już twoją ciekawość, obcy wędrowcze, oddal się trochę, bo chcę porozmawiać z tą młodą kobietą.

–To nie jest potrzebne! Jestem pewna, że nie jest potrzebne, by on odchodził! – zawołała Ellen z pośpiechem, który dowodził jasno, że dziewczyna czuła, jak osobliwe, a raczej niestosowne było to żądanie. – Nie masz mi na pewno nic do powiedzenia, czego nie mógłby słuchać cały świat.

–No, doprawdy, niech mnie na śmierć zakłują trutnie, jeśli pojmuje rozumowanie kobiety! Przecież, Ellen, nie dbam o nic i nikogo i w tej chwili równie dobrze jak za rok mogę iść tam, gdzie twój wuj... gdzie ten twój wuj spętał konie, i powiedzieć mu jasno, co myślę. Wymów tylko słówko, a zrobię to nie dbając, czy mu się spodoba, czy nie.

–Taki z ciebie gorączka, Pawle Hover, że nigdy nie mam chwili spokoju! Jak możesz mówić, że pójdziesz do wuja i jego synów, skoro wiesz, że byłoby bardzo niebezpieczne, gdyby ujrzeli

nas razem!

–Czyżby chłopak zrobił coś, czego powinien się wstydzić? – spytał traper, który dotąd nie poruszył się ani o cal z miejsca.

–Niech Bóg broni! Lecz są powody, dla których nie powinni go widzieć właśnie teraz. Nie przyniosłoby mu żadnej ujmy, gdybym te powody wyjawiała, ale teraz jeszcze nie wolno mi tego uczynić. Toteż zechciej, ojcze, poczekać w pobliżu tych wierzbowych zarośli, aż wysłucham, co Paweł ma mi do powiedzenia. A przed powrotem do obozu z pewnością przyjdę rzec ci dobranoc.

Traper z wolna odszedł, jak gdyby zadowolony go bezładne nieco wyjaśnienia Ellen.

Widok ludzi wśród tego pustkowia, na którym żył traper, był dla niego czymś tak niezwykłym, że gdy skierował wzrok ku niewyraźnie rysującym się postaciom nowych znajomych, ogarnęło

dawno nie zaznane

i uczucia Wórci."

ostrożność prawie

biegiem myśli, zato-

ró ruszył się. z lego-

id

I; jak traper nie mógł zlekceważyć przy. (ciela) jest

___ Krótkie ostrzeżenie' _Imruczał do siebie traper idąc cenniejsze niż długie mowy

^ Mówcy byli zajęci roz-powoli w kierunku dwojga^mówcy Y ^ __. ^ zrozumu_

mową, by zauważyć ze podchmielonego. Dzieci – Po-

miał osadnik mógłby zlekceważyć. J ^e mogli go słyszeć – nie wiedział, gdy znalazł się]UztaK^, ^ gdzie kręca

, hańba dla każdego rodu, grozi

ojciec zamierzał.

–Ach, ręczę życiem moim,je nie odpowiedziała dziewczyna spali wszyscy, z wyjątkiem dwóch

liby się bardzo od(tm)1C'^Il wania na indy albo (tm)l

zwierząt – pośpiesz-własne oczy, że a ci dwaj musicie-wie śnie polo-w miasteczku. u przeszło psu pod wiatr, także śni? Idź do Hektora

ojczr^ Śroistm^l taL

ilytargaj go za uszy, ^^pCpOtrząsając głową, znał to

czenie nauczyło mnie ce

rq?le~

nęło w dal, wznosząc się i opadając podobnie jak jej sfalowana powierzchnia. Traper stał w milczeniu, zasłuchany i przejęty.

–Ci, którzy sądzą, że człowiek posiadał mądrość wszystkich stworzeń boskich, przekonają się o swym błędzie, jeśli tak jak ja dożyją osiemdziesięciu lat. Nie mogę powiedzieć, co nam grozi, i nie twierdzę, by pies to wyczuwał, ale głos tego stworzenia, które nigdy nie kłamie, oznajmił mi bliskie niebezpieczeństwo, i przezorność nakazuje go unikać. A więc, dzieci, jeśli cenicie radę starego człowieka, rozejdźcie się szybko i poszukajcie schronienia każde pod swoim dachem.

–Jeżeli opuszczę EUen w takiej chwili – zawołał młodzian- obym nigdy...

–Dosyć – przerwała dziewczyna, kładąc mu na ustach dłoń tak białą i delikatną, że mogłaby być z niej dumna kobieta znacznie wyższego stanu. – Czas już na mnie, musimy się i tak rozejść, cokolwiek się stanie, więc dobranoc, Pawle, ojczy, dobranoc...

–Pst – syknął młodzian chwytając ją za rękę, gdy już miała odejść. – Pst! Czy nie słyszysz? Gdzieś niedaleko rozszalały się bizony. Tętnią ich kopyta, jakby tu gnało stado oszalałych diabłów.

Starzec i dziewczyna zamienili się w słuch. Każdy człowiek w ich położeniu czyniłby, co tylko leży w jego mocy, by pojąć, co znaczą te tajemnicze hałasy, zwłaszcza że poprzedzało je tyle i tak przerażających ostrzeżeń. Niezwykle odgłosy, chociaż jeszcze słabe, dawały się słyszeć wyraźnie. <;

–Miałem rację – zawołał bartnik – pantera pędzi przed sobą stado. Albo te zwierzęta walczą ze sobą.

–Zawodzi cię słuch – powiedział starzec, który po chwili, gdy mógł chwycić uchem dalekie odgłosy, stał jak posąg wyobrażający głębokie zasłuchanie. – To za długie skoki jak na bawoły i zbyt regularne, by oznaczały przestrach. Cyt, teraz są we wgłębieniu, gdzie trawa jest wyższa i tłumi dźwięki. O, już biegną po twardej ziemi! Wdzierają się na to wzgórze, prosto na'nas! Będą tutaj, nim zdążycie się schować!

–Ellen! – zawołał młodzian chwytając towarzyszkę za rękę – uciekajmy do obozu.

–Za późno! Za późno! – krzyknął traper. – Już ich widać!

To krwawa banda przeklętych Siuksów! Poznają ich po zbrodniczym wyglądzie i bezładnej jeździe.

–Siuksowie czy diabły, jesteście mężczyznomi! – zawołał bartnik z taką odwagą, jak gdyby stał na czele dużego oddziału podobnych mu chwatów. – Masz strzelbę, staruszk, i pociągniesz za cyngiel w obronie bezsilnej chrześcijańskiej dziewczyny.

–W trawę, w trawę – szeptał traper, wskazując im w pobliżu pas wysokiej trawy, która rosła tu gęściej niż gdzie indziej. – Nie czas na ucieczkę, za mało nas na walkę, nierozważny chłopaku!

Niewielkie skłębione chmury ukazały się teraz na krańcach horyzontu, zakrywając księżyc i przepuszczając tak mało bladego, przyćmionego światła, że z trudnością można było cokolwiek dojrzeć. Dzięki temu, że doświadczenie i szybkość decyzji niezawodnie budzą posłuch w chwili niebezpieczeństwa, traper zdołał ukryć towarzyszy w trawie, a potem starał się obserwować w zamglonej poświacie miesiąca dziką, szaleńczą watahę, która pędziła wprost na nich.

Zgraja istot, które przypominały raczej demony niż ludzi zażywających nocnej przejażdżki po mrocznej prerii, zbliżała się naprawdę, i to z przerażającą szybkością, a kierunek ich jazdy nie pozwalał się łudzić, by choć część z nich nie dotarła do miejsca, gdzie leżał traper i jego towarzysze.

–Jeżeli wpadnie tu jeden z tych nędzników, wnet ich przyleci trzydziestu – szeptał. – A, skręcają ku rzece. Spokój, piesku, spokój. Ach, nie, znów jadą tutaj. Chłopcze, zniż się, bo zobaczą twą głowę... No, teraz musimy leżeć cicho, jak martwi.

Mówiąc to osunął się w trawę, jak gdyby rzeczywiście stało się to, o czym wspomniał, i jego dusza opuściła już ciało. W sekundę potem zgraja dzikich jeźdźców przeleciała koło nich z szybkością huraganu, a tak cicho, iż myśleć by można, że to przemknęła gromada upiorów. Gdy ciemne postacie znikły, traper odważył się unieść głowę na wysokość traw, dając jednocześnie znaki swym towarzyszom, by zachowali ciszę i spokój.

–Zjeżdżają ze wzgórza ku obozowi – szeptał dalej, cicho jak poprzednio. – O, na Boga, znów wracają! Nie koniec jeszcze z tymi gadami!

Ukrył się ponownie za przyjazną osłoną traw, a w chwilę po-

tem ukazały się ciemne postacie jeźdźców i bezładnie wjechały na sam szczyt wzgórzka. Było oczywiste, że powrócili tam, by korzystając z wyniosłości gruntu lepiej się przyjrzeć mrocznej okolicy.

Niektórzy zsiadli z koni, inni jeździli tam i z powrotem, jak gdyby zajęci niezmiernie interesującymi poszukiwaniami. Na szczęście dla ukrywających się, trawa nie tylko zasłaniała ich przed oczyma dzikich, lecz stanowiła także przeszkodę utrudniającą koniom, równie nieokiełznanym jak jeźdźcy, stratowanie ich kopytami w szalonym, dzikim pędzie.

W końcu jakiś ciemnoskóry Indianin o atletycznej budowie, będący pewnie przywódcą, wezwał swych wodzów na naradę. Jeźdźcy stanęli na samym skraju pasa wysokiej trawy, w którym ukrył się traper z towarzyszami. Kiedy młodzieniec ujrzał groźne, okrutne twarze Indian, których wciąż przybywało, mimowolnym ruchem sięgnął ręką po strzelbę, wyciągnął ją spod siebie i zaczął przygotowywać do strzału. Ale stary i przezorny doradca szepnął mu w ucho surową przestroagę:

–Indianie znają równie dobrze szczęk broni, jak żołnierze głos trąbki. Połóż strzelbę, połóż strzelbę. Jeżeli księżyc rzuci blask na lufę, te diabły na pewno ją dostrzegą, bo mają lepsze oczy niż najczarniejsze węże! Teraz najmniejszy twój ruch spowodzi na nas strzały z ich łuków.

Bartnik posłuchał ostrzeżenia o tyle, że leżał cicho i bez ruchu. Ale mimo panujących ciemności jego towarzysz dojrzał groźnie ściągnięte brwi i płonące oczy młodzieńca, co powiedziało mu jasno, że jeśli Indianie ich odnajdą, nie odniosą zwycięstwa bez przelewu krwi. Widząc, że nie przekonał Pawła, traper przedsięwziął pewne środki ostrożności i oczekiwał rezultatu z właściwą sobie rezygnacją i spokojem.

Tymczasem Siuksowie ukończyli naradę i rozproszyli się na skraju zbocza. Najwidoczniej czegoś szukali.

–Te szatany usłyszały psa! Mają tak dobry słuch, że nie pomylą się co do odległości. Zniż się, zniż, chłopcze, trzymaj głowę przy samej ziemi jak pies, kiedy śpi.

–Lepiej uciekajmy i liczymy na własne męstwo – odparł jego niecierpliwy towarzysz.

Chciał dalej mówić, ale poczuł na ramieniu czyjąś ciężką rękę. Podniósł oczy i ujrzał nad sobą ciemną i złowrogą twarz In-

f

dianina. Lecz mimo zaskoczenia i niewygodnej pozycji nie chciał dać się tak łatwo wziąć w niewolę. Szybszy niż strzał z jego strzelby, skoczył na równe nogi i złapał przeciwnika za gardło z siłą, która na pewno zdecydowałaby o prędkim zwycięstwie. Wtem poczuł uścisk ramion trapera, który obezwładnił go z siłą równą niemal sile młodzieńca. Nim Paweł zdążył powiedzieć choć słowo na tę jawną zdradę, otoczyło ich kilkunastu Siuksów i wszyscy troje* musieli oddać się w niewolę:

ROZDZIAŁ C Z W A R T Y

Lękam się walki bardziej niżli oni, Co pierwsi z pochw dobyli swej broni.

"Kupiec wenecki"

Od niepamiętnych czasów Siuksowie zwracali swój oręż przeciwko sąsiadom w prerii. W latach, w których toczy się akcja naszej opowieści, niewielu białych miało odwagę przebywać na odległych i nie objętych prawem ziemiach, zamieszkanym przez to podstępne plemię.

Indianie odebrali jeńcom broń oraz amunicję i wzięli parę niezbyt przydatnych i zapewne niewiele wartych drobiazgów, które znaleźli przy nich, po czym zostawili ich w spokoju. Mieli przed sobą znacznie ważniejsze zadanie, któremu musieli natychmiast poświęcić całą uwagę. Odegrała się jeszcze jedna narada wodzów, a z gwałtownej mowy tych kilku, którzy zabierali głos, widoczne było, że sądzą, iż daleko im jeszcze do pełnego zwycięstwa.

–Dobrze będzie – szepnął traper, który znał ich język na tyle, by zrozumieć, o czym mówiono – jeśli te opryszki nie udadzą się za wierzbowe zarośla i nie zbudzą ze snu naszych podróżnych. Zbyt są przebiegli, by uwierzyli, że kobieta "błędnych twarzy" może się znajdować tak daleko od osad i nie mieć w pobliżu jakiegoś schronienia i choć trochę wygod, do jakich przywykł biały człowiek.

–Jeśli przepędzą plemię wędrownego Izmaela aż do Gór Skalistych – rzekł młody bartnik, śmiejąc się w swym udręczeniu jakimś gorzkim śmiechem – przebaczę tym rozbójnikom.

–Pawle, Pawle! – zawołała z wyrzutem jego towarzyszka. – Zapominasz o wszystkim! Pomyśl, czym to grozi!

–Ach, właśnie dlatego, że myślałem o tym, co im grozi, nie mogłem od razu załatwić tej sprawy jak należy i porządnie zalać sadła za skórę tym czerwonym diabłem. Stary traperze, na ciebie spada hańba za to tchórzliwe poddanie się napastnikom! Pewnie twoim codziennym zajęciem jest łapanie nie tylko zwierząt, ale i ludzi w pułapki.

–Błagam cię, Pawle, uspokój się! Bądź cierpliwy!

–Dobrze, spróbuję, skoro ty sobie tego życzysz, Ellen – odparł bartnik usiłując opanować rozdrażnienie – ale powinnaś wiedzieć, że jest to niemal religijną zasadą mieszkańca Kentucky, żeby się trochę poirytować, gdy go spotyka niepowodzenie.

–Obawiam się, że wasi przyjaciele w dolinie nie zdołają się ukryć przed wzrokiem tych szatanów – mówił traper tak spokojnie, jak gdyby nie słyszał ani jednej sylaby z tej rozmowy. – Węszą łup... Równie trudno byłoby oderwać psa od ściganej zwierzyny, jak zmylić drogę tym niegodziwcom, gdy raz znajdą się na czymś tropie.

–Czyż nie można nic na to poradzić? – pytała Ellen błagalnym tonem, świadczącym o tym, jak bardzo lęka się o los podróżnych.

–Mogę tak wrzasnąć, że słyhać mnie będzie na milę na tych otwartych przestrzeniach, a obóz leży o niecałe ćwierć mili od nas – odpowiedział Paweł.

–Ścięto by ci za to głowę – odrzekł traper. – Nie, nie. Z przebiegłością należy walczyć przebiegłością, inaczej te wściekłe psy wymordują całą rodzinę.

–Wymordują? O nie. Gdyby chcieli go zamordować, ja sam nie pożałowałbym kuli na jego obronę.

–Jest z nim dużo mężczyzn i to dobrze uzbrojonych. Jak myślisz, czy będą walczyć?

–Posłuchaj, stary traperze... Niewielu ludzi tak nie cierpi Izmaela Busha i jego siedmiu synów, ciężkich niczym młoty kowalskie, jak nie cierpi ich niejaki Paweł Hover. Lecz nie chcę rzucać oszczerstw nawet na strzelby z Tennessee. Izmael i jego synowie nie daliby się prześcignąć w odwadze nikomu spośród ludzi urodzonych i wychowanych w Kentucky. Należą do rasy barczystej i wysokiej, i powiem ci, że ten, kto by chciał powalić którego z nich na ziemię, musiałby być świetnym zapaśnikiem.

–Ciszej! Dzicy skończyli już naradę i teraz wprowadzą w czyn swe przekłete zamysły. Cierpliwości: może będziemy jeszcze mogli jakoś pomóc naszym przyjaciółom.

–Przyjaciołom? Nie nazywaj mymi przyjaciółmi nikogo z ich rodu, traperze, jeśli

choć trochę szanujesz moje uczucia! Może powiedziałem o nich coś pochlebnego, ale nie z miłości do nich, tylko przez uczciwość.

–Myślałem, że młoda kobieta należy do ich rodu – odparł starzec nieco oschle.

Ellen znowu położyła dłoń na ustach Pawła i odpowiedziała sama miękkim, łagodnym głosem:

–Powinniśmy wszyscy uważać się za rodzinę, gdy jest w naszej mocy pomóc sobie nawzajem. Tylko twoje doświadczenie, zacny starcze, może nam wskazać, w jaki sposób dałoby się uprzedzić naszych przyjaciół o grożącym im niebezpieczeństwie.

–Wspaniały byłby to widok – z uśmiechem mruknął bartnik – gdyby te chłopaki wzięli się za bary z czerwonoskórymi.

Tymczasem Indianie zsiadli z koni i powierzyli je trzem czy czterem wojownikom, którym też oddali pod straż jeńców. Potem otoczyli kołem wojownika, który widocznie był ich wodzem, i na dany przez niego znak zaczęli ostrożnie i powoli iść przed siebie, oddalając się od środka jak promienie koła. Większość tych czarnych postaci pochłonęło wkrótce ciemne tło prairii. Okazało się jednak, że poszukiwania nie dały pożądanego wyniku, nie minęło bowiem pół godziny, a Indianie poczęli wracać jeden po drugim. Byli posępni i rozdrażnieni, jakby spotkał ich zawód.

–Zbliża się nasza godzina – powiedział traper, którego oczom nie uszło żadne, nawet najdrobniejsze wydarzenie, żaden objaw wrogości ze strony dzikich. – Wezmą nas teraz na spytki. Uważam, że w naszej sytuacji byłoby rozsądnie poruczyć prowadzenie rozmowy jednej osobie spośród nas, abyśmy się nie różnili w zeznaniach. A jeśli uznacie, że warto się liczyć ze zdaniem starego, osiemdziesięcioletniego trapera, to śmiałym twierdzić, że osoba, którą wybierzemy, powinna najlepiej z nas trojga znać charakter Indian, a także mieć pojęcie o ich języku. Czy mówisz językiem Siuksów, przyjacielu?

pigch każdy pilnuje własnego roju pszczół – odburknął

bartnik. – Brzęczenie to twoja specjalność, ale nie wiem, czy się nadajesz do czego innego.

–Młodość jest porywczą i popędliwa – spokojnie odpowiedział traper. – Był czas, młodzieńcze, kiedy i w moich żyłach, tak jak w twoich, niespokojnie płynęła gorąca krew. Po cóż jednak w moim wieku wspominać lekkomyślne i zuchwałe czyny! Siwej głowie przystoi rozum, a nie chełpliwe słowa.

–Tak, tak – szepnęła Ellen. – Ale teraz musimy myśleć

o czym innym. Oto nadchodzi Indianin, by zadawać nam pytania.

Ellen nie myliła się, gdyż lęk wyostrzył jej zmysły. Nim skończyła mówić, wysoki, półnagi Indianin zbliżył się do miejsca, gdzie stali, i dłużej niż minutę trwał w zupełnym milczeniu, obserwując ich tak uważnie, jak na to pozwalało blade światło księżyca. Potem pozdrowił ich po indiańsku, wydając chrapliwe i gardłowe dźwięki. Traper odpowiedział najwyraźniej, jak umiał

1 wydawało się, że został zrozumiany.

–Czy blade twarze zjadły już swoje bawoły i odarły ze skóry wszystkie swoje bobry – zaczął dziki, wyczekawszy uprzejmie, jak nakazywał zwyczaj, by chwila ciszy oddzieliła wymianę powitań od dalszych słów – i przybyły policzyć, ile jeszcze tych zwierząt zostało u Pawni?

–Niektórzy z nas przyszli tu, by coś kupić, inni, by coś sprzedać – odrzekł traper – lecz nikt z nas nie pójdzie dalej, jeśli się dowiemy, że niebezpiecznie jest zbytnio się zbliżać do siedziby Siuksów.

–Siuksowie to złodzieje i mieszkają wśród śniegów. Dlaczego mówić o plemienu, które jest tak daleko, gdy znajdujemy się w kraju Pawni?

–Jeśli ta ziemia należy do Pawni, to biali i czerwoni mają równe prawo tu przebywać.

–Czy blade twarze nie nakradły już dość czerwonoskórym?! Czemuż jeszcze przychodzą tak daleko z kłamstwem na ustach? Powiedziałem, że to tereny polowań mojego plemienia.

–Mam równe jak ty prawo tu się znajdować – odrzekł traper z niezmaconym spokojem. – Wiele razy słońce wschodziło i zachodziło, gdy brałem udział w

naradach, a słuchałem tylko słów mądrych ludzi. Niechaj zjawią się tu twoi wodzowie, a wówczas usta moje nie pozostaną zamknięte.

–Ja jestem wielkim wodzem! – rzekł dziki przybierając wyraz obrażonej godności. – Czyż bierzecie mnie za Assini-boina*! Weucha jest wojownikiem, o którym często mówią i któremu ufają.

–Czyż jestem takim głupcem, że nie poznam Tetona ze spalonych lasów? – zapytał traper ze spokojem chlubnie świadczącym o jego nerwach. – Idź precz. Jest ciemno i nie widzisz, że mam siwą głowę.

Indianin nareszcie zrozumiał, że użył zbyt przejrzystego wybiegu, by zwieść człowieka tak doświadczonego, jak jego rozmówca. Zastanawiał się, co ma wymyślić, by osiągnąć zamierzony cel, ale lekkie poruszenie, jakie dało się zauważyć wśród członków plemienia, położyło kres jego knowaniom. Rzucając za siebie niespokojne spojrzenia, jak gdyby w obawie, że mu przeszkodzą, powiedział tonem znacznie mniej dufnym niż poprzednio:

–Gdy Weucha dostanie mleka, które piją Długie Noże*, wysławiać będzie twoje imię przed wielkimi mężami swego plemienia!

–Idź precz – powiedział traper z wielką niechęcią, dając wojownikowi znak, by sobie poszedł. – Wasi młodzieńcy mówią o Mahtorim. Moje słowa przeznaczone są dla uszu wodza.

Dziki rzucił na niego spojrzenie, w którym mimo panującego mroku można było dostrzec nieprzejednaną wrogość, a potem odszedł cicho i wmieszał się pomiędzy swoich towarzyszy, pragnąc ukryć przed człowiekiem, o którym wspomniał traper, planowany przez siebie podstęp i zdradzieckie knowania przeciw sprawiedliwemu podziałowi łupów. Wiedział, że wódz nadchodzi, gdyż z ust do ust podawano sobie jego imię. Zaledwie zdążył się wycofać, gdy z ciemnego kręgu ludzi wynurzyła się potężna postać wojownika, który stanął przed jeńcami we wspaniałej i pełnej dumy postawie, tak znamiennej dla wielkich wodzów indiańskich. Za nim

Indianie prerii dzielili się na trzy grupy językowe: Siuksów, Algonkwinów i Keddo. Najliczniejsze były plemiona Siuksów i Algonkwinów. Do grupy Siuksów należeli między innymi Dakota-owie (pogardliwie nazywani przez białych Tetonami) i Assiniboinowie. Najbardziej znanym plemieniem algonkwinskim są Czejennowie. Pawni należeli do grupy językowej Keddo.

Długie Noże – szable. Tak nazywali Indianie białych.

nadeszli inni Indianie i w głębokim, pełnym szacunku milczeniu ustawili się wokół swego wodza.

– Ziemia jest wielka – zaczął Mahtori po chwili milczenia pełnego dostojności, o które na próżno starał się podstępny wojownik. – Dlaczego dzieci mego wielkiego białego ojca nigdy nie mogą znaleźć sobie na niej dość miejsca?

– Niektórzy spośród nich słyszeli, że ich przyjaciele w prerii potrzebują wielu rzeczy, i przychodzą się przekonać, czy to prawda – odparł traper. – A innym potrzeba tego, co im mogą sprzedać czerwonoskórzy ludzie, przyszli więc ofiarować w zamian proch i koce, aby uczynić swych przyjaciół bogaczami.

– Czyż kupcy przechodzą przez wielką rzekę z próżnymi rękoma?

– Nasze ręce są puste, gdyż twoi młodzi wojownicy myśleli, że jesteśmy zmęczeni, i uwolnili nas od ciężaru. Pomylili się, gdyż sił mi nie brak, choć jestem stary.

– Tak być nie mogło. Twoje rzeczy spadły w prerię. Wskaż moim młodym wojownikom to miejsce, by podnieśli paczki, nim znajdą je Pawni.

– Prowadzi tam kręta ścieżka, a teraz jest noc. Nadeszła godzina snu – powiedział z niezmaconym spokojem traper. – Niechaj twoi wojownicy udadzą się na to wzgórze. Tam znajdą wodę i drzewo. Niech zapalą ognisko i grzeją sobie stopy we śnie. Gdy znowu zaświeci słońce, pomówię z tobą.

Indianie uważnie przysłuchujący się rozmowie zaczęli szem- i rać z wielkim niezadowoleniem. Stanowiło to wskazówkę dla traperów, że nie był dość ostrożny wysuwając propozycję, która miała na celu ostrzeżenie podróżnych w zaroślach o grożącym im niebezpieczeństwie. Mahtori jednak w najmniejszym stopniu nie zdradził podniecenia, które tak jawnie okazywali jego towarzysze, i dalej w ten sam wyniosły sposób prowadził rozmowę:

– Ja wiem, że mój przyjaciel jest bogaty – powiedział – że jego liczni wojownicy są niedaleko stąd i że ma on więcej koni niż czerwonoskórzy mają psów.

– Widzisz oto moich wojowników i moje konie.

– Co! Czy ta kobieta ma nogi silne jak Dakota, by mogła przez trzydzieści nocy iść przez prerię i nie paść ze zmęczenia? Wiem, że czerwoni ludzie z lasów odbywają pieszo długie marsze,

lecz my, którzy mieszkamy tak daleko od siebie, że nie widzimy naszych siedzib,

kochamy konie.

Traper zawahał się, co odpowiedzieć. Zdawał sobie sprawę, jakim niebezpieczeństwem groziłoby, gdyby skłamał, a Indianie to wykryli. Poza tym był człowiekiem niezwykle prawdomównym i bezgranicznie brzydził się kłamstwem. Ale uprzytomniwszy sobie, że zależy od niego nie tylko jego własny los, lecz również życie towarzyszy, postanowił zdać się na bieg wypadków i pozwolić wodzowi Dakotaów, by sam się oszukał.

–Kobiety Siuksów i kobiety białych ludzi nie mieszkają w jednym wigwamie – odparł wymijająco. – Czy wojownik Tetonów wynosi swą żonę ponad siebie? Wiem, że nie uczyniłby tego. Słyszałem jednak na własne uszy, że są kraje, gdzie kobiety odbywają narady.

–Moi biali ojcowie, którzy przebywają nad wielkimi jeziorami, orzekli, iż bracia ich mieszkający od strony wschodzącego słońca nie są mężami. Teraz wiem, że mówili prawdę. Cóż to za naród, którego wodzem jest kobieta? Czy jesteś psem tej kobiety, a nie jej mężem?

–Nie jestem ani jednym, ani drugim. Do dnia dzisiejszego nie oglądałem jej twarzy. Przyszła na prerię, bo powiedziano jej, że żyje tu wielki i szlachetny naród Dakotaów, i chciała zobaczyć tych mężów. Kobiety bladych twarzy, podobnie jak kobiety Siuksów, szeroko otwierają oczy, bo chcą oglądać rzeczy nieznanne. Lecz ona jest biedna jak ja i zbraknie jej mięsa bawołów i ziarna, jeśli zabierzecie to, co ona i jej przyjaciel jeszcze posiadają.

–Uszy moje słyszą niegodziwe kłamstwa! – krzyknął wódz Tetonów tak ostro, że wzdrygnęli się nawet słuchający go Indianie. – Czyliż jestem kobietą? Czyż Dakota nie ma oczu! Powiedz mi, biały myśliwce, co to za ludzie twego koloru skóry śpią w pobliżu zrąbanych drzew?

Mówiąc to wskazał z oburzeniem w kierunku obozu Izmaela.

–Możliwe – rzekł – że biali śpią w prerii. Skoro mój brat tak mówi, to tak jest, ale nie mogę powiedzieć, jacy to ludzie zaufali szlachetności Tetonów. Jeżeli tam śpią nieznajomi, pošlij młodych wojowników, aby ich obudzili i spytali, po co tu przyszli. Każdy biały ma język.

Wódz potrząsnął głową, uśmiechnął się dziko i okrutnie i odwracając się rzucił szybko, by zakończyć rozmowę.

–Dakotaowie to mądre plemię, a Mahtori – ich wódz! Nie będzie krzykiem budził obcych, bo wstaliby i odpowiedzieli strzałami z karabinów. Szepnie im coś do ucha. Niech potem ludzie ich własnej rasy przyjdą, aby ich zbudzić.

Wypowiedziawszy te słowa obrócił się na pięcie. Krąg ciemnych postaci zaśmiał się cicho i z uznaniem. Wojownicy natychmiast ruszyli za Mahtorim.

Konie, przyuczone do takich cichych i podstępnych napadów, oddane zostały pod opiekę strażnikom, na których, jak poprzednio, nałożono również obowiązek pilnowania jeńców. Trapera ogarniał coraz większy niepokój. Nie zmniejszał go bynajmniej widok stojącego przy nim Weuchy. Na obliczu Indianina malował, się wyraz triumfu i poczucie władzy, co wskazywało, że został zwierzchnikiem całej straży. Mahtori zwrócił się do swych towarzyszy dając znak, że nadszedł moment, by wykonać obmyślony przez niego plan.

Posuwali się jeden za drugim wzdłuż obozu, aż ciemne ich postacie stały się w mroku niemal niewidoczne dla oczu obserwujących ich jeńców. Zatrzymali się i rozglądali dokoła jak ludzie, którzy, nim porwą się na rozpaczliwy krok, pragną pomyśleć nad skutkami swego czynu. Potem z wolna pochylili się i zniknęli w trawie prerii.

Łatwo wyobrazić sobie lęk i niepokój tych, którzy obserwowali to groźne widowisko, a byli tak żywo zainteresowani jego rezultatem. Jakiegokolwiek powody miała Ellen, by nie darzyć miłością rodziny, w której otoczeniu poznali ją czytelnicy, uczciwość właściwa jej płci, a może także tłące się w sercu iskry dobroci kazały jej bronić ich życia. Wiele razy czuła nieprzepartą wprost ochotę, by mimo groźby straszliwej kary natężyć słaby głos i krzykiem ostrzec emigrantów. Chęć ta była tak silna i zarazem tak naturalna, że Ellen z pewnością by jej uległa, gdyby nie powtarzane szeptem napomnienia Pawła Hovera. W sercu młodego bartnika powstał szczególny splot uczuć. Największą jego troskę stanowiło niewątpliwie bezpieczeństwo towarzyszek, tak delikatnej i tak od niego zależnej, lecz do niepokoju o nią przyłączyło się w duszy tego zuchwałego człowieka lasu ogromne, szalone podniecenie,

bynajmniej mu nie przykre. Chociaż z podróżnymi związany był znacznie słabszymi węzłami niż Ellen, gorąco pragnął usłyszeć huk ich strzelb i pierwszy ohotnie pośpieszyłby im na ratunek, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Były chwile, gdy i jego ogarniała pokusa, by skoczyć naprzód i zbudzić nieświadomych niebezpieczeństwa emigrantów – pokusa niezwykle silna. Lecz wystarczyło jedno spojrzenie na Ellen, by

otrzeźwiał i uprzytomnił sobie skutki takiego czynu. Jedynie traper obserwował rozwój sytuacji ze spokojem, jak gdyby nie działo się nic, co mogłoby wpłynąć na jego los. Widać było, iż człowiek ten niełatwo ulega wzruszeniu, gdyż przywykł do niebezpieczeństw.

Tymczasem tetońscy wojownicy nie próżnowali. Pod osłoną wysokiego tumanu mgły, leżącego w kotlinie, prześlizgiwali się wśród splątanej trawy jak trzy zdradzieckie węże skradające się ku upatrzonej ofierze, aż znaleźli się w miejscu, w którym należało zachować jeszcze większą ostrożność przy posuwaniu się naprzód. Jeden tylko Mahtori od czasu do czasu wznosił ciemną, posępną twarz ponad trawę prerii i natężał oczy, chcąc przebić mrok kryjący przedpole zarośli. Cał po calu przesuwiał swe ciało przez uginającą się trawę, zatrzymując się co chwila, gotów pochwycić uchem najcichszy szelest, który mógłby zdradzić, że podróżni wiedzą o jego obecności. Miał przed sobą ciemny, lecz wyraźny zarys obozowiska: kontury namiotów, wozów i szałasów. Dało to doświadczonemu wojownikowi podstawę do dosyć ścisłej oceny sił wroga, z którym miał się zmierzyć. A jednak miejsce to wciąż pogrążone było w nienaturalnej ciszy. Zdawało się, że ludzie ci nawet we śnie starają się oddychać jak najspokojniej, by tym wyraźniej okazać, że czują się zupełnie bezpieczni. Wódz przyłożył ucho do ziemi i nasłuchiwał uważnie. Już miał, zawiedziony, podnieść głowę, gdy nagle słuch jego pochwycił głęboki i nierówny oddech kogoś śpiącego niespokojnym snem. Indianin zbyt dobrze Umiał oszukiwać i zwodzić innych, by samemu paść ofiarą pospolitego wybiegu. Po szczególnej wibracji oddechu poznał, że jest naturalny, i już nie wahał się dłużej.

Zmienił teraz kierunek i czołgał się wprost ku skrajowi zagajnika. Kiedy bezpiecznie osiągnął ten ważny cel, usiadł, by jeszcze dokładniej zorientować się w sytuacji. Jedna chwila wystarczyła, aby zdał sobie sprawę, gdzie spoczywa nie podejrzewający nicze-

go podróżny. Czytelnik domyśla się chyba, że to jeden z leniwych synów Izmaela, mający czuwać nad samotnym obozem, znalazł się w tak niebezpiecznym sąsiedztwie.

Pewien, że go nie dostrzeżono, Dakota podniósł się znów, pochylił nad śpiącym, zbliżając swe ciemne oblicze do jego twarzy ruchem okrutnym i zarazem kapryśnym, niczym wąż, który igra z ofiarą, nim zada jej śmiertelną ranę.

Ospały wartownik podniósł ciężkie powieki, a popatrzywszy chwilę na zamglone niebo uczynił wielki wysiłek, podniósł głowę z kłody, o którą była wsparta, i dźwignął swe potężne ciało. Zaczął rozglądać się dokoła z budzącą się uwagą, rzucając leniwe spojrzenia na niewyraźne zarysy przedmiotów znajdujących się w obozie, a w końcu na rozległą i ciemną płaszczyznę prerii. Lecz gdy senny wzrok nie napotkał nic ciekawszego od powtarzających się wokół jednakich, niewyraźnych konturów wzniesień i kotlinek, strażnik leniwie zmienił pozycję, obrócił się plecami do niebezpiecznego sąsiada i znów się położył. Nastąpiła długa chwila ciszy, niespokojna i dręcząca dla Tetona, aż głęboki oddech zdradził, że wartownik ponownie zapadł w drzemkę. Dziki zbyt obawiał się podstępny, by zaufać pierwszym pozorom snu, ale wędrowca tak silnie zmogło zmęczenie po dniu pełnym niezwykłych trudów, iż było oczywiste, że śpi. Bezszelestnie, ciszej niż spada liść z topoli unoszony powiewem, wódz Dakotaów podniósł się i znów pochylił nad wrogiem.

Czuł teraz, że jest panem jego losu. Delikatnie rozsunał ubranie na piersi śpiącego i upewnił się, gdzie bije źródło życia, pochwycił ostry nóż, by z całą zręcznością i siłą zadać śmiertelny cios, gdy wtem młodzieniec niedbałym ruchem odrzucił w tył silne ramiona odsłaniając warstwę potężnych mięśni.

Roztropny i ostrożny Teton wstrzymał cios. Byстрыm rozumem pojął, że w tej chwili sen jego ofiary nie jest tak niebezpieczny, jak groźna okazać by się mogła jego śmierć. Dzięki doświadczeniu wojownika wyobraził sobie niemal namacalnie, z najdrobniejszymi szczegółami, walkę, jaką stoczyłoby to potężne ciało w obronie życia. Spojrzał na leżący w tyle obóz, zwrócił głowę ku zaroślom, a potem jego płonące oczy spoczęły na dzikiej i milczącej prerii. Raz jeszcze pochylił się nad poniechaną ofiarą, by się upewnić, że pogrążona jest w głębokim śnie, i wy-

rzekł się bliskiego celu, ulegając nakazom przebieglejszej taktyki.

Odwrót Indianina był tak cichy i ostrożny jak jego przyjście. Obrął kierunek na obóz i skradał się brzegiem zarośli, w których w razie najmniejszego niebezpieczeństwa mógł łatwo znaleźć schronienie. Samotnie stojący namiot zwrócił jego uwagę. Nasłuchiwał przez chwilę z bolesnym niemal natężeniem, chcąc, by słuch udzielił mu

jakiejś wskazówki, a potem ośmielił się unieść u dołu płótno namiotu i wsunął ciemną głowę do środka. Upłynęła chyba minuta, nim wódz Tetonów wycofał się poza obręb namiotu.

Czołgał się powoli ku przedmiotom stanowiącym centrum obozowiska i zatrzymał się dopiero po przebyciu znacznej przestrzeni. Następnie wstał i szedł przez obóz dumnym krokiem, jak Pan Złych Potęg, który wypatruje, na kim i na czym mógłby wyrzucić swój gniew i okrucieństwo. Zbadał, co znajdowało się w pomieszczeniu, w którym spała kobieta i jej dzieci, minął kilka ogromnych postaci rozciągniętych na wiązki gałęzi, wreszcie doszedł do miejsca, gdzie spoczywał sam Izmael. Dziki zbyt był roztropny i przebiegły, by nie domyślić się, że to najważniejszy człowiek w obozie znalazł się w jego mocy. Długo stał pochylony nad olbrzymią postacią, rozważając, jakie są szansę, by powiodło się zuchwałe przedsięwzięcie, i w jaki sposób zebrać z niego najbogatszy plon.

Ukrył w pochwie nóż, wyciągnięty pod wpływem gwałtownych myśli, i posuwał się dalej, gdy nagle zaspany Izmael poruszył się na legowisku i ujrawszy w pół otwartymi oczyma niewyraźny zarys czyjejś postaci, spytał opryskliwie, kto się tam kręci. Nikt, kto nie byłby obdarzony sprytem i przebiegłością, jaką odznacza się dziki, nie uszedłby cało z niebezpieczeństwa. Mahtori mruknął coś niewyraźnie, naśladując nieartykułowane niemal dźwięki, jakie wyszły z ust podróżnego, i rzucił się ciężko na ziemię, niby to układając się do snu. Izmael sennym wzrokiem tępo obserwował tę scenę, lecz podstęp był tak śmiały i tak po mistrzowsku wykonany, iż spełnił swój cel. Utrudzony ojciec znów przymknął powieki i wkrótce spał mocno, nieświadom, jaki zdradziecki gość nawiedził jego rodzinę.

Teton musiał długo leżeć w tej samej pozycji, nim upewnił się, że nikt go nie obserwuje. Następnie pełzając po ziemi zwinnie

i ostrożnie jak poprzednio, skierował się ku lichej zagrodzie dla bydła.

Pierwsze z napotkanych zwierząt stało się przyczyną długiej i ryzykownej zwłoki. Zmęczone to stworzenie, któremu zapewne instynkt mówił, że na bezkresnych przestrzeniach prerii najlepszego obrońcę znaleźć może w człowieku – spokojnie, z ogromną cierpliwością i zaufaniem poddało się długim i dokładnym oględzinom. Dłoń wędrownego Tetona z nienasyconą ciekawością przesuwała się po wełnistym futerku, łagodnym pyszczku i delikatnych nóżkach. W końcu jednak wyrzekł się tej zdobyczy, osądzivszy, że nie przedstawia ona wielkiej wartości jako pożywienie i nie zdałaby się na nic w rozbójniczych wyprawach. Gdy jednak znalazł się wśród zwierząt pociągowych, ogarnęła go ogromna radość i z trudem powstrzymywał triumfalne okrzyki, które cisnęły mu się na usta. Zapomniał o niebezpieczeństwach, na jakie się narażał, nim dotarł do tego miejsca, i na chwilę dzika radość wzięła górę nad rozważą wytrawnego wojownika.

R O

DZIAŁ PIĄTY

I cóż stracimy, ojcze? Wszakże prawo Nas już nie broni. Po cóż tutaj tkliwość, Gdy to bezczelne cielsko śmie nam grozić. Sądź i bądź katem.

"Cymbelin"

Podczas gdy Mahtori w ten sposób spełnił swe chytre zamysły, ani jeden dźwięk nie zakłócił ciszy prerii. Wojownicy, rozstawieni na licznych posterunkach, czekali na hasło. Wykazywali przy tym cierpliwość, z jakiej słynie ich rasa. Wszędzie wokół panowała pełna majestatu i tchnąca zimnym spokojem cisza pustkowia.

Ale w osobach, które dobrze wiedziały, jak wiele kryje zasłona nocy i milczenia, widok ten budził gorączkowe podniecenie. Niepokój wzrastał, gdy minuta mijała za minutą, a ciszy i mroku, kryjącego zarośla, nie przebił ani jeden dźwięk. Paweł zaczął oddychać głęboko i głośno, Ellen, wsparta ufnie na jego ramieniu kilka razy bezwiednie zadrżała czując, jak dygoce jego silne ciało. Weucha pierwszy zapomniał o zakazach, które sam wydał. Właśnie zapragnął dać folgę złośliwej przyjemności, jaką mu sprawiało znęcanie się nad osobami powierzonymi jego opiece. Pochylając się nisko nad uchem trapera wyszeptał, a właściwie wymruczał:

–Jeśli ręce Długich Noży pozbawią Tetonów wodza, zginiecie wszyscy, starzy i młodzi.

–Życie jest darem Wakondy* – brzmiała niewzruszona odpowiedź. – Wojownik ze spalonych lasów musi się poddać jego prawom, tak jak i inne jego dzieci. Ludzie umierają tylko wtedy, kiedy On zechce, i żaden Dakota nie zmieni naznaczonej godziny.

–Patrz! – odpowiedział dziki zbliżając ostrze noża do twarzy jeńca. – Weucha to twój Wakonda, ty psie!

Wakonda – Wielki Duch, najwyższe bóstwo Indian.

Starzec podniósł wzrok na okrutną twarz strażnika. Na chwilę w jego głęboko osadzonych oczach zabłysła potężna i słuszna odraza, lecz wkrótce zgasła i pozostał tylko wyraz litości, a nawet smutku.

–Czyż człowiek stworzony na podobieństwo Boga może dozwolić, by stworzenie, kierujące się marną namiastką rozumu doprowadzało go do gniewu! – rzekł po angielsku nieco głośniejszym głosem niż mówił Weucha. Indianin skorzystał z mimowolnego przestępstwa jeńca i chwyciwszy wymykające się spod czapki cienkie, siwe kosmyki miał już w złośliwym triumfie ściąć je wraz ze skórą, gdy nagle przeraźliwe wycie rozdarło powietrze i powtórzono zostało przez sąsiednią pustynię, jak gdyby na to wezwanie tysięcy demonów natężyło gardła. Weucha puścił włosy trapera i wydał dziki okrzyk triumfu.

–Teraz, stary Izmaelu! – zawołał Paweł niezdolny już ani chwili dłużej hamować niecierpliwości. – Teraz, Izmaelu, pora, byś pokazał, co znaczy być rodem z Kentucky! Ognia, chłopcy, nisko – celujcie w zbocza, bo czerwonoskórzy leżą na ziemi!

Nikt jednak nie zwrócił uwagi na jego wołanie. Zaginęło ono wśród krzyków, wrzasków i wycia, które wydarły się z pięćdzi sięciu gardzieli i brzmiały ze wszystkich stron świata. Nag wśród tej wrzawy dał się słyszeć głuchy odgłos, jaki mógłby zapowiadać nadejście stada bizonów, i zaraz potem ukazała się trzoda i konie Izmaela, pędzące przerażoną, bezładną masą.

–Ci złoczyńcy skradli osadnikom jego bydło i konie – powiedział baczny na wszystko traper. – Zabrali wszystkie, co do jednego kopyta!

Nie zdążył jeszcze wypowiedzieć tych słów, gdy stado przerażonych zwierząt wbiegło na szczyt pagórka, na którym stał traper, i przemknęło tuż obok, pędzone przez podobnych do demonów czerwonoskórych gnających wściekle na ich karkach. Konie Tetonów, z dawna przywykłe ulegać dzikim, nieposkromionym zachciankom swych panów, zaczęły również gwałtownie się wyrywać, tak że strażnikom niełatwo było utrzymać je w miejsc... W chwili gdy wszystkie oczy utkwione były w pędzącą naprzeciw i splątana masę ludzi i zwierząt, traper wydarł nóż z ręki nieuważnego strażnika z siłą, jakiej trudno byłoby oczekiwać po człowieku w jego latach, i jednym zamachem przeciął rzemie:

konie. Rżąc, rycząc i kwicząc z radości i strachu, rwąc ziemię kopytami, konie rozbiegły się na wszystkie strony po ogromnej prerii.

Weucha rzucił się na napastnika ze zręcznością dzikiego tygrysa. Szukał broni, którą mu tak nagle odebrano, w bezradnym pośpiechu macał dłonią rękojeść tomahawka i jednocześnie gonił uciekające konie spojrzeniem pełnym indiańskiej tęsknoty. Walka pomiędzy pragnieniem zemsty a chciwością była gwałtowna, lecz k;6+ka. Chciwość szybko odniosła zwycięstwo w sercu człowieka, Którego namiętności zawsze były niskie. Chwila zaledwie upłynęła między ucieczką zwierząt a rączym pościgiem, w którym wzięli udział wszyscy strażnicy.

–Na prerii czy w lesie czerwonoskóry zawsze pozostanie czerwonoskórym! – rzekł traper z głuchym, ledwo dosłyszalnym śmiechem. – Gdyby ktokolwiek dopuścił się podobnego zuchwalstwa wobec chrześcijańskiego strażnika, dostałby co najmniej po łbie, a ten oto Teton pognął za końmi, myśląc pewno, że w takim vścigu dwie nogi są równie dobre jak cztery. A jednak nim wzejdzie słońce, te diabły będą miały w ręku wszystkie zwierzęta, bo rozum zwycięży instynkt. Nie wiem nic o przebiegłości Siuk-sów, jeżeli Izmael kiedykolwiek ujrzy swoje czworonogi!

–Może byłoby lepiej, gdybyśmy przyłączyli się do ludzi Izmaela – rzekł bartnik. – Rozegra się tu przecież prawdziwa bitwa, chyba że nagle staruszka tchórz obleci.

–Nie, nie... – żywo zaprotestowała Ellen.

Traper przerwał jej, położywszy delikatnie dłoń na ustach:

–Cyt, cyt... jeśli usłyszą nasze głosy, może to sprowadzić na nas niebezpieczeństwo. Czy twój znajomy – dodał zwracając się do Pawła – jest człowiekiem dość odważnym, by prochem i ołowiem bronić swej własności?

–Swej własności! O tak, a także i tego. co nie jest jego własnością! Czy możesz mi powiedzieć, stary traperze, kto trzymał strzelbę, która wypaliła, kiedy przybył wysłaniec szeryfa, chcąc wypędzić osadników bezprawnie osiedlających się w pobliżu liza-a ki bawołów w starym Kentucky? Tego właśnie dnia udało mi się p 'dejsć wspaniały rój pszczół, gnieźdzący się w dziupli spróch-n ałego buka. I oto widzę, że na korzeniach drzewa leży ów stróż

prawa. Kula przeszła na wylot "łaskę boską", którą nosił w kieszeni marynarki, jak gdyby ten kawałek owczej skóry mógł być pancerzem broniącym go od kuli osadnika! Nie martw się, Ellen, bo nigdy tego Izmaelowi nie udowodniono. W okolicy znajdowało się pięćdziesięciu innych, których na równi z nim podejrzewają wykonawcy prawa.

Biedna dziewczyna drżała, daremnie starając się zdławić westchnienie wydzierające się jej z piersi.

–Cicho! Słysząc jakiś ruch tam na dole. Prawdopodobnie nas widzą – rzekł traper.

–To rodzina zaczyna się ruszać! – zawołała Ellen, a drżenie jej głosu świadczyło, że zbliżanie się przyjaciół, napełnia ją niemal takim samym lękiem jak przedtem obecność wroga. – Odejdź, Pawle, ode mnie, przynajmniej ciebie nie powinni widzieć.

–Jeśli pozostawię cię, Ellen, samą na tej pustyni, zanim będziesz bezpieczna i znajdziesz się choćby pod opieką Izmaela, obym nigdy nie posłyszał brzęczenia pszczoły lub, co gorsza, stracił wzrok i nie mógł widzieć jej lotu!

–Zapominasz o tym zacnym starcu. On mnie nie opuści! Poza tym, Pawle, rozstawaliśmy się na jeszcze gorszym pustkowiu.

–Nigdy! Ci Indianie mogą tu przygnać z powrotem i gdzie cię potem odszukam? Co myślisz, traperze? Czy prędko ci Tetoni, jak ich nazywasz, wrócą po resztę dobytku Izmaela?

–Można się ich nie obawiać – odpowiedział starzec śmiejąc się swym szczególnym, cichym śmiechem. – Upewniam was, że te diabły jeszcze przez sześć godzin uganiać się będą za zwierzętami. Cyt! Przycupnijcie jeszcze w trawie, połóżcie się oboje! Jak jestem z gliny stworzonym człowiekiem, tak słyszę szcęk kurka strzelby.

Zaledwie schylili się ku ziemi, gdy uszu ich dobiegł dobrze im znany, krótki, suchy odgłos strzałów ze strzelby używanej w zachodnich stanach, a zaraz potem usłyszeli świst ołowiu brzęczący w niebezpiecznej bliskości ich głów.

Mowa tu o rozkazie aresztowania, w którym znajdowały się słowa: "Lud, z łaski boskiej wolny i niepodległy..."

–Doskonale, chłopaki! Doskonale, staruszkule – szeptał Paweł, którego nie potrafiło przygnębić żadne niebezpieczeństwo.

–Idź stąd, Pawle! Możesz łatwo uciec – szeptała Ellen. Kilka szybko po sobie

następujących strzałów, które padały

coraz bliżej naszej trójki, sprawiło, że Ellen zamilkła, zarówno przez roztropność, jak i z przerażenia.

–To się musi skończyć – powiedział traper wstając z powagą człowieka przejętego ważnością swoich poczynań. – Nie wiem, dzieci, dlaczego musicie się obawiać tych, których powinniście kochać i szanować, ale coś trzeba zrobić, by uratować wasze życie. Kilka godzin mniej lub więcej nie powinno sprawiać różnicy człowiekowi, który przeżył już tak wiele dni, pójdę więc do nich. Jest wolna przestrzeń dookoła was. Korzystajcie z niej, jak umiecie. Niechaj Bóg wam błogosławi i darzy was pomyślnością, na jaką zasługujecie.

Nie czekając na odpowiedź traper śmiało ruszył naprzód w dół zbocza, kierując się w stronę obozu. Nagle usłyszał surowy, groźny, rozkazujący głos.

–Kto idzie? Przyjaciel czy wróg?

–Przyjaciel – brzmiała odpowiedź. – Ktoś, kto żył zbyt długo, by zakłócać ostatek swego życia waśniami.

–Nie tak długo jednak, by zapomnieć o podstępnych czynach młodości – rzekł Izmael, którego potężne ciało wynurzyło się zza mizernej osłony, jaką były niskie zarośla. Przywódca emigrantów stanął twarzą w twarz z traperem. – Starcze, tyś sprowadził na nas to plemię czerwonych diabłów, a jutro podzielisz z nimi łupy.

–A co straciliście? – spokojnie zapytał traper.

–Sześć najpiękniejszych klaczy, jakie kiedykolwiek chodziły w zaprzęgu, a oprócz tego źrebię, warte trzydzieści najpiękniejszych monet meksykańskich z wizerunkiem króla Hiszpanii. Żona nie będzie miała ani jednej krowy, ani jednej owcy w gospodarstwie. Wydaje mi się, że nawet świnie zbolałymi racicami tratują ziemię. A teraz powiedz mi, przybyszu – dodał opierając kolbę strzelby na twardej ziemi tak gwałtownie i z takim hałasem, że przestraszyłby człowieka mniej odważnego niż ten, do którego się zwracał – ile z tych zwierząt przypadnie tobie?

–Nigdy nie pożądałem ani nawet nie używałem koni, choć

mało kto podróżował więcej po tych dzikich obszarach Ameryki niż ja, stary, i można by rzec, słaby człowiek. Krowie mleko i wełniane ubranie to dobre dla kobiet, ale ja tego nie pragnę. Zwierzęta leśne dają mi pożywienie i odzież.

Szczerłość, z jaką traper wypowiedział te proste słowa usprawiedliwienia, zrobiły wrażenie na emigrancie, którego ospałą naturę zaczynał już ogarniać płomień mogący łatwo wybuchnąć z niebezpieczną gwałtownością.

–To piękne słowa – wymamrotał w końcu – ale wydaje mi się, że nazbyt prawnicze, jak na prostego myśliwego, ogorzałego od wichrów i spiekoty.

–Jestem tylko traperem – łagodnie odpowiedział starzec.

–Niewielka to różnica traper czy myśliwy. Przyszedłem, starcze, w te okolice, ponieważ dokuczało mi prawo i nie zanadto lubię sąsiadów, co nie umieją rozstrzygać sporu bez pomocy sędziego i dwunastu ławników. Ale nie przyszedłem tu, by pozwolić zagarnąć sobie dobytek, a potem jeszcze podziękować temu, który to zrobił.

–Kto się ośmielił zawędrować tak daleko w prerię, musi pogodzić się ze zwyczajami ich właścicieli.

–Właściciele! – ponuro powtórzył osadnik. – Jestem tak samo prawym właścicielem ziemi, po której chodzę, jak jest nim najwyższy władca tych stanów.

–Nie mógłbym ci odmówić słuszności – odpowiedział traper. – Ale twoje stado skradli ci, którzy uważają się za panów wszystkiego, co można znaleźć na tym pustkowiu.

–Prowadzę interesy uczciwe i odpłacam innym taką monetą, jaką od nich otrzymuję. Widział pan Indian?

–Tak. Byłem ich jeńcem, gdy zakradli się do waszego obozu.

–Białemu człowiekowi i chrześcijanowi wypadałoby chyba powiedzieć mi o tym nieco wcześniej – odparł Izmael i znów rzucił spod oka złowrogie spojrzenie, jak gdyby wciąż jeszcze myślał o zemście. – Nie jestem skłonny nazywać każdego napotkanego człowieka bratem, ale kolor skóry coś przecież znaczy, gdy chrześcijanie spotykają się na prerii. Zresztą co się stało, to się nie odstanie i gadaniem nie da się naprawić. Wychodźcie z ukrycia, chłopcy, nie ma tu nikogo

oprócz tego starca.

Na wezwanie nieokrzesanego osadnika niezwłocznie zjawili się jego synowie. Najstarszy z nich wartownik-winowajca, z którego lenistwa skorzystał przebiegły Mahtori, zwrócił się do ojca i zadowolony widać z wyników krótkich oględzin, rzekł grubiańsko:

–Jeśli z grupy ludzi, których widziałem na tamtym wzgórzu, pozostał tylko jeden, no, to niezupełnie zmarnowałem amunicję.

–Masz rację, Aza – rzekł ojciec zwracając się nagle do trapera, jak gdyby słowa gnuśnego syna coś mu przypomniały. – Jakże to jest, starcze: przecież przed chwilą było was trzech, chyba że nie można wierzyć światłu księżyca!

–Gdybyś wiedział, przyjacielu, jak Tetoni, niby czarne diabły, pędzili przez prerię gnając przed sobą twoje bydło, łatwo mógłbyś wyobrazić sobie, że było ich tysiące.

–Tak mógłby myśleć wychowany w mieście chłopiec lub lękliwa kobieta... Chociaż, skoro już o tym mowa, jest wśród nas stara Estera, która nie boi się czerwonoskórego bardziej niż młodego niedźwiadka czy wilczka. Zapewniam cię, że gdyby twoje podstępne diabły napadły nas przy świetle dziennym, to poczciwa kobieta zabrałaby się elegancko do roboty i Siuksowie przekonaliby się, że nie zwykła pozbywać się masła i sera za darmo. Niewiele żyje ludzi, którzy mogliby powiedzieć, że zadali cios Izmae-lowi Bushowi i nie otrzymali w zamian ciosu równie silnego. Mniejsza o to, jaka jest przyczyna zatargu, gdy toczy się walka między chrześcijaninem a dzikim. Jutro usłyszymy coś więcej o tych koniokradach, dziś nie możemy zrobić nic lepszego ani mądrzejszego niż położyć się spać.

Traper chętnie usłuchał rozkazu i ułożył się na ofiarowanej mu wiązce gałęzi z takim spokojem ducha, z jakim mógł się układać do snu król w warownej stolicy, otoczony zbrojnymi strażami. Nim jednak starzec przymknął powieki, upewnił się, iż Ellen Wadę znajduje się między kobietami, a jej kuzyn czy też kochanek był na tyle ostrożny, że nie pokazał się jej rodzinie.

Preria

ROZDZIAŁ

SZÓSTY

Strojny, wytworny, zbyt afektowany, Raczej dziwaczny – i rzec się ośmielę Typ wojażera...

"Stracone zachody miłosne"

Angloamerykanin lubi się przechwalać, nie bez słuszności, że jego naród może się wykazać pochodzeniem bardziej zaszczytnym niż jakikolwiek inny naród, o którego początkach zaświadcza historia. Bez względu na to, co mówiono o wadach pierwotnych kolonistów, rzadko kwestionowano ich cnoty. Choć przesądni, byli szczerze nabożni i dzięki temu uczciwi. Potomkowie tych prostych i prawych mieszkańców angielskich prowincji o chotnie odrzucali sprzeczną z naturą, choć pospolicie stosowaną zasadę przekazywania z ojca na syna godności i dostojęstw. Ustalili natomiast, że każdy sam musi podlegać sądowi opinii publicznej, która jak najmniej kierować się winna względami na zasługi przodków. Podobieństwo między mieszkańcem amerykańskich kresów a jego europejskim prototypem jest uderzające, choć nie nazbyt ściśle. Obydwu można nazwać nieskrępowanymi i wolnymi, gdyż jeden z nich znajdował się ponad prawem, a drugi poza jego zasięgiem; obydwu – odważnymi, skoro przywykli do niebezpieczeństw; dumnymi, bo posiadali niezależność; mściwymi – ponieważ każdy sam brał odwet za doznane krzywdy.

Izmael Bush spędził całe swoje przeszło pięćdziesięcioletnie życie na pograniczu świata cywilizowanego. Chełpił się, że nigdy się nie osiedlał w okolicy, gdzie nie byłoby mu wolno ściąć każdego drzewa, które dostrzegł z progu domu; że prawo nie wkraczało na teren jego wyrębu; że z własnej woli nigdy nie zamieszkał w zasięgu kościelnych dzwonów. Nie miał żadnego szacunku dla wiedzy, wyjąwszy umiejętności lekarza, bo zupełnie nie pojmo-

wał, jakie zastosowanie mieć mogą nauki nie oparte na obserwacji zmysłów. Szacunek dla wyżej wspomnianej gałęzi wiedzy sprawił, że chętnie się zgodził na propozycję pewnego lekarza, który gorąco pragnąc poznać historię naturalną, postanowił skorzystać z koczowniczych skłonności człowieka pogramicza. Tego to dżentelmena Izmael przyjął z całą serdecznością na łono rodziny, a raczej pod swą opiekę, i jak dotychczas podróżowali przez prerię w zupełnej harmonii. Jednakże zainteresowania przyrodnika często sprowadzały go z prostego szlaku emigranta, który w drodze kierował się prawie wyłącznie słońcem. Zdarzało się, że nieobecność lekarza przeciągała się kilka dni. Większość ludzi uważałaby, że sprzyjało im szczęście, gdyby zdarzyło im się wyjechać na czas niebezpiecznego napadu Siuksów, a tak się właśnie sprawy miały z Obedem Battem (albo, jak lubił być nazywany: Battusem), doktorem medycyny, członkiem wielu zaatlantyckich towarzystw naukowych, żadnym przygód dżentelmenem, o którym właśnie mówiliśmy.

Chociaż zuchwalstwo, jakiego dopuszczono się względem majątku Izmaela, nie zdołało rozbudzić gnuśnej natury emigranta, boleśnie go jednak dotknęło. Spał teraz, gdyż była to pora przeznaczona na odpoczynek, a wiedział przecież, że w ciemnych godzinach najgłębszej nocy wszelkie próby odzyskania utraconego dobytku okazałyby się zupełnie bezowocne.

Niejedno oko długo jeszcze wypatrywało i niejedno ucho nadśluchiwało bacznie najmniejszej oznaki nowego niebezpieczeństwa, lecz obóz przez resztę nocy pogrążony był w głębokim spokoju.

Ale o brzasku, gdy na przesłoniętą mgłą równinę zaczęło sączyć się z nieba blade światło, wylękała, niespokojna, lecz mimo to kwitnąca twarz Ellen Wadę ukazała się nad leżącymi pokotem i pogrążonymi we śnie dziećmi, między które schroniła się, wróciwszy cichaczem do obozu. Dziewczyna powoli się podniosła i lekko przeskoczyła przez ciała śpiących. Zachowując wielką ostrożność dotarła do najdalej wysuniętych linii obronnych Izmaela. Zaczęła nadśluchiwać, jak gdyby niepewna, czy iść dalej. Wahanie trwało tylko krótką chwilę i nim senne oczy wartownika obserwującego miejsce, gdzie stała, zdołały zauważyć jej energiczną

Ł I

postać, Ellen ześliznęła się ze zbocza i znalazła na szczycie najbliższego wzgórza.

Nadsłuchiwała teraz długo i uważnie, pragnąc pochwycić uchem jakiś inny dźwięk prócz szelestu trawy u stóp, falującej w lekkim powiewie rannego wiatru. Miała już przerwać bezowocne nadsłuchiwanie, gdy dobiegł ją odgłos kroków człowieka, który przedzierał się przez splątaną trawę. Skoczyła żywo naprzód i wkrótce dostrzegła mężczyznę wspinającego się na wzgórze. Szedł w stronę obozu, wprost ku niej; musiał dostrzec na tle nieba zarys jej postaci.

–Nie Spodziewałam się, spotkać pana tak wcześnie.

–Dla prawdziwego miłośnika przyrody, moja droga Ellen, wszystkie godziny i pory roku są równie dobre – odpowiedział drobny i wąły, lecz niezwykle ruchliwy mężczyzna w wieku więcej niż średnim. Ubrany był w dziwną mieszaninę odzieży ze skóry i materiału, a zbliżył się do dziewczyny ze swobodą dobrego znajomego. – Ten, kto nie umie w tym szarym świetle znajdować rzeczy godnych podziwu, traci wiele cennych darów, jakimi go obsypano.

–Tak, to prawda – powiedziała Ellen uprzytamniając sobie, że musi przecież jakoś wytłumaczyć swoją obecność poza domem o tej niezwykłej godzinie. – Dlaczego pan, doktorze, tak często bywa w nocy poza obozem?

–Przebywam tak dużo poza obozem, moja droga, ponieważ ziemia w swych codziennych obrotach tylko przez połowę czasu ma oświetlony każdy południk, a tego, co ja powinienem zrobić, nie można wykonać w ciągu dwunastu czy piętnastu kolejnych godzin. Teraz spędziłem z dala od was dwa dni, poszukując rośliny, o której wiadomo, że rośnie w dorzeczu Platte, lecz nie znalazłem ani jednego źdźbła trawy, które nie byłoby już wyliczone i sklasyfikowane.

–Nie miał pan szczęścia, doktorze, ale...

–Nie miałem szczęścia – powtórzył ów człowieczek przesuając się bliżej do towarzyszki i pokazując jej swoje zapiski. Na twarzy jego malował się dziwny wyraz, jak gdyby przyrodnik chciał udaną pokorą maskować triumf i radość. – O nie, Ellen, wszystko można o mnie powiedzieć, ale nie to, że nie miałem szczęścia.

–Czy pan odkrył kopalnię, doktorze Batt?

–Więcej niż kopalnię, skarb przekuty na pieniądze i gotów do natychmiastowego użytku, dziewczyno! Posłuchaj. Właśnie po bezowocnych poszukiwaniach skręcałem pod odpowiednim kątem, by przeciąć linię pochodzenia twego wuja, gdy nagle posłyszałem odgłosy podobne do wystrzałów broni palnej...

–Tak! – krzyknęła żywo Ellen. – Przeżywaliśmy chwile trwogi.

–I myślałem, że zablądziłem – ciągnął człowiek nauki, zbyt przejęty własnymi myślami, by zrozumieć, co mówiła Ellen. – Ale to mi nie groziło. Ja sam nakreśliłem podstawę. Z obliczenia znałem bok prostopadły i chcąc wykreślić przeciwprostokątną, nie musiałem robić nic więcej, tylko obliczyć kąt. Przypuszczając, że strzelano ze względu na mnie, zmieniłem kierunek drogi stosownie do odgłosu... nie dlatego, bym sądził, że świadectwo zmysłów jest dokładniejsze lub choćby równie ściśle jak obliczenia matematyczne, ale obawiałem się, że może któreś z dzieci potrzebuje mojej pomocy.

–Wszyscy szczęśliwie byli...

–Posłuchaj – przerwał jej, zapomniawszy już widocznie o udanym niepokoju o pacjentów, zajęty zagadnieniem znacznie większej wagi. – Gdy przeszedłem spory kawał prerii, bo dźwięk niesie się daleko, jeżeli nie ma przeszkód, usłyszałem tupot, jak tudyby gnały bizona. Potem nagle usłyszałem w oddali stado czworonogów pędzących ze wzgórza na wzgórze. Zwierzęta te nadal pozostałyby nieznane i nieopisane, gdyby nie trafił nader szczęśliwy. Jedno z nich, i to godny przedstawiciel owego gatunku, biegło trochę z dala od innych. Stado zboczyło w moim kierunku, to samotne zwierzę również zmieniło kierunek biegu i w rezultacie znalazło się o pięćdziesiąt jardów, od miejsca, gdzie stałem. Nie zmarnowałem okazji i dzięki krzesiwu i łojówce opisałem na miejscu cechy charakterystyczne zwierzęcia. Dałbym tysiąc dolarów, Ellen, by móc choć raz wypalić ze strzelby któregoś / naszych chłopców!

–A pan przecież nosi pistolet, doktorze, czemuż pan nie strzelił? – spytała dziewczyna, która słuchała nieuważnie, rozglądając się pilnie po prerii. Stała jednak wciąż w miejscu, widać rada, że ją zatrzymywano.

–Ach, mój pistolet wyrzuca zaledwie małe kawałki ołowiu, nadające się do zabijania dużych insektów lub gadów. Nie, uczyniłem coś lepszego niż próba walki, w której nie mógłbym być zwycięzcą. Opisałem to zdarzenie, notując każdy szczegół z dokładnością, jakiej wymaga nauka. Tej nawet nocy – mówił, rzucając mimo woli wzrokiem za siebie – tej strasznej nocy życiu memu groziła zagłada ze strony tego potwora, którego odkryłem. Zbliżał się do mnie wciąż, a gdy się cofałem, on szedł ku mnie. Myślę, że broniła mnie tylko ta lampka, którą mam ze sobą.

Przyrodnik wznosił zapiski ku niebu, z którego płynął na ziemię słaby blask, i przygotowywał się, by je odczytać w tym świetle. Na wstępie powiedział:

–Posłuchaj, dziewczyno, a dowiesz się, jakimi skarbami pozwolił mi szczęśliwy los wzbogacić karty historii naturalnej.

–A zatem... to własny pana twór, doktorze? – spytała El-len, przerywając bezowocne lustrowanie prerii. Jej pełne życia, modre oczy rozjaśniły się nagle świadcząc, że dziewczyna umie bawić się słabostkami uczonego towarzysza.

–Czyż w ręku człowieka spoczywa moc ożywiania martwej materii? Chciałbym, aby tak było! Ujrzelibyście wkrótce historię naturalną Ameryki, która zawstydziłaby naśladowców Francuza Buffona. Szczególnie wiele można by uczynić w celu ulepszenia budowy czworonogów, zwłaszcza tych, których zaletą jest szybki bieg. Dwie nogi takiego zwierzęcia powinny być zbudowane na zasadzie dźwigni albo kół, jeśli reszta pozostanie taka jak dzisiaj. Ale to sprawa beznadziejna... przynajmniej w chwili obecnej – dodał z lekkim westchnieniem, wznosząc ponownie zapiski ku światłu i czytając głośno: – "Szósty październik 1805"... to tylko data, którą, jak przypuszczam, znasz jeszcze lepiej niż ja... "Czworonóg widziany przy blasku gwiazd oraz kieszonkowej latarki na prerii Ameryki Północnej (szerokość i długość geograficzna, patrz Dziennik). Rodzaj nie znany, dlatego też zwierzę nazwano według imienia odkrywcy i w związku z tą szczęśliwą okolicznością, że widziano je wieczorem: *Vespertilio* horribilis america-nus*. Rozmiary (według własnych obliczeń) – największa długość: jedenaście stóp; wysokość: sześć stóp; głowa: wzniesiona do góry;

Yespertilio – znaczy po łacinie: nietoperz (po ang. bat).

nozdrza: wydatne; oczy: wyraziste i dzikie; uzębienie: nacinane i bogate; ogon: utrzymywany w położeniu horyzontalnym, falujący i nieco podobny do kociego; stopy: duże i włochate; pazury: długie, zakrzywione, niebezpieczne; uszy: niepozorne; rogi: wydłużone, rozłożyste, straszliwe; barwa: ołowianoszara, z ognistymi plamami; głos: dźwięczny, bojowy, przerażający; zwyczaje: żyje w

stadach, mięsożerny, okrutny i nieustraszony". Oto – wykrzyknął Obed, skończywszy ten lapidarny, ale zrozumiały opis – oto stworzenie, które mogłoby rywalizować z lwem o prawo do tytułu króla zwierząt!

–Nie rozumiem znaczenia tego wszystkiego, co pan mówił, doktorze – odparła sprytna dziewczyna, która знаła słabość filozofa i często obdarzała go tak lubianym przez niego tytułem – lecz zdaje mi się, że niebezpiecznie jest oddalać się od obozu, skoro na prerii czyhają takie potwory.

–Słusznie nazywasz to czyhaniem – odparł przyrodnik podchodząc jeszcze bliżej ku niej i zniżając głos do cichego tonu poufnych zwierzeń. – Nigdy jeszcze mój system nerwowy nie doznał takiego wstrząsu. Przyznaję nawet, że był moment, gdy forti-ter in re* zadrżałem przed tak strasznym wrogiem, lecz umiłowanie wiedzy przyrodniczej podtrzymało mnie i doprowadziło do zwycięstwa.

–Pan mówi językiem tak różnym od tego, jakiego używamy w Tennessee – rzekła Ellen starając się ukryć rozbawienie – że nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem, co ma pana na myśli. Jeśli się nie mylę, chce pan powiedzieć, że serce w nim biło ze strachu jak w nastraszonym kurczątku.

–Nonsensowne porównanie, oparte na nieznajomości anatomii tego dwunoga. Serce kurczaka ma wielkość proporcjonalną do innych jego organów i ten ptak domowy jest na łonie natury ptakiem walecznym. Ellen – dodał z tak uroczystym wyrazem twarzy, że wywarło to głębokie wrażenie na słuchającej go dziewczynie – byłem ścigany, goniony i znajdowałem się w niebezpieczeństwie, o którym nic więcej nie powiem. Cóż to takiego?

Ellen zadrżała, gdy powaga, prostota i szczerłość, widoczna w

Fortiter in re (łac.) – odpowiada polskiemu: w rzeczy samej.

zachowaniu jej towarzysza, sprawiły, że mimo lekkomyślności i optymistycznego usposobienia skłonna była w pewnym stopniu mu uwierzyć. Spojrzawszy w kierunku wskazanym przez doktora istotnie zobaczyła zwierzę biegnące przez prerię i szybko zbliżające się wprost ku miejscu, gdzie stali. Dzień nie był jeszcze dość jasny, aby mogła rozróżnić kształty zwierzęcia, ale to, co ujrzała, wystarczyło, by wyobraziła sobie, że było to owo okrutne i dzikie stworzenie.

–Zbliża się, zbliża! – krzyczał doktor sięgając machinalnie po zapiski. JMogi pod nim dygotały, choć nie szczędził wysiłków, żeby stać spokojnie. – Oto, Ellen, los daje mi sposobność, bym skorygował błędy, spowodowane światłem gwiazd. Uważaj: ołowianoszary... uszu nie ma... rogi ogromne...

Nagle zamarł jego drżący głos i znieruchomiła trzęsąca się ręka, a stało się to pod wpływem ryku, a raczej wrzasku zwierzęcia, tak przeraźliwego, iż zatrwożyłby nawet waleczniejsze serce niż serce naszego przyrodnika. Krzyki zwierzęcia popłynęły nad prerię w jakichś dziwnych, dzikich kadencjach, a potem nastąpiła głęboka, uroczysta cisza, którą przerwał tylko jeden, ale znacznie melodyjniejszy odgłos: serdeczny i niepohamowany wybuch śmiechu Ellen Wadę. A nasz uczone stał jak posąg zdziwienia i nie mówiąc ani słowa, nie wyjaśniając nic ani nie oponując, pozwalał się obwąchiwać dużemu osłowi i nie osłaniał się już przed nim tarczą światła, z której tak się chełpił.

–To pana własny osioł! – wykrzyknęła Ellen, gdy odzyskał oddech – to pana własny, ciężko pracujący wierzchowiec.

Doktor dziko spoglądał to na osła, to na dziewczynę, lecz ani jednym słowem nie wyraził zdziwienia.

–Czyż nie chce pan przyznać, że zna to stworzenie, które tak długo pracowało dla pana – mówiła śmiejąc się dziewczyna. – Stworzenie, które, jak nieraz z własnych pana ust słyszałam, służyło wiernie i które pan kochał jak brata?

–Asinus domesticus! * – zawołał doktor wciągając powietrze jak człowiek, który jest bliski uduszenia. – Nie ma wątpliwości co do rodzaju, a zawsze będę twierdził, że nie należy on do gatunku equus*. To jest niewątpliwie Asinus we własnej osobie,

ale nie ów Vespertilio horibilis prerii. To całkiem różne zwierzęta, dziewczyno, różniące się od siebie wszystkimi ważniejszymi szczegółami charakterystycznymi.

Przerwał mu ponowny wybuch śmiechu Ellen, co przyczyniło się do tego, że krytycznie ocenił swe wspomnienia.

–Obraz Vespertilio miałem na siatkówce oka – zauważył tonem usprawiedliwienia zdumiony badacz tajemnic przyrody – czyżbym więc był tak nierozsądny, by wziąć własnego, wiernego osła za tego potwora? A przecież i teraz jestem zdumiony widząc, że to zwierzę biega, gdy jest na wolności.

Ellen zaczęła szczegółowo opowiadać o napadzie i jego skutkach. Mówiła o tym, jak zwierzęta wypadły z zagrodzenia i pędząc nieprzytomnie, rozproszyły się po prerii. Opowiadanie zakończyła ubolewaniem nad utratą koni i bydła oraz paru zupełnie w tej chwili naturalnymi uwagami na temat beznadziejnej sytuacji, w jakiej znalazła się jej rodzina. Przyrodnik słuchał w niemym zdumieniu, nie przerywając jej i nie pozwalając sobie na ani jeden okrzyk zdziwienia. Lecz bystre oczy dziewczyny dostrzegły, że w czasie opowiadania wyrwał ową ważną kartkę ze swoich zapisków w sposób, który wskazywał wyraźnie, że wyzbył się jednocześnie i złudzeń.

Od tej pory świat już nie słyszał więcej o Vespertilio horribilis americanus, a nauki przyrodnicze nieodwołalnie straciły ważne ogniwo w tym wielkim żywym łańcuchu, który, jak mówią, łączy ziemię z niebem i w którym człowiek, powiadają, tak ściśle związany jest z małpą.

Gdy doktor Batt poznał już wszystkie szczegóły najazdu, myśli jego zaprzątnęła inna sprawa... Po wierzył troskliwej opiece Iz-maela kilka grubych foliałów i pudła wypełnione okazami botanicznymi oraz nieżywymi zwierzętami. Bystry jego umysł natychmiast zaniepokoiło przypuszczenie, że włóczędzy tak chytry, jak Siuksowie, na pewno nie zaniedbali sposobności, by pozbawić i; i) tych skarbów. Zaprzeczenia Ellen nie zdołały zagłuszyć jego obaw, więc szybko się rozstali. On pośpieszył, by uśmierzyć swe wątpliwości i niepokój, ona – by wśliznąć się do samotnego i spokojnego namiotu tak cicho i prędko, jak się z niego wydostała.

Asinus domesticus (łac). – osioł domowy. Equus (łac.) – koń.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Co, pięćdziesięciu za jednym zamachem?

"Król Lear" ;

Nad bezbrzeżną pustką prerii wstał już jasny dzień. Powrót Obe-da do obozu o tej porze przy akompaniamencie głośnych lamentów nad przewidywaną stratą musiał zbudzić śpiącą rodzinę osadnika. Izmael i jego synowie, a także odpychający brat jego żony zerwali się na równe nogi. W miarę jak słońce słało obozowi coraz więcej jasnych promieni, oczom emigrantów ukazywał się stopniowo cały ogrom ich strat.

Izmael zacisnąwszy zęby popatrzył na nieruchome, ciężko wyładowane wozy, rzucił spojrzenie na grupę zdumionych i bezradnych dzieci, które skupiły się wokół ponurej i zrozpaczonej matki, a potem wyszedł za ogrodzenie, jak gdyby powietrze w obozie stało się tak duszne, że nie mógł nim oddychać. Za nim poszło kilku jego synów, którzy obserwowali go uważnie, szukając w chmurnym spojrzeniu ojca wskazówki, co mają czynić.

W głębokim, posępnym milczeniu udali się na szczyt najbliższego wzgórza, skąd roztaczał się niczym nie ograniczony widok na pustą równinę. Nie dostrzegli jednak nic prócz samotnego bizona, który niedaleko od nich skubał uwiędłą zieleń, nie wystarczającą mu paszę, oraz znanego im dobrze osła, który korzystał ze swobody i raczył się obfitszym niż zwykle jadłem.

–Oto jest jedno z naszych stworzeń, które ci hultaje pozostawili na szyderstwo – rzekł Izmael patrząc na osła. – Naj-nędzniejsze z całego stada! Trudno w tym kraju zbierać plony, chłopcy, a przecież trzeba znaleźć pożywienie, by napęłnić tyle głodnych żołądków.

58

–Tutaj strzelba jest bardziej przydatna niż motyka – odpowiedział najstarszy z jego synów i z dziką pogardą tupnął nogą w twardą, spieczoną ziemię. – Ten kraj jest dobry dla ludzi, co wolą jeść na obiad fasolę jak żebrak, a nie homminę. Kruk by zapłakał, gdyby mu kazano latać nad tą doliną.

–Co powiesz, traperze? – rzekł ojciec wskazując mu, jaki lekki ślad pozostawiła na twardej powierzchni jego ciężka stopa. Zaśmiał się przy tym jakimś okrutnym, dzikim śmiechem. – Czy ten rodzaj gleby wybrałby człowiek, który nigdy nie nudził urzędnika hrabstwa o akt nadania ziemi?

–Są lepsze grunty w kotlinach – spokojnie odpowiedział starzec – a wy przebyliście miliony akrów, by dostać się do takiego miejsca, gdzie człowiek pragnący orać ziemię otrzymać mógłby z funta buszel* ziarna, i to za cenę niezbyt ciężkiej pracy. Jeśli przyszliście tutaj szukając ziemi uprawnej, to zawędrowaliście setki mil za daleko albo też setki mil za blisko.

–A więc idąc w stronę tamtego oceanu znaleźć można lepszą ziemię? – zapytał osadnik, wskazując ręką w kierunku Pacyfiku.

–Tak. Widziałem tamte okolice – brzmiała odpowiedź trapera, który opuścił strzelbę na ziemię i wsparłszy się na lufie stał, jak gdyby z jakąś smutną przyjemnością wspominał oglądane niegdyś sceny. – Widziałem wody dwu mórz. Nad jednym z nich urodziłem się i wychowałem, aż osiągnąłem wiek tego chłopaczka, co tam koziółkuje po trawie. Ameryka urosła, przyjaciele, od dni mojej młodości. Nie wyobrażałem sobie wtedy, że świat może być tak wielki, jak wielki jest teraz mój kraj. Prawie siedemdziesiąt lat mieszkałem w Yorku, który był zarazem prowincją i stanem.

–Wydaje mi się, że leży on na granicy starego Kentucky.

–Mewa musiałaby ciąć powietrze przez tysiące mil, nim znalazłaby się nad wschodnim morzem. A jednak jeśli myśliwy /.cchce przebyć tę przestrzeń, może być spokojny, że nie zbraknie mu po drodze cienia i zwierzyny. Bywało, że w tym samym sezonie polowałem na jelenie w górach Delawaru i Hudsonu i łapałem bobry na górnych jeziorach, lecz wówczas miałem bystre, pewne oczy i nogi rączy jak u jelenia. Matka Hektora – dodał, spogląda-

Buszel – 8 galonów, galon – 8 funtów.

jąc łagodnie na swego starego psa, który położył się u jego stóp – była wtedy szczeniakiem i ledwie zwiertżyła zwierzynę, chciała ją gonić. Wiele mi sprawiała kłopotu ta paskudnica, wiele kłopotu!

–Ten pies jest stary i uderzenie w głowę byłoby łaską dla niego.

–Pies jest podobny do swego pana – odpowiedział traper zdając się nie słyszeć brutalnej rady – i dni jego dobiegną końca, gdy już nie będzie mógł polować, nie wcześniej!

–Starcze – rzekł surowo Izmael – do jakiej rasy należysz? Masz kolor skóry i mowę chrześcijanina, lecz wydaje mi się, że sercem jesteś z czerwonoskórymi.

–Myślę, że nie ma wielkich różnic między narodami. Ludzie, których najbardziej kocham, są rozproszeni jak piasek z dna wyschłych rzek,miotany jesiennym huraganem. Życie jest zbyt krótkie, by przyzwyczać się do obcych i tak się zżyć z nimi, jak z ludźmi, wśród których mieszkało się przez lata. Ale nie mam w sobie kropli krwi indiańskiej, a powinność wojownika należy się ode mnie ludziom Stanów, choć oni, mając milicję i zbrojne okręty, nie potrzebują zapewne, by broniło ich ramię człowieka, który liczy lat osiemdziesiąt.

–Nie wypierasz się swego narodu, mogę więc postawić ci jedno proste pytanie: gdzie są Siuksowie, którzy skradli mi bydło?

–Równie łatwo byłoby powiedzieć, jakiego koloru jest sokół, który szybuje ponad tą białą chmurą! Kiedy czerwonoskóry zada cios, nie ma ochoty czekać, aż mu za jego czyn odpłacą ołowiem.

–A czy te przeklęte dzikusy będą uważały, że mają dosyć, kiedy całe stado wpadnie im w ręce?

–Natura wszystkich ludzi jest jednaka, bez względu na to, jaki jest kolor ich skóry. Czy w chwili, gdy zebrałeś bogate plony, mniej pragnąłeś bogactwa niż wtedy, gdyś nie miał jeszcze ani ziarenka? Jeżeli tak, to znajomość człowieka, jaką mi dało długie życie, mówi mi, że jesteś wyjątkiem.

–Mów jasno, starcze – powiedział osadnik, ciężko uderzając o ziemię kolbą strzelby; jego tępy umysł nie znajdował przyjemności w rozmowie pełnej tak niejasnych aluzji.

–Zadałem proste pytanie i wiem, że możesz na nie odpowiedzieć.

–Słusznie, słusznie. Mogę odpowiedzieć, gdyż często, zbyt

często widziałem, jak ludzie mojej rasy nie chcieli zdać sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa. Gdy Siuksowie spędzą już zwierzęta i upewnią się, że nie deptacie im po piętach, wrócą tu i jak zgłodniałe wilki będą drobnymi kęskami nadgryzać zostawioną im przynętę.

–Pan widział zwierzęta, o których pan mówi! – wykrzyknął doktor Battius, który tak długo był wyłączony z rozmowy, że nie mógł już tego znieść spokojnie, i poruszył ten temat, trzymając otwartą książkę zapisków, by móc do niej się odwołać. – Niech mi pan powie, czy napotkane zwierzę należało do gatunku *Ursus horribilis** z uszami zaokrąglonymi, czołem wypukłym, oczyma pozbawionymi charakterystycznej dodatkowej powieki, z sześcioma pojedynczymi fałszywymi insiciores* i czterema wspaniałymi zębami trzonowymi...

–Traperze, niech pan mówi dalej – przerwał mu Izmael. – Sądzi pan, że ujrzymy jeszcze tych rozbójników?

–No, nie nazwałbym ich rozbójnikami, bo postępują według zwyczaju swego narodu, a nawet – jak można to określić – według prawa prerii.

–Przeszedłem pięć tysięcy mil, by znaleźć miejsce, gdzie nikt nie będzie mi brzęczeć nad uszami słowa "prawo" – odpowiedział gwałtownie Izmael – i nie mam ochoty stać spokojnie za kratkami trybunału, w którym sędzią jest czerwonoskóry. Mówię panu, traperze, jeśli raz jeszcze zobaczę, że koło obozu kręci się jakiś Siuks, to... gdziekolwiek by to się zdarzyło i choćby nosił medal Waszyngtona*, odczuje na własnej skórze ładunek starej strzelby z Kentucky – uderzył po niej dłonią tak, że jasne było, 'o ma na myśli. – Nazywam rozbójnikiem człowieka, który zabiera to, co do niego nie należy.

–Tetoni, Pawni, członkowie plemienia Konza i dwunastu innych plemion uważają, że ta naga preria jest ich własnością. – Natura sama zadaje im kłam. Powietrze, woda i ziemia są dane człowiekowi darmo i nikt nie ma prawa wydzielać ich aktami nadania.

Ursus horribilis (łac.): - niedźwiedź straszliwy.

Insiciores (łac.) – siekacze.

Medal Waszyngtona – Rząd Stanów Zjednoczonych zjednywał sobie indiańskich wojowników nadając im srebrne ordery z podobizną prezydenta aktualnie sprawującego władzę. Indianie j wyżej cenili order z podobizną Jerzego Waszyngtona.

–A więc, traperze – mówił Izmael pogodniejszym już tonem – co byś zrobił, gdyby w twoich rękach spoczywało kierowanie moimi sprawami?

Starzec zawahał się i widać było, że niechętnie udzieli rady,

której od niego żądano.

–Zbyt wiele widziałem krwi przelanej w niepotrzebnych sporach, bym chciał jeszcze słyszeć strzelaninę. Co bym radził? Nawet samica bizona walczy w obronie swych małych! Lecz jest to przecież miejsce nieobronne. Jakże kilkunastu ludzi zdoła stawić tu opór pięciu setkom? Ale o trzy mile stąd jest miejsce, w którym, jak nieraz myślałem przechodząc przez tę pustynię, można by się bronić dnie i tygodnie, gdyby znalazły się serca i ręce skore do krwawego trudu.

Młodzi ludzie zaśmiali się głuchym, szyderczym śmiechem, wyrażając tym dostatecznie jasno gotowość podjęcia nawet cięższego zadania. Izmael, który w razie potrzeby potrafił być tak przerażająco energiczny, jak zwykle bywał leniwy, bez zwłoki zabrał się do dzieła.

Pracowali pilnie i z zapalem, lecz zadanie było ciężkie i trudne. Synowie osadnika musieli sami ciągnąć przez szeroki pas prerii ładowne wozy, nie mając wytyczonego szlaku ani innych wskazówek prócz tych, których udzielił traper, gdy według stron świata określił położenie owego miejsca. By osiągnąć cel, mężczyźni musieli wyteńczyć do ostatecznych granic swe olbrzymie siły, a na barki kobiet i dzieci spadł również trud niemały.

Izmael osobiście kierował wyprawą i doglądał wszystkiego, od czasu do czasu popychając olbrzymim ramieniem jakiś opóźniający się wóz. Ujrzał wreszcie, że pokonali główną przeszkodę: weszli na równą i wytkniętą trasę marszu. Wtedy wskazał kierunek, przestrzegając synów, że powinni posuwać się naprzód tak, aby nie zeszli z drogi, na którą tak trudno było się dostać. Następnie skinął na szwagra i razem powrócili do opustoszałego obozu.

Podczas wymarszu, który trwał około godziny, traper stał nieco na uboczu, wsparty na strzelbie, z psem pogrążonym w drzemce u jego stóp, i obserwował w milczeniu, lecz z uwagą wszystko, co się działo dokoła. Przyglądał się ze wzrastającą uwagą, jak wóz za wozem opuszczał miejsce dawnego obozu: nie omieszkał rzucić przy tej okazji ciekawego spojrzenia na mały na-

miocik, który wraz ze swym wozem pozostawał wciąż – tak jak poprzednio – samotny i pozornie zapomniany. Jednakże, jak się to wkrótce okaże, Izmael po to wezwał swego posępnego towarzysza, by zająć się ową dotąd zaniedbaną częścią swego dobytku.

Osadnik uważnie i podejrzliwie rozejrzał się na wszystkie strony, a następnie wraz z towarzyszem podszedł do małego wozu i wepchnął go pod płótno namiotu w sposób bardzo zbliżony do tego, w jaki go poprzedniego wieczoru spod niego wyciągnął. A potem obaj znikli za zasłoną i nastąpiła długa chwila niepewności, w czasie której starzec, palony pragnieniem poznania powodu tak wielkiej tajemnicy, nieznacznie zbliżył się do nich, aż wreszcie znalazł się w odległości paru jardów od zakazanego miejsca.

Ruch płótna zdradzał, czym zajęci byli ukryci pod nim ludzie, chociaż wykonywali pracę w zupełnym milczeniu. Prace wewnątrz namiotu zostały ukończone i mężczyźni znów się ukazali. Izmael, zbyt pochłonięty zajęciem, by zwrócić uwagę na obecność trapera, zaczął podnosić z ziemi fałdy płótna i układać je w taki sposób wokół wozu, by tworzyły rodzaj powłóczystego trenu przy namiocie, którego kształt był teraz zupełnie inny niż poprzednio. Wygięty w kabłąk dach drżał przy przypadkowych poruszeniach lekkiego wozu, na którym widocznie znów znajdował się tajemniczy ciężar. Gdy ukończyli pracę, posępne oko pomocnika Izmaela dostrzegło człowieka, który uważnie obserwował ich ruchy. Abi-i;un opuścił dyszel, który już uniósł z ziemi przygotowując się do zajęcia miejsca przeznaczonego zwykle dla stworzenia mniej mylącego i zapewne mniej niebezpiecznego niż on, i krzyknął gru-lnańsko:

–Jestem głupcem, jak to często mówisz! Ale popatrz sam: 11/.cli ten człowiek nie jest naszym wrogiem, to wyprę się ojca i matki, nazwę się Indianinem i pójdę na polowanie z Siuksami.

Chmura, z której wypaść ma błyskawica, nie bywa bardziej mroczna i groźna niż spojrzenie, jakim Izmael zmierzył natręta. 1'omyślawszy zapewne, że mogą zajść okoliczności, gdy znów potrzebować będzie rady trapera, zmusił się do tego, by powiedzieć / pozornym spokojem, którym sięomal nie udławił:

–Obcy przybyszu, myślałem, że wtykanie nosa w cudze •prawy to zajęcie kobiet w miastach lub osadach i że mężczyźni, przywykli żyć tam, gdzie każdy ma dosyć miejsca, inaczej odno-

szą się do tajemnic sąsiadów. Jakiemu prawnikowi czy sędziemu zamierzasz sprzedać swoje nowiny?

–Nie rozmawiam z sędziami, poza jednym tylko Sędzią, a z Nim mówię przede wszystkim o własnych sprawach – odpowiedział starzec nie okazując odrobiny lęku. Wskazał przy tym uro- J czyście ręką w górę. – Oto Sędzia.

–Lepiej by pan okazał nam życzliwość przyjaciela i towa-' rzysza – odparł Izmael, a ton jego głosu, choć już nie brzmiała w nim groźba, był dostatecznie ponury, by świadczyć o złym humorze – gdyby pan przyłożył ręki do koła jednego z tamtych wozów, a nie wkręcał się tutaj, gdzie nie trzeba nieproszonych gości.

–Mogę przyłożyć sił, jakie mi jeszcze pozostały – rzekł traper – i pomóc wam przy przesuwaniu tego ciężaru lub czegokolwiek innego.

–Czy uważa nas pan za dzieci?! – krzyknął Izmael śmiejąc się dziko i szyderczo. Jednocześnie bez wysiłku pchnął ów mały wóz, który potoczył się po trawie tak lekko, jakby ciągnął go zwykły zaprzęg.

Traper stał jeszcze chwilę, goniąc oczyma oddalający się pojazd i zastanawiając się, co w nim się kryje, aż i ten wóz z kolei dosięgnął szczytu wzniesienia i zniknął za nim. Wtedy starzec się odwrócił i zaczął przypatrywać opustoszałemu miejscu. Brak ludzi nie wzbudziłby wzruszenia w sercu człowieka od dawna przyzwyczajonego do samotności, gdyby teren opustoszałego obozu nie był pełen śladów ich niedawnego pobytu i – jak szybko spostrzegł to traper – zniszczenia. Potrząsając wymownie głową, rzucił okiem w górę, na puste miejsce, jeszcze przed chwilą wypełnione gałęziami drzew, które leżały u jego stóp – odarte z zieleni, niepotrzebne kłody.

Do uszu jego dobiegł jakiś szelest z niskich zarośli. Natychmiast jednak opamiętał się, zarzucił strzelbę na ramię i przybrał wyraz właściwej sobie, smutnej rezygnacji.

–Wychodź śmiało, wychodź śmiało! – zawołał. – Czy jesteś ptakiem czy zwierzęciem, nic złego ci nie zrobią te stare ręce. Najadłem się już i napiłem, czemu więc miałbym zabijać, skoro nie zmuszają mnie do tego moje potrzeby.

–Dziękuję za dobre słowo, stary traperze! – wykrzyknął Paweł Hover żywo wyskakując z ukrycia. – Kiedy pochylałeś na-

przód lufę strzelby, nie podobał mi się twój wygląd, bo zdawał się mówić, że znasz równie dobrze inne ruchy strzelca.

–Masz rację! Masz rację! – zawołał traper śmiejąc się, rad był bowiem wspomnieć swą dawną sprawność. – Taki jestem teraz stary i niepotrzebny, a przecież był czas, gdy niebezpiecznie było dla Czerwonego Minga wyrzeć jednym choćby okiem z zasadzki. Słyszałeś o Czerwonych Mingach?

–Słyszałem o minogach – rzekł Paweł biorąc pod rękę starca i delikatnie prowadząc go ku zaroślom, a jednocześnie rzucając za siebie szybkie, niespokojne spojrzenia, jak gdyby chciał się przekonać, że nikt go nie śledzi. – O zwykłych minogach. Ale nic nie wiem o tym, by mogły być czerwone.

–Och, Boże – mówił traper, potrząsając głową i śmiejąc się wciąż swym głębokim, cichym śmiechem – ten chłopiec myli zwierzę z człowiekiem!

Głos trapera przepadł gdzieś w gąszczach, do których dał się bez najmniejszego sprzeciwu prowadzić Pawłowi, gdyż zatopiony był w myślach o wypadkach, jakie rozgrywały się w tym kraju pół wieku temu.

5 – Preria

R O

D

A

M

\

O, już się biorą za łby. Ja z ukrycia Przyjrę się walce. Ta szelma, ten łotrzyk, Ten Diomedes ma na swoim hełmie Po prostu rękaw tego świszczypały, Błazna, amanta i półgłówka z Troi.

"Troilus i Kressyda"

Miała się właśnie zmienić pora roku; zieleń lata coraz szybciej ustępowała brązowym, bogatym barwom szat jesieni. Niebo okryły zwały chmur, piętrzące jedne nad drugimi grube, szerokie warstwy i kłębiące się gwałtownie w porywach wichury.

Chociaż, jak w całej okolicy, pustka i martwota jest najważniejszym rysem charakterystycznym krajobrazu również i w tym miejscu, do którego przenieść musimy nasze opowiadanie – widać tu jednak pewne ślady ludzkiego życia. Wśród monotonnie falistej prerii wznosi się poszarpana, naga skała. U jej stóp płynie niewielki strumyk, który wije się daleko przez równinę, by połączyć się z wodami jednego z licznych dopływów "Matki Rzek". Niedaleko owego wzniesienia leży dolinka, wciąż jeszcze otoczona gąszczem olszyn i sumaku, świadczącym o tym, że kiedyś musiał tu rosnąć niewielki las. Później jednak drzewa i krzaki przerzuciły się na strome ściany skały i na jej szczyt. Na tym właśnie wzniesieniu dostrzec można było owe ślady ludzkiej bytności.

Patrząc z dołu, widziało się tylko przedpiersie z kłód i z kamieni, układane tak, by uniknąć, wszelkiego zbędnego trudu; kilka niskich dachów, zrobionych z kory i gałęzi drzew; rozsiane gdzieniegdzie bariery, zbudowane tak jak umocnienia na szczycie i umieszczone w tych miejscach na zboczu, które były łatwiej dostępne niż reszta góry; domek z płótna, który przycupnął na szczycie małej piramidki, wznoszącej się na jednym z wierzchołków skały. Nie potrzeba chyba dodawać, że ta charakterystyczna

w swej prostocie forteca była miejscem, gdzie przed tygodniem, po utracie koni i bydła, schronił się Izmael Bush.

–Musimy teraz zmienić swą naturę – zauważył zbliżając się do szwagra, który niemal nigdy go nie odstępował – i naśladować zwierzęta przeżuwające, skoro nie mamy pożywienia, jakie przystoi jeść ludziom wolnym i chrześcijanom. Myślę, Abiramie, że mógłbyś zdobywać pożywienie razem z konikami polnymi. Jesteś energiczny i zdołałbyś prześcignąć najzwinniejszego polnego skoczka.

–To kraj nie dla nas – odparł Abiram, widocznie niezbyt ubawiony wymuszonym dowcipem krewniaka – a nieźle byłoby przypomnieć, że człowiek leniwy długo podróżuje.

–Chciałbyś pewnie, bym ciągnął wóz za sobą przez tę pustynię, i to całymi tygodniami, ba, nawet miesiącami – odpalił Izmael. – Taki pośpiech w drodze do domu to dobre może dla ludzi, którzy mieszkają w osadach, ale moja farma, dzięki Bogu, jest tak duża, że jej właścicielowi nie powinno zabraknąć miejsc, gdzie mógłby się zatrzymać i odpocząć.

–Skoro podoba ci się ta kolonia, to musisz się tylko postarać o plony.

–Łatwiej to powiedzieć niż zrobić w tym zakątku świata. Mówię ci, Abiramie, dużo mamy powodów, by maszerować dalej. Wiesz, że należę do ludzi, którzy rzadko kiedy wiążą się układami, lecz za to dochowują ich wierniej niż specjaliści od spisywanych na świstkach papieru kontraktów, pełnych pięknych słów. Skoro przebyliśmy milę, muszę przebyć jeszcze sto, by dotrzymać słowa honoru.

Mówiąc to osadnik skierował wzrok w górę, ku namiocikowi, który wieńczył szczyt jego forticy. Jego towarzysz zrozumiał to spojrzenie i również popatrzył w tym kierunku, a tajemniczy jakiś wpływ, działający na ich uczucia czy zrozumienie wspólnoty interesów, sprawił, iż znów zapanowała między nimi harmonia, choć przed chwilą zdawało się, że grozi natychmiastowe zerwanie.

–Wiem o tym i czuję to każdą kroplą krwi. Ale zbyt dobrze pamiętam, dlaczego wyruszyłem w tę przeklętą podróż, by zapomnieć, jaka jeszcze odległość dzieli mnie od jej końca. Żaden z nas nie odniesie najmniejszej korzyści z tego, co uczyniliśmy, jeżeli rzetelnie nie doprowadzimy do końca tak dobrze rozpoczętej

r

:

sprawy. No cóż, wydaje mi się, że tą zasadą stoi cały świat. Słyszałem kiedyś, dawno już temu, w pobliżu granic Ohio wędrownego kaznodzieję, który mówił, że jeżeli człowiek sto lat będzie żył zgodnie z wiarą, a potem zaniedba się przez jeden dzień, przekona się, że tym ostatnim dniem przekreślił wszystkie swe zasługi i w ostatecznym obrachunku liczyć się będą tylko jego złe uczynki.

–I ty wierzysz w to, co głosił ten głodny obłudnik?

–Kto mówi, że mu wierzę! – odparł Abiram, lecz jego zaczepne spojrzenie zdradzało, ile obaw budził w nim temat, którym pozornie pogardzał. – Czy to dowodzi, że wierzę, jeśli powtarzam, co ten oszust... A jednak, Izmaelu, ten człowiek mógł być w gruncie rzeczy uczciwy. Mówił, że świat nie jest niczym lepszym niż pustynia i że nawet najbardziej wykształconego człowieka jedna tylko ręka może przeprowadzić przez kręte ścieżki dobra i zła. A więc jeśli to jest słuszne dla całego świata, może być również słuszne dla jego części.

–Abiramie, wyznaj otwarcie, jak przystało mężczyźnie, co cię boli – przerwał osadnik z szyderczym, chrapliwym uśmiechem. – Słuchaj, przyjacielu, nie jestem dobrym rolnikiem, ale jednego nauczyłem się na własnej skórze: żeby otrzymać dobre plony, nawet z najlepszej gleby, trzeba się ciężko napracować. Otóż mówię ci, Abiramie, nie jesteś niczym lepszym jak oset lub dziewanna... tak, tak, jesteś drzewem zbyt spróchniałym, abyś nadawał się choćby na spalenie!

Złe spojrzenie, które strzeliło z zasępionych oczu Abirama, mówiło wyraźnie, jak gniewne były jego uczucia; lecz zgasło niemal natychmiast na widok nieporuszonego spokojnego oblicza osadnika, dając tym wymowne świadectwo, że śmielszy duch tamtego panował nad tchórzliwą naturą szwagra.

–W każdym razie obmyśliłem sobie, w jaki sposób mogę znów stać się bogaty i odzyskać każde stracone kopyto.

Gdy osadnik wypowiedział te słowa zdecydowanym i nieco podniesionym głosem, kilku jego synów, dotychczas opierających się leniwie o podnóże skały, podeszło ku niemu ociężałym krokiem.

–Wołałem Ellen Wade, która tam na skale trzyma straż, bo chciałem się dowiedzieć, czy czegoś nie widać – powiedział najstarszy z chłopaków – a ona za całą odpowiedź potrząsnęła gło-

wą. Jak na kobietę, za bardzo szczędzi słów i trzeba by, nie szkodząc jej niezwyklej urodzie, nauczyć ją grzecznego zachowania.

Izmael skierował wzrok ku górze, na której trzymała straż dziewczyna. Z tej odległości niewiele można było dostrzec prócz zarysu jej postaci, jasnych włosów, falujących w powiewie wiatru i spływających dziewczynie na plecy. Widać było jednak, że wzrok uparcie utkwiała w jakimś odległym punkcie prerii.

–Co tam takiego, Nell?! – zawołał Izmael, a jego potężny głos przewyciężył szum wiatru. – Czy widzisz zwierzę większe od pieska prerii?

Dziewczyna wstała, wspinając się na palce. Wydawało się, że wciąż obserwuje ów nieznaną przedmiot, lecz jej głos, jeżeli w ogóle coś mówiła, był za słaby, by można go było słyszeć wśród wycia wiatru.

Osadnik skierował spojrzenie na krąg synów, równie jak on zadufanych w sobie. Ściągnęło to ich wzrok z Ellen na ojca. Gdy jednak w chwilę później spojrzeli znów na skałę, chcąc zobaczyć, co robi dziewczyna-wartownik, miejsce, które przed chwilą zajmowała, było puste.

–Jakem grzesznik, tak dziewczynę porwał wiatr! – wykrzyknął tonem wielkiego podniecenia Aza, zazwyczaj najbardziej flegmatyczny z nich wszystkich.

Wśród młodzieńców dało się zauważyć pewne poruszenie, świadczące chyba o tym, że gruboskórni synowie Izmaela nie opierali się jednak urokowi roześmianych modrych oczu, Inianych włosów i różanych policzków Ellen. Spoglądali z tęnym zdumieniem na puste miejsce na skale, wymieniając między sobą zdziwione i trochę zatroskane spojrzenia.

–Mogło się tak stać – dodał drugi. – Siedziała na odlupanym głazie. Już od godziny miałem jej powiedzieć, że to niebezpieczne.

–Czy to jej wstążka zwisa zza węgła skały, tutaj niżej?! – krzyknął Izmael. – Hej! Któż tam się kręci koło namiotu! Czyż nie mówiłem wam wszystkim...

–Ellen! Jest Ellen! – krzyknęli jeden po drugim synowie. W tym momencie Ellen pojawiła się, kładąc kres różnorodnym domysłom i niezwyklej podnieceniu, które opanowało kilka serc zazwyczaj bijących tak leniwie. Wynurzywszy się z fal na-

f

miot Ellen lekkim i śmiałym krokiem wysunęła się na swoje poprzednie, tak niebezpieczne stanowisko i wskazując na prerię zdawała się z ożywieniem i przejęciem mówić coś do niewidzialnego słuchacza.

–Nell oszalała – rzekł Aza z pogardą, a jednocześnie z niemąłą troską w głosie. – Dziewczyna śni na jawie i zdaje się jej, że widzi dzikie stworzenie o trudnych imionach, którymi doktor zawraca jej głowę.

–Czy to możliwe, żeby dojrzała zwiadowcę Siuksów? – zapytał Izmael kierując wzrok ku dolinie. W tej samej chwili jednak dobiegł go cichy, lecz wymowny szept Abirama, podniósł więc oczy ku górze, a uczynił to w samą porę, by dostrzec, że płótno namiotu porusza się. Nie był to wcale ruch, jaki wywołać może wiatr. – No, niech tylko spróbuje – zamruczał. – Abiram, zbyt dobrze mnie chyba znają, by chcieli ze mną igrać!

–Zobacz sam. Jeżeli zasłona nie jest podniesiona, to mam wzrok gorszy niż sowa w dzień.

Izmael uderzył gwałtownie kolbą strzelby o ziemię i krzyknął tak głośno, że Ellen z łatwością mogłaby go usłyszeć, gdyby uwagi jej nie pochłaniał ów daleki przedmiot, który z niezrozumiałej przyczyny przykuwał jej spojrzenie.

–Nell! – wołał osadnik. – Wynoś się stąd, ty głupia sroko! Czy chcesz ściągnąć karę na swoją głowę? Cóż to, Nell! Ona zapomniała ojczyściej mowy! Zobaczymy, czy zrozumie, gdy przemówię innym językiem.

Izmael pochwycił strzelbę i błyskawicznie wycelował na szczyt skały. Nim zdołano wypowiedzieć słowo przestrogi, strzelba strumieniem jasnego płomienia posłała w górę swój ładunek.

Ellen skoczyła jak wystraszona kozica i pisnąwszy przeraźliwie pomknęła do namiotu tak szybko, że patrzący nie mogli się zorientować, czy karą za jej drobne przewinienie był tylko strach, czy też została zraniona.

Izmael działał zbyt gwałtownie i to, co uczynił, stało się zbyt niespodziewanie, by można było temu zapobiec, lecz w chwilę później synowie okazali w sposób całkiem

niedwuznaczny, z jakim uczuciem przyjęli ten wybuch złości. Wymieniali gniewne i dzikie* spojrzenia i nawet poczęli szemrać.

–Cóż takiego zrobiła Ellen, ojcze – rzekł A*a nieco zu-

chwale, co było tym bardziej uderzające, że niezwykle u niego – że musiałeś strzelać do niej jak do zbłąkanego jelenia czy głodnego wilka?

–Zrobiła to, czego jej nie wolno było zrobić – spokojnie powiedział Izmael, a oczy jego miały wyraz zimny i wyzywający, świadcząc, że nie dba o niezadowolenie synów.

– Zrobiła to, czego jej nie wolno było zrobić chłopcze. A wy uważajcie, aby się nieposłuszeństwo nie szerzyło dalej.

–Inaczej trzeba się obchodzić z mężczyzną, a inaczej z płacziwą dziewczyną!

–Aza, jesteś mężczyzną, jak często się chełpisz. Ale nie zapominaj, że mówisz z twoim ojcem i zwierzchnikiem.

–Wiem o tym dobrze.

–Słuchaj, chłopcze, jestem prawie pewien, że to przez ^woją ospałość Siuksowie dostali się do obozu. Licz się ze słowami, ty czujny wartowniku, bo będziesz jeszcze musiał odpowiadać za nieszczęście, które na nas sprowadziło twoje niedbalstwo.

–Nie zniosę dłużej, byś mnie straszył jak smarkacza. Mówisz tak, jakby prawo nie istniało, a trzymasz mnie żelazną ręką, jakbym nie miał własnego życia i własnych potrzeb, które muszę zaspokoić. Nie zniosę dłużej, byś mnie traktował jak najędzniej-szy okaz twego bydła!

–Świat jest szeroki, mój waleczny chłopcze, i jest na nim wiele bogatych gospodarstw bez gospodarzy. Idź, masz w ręku akt nadania ziemi, z podpisami i pieczęciami. Niewielu ojców wyposaża swe dzieci lepiej niż Izmael Bush. Przynajmniej to mi przyznasz, gdy dojdiesz do końca podróży.

–Patrz, ojcze, patrz! – zawołało naraz kilka głosów, skwapliwie korzystając ze sposobności przerwania rozmowy, która stać się mogła jeszcze bardziej gwałtowana.

–Patrz! – głuchym i ostrzegawczym tonem powtórzył Abiram. – Jeżeli masz jeszcze czas na co poza kłótniami, Izmaelu, to patrz!

Izmael odwrócił się powoli od zuchwałego syna i skierował w tformę spojrzenie pełne głębokiej niechęci. Lecz w chwili gdy spostrzegł to, co zwróciło uwagę wszystkich obecnych, oczy jego przybrały wyraz zdumienia i grozy.

Na miejscu, z którego w tak okrutny sposób wypędzono El-

len, stała jakaś drobna postać kobieca. Gdyby była choć trochę mniejsza, straciłaby wiele na urodzie, ale posiadała właśnie taką drobną figurkę, jaką poeci i artyści uznali za ideał kobiecego wdzięku. Suknia z ciemnego lśniącego jedwabiu migotała jak nitki babiego lata wokół jej postaci. Długie, rozpuszczone, wijące się włosy, jeszcze ciemniejsze i bardziej błyszczące od sukni, spadały jej chwilami na ramiona, pokrywając płaszczem loków pierś i plecy, a chwilami płynęły w powiewie wiatru, długie i falujące. Ponieważ stała wysoko, nie można było dokładnie przyjrzeć się rysom twarzy, lecz widać było, że jest to twarz młoda, wyrazista i że w tym momencie nieoczekiwanego pojawienia się ożywia ją silne wzruszenie. Tak młoda, doprawdy, wydawała się ta urocza i krucha istota, iż można było przypuścić, że nie wyszła jeszcze z wieku dziecięcego. Jedną drobną, prześlicznie ukształtowaną rękę złożyła na sercu, a drugą czyniła wymowny gest, prosząc niejako Izmaela, by w jej pierś kierował kulę, jeśli zamierza nadal dopuszczać się takich gwałtów.

W niemym zdumieniu spoglądała grupa emigrantów na to niezwykle widowisko, a po chwili ujrano Ellen, która wynurzyła się z namiotu bardzo nieśmiało, jak gdyby tak samo niepokoiła się o samą siebie jak o towarzyszkę i równie silną miała chęć ukryć się, jak iść naprzód. Mówiła coś, lecz ci, co stali na dole, nie słyszeli jej słów, a osoba, do której były one skierowane, nie zwracała na nie uwagi. W końcu, zadowolony się widać tym, że wskazała Izmaelowi siebie jako najwłaściwszy cel, na którym może wyrzucić gniew, spokojnie się oddaliła. Miejsce, które tak niedawno zajmowała jej postać, było puste, a patrzący na tę scenę mężczyźni pozostawali pod dziwnym, oszłamiającym wrażeniem. Podobny nastrój mogłoby w nich zapewne wzbudzić oglądanie nadprzyrodzonego zjawiska.

W głuchej ciszy upłynęła długa chwila, a synowie Izmaela wciąż patrzyli, w oszołomieniu i podziwie, na pustą skałę. Potem, gdy wymienili spojrzenia, oczy ich rozbłysły nowym jakimś wyrazem, świadomością czegoś niezwykłego. Najwidoczniej pojawienie się tej dziwnej mieszkanki namiotu było dla nich zdarzeniem nieoczekiwanym i niepojętym. W końcu Aza, jako najstarszy i pe- * len przy tym niewygasłej irytacji po niedawnej kłótni, podjął się roli wyraziciela wątpliwości ogółu. Nie chcąc jednak narazić się

na gniew ojca, zwrócił się ku łękliwie skulonemu Abiramowi z szyderczą przemową:

–A więc to jest owo zwierzę, które prowadzisz w prerię jako przynętę! Wiem, że rzadko ci się zdarza powiedzieć prawdę, gdy wystarczy coś gorszego, ale nigdy jeszcze nie widziałem, byś tak przeszedł samego siebie. Gazety z Kentucky nazywały cię sto razy handlarzem czarnym mięsem, lecz nie spodziewano się zapewne, że rozszerzyłeś ten proceder i na białych!

–Czyż to mnie się tyczy! – zawołał Abiram, głośno okazując oburzenie. – Czyż mam odpowiadać za każde kłamstwo, które wydrukują w Stanach? Pomyśl o swojej rodzinie, chłopcze, pomyśl o sobie. Nawet pnie w Kentucky i Tennessee krzyczą przeciw wam! O mój wymowny panie, widziałem, jak w wielu osadach na pniach i pieńkach pisano o ojcu, matce i trojgu dzieciach, a ty byłeś jednym z nich, pieniędzy zaś ofiarowywano tyle, że uczciwy człowiek mógł się wzbogacić, gdyby...

Gwałtowne uderzenie wierzchem dłoni w usta przerwało jego mowę. Cios był tak silny, że Abiram aż się zatoczył, a wargi mu nabrzmiały i pokazała się na nich krew.

–Aza – powiedział ojciec wysuwając się naprzód z godnością, w jaką natura wyposażyła rodziców – uderzyłeś brata swojej matki!

–Uderzyłem człowieka, który znieważył całą naszą rodzinę – odparł zagniewany młodzian. – Jeżeli nie nauczy swego niewyparzonego jęzora mądrzejszej mowy, lepiej byłoby, aby go utracił. Nie jestem mistrzem we władaniu nożem, ale przy okazji spróbuję odciąć ten oszczerzy...

–Chłopcze, już dwa razy się dziś zapomniałeś. Uważaj, by się to nie zdarzyło po raz trzeci. Kiedy prawo państwowe jest słabe, przystoi, by silne było prawo natury. Rozumiesz mnie, Aza, i znasz swego ojca. Co się zaś ciebie tyczy, Abiramie, moje dziecko wyrządziło ci krzywdę i moją jest rzeczą dopilnować, by tę krzywdę naprawiono. Pamiętaj: mówię, że sprawidliwości stanie się zadość. Niech ci to wystarczy. Lecz wyrzekłeś twarde słowa przeciw mnie i mojej rodzinie. Jeżeli te psy na usługach prawa poro-zlepiąły ogłoszenia na drzewach i pniach wyrębów, to wiesz przecież, że nie z powodu jakiegoś hańbiącego czynu, ale dlatego, iż głosimy zasadę, że ziemia jest wspólną własnością wszystkich.

Nie, Abiramie, gdybym tak łatwo mógł umyć ręce od tego, co uczyniłem za twoją poradą, jak łatwo mogę oczyścić się z win popełnionych za podszeptem diabła, spałbym spokojniej i nikt, kto nosi moje nazwisko, nie musiałby się rumienić. Spokój, Aza, spokój, Abiramie. Powiedziano już dosyć. Niech każdy z was dobrze się zastanowi, by nie powiedział czegoś, co może pogorszyć całą sprawę, i tak już niedobłą.

Jednym ze skutków kłótni było to, że oderwała myśli młodych ludzi od niedawnego zjawiska. Wydawało się nawet, że zatarg, do którego doszło po zniknięciu pięknej nieznanym, położył kres wszelkim o niej wspomnieniom.

–Pójdę na skałę, chłopcy, i rozejrzę się, czy nie widać dzikich – powiedział po chwili Izmael podchodząc do nich. Osadnik przybrał wyraz twarzy, który, nie przestając być władczy, miał ich ująć. – Jeżeli nie będzie powodów do obaw, pójdziemy w dolinę. Dzień jest zbyt piękny, byśmy go mieli tracić na słowa, jak kobiety w miastach, pytlujące nad herbatą i lukrowanymi ciastkami.

Nie czekając na ich zgodę lub protesty, osadnik zbliżył się do podstawy skały, tworzącej dokoła wzgórza rodzaj prostopadłej ściany, wysokiej mniej więcej na dwadzieścia stóp. Izmael skierował się ku miejscu, skąd można było wejść na górę przez wąską szczelinę, którą przezornie obwarował przedpiersiem z drzew topoli, bronionym z kolei przez chevaux de frise* z gałęzi tych drzew. W tym kluczowym miejscu całej pozycji czuwał zwykle zbrojny wartownik. Stał tu teraz jeden z młodych ludzi, leniwie wsparty o skałę, gotów w razie potrzeby bronić przejścia, póki cała gromada nie ściągnie na kilka punktów obronnych. Wejście na górę było ciężkie, częściowo z natury, a częściowo na skutek sztucznych przeszkód, toteż osadnik z trudem dotarł na rodzaj tarasu, czyli mówiąc dokładniej, na płaszczyznę wzniesienia, gdzie zbudował domki dla swej rodziny. Izmael sądził, że pod opieką energicznej matki dzieci są tutaj całkiem bezpieczne.

–A to ci dopiero wy gwizdów wybrałeś na obóz, Izmaelu – zaczęła Estera. – Słowo daję. Co dziesięć minut muszę liczyć

malców, aby się przekonać, czy nie fruują gdzieś wśród myszołowów lub dzikich kaczek! Cóż to się tak ciągle kręcicie koło skały, jak gady na wiosnę! A na niebie pełno ptaków, człowieku! Czy myślisz, że będziemy mieli co włożyć do ust, będziemy mogli się najeść, jak nie przestaniecie się wałkonić i wylegiwać?

–Stanie się, jak chcesz, Estero – odparł mąż. – Ale ptaki mieć będziesz tylko wtedy, jak nie wystraszysz ich gadaniną i nie pofruną zbyt wysoko. Ach, kobieto – doszedł do miejsca, skąd tak brutalnie przepędził Ellen, i przystanął – będziesz miała nawet

bawołu, jeśli moje oko zdolne jest rozpoznać zwierzynę na odległość hiszpańskiej mili.

–Zejdź na dół, zejdź na dół i rób coś zamiast gadać. Człowiek, który dużo gada, nie jest lepszy od psa, który dużo szczeka. Nell wywiesi płótno, jeśli pokażą się czerwonoskórzy, aby was ostrzec na czas... Na mą duszę – powiedziała wypuszczając nić, którą przędła – i znów poszedł do tego namiotu!

Nagły powrót męża zamknął usta żonie, a ponieważ Izmael zbliżył się do miejsca, gdzie Estera pracowała nad kądzielą, zadowolila się tylko gniewnym mruzeniem, nie wyrażając głośniejszego niezadowolenia.

Z myślą o polowaniu osadnik zszedł w dolinę i rozdzielił swe siły na dwie części, z których jedna miała pozostać na straży fortecy, a druga – towarzyszyć mu w wyprawie na prerię. Przewornie włączył Azę i Abirama do swojej grupy, wiedząc, że żadna władza, prócz jego własnej, nie zdołałaby ukrócić gwałtownego usposobienia porywczego syna, gdyby go podrażniono. Kiedy myśliwi zakończyli przygotowania, ruszyli w drogę i w niewielkiej odległości od skały rozeszli się, chcąc okrążyć dalekie stada bawołów.

Chevaux de frise – (francuskie zasieki) – przenośna przeszkoda polowa z drzewa i drutu używana w celu zatrzymania w natarciu piechoty lub kawalerii.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY!

Cóż za obraza łacińskich gramatyk! Niech i tak będzie.

"Stracone* zachody miłosne"

W chwili gdy z powodów opisanych w poprzednim rozdziale osadnik i jego synowie rozstali się ze sobą, w dolinie, leżącej nad i brzegiem niewielkiego strumienia w odległości wystrzału armatniego od obozu, dwóch mężczyzn toczyło ożywioną dyskusję najtemat smacznego garbu bizona, przygotowanego dla ich pod-niebień z największą dbałością o wykazanie zalet tego mięsiwa. Ten z nich, którego sztuce kulinarnej zawdzięczał ucztę jego towarzysza, mniejszą zdradzał ochotę korzystania z owoców własnej umiejętności. Jadł, co prawda, i to ze smakiem, jednak zachowywał umiar, jakim wiek zwykł łagodzić apetyt. Zapałów jego towarzysza nie powściągały takie hamulce. Będąc w pełni męskich sił, z wielkim przejęciem oddawał sprawiedliwość dziełu rąk starszego przyjaciela. Łykając jeden po drugim wyborne kęski, obracał ku towarzyszowi oczy i spojrzeniem pełnym najwyższej uprzejmości wyrażał wdzięczność, której nie mógł wypowiedzieć ustami.

–Gdyby tak jeszcze mieć choć czarkę pitnego miodu – powiedział Paweł przerywając jedzenie, by odsapnąć – przysięgłbym, że jest to najbardziej tęgi posiłek, jaki kiedykolwiek zaofiarowano ustom człowieka!

–Tak, tak, możesz tak powiedzieć – odrzekł starszy, śmiejąc się przy tym swym szczególnym śmiechem, płynącym z głębokiej satysfakcji, wywołanej widokiem niezmiernego zadowolenia towarzysza. – Jest ono tęgie i daje siłę temu, kto je spożywa. Masz, Hektorze. – Tu rzucił kawał mięsa swemu cierpliwemu psu, który bacznie spoglądał mu w oczy.

–Powiadam panu, traperze – rzekł Paweł – że każdego dnia, który tu spędzimy, a dni takich będzie zapewne dużo, zobowiązuję się zjeść każdego bawołu razem z kopytami i nic z niego nie zostawić. Ale któż tu się zbliża? Sam odpowiem, że to ktoś z dobrym nosem, i że węch go nie myli, jeżeli tropi obiad.

Człowiek, który przerwał im rozmowę, ukazał się nad brzegiem strumienia i szedł stanowczym krokiem wprost ku dwóm biesiadnikom.

–Zbliż się, przyjacielu – powiedział traper przywołując go ręką, gdy zobaczył, że nieznajomy zatrzymał się na chwilę, zapewne nie wiedząc, co czynić dalej. – Zbliż się, powiadam. Jeżeli głód jest twoim przewodnikiem, przyprowadził cię na właściwe miejsce.

–Czcigodny myśliwce – odpowiedział doktor (gdyż nie był to nikt inny, lecz właśnie nasz przyrodnik, który odbywał jedną ze swych codziennych wypraw odkrywczych) – cieszę się ogromnie z tego szczęśliwego spotkania. Lubimy te same zajęcia i powinniśmy być przyjaciółmi.

–Boże, Boże – odparł starzec śmiejąc się, wbrew zasadom przyzwoitości, prosto w twarz filozofa. – Toż to ten sam człowiek, który chciał mnie przekonać, że nazwa może zmienić naturę zwierzęcia. Chodź, przyjacielu, jesteś miłym gościem, chociaż zaślepiło cię trochę czytanie zbyt wielu książek. Usiądź tutaj, zjedz kawałek mięsa, a potem powiedz mi, jeśli potrafisz, jak się nazywa zwierzę, które dało ci to mięso na posiłek.

Oczy doktora Battiusa mówiły wyraźnie o zadowoleniu, z jakim słuchał tej propozycji. Spacer, który odbył, i ostry wiatr wzbudził w nim apetyt, zajął więc wskazane sobie miejsce przy boku trapera i bez dalszych ceremonii zabrał się do jedzenia.

–Musiałbym się wstydzić mojego zawodu... – powiedział łykając z widoczną rozkoszą kawałek mięsa i jednocześnie starając się przebiegle odtworzyć charakterystyczne cechy opalanej i zniszczonej skóry – musiałbym się wstydzić mojego zawodu, tfdyby na kontynencie Ameryki znajdował się ptak czy zwierzę, którego nie mógłbym poznać po mnogich właściwościach, wyliczonych w opisach naukowych. To... więc... to jedzenie jest pożywne i smaczne.

–Mówiłeś więc, przyjacielu, że masz wiele sposobów na to,

by poznać, jakie to zwierzę? – spytał traper, który słuchał go uważnie.

–Wiele. Bardzo wiele, i to niezawodnych sposobów. Tak więc zwierzęta, które są mięsożerne, można poznać po insiciores.

–Po czym? – zapytał traper.

–Po zębach, którymi natura wyposażyła je dla obrony, a także po to, by mogły rozrywać jedzenie. Poza tym...

–Poszukaj więc zębów tego stworzenia – przerwał traper, chcąc koniecznie przekonać człowieka, który ośmielał się uważać za równego mu znawcę spraw prerii, że jest kompletnym w tej dziedzinie ignorantem. – Odwróć ten kawałek, znajdź te twoje siekacze.

Doktor posłuchał, lecz oczywiście nic nie osiągnął. Skorzystał jednak z okazji, by rzucić jeszcze jedno daremne spojrzenie na spieczoną skórę.

–A więc, przyjacielu czy znalazłeś już to, co jest ci potrzebne, byś mógł orzec, czy to stworzenie jest kaczką czy łososiem?

–Sądzę, że nie całe zwierzę tu się znajduje?

–Może pan śmiało to powiedzieć! – wykrzyknął Paweł, który tak był syty, że musiał przestać jeść. – Ja odpowiadam za kilka funtów mięsa tego stworzenia, i to ważonych najuczciwszy-mi stalowymi odważnikami pochodzącymi z zachodu Alleghenów. Mimo to może się pan jeszcze nieźle pożywić tym, co pozostało.

–Serce! – zawołał doktor, z głęboką radością dowiadując się, że jest jakaś określona część ciała zwierzęcia, którą mógłby poddać oględzinom. – Ach, niech się przyjrzę temu organowi... to pozwoli od razu określić charakter zwierzęcia... to z pewnością nie jest serce... ach, oczywiście, że jest... to zwierzę musi należeć do gatunku *beluae**, sądząc po jego żarłocznych obyczajach.

Przerwał mu długi i serdeczny, choć jak zwykle cichy śmiech traper. Obrażony przyrodnik uznał to za czyn tak bardzo nie na miejscu, że odebrało mu to mowę, a może nawet zahamowało bieg myśli.

–Dowiaduję się o zwyczajach owego zwierzęcia i o sposobie działania jego żołądka – powiedział starzec uszczęśliwiony widokiem zakłopotania rywala – a potem on mówi,

że to nie jest ser-

Beluae (łac.) – zwierz, potwór.

ce! Och, człowieku, znajdujesz się dalej od prawdy niż od osad ludzkich, a to wskutek tej książkowej nauki i trudnej swej mowy, której, jak już ci raz powiedziałem, nie rozumie żadne plemię ani naród na wschód od Gór Skalistych. Czy zwyczaje tych zwierząt są żarłoczne, czy nie są żarłoczne, widuje się je dziesiątkami tysięcy, gdy skubią trawę prerii, a ten kawałek mięsa, który pan trzymasz w ręku, jest samym środkiem garbu bawołu – tak soczystego, jak tylko można zapragnąć.

–Mój sędziwy towarzyszu – rzekł Obed, starając się pohamować rosnący gniew, który, jak mniemał, nie licował z jego godnością – pański system jest błędny od założeń aż do wniosków, a sposób kwalifikacji roi się od pomyłek i płacze wszelkie naukowe rozróżnienia. Bawół nie jest obdarzony garbem, jego mięso nie jest wcale smaczne ani zdrowe, a to, przyznać muszę, wydaje mi się charakterystyczną cechą przedmiotu, który mamy przed oczyma...

–W tej sprawie zupełnie różnię się z panem, a całkowicie zgadzam z traperem – przerwał Paweł Hover. – Człowiek, który zaprzeczy temu, że mięso bawołu jest dobre, powinien wzgardzić tym mięsem.

Doktor, który przedtem tylko przelotnie spojrział na biesiadników, popatrzył teraz na niego z zainteresowaniem.

–Rysy pańskiej twarzy, przyjacielu – rzekł – nie są mi obce. Musiałem znać albo pana, albo jakiegoś innego przedstawiciela pańskiej rodziny.

–To mnie spotkał pan w lasach na wschód od wielkiej rzeki i starał się namówić, bym śledził lot szerszenia aż do jego gniazda, jak gdyby moje oko mogło wziąć jakiegokolwiek inne stworzenie za pszczołę, i to w biały dzień. Bawiliśmy razem tydzień, jak pan zapewne pamięta. Pan zajmował się swymi jaszczurkami i ropuchami, a ja dziuplami i barciami. No i sporo zrobiliśmy obaj. Napelniłem wtedy moje beczułki najśłodszym miodem, jaki kiedykolwiek posłałem do osad, nie mówiąc już o tym, że zdobyłem dla mych uli kilkanaście rojów pszczół, a pańska torba wprost pękała od pelzających okazów muzealnych. Nigdy nie miałem odwagi zadać panu w oczy pytania, ale chyba jesteś pan zbieraczem osobliwości.

–ZnSm pana – doktor wyciągnął serdecznie rękę do Pa-

wła. – To był owocny tydzień, jak pokażę kiedyś światu moje katalogi i opisy roślin. O tak, pamiętam pana dobrze, młodzieńcze. Należysz do klasy ssaków, rzędu naczelnych, gatunku – homo, rodziny – Kentucky. – Tu przerwał, uśmiechając się z zadowoleniem ze swego dowcipu, a potem mówił dalej: – Zawędrowałem daleko od czasu, gdyśmy się rozstali, zawarłem bowiem pakt, czyli ugodę z pewnym człowiekiem, noszącym imię Izmaela...

–Busha – przerwał niecierpliwie i bezceremonialnie Paweł. – Na Boga, traperze, to właśnie jest ów cyrulik, o którym mówiła mi Ellen!

–A więc Nelly nie oddała mi sprawiedliwości – odpowiedział prostoduszny doktor – gdyż nie należę do szkoły chirurgicznej, wołac praktykę czyszczenia krwi od jej puszczania!

–To moja pomyłka, zacny przybyszu. Dziewczyna nazwała pana uczonym człowiekiem.

–W takim razie przeceniła moje zalety – mówił dalej Bat-tius, kłaniając się z lekka. – Ale Ellen to jest dobra, poczciwa i pełna życia dziewczyna. Zawsze wiedziałem, że Nelly Wadę jest dobra i słodka.

–Tam do diabła, wiedziałeś! – zawołał Paweł. – Wydaje mi się, przybyszu, że miałbyś ochotę wsadzić do swojej torby także i Ellen!

–Wszystkie bogactwa roślinnego i zwierzęcego świata nie skusiłyby mnie do tego, bym ją w najmniejszym bodaj stopniu skrzywdził. Kocham to dziecko uczuciem, które można nazwać amor naturalis, a raczej paternus. Uczuciem ojcowskim.

–A... to już lepiej odpowiada różnicy lat między wami – chłodno stwierdził Paweł. – W twoich latach mógłbyś być tylko trutniem, gdybyś miał ul młodych pszczół do nakarmienia.

–Przyjacielu, powiedział pan, że przebywał w obozie niejakiego Izmaela Busha? – zapytał traper.

–Tak, dzieje się to, wiecie, panowie, na zasadzie paktu.

–Niewiele wiem o sztuce paktowania. Na moje stare lata, by zarobić na życie, oddaję się sztuce traperstwa. Słyszałem, że teraz potrafią nowymi sposobami dobrze wyprawiać skóry, ale ja dawno już przestałem zabijać więcej zwierzyny, niż potrzeba mi na ubranie i jedzenie. Widziałem na własne oczy, jak Siuksowie wdarli się do waszego obozu i uprowadzili bydło, nie pozostawia-

jąc temu biedakowi, którego nazywasz Izmaelem, ani jednego kopyta i ani jednej racicy.

–Pozostał tylko Asinus – mruknął doktor, który spokojnie pochłaniał swoją porcję garbu, zapominając zupełnie o jego właściwościach określonych przez naukę. – Pozostał tylko Asinus domesticus americanus.

–Z przyjemnością dowiaduję się, że tyle mu ocalało, choć nie znam zwierząt, o których mówisz. Nie jest to jednak nic dziwnego, jeśli zważyć, od jak dawna przebywam poza osadami. Ale powiedz mi, przyjacielu, co takiego wozi Izmael pod białym płótnem, czego strzeże ostrymi zębami jak wilk walczący o porzuconą przez myśliwego padlinę?

–A więc słyszałeś o tym! – wykrzyknął wyraźnie zdumiony przyrodnik, upuszczając kawałek mięsa, który właśnie podnosił do ust.

–Nie, nic nie słyszałem, lecz widziałem namiot i nie chciałem, by mnie pokąsano za winę nie większą niż chęć dowiedzenia się, co on kryje.

–Pokąsano! A zatem to zwierzę musi być mięsożerne. Nie jest to jednak Ursus horridus*, bo jest na to za spokojne. Gdyby to był Canis latrans*, zdradziłby się głosem. No i Nelly Wadę nie mogłaby zaprzyjaźnić się z żadnym przedstawicielem gatunku fe-rae*. Czcigodny myśliwcze! Samotne zwierzę, zamknięte dniem na wozie, a nocą w namiocie, wywołało w moim umyśle więcej niepokoju niż cały katalog innych czworonogów, a to dla tej prostej przyczyny, iż nie wiem, jak je sklasyfikować.

–A więc przypuszczasz, że Izmael podróżuje z czworonogiem i trzyma go na tym wózku?

–Wiem o tym i żywię nadzieję, że uda się namówić Izmaela, aby mi pozwolił dokonać sekcji.

–Czy widział pan to stworzenie?

–Nie badałem go organem wzroku, ale bardziej niezawodnymi narzędziami poznania: wnioskami rozumu i dedukcją z naukowych założeń. Obserwowałem zwyczaje tego zwierzęcia, młodzieńcze, i mogę śmiało orzec na podstawie świadectw, których

Ursus horridus (łac.) – niedźwiedź dziki. Canis latrans (łac.) – piesek preryjny. Ferae (łac.) – dzikie.

Preri*

I

nie umieliby wykorzystać zwykli obserwatorzy, że jest ono ogromnych rozmiarów, beczynne, prawdopodobnie apatyczne i nieruchawe, że ma ogromny apetyt i – jak wskazuje nam świadectwo tego czcigodnego trapera – jest dzikie i mięsożerne.

–Byłbym bardziej zadowolony – rzekł Paweł, na którym słowa doktora czyniły zupełnie zrozumiałe wrażenie – gdybym był pewien, że owo stworzenie w ogóle jest zwierzęciem.

–Jeżeli o to chodzi, gdyby nawet brakowało świadectwa faktów, których jednak w obfitości dostarczają obyczaje zwierzęcia, mam słowo samego Izmaela. Usycham w sekrecie z ciekawości, co zawiera namiot, którego Izmael strzeże tak pilnie, iż zażądał ode mnie przysięgi, że przez pewien określony czas nie podejść do niego bliżej niż na oznaczoną ilość stóp. Jakies dziesięć dni temu Izmael zlitował się jednak nad żalonym losem pokornego poszukiwacza wiedzy i wyjawiał mi fakt, że na wozie znajduje się zwierzę wiezione przez niego na prerię w charakterze przynęty, za pomocą której zamierza usidlić inne zwierzęta tego samego gatunku czy może rodzaju. Kiedy przebędziemy pewną odległość i zbliżymy się do miejsca, gdzie znajdują się one w obfitości, wolno mi będzie dokładnie obejrzeć ten okaz.

Paweł słuchał w najgłębszym milczeniu, póki doktor nie zakończył swych osobliwych wyjaśnień. Wtedy ów niedowiarek uznał za słuszne odpowiedzieć w sposób następujący:

–Gościu, Izmael wsadził pana do dziupli spróchniałego drzewa, gdzie pańskie oczy nie będą bardziej użyteczne niż żądła trutnia. Ja także wiem coś o tym wozie i mogę stwierdzić, że przyłapałem Izmaela na kłamstwie. Słuchaj, przyjacielu, czy myśli pan, że taka dziewczyna jak Ellen Wade chciałaby być towarzyszką dzikiego zwierzęcia?

–Dlaczego nie, dlaczego nie – odpowiedział przyrodnik. – Nelly ma gust do nauki i często z przyjemnością przysłuchuje się bogactwom wiedzy, jakie jestem niekiedy zmuszony rozsiewać na tym pustkowiu. Dlaczego nie miałyby studiować obyczajów jakiegoś zwierzęcia, choćby nawet był to nosorożec!

–Wydaje mi się – spokojnie zauważył traper – że jest coś ciemnego i tajemniczego w tej sprawie. Mogę zaświadczyć, że Izmael nie lubi, by ktokolwiek zaglądał do namiotu, i mam dowód pewniejszy niż to, co możecie przytoczyć, że na wozie nie ma

klatki zwierzęcia. Mój Hektor pochodzi z rasy psów odznaczających się najlepszym i najbardziej niezawodnym węchem, jakim Stwórca zechciał kiedykolwiek obdarzyć psa, i gdyby znajdowało się tam zwierzę, od dawna już powiedziałoby o tym swemu panu.

–Czyż zamierza pan przeciwstawić psa człowiekowi?! Barbarzyństwo nauce! Instykt rozumowi! – wykrzyknął zapalczywie doktor. – Jeśli uważasz, że nauczyciel szkolny odznaczać się może bystrzejszym rozumem niż nasz Pan, zobaczysz, jak bardzo się mylisz. Czy słyszysz, że coś porusza się w krzakach? Już od pięciu minut łamie gałązki. Powiedz mi, co to za stworzenie?

–To przekracza możliwości nauki! Nawet sam Buffon nie mógłby powiedzieć, czy to czworonóg, czy też przedstawiciel gatunku węży. Czy owca, czy tygrys.

–A więc pański Buffon jest głupcem w porównaniu z moim Hektorem! Uważaj, piesku! Cóż to takiego, Hektorze? Czy mamy za tym gonić, czy też pozwolić mu przejść?

Już od pewnej chwili pies strzygł uszami, co dla doświadczonego trapera stanowiło wyraźny znak, iż Hektor wyczuwa w pobliżu nie znane mu stworzenie. Teraz pies podniósł głowę wspartą o przednie łapy i lekko rozchylił wargi, jak gdyby chcąc pokazać resztki zębów. Lecz nagle porzucił te wrogie zamiary i tylko wciągnął gwałtownie powietrze, ziewnął szeroko, otrząsnął się, a potem spokojnie powrócił do wpołleżącej pozycji.

–To jest człowiek! – zawołał traper wstając. – To jest człowiek, chyba że nie znam zwyczajów swego psa. Niewiele mówimy ze sobą, ale rzadko zdarzają się między nami nieporozumienia.

Pweł Hover błyskawicznie zerwał się na nogi i pochylając naprzód strzelbę krzyknął groźnym głosem:

–Zbliź się, jeśliś przyjaciel, ale jeżeli jesteś wrogiem, gotuj się na najgorsze!

–Przyjaciel, biały i mam nadzieję, że dobry chrześcijanin – dobiegł ich głos z rozsuwających się krzaków i ukazał się ten, który te słowa wypowiedział.

I

ZDZIAŁ DZIESIĄTY

Odejdź, Adamie, a zaraz usłyszysz, Jak on mną będzie trząsał...

"Jak wam się podoba"

Jest rzeczą dobrze znaną, że już na długo przedtem, nim rozległe tereny Luizjany zmieniły właścicieli po raz drugi, a miejmy nadzieję, ostatni, jej nie strzeżone terytorium narażone bywało na najazdy białych awanturników. Na wpół barbarzyńscy myśliwi z Kanady i ten sam, tylko nieco bardziej oświecony element ze Stanów oraz Metysi, czyli mieszkańcy, którzy domagali się, by zaliczać ich do białych – rozproszeni byli wśród różnych plemion indiańskich lub samotnie zdobywali skąpe wyżywienie, żyjąc na szlaku bobra lub bizona, czyli, by użyć popularnego słownictwa tego kraju, bawołu*.

Dlatego też nie było w tym nic niezwykłego, gdy na bezkresnych pustkowiach Zachodu zetknęli się nie znani sobie biali. Na ogół spotkania takie miały charakter pokojowy, gdyż białych łączył lęk przed wspólnym wrogiem, jakim byli dawniejsi i zapewne] bardziej prawowici właściciele tego kraju, lecz nierzadko zdarzało się, że zawiść i chciwość doprowadzały do czynów zdradzieckich, okrutnych i bezlitosnych.

W takich momentach spotkania dwóch myśliwych na tej pustyni amerykańskiej – czasem jest nam wygodnie tak nazywać te 5 okolice – odbywały się ostrożnie i z taką podejrzliwością, jak spotkania dwóch statków płynących ku sobie po morzu znanymi z napadów pirackich, gdy żadna strona nie chce zdradzić słabości

Poza naukowymi różnicami, jakie dzielą te dwa gatunki zwierząt, trzeba z całym respektem dla doktora Battiusa podkreślić ten ważny szczegół, iż mięso pierwszego zwierzęcia stanowi smaczne i zdrowe pożywienie, a mięso drugiego jest wprost niejadalne (przyp. autora).

okazując nieufność, żadna też nie chce szkodzić sobie aktami zbytniego zaufania, którego skutki mogą być żalosne.

Podobny charakter miało i obecne spotkanie. Nieznajomy z rozwagą szedł naprzód. Paweł stał bawiąc się cynglem strzelby, zbyt dumny, by okazać, że trzech mężczyźni obawiać się mogą jednego człowieka, lecz jednocześnie zbyt przezorny, by zupełnie zaniechać zwykłych ostrożności. Najważniejszą przyczyną, dla której dwaj goście zostali tak różnie powitani przez prawych gospodarzy uczyty, był ich odmienny wygląd.

Podczas gdy postać przyrodnika świadczyła najwyraźniej, że zdecydowanie miłuje on pokój, a nawet jest nieco oderwany od rzeczywistości, nowego przybysza cechowała tężyzna i siła, a jego postawa i krok niemal na pierwszy rzut oka zdradzały żołnierza.

–Przychodzę jako przyjaciel, a moje zajęcia i pragnienia na pewno wam w niczym nie przeszkodzą.

–Słuchaj, przybyszu – rzekł prosto z mostu Paweł Hover – czy potrafiłbyś śledzić lot pszczoły na tej otwartej przestrzeni aż do lasu odległego, powiedzmy, o kilkanaście mil?

–Za takim ptaszkiem nigdy nie goniłem – zaśmiał się tamten – chociaż w swoim czasie byłem czymś w rodzaju ptasznika.

–Tak też myślałem! – wykrzyknął Paweł wyciągając do niego ręce ze szczerością i swobodą obejścia, jaka cechuje mieszkańców amerykańskiego pogranicza. – Podajmy sobie dłonie. Nie poróżnimy się nigdy o plastry, skoro tak niewielkie znaczenie przywiązuje pan do miodu. A teraz, jeśli ma pan pustkę w brzuchu i umie ocenić kroplę rosy, co sama zwilża wargi, oto jest odpowiedni kąsek, byś go sobie włożył do ust. Poczęstuj się, przybyszu, a jeżeli nie nazwiesz tego najsmaczniejszym daniem, jakie jadłeś od czasu... jak dawno, powiedz, wyszedłeś z osad?

–Wiele już tygodni temu. Obawiam się, że drugie tyle upłynie, nim będę mógł powrócić. Z przyjemnością przyjmę zaproszenie, bo nie jadłem od wczorajszego wschodu słońca, a zbyt dobrze znam zalety garbu bizona, by nim pogardzić.

–Ach, więc zna pan tę potrawę! No, to miał pan nade mną przewagę w chwili startu!

Tymczasem nieznajomy rozmawiając przysiadł się do garbu i czynił spustoszenie wśród reszty mięsa. Doktor Battius obserwo-

wał jego ruchy z podejrzliwością, która była jeszcze bardziej zdumiewająca niż otwartość Pawła.

–To doprawdy wspaniała uczta! – zauważył nieświadomy tego wszystkiego młodzieniec (zasługiwał w pełni na miano młodego i przystojnego). – A bizona uważać trzeba za najwspanialszy okaz w rodzinie byków, chyba że to głód tak przyprawił mięsiwo.

–Przyrodnicy, panie, są skłonni w mowie potocznej przypisywać ten honor krowie – powiedział ze wzbierającą w sercu nieufnością doktor Battius. – To wyrażenie jest słuszniejsze, gdyż bos, w znaczeniu byka, nie jest zdolny do utrzymywania ciągłości gatunku. Bos, w najszerszym znaczeniu tego słowa, czyli vacca, jest w ogóle szlachetniejszym zwierzęciem z tych dwojga.

–Przyznaję, że ma pan zupełną rację i że vacca byłoby lepszym słowem.

–Przepraszam, ale pan źle rozumie moje słowa, jeśli pan przypuszcza, że do rodziny vacca zaliczam, bez wielu i szczegółowych omówień, także Bibulus americanus. Bo, jak zapewne dobrze pan wie... raczej powinienem powiedzieć: jak pan dobrze wie, doktorze... niewątpliwie posiada pan dyplom lekarski...

–Przyznaje mi pan zaszczytne tytuły, do jakich nie mam prawa – przerwał mu tamten.

–Z pewnością, młodzieńcze, nie podjął się pan tej ważnej... mogę powiedzieć, straszliwej służby bez jakiegoś świadectwa, że nadajesz się do tego zadania. Jakiejś nominacji, na podstawie której mógłbyś dowieść prawa do prowadzenia badań lub wykazywać się przynależnością do ludzi, którzy oddają się tym samym niezmiernie pożytecznym poszukiwaniom.

–Nie wiem, jakim sposobem i dla jakich celów poznał pan moje dążenia – rzekł nieznamy czerwieniejąc i podnosząc się z gwałtownością, która świadczyła, jak niewiele zważał na materialne potrzeby, gdy w grę wchodził przedmiot bliższy jego sercu. – Jednak wyraża się pan w sposób niezrozumiały! To poszukiwanie, które mogłoby słusznie być nazwane niezmiernie pożytecznym, gdyby chodziło o kogoś innego, jest dla mnie najdroższym i miłym sercu obowiązkiem. Ale dlaczego miałyby być do tego potrzebna nominacja, to, wyznaję, niezmiernie mnie dziwi.

–Zwyczaj nakazuje zaopatrzyć się w taki dokument – od-

powiedział poważnie doktor – i okazywać go we wszystkich okolicznościach.

–To dziwne żądanie – mruknął młodzian. Potem wyjął z zanadru jakiś futerał i podając go doktorowi ruchem pełnym godności, powiedział: – Obejrzawszy to, przekona się pan, że mam niejake prawo podróżowania po kraju, który stanowi teraz własność Stanów Zjednoczonych.

–Cóż to jest! – wykrzyknął przyrodnik rozkładając duży pergamin. – Własnoręczny podpis filozofa Jeffersona! * Pieczęć państwowa. Podpisane przez ministra wojny! Ależ to jest nominacja, mianująca Duncana Unkasa Middletona kapitanem artylerii!

–Kogo?! Kogo?! – zawołał traper, który podczas całej rozmowy siedział z oczyma utkwionymi w przybyszu, wprost pożerając wzrokiem rysy jego twarzy. – Czy pan powiedział Unkas?

–Takie jest moje imię – nieco wyniośle odparł młodzian. – To jest przydomek indiańskiego wodza i zarówno mój wuj, jak i ja z dumą nosimy to imię na pamiątkę ważnej usługi, jaką pewien wojownik wyświadczył naszej rodzinie w czasie dawnych wojen kolonialnych.

–Ach, moje oczy są stare i nie widzą już tak dobrze, jak widziały, kiedy i ja byłem wojownikiem! – krzyknął traper. – Lecz widzę rysy ojca w twarzy syna. Spostrzegłem to od razu, gdyś się zbliżył, lecz nie mogłem przypomnieć sobie, gdzie spotkałem osobę podobną do ciebie. Powiedz mi, chłopcze, jak nazywa się twój ojciec?

–Był oficerem armii amerykańskiej w czasie Wojny Rewolucyjnej i nosił oczywiście to samo nazwisko, co ja. Brat mojej matki nazywał się Duncan Unkas Heyward.

–Wciąż Unkas! Wciąż Unkas – powtarzał traper, drżąc z przejęcia. – A jego ojciec?

–Nazywał się tak samo, lecz nie nosił przydomka tubylczego wodza. To właśnie jemu i mojej babce oddano tę usługę, o której przed chwilą wspomniałem.

–Wiedziałem! – zawołał starzec drżącym głosem, a jego

Tomasz Jefferson (1743-1826) – wybitny amerykański działacz i pisarz polityczny. W latach 1801-1809 był prezydentem Stanów Zjednoczonych.

surowa twarz zmieniła się ze wzruszenia, jak gdyby owe imiona budziły w nim długo uśpione uczucia, związane z wydarzeniami minionego wieku. – Powiedz mi, czy ten,

którego nazywano Dun-can – bez Unkas – czy on żyje?

Młody człowiek potrząsnął ze smutkiem głową i odpowiedział:

–Umarł syt życia i zaszczytów. Kochany, szczęśliwy i darzący szczęściem innych.

–Ale widywałeś go często i pewno słyszałeś, jak wspominał Unkasa i dzikie okolice?

–Często! Mój dziad był wtedy oficerem królewskim, ale kiedy wybuchła wojna między koroną i jej koloniami, nie zapomniał o ziemi, na której się urodził, odrzucił puste związki, okazał się wiernym prawdziwej ojczyźnie i walczył po stronie wolności.

–Chodź, siądź przy mnie, chłopcze, i powiedz mi, o czym zwykł mówić twój dziad, gdy wspominał ten dziki kraj.

–To długa historia i może przykro byłoby jej słuchać. Jest w niej mowa o przelewie krwi, okrucieństwie Indian, o wszystkich okropnościach wojny z czerwonoskórymi. To będzie, jak już powiedziałem, straszliwa opowieść, pełna wzruszających wydarzeń i wspomnień, zarówno mego dziada, jak babki...

–Ach! – wykrzyknął traper, wymachując ręką w powietrzu, a twarz jego rozjaśniła się wspomnieniami związanymi z jej imieniem. – Nazywano ją Alicją! Alą lub Alicją! bo to jedno imię. Jakim roześmianym, pełnym prostoty dzieckiem była w chwilach szczęścia! Jakże była delikatna, jak płakała w niedoli! Miała włos złoty i błyszczący jak futro jelonka, a skórę jaśniejszą niż przejrzysta woda, tryskająca ze skały! Jak dobrze ją pamiętam!

Usta młodzieńca wygięły się lekko i patrzył na trapera z wyrazem twarzy, z którego łatwo byłoby wyczytać, iż jego własne wspomnienia o zacnej i czcigodnej babce są inne. Nie uznał jednak za konieczne wypowiedzieć tego słowami. Zadowolił się odpowiedzią:

–Oboje zachowali tak żywe wspomnienia przebytych niebezpieczeństw, że nie mogliby zapomnieć o żadnym z ich współuczestników.

–Czy mówił ci o nich wszystkich? Czy wszyscy, prócz niego samego i córek Munro, byli czerwonoskórzy?

–Nie. Znajdował się między nimi biały, zaprzyjaźniony z Delawarami, zwiadowca angielskiej armii, lecz urodzony w tym kraju.

–No, to z pewnością był pijak, włóczęga i ladaco, jak większość białych, którzy przebywają z dzikimi.

–Starcze, twoje siwe włosy powstrzymać cię winny przed rzucaniem oszczerstw.

Człowiek, o którym mówię, miał umysł pełen prostoty i nieposzlakowany charakter. Wyjątek wśród ludzi, żyjących na pograniczu, łączył w sobie najlepsze, a nie najgorsze właściwości dwu ras. Był obdarzony najcenniejszym i zapewne najrzadszym darem natury: umiejętnością odróżniania dobra od zła. W odwadze dorównywał swym czerwonoskórym towarzyszom, a w sztuce wojennej ich przewyższał, jako bardziej wykształcony.

Traper patrzył w ziemię, gdy nieznajomy pełnym zapału głosem, jakim zwykła przemawiać szlachetna młodość, odmalowywał charakter tamtego człowieka. Starzec bawił się uszami psa, zapinał swoje proste ubranie, otwierał i zamykał panewkę strzelby, a dłonie jego tak przy tym drżały, że nie byłyby zdolne użyć broni. Gdy młodzieniec skończył, traper rzekł ochrypłym głosem:

–A więc twój dziad niezupełnie zapomniał tego białego?

–Tak był od tego daleki, że jest w naszej rodzinie trzech mężczyzn, którzy noszą imię tego zwiadowcy. Mój brat nosi to imię i dwaj moi kuzyni, choć mają prawa do zaszczytnych tytułów, które przed chwilą pan wymienił. O nie, nie zapomnieliśmy o niczym, co było jego własnością! Mam psa – w tej chwili goni jelenia niedaleko stąd – a jego protoplasta przysłany został w przyjacielskim darze od tego właśnie zwiadowcy i pochodzi z rodziny psów, które jemu samemu służyły. Lepszej rasy, jeśli chodzi o nos i nogi, nie znajdziesz w Stanach.

–Hektor! – powiedział starzec, usiłując opanować wzruszenie, które mu ścisnęło gardło, i zwrócił się do psa takim tonem, jakim mógłby przemawiać do dziecka: – Czy słyszysz to, piesku! Na prerii jest twój kuzyn! Imię... to zdumiewające... to cudowne!

Nie mógł już znieść więcej. Zalany falą niezwykłych, nadzwyczajnych wzruszeń, podniecony drogimi sercu wspomnieniami,

które od dawna uspione zbudziły się niespodziewanie w tak dziwny sposób – starzec zachował ledwie tyle opanowania, by dodać te słowa głosem, który brzmiał głucho i nienaturalnie od wysiłku, jaki czynił, by móc nim władać:

–Chłopcze, ja jestem tym zwiadowcą! Niegdyś wojownik, dziś nędzny traper!

A potem na jego wymizerowane policzki polały się strumieniem łzy, tryskające z suchych od dawna źródeł. Starzec ukrył twarz na kolanach, zasłonił ją rękawem ze skóry jeleniej i łkał

głośno!

Widok ten wywarł na każdym z obecnych inne wrażenie, ale po pewnym czasie trzej mężczyźni otoczyli trapera, a na twarzach ich malowały się zmieszanie i przestraszanie, wywołane widokiem łez

starca.

–A myśmy od dawna myśleli, że on nie żyje! – mówił żołnierz.

–Nierzadko się zdarza, by młodości dane było oglądać wzruszenie starca – rzekł traper podnosząc głowę i spoglądając wokół siebie z godnością i spokojem. – Jestem wciąż jeszcze na tej ziemi, młodzieńcze, gdyż tak spodobało się Panu, który dla własnych swoich tajemnych celów pozwolił mi przeżyć osiemdziesiąt długich i pracowitych lat. Nie powinieneś wątpić, że jestem człowiekiem, za którego się podaję, po cóż bowiem miałbym iść do grobu z tak tanim kłamstwem na ustach?

–Nie, ja nie wątpię, tylko jestem zdumiony. Ale dlaczego znajduję pana, czcigodny przyjacielu moich dziadków, na tym pustkowiu, z dala od wygod i bezpiecznego życia dolnej Luizjany?

–Przyszedłem na prerię, by nie słyszeć szczęku siekier, bo tu na pewno nie dojdą topory! Ale mógłbym postawić i tobie podobne pytanie. Czy należysz do oddziału wysłanego przez Stany na te nowo zakupione ziemie, aby przekonać się, czy zrobiono dobry interes?

–Nie. To Lewis posuwa się w górę rzeki, kilkaset mil stąd, a ja przybyłem w sprawach prywatnych.

–Nie ma w tym nic dziwnego, że człowiek, któremu nie dopisują już siły i wzrok, dąży szlakiem bobrów, używając sideł zamiast strzelby, lecz bardzo jest dziwne, gdy ktoś młody i szczęśli-

wy, odbarzony patentem Wielkiego Ojca, wędruje po prerii nie mając u boku ani jednego białego towarzysza.

–Gdy pozna pan pobudki, które mną kierują, z pewnością uzna je pan za dostateczne, a wyjawię je panu, gdy tylko zechcesz posłuchać. Myślę, że wszyscy jesteście ludźmi uczciwymi i nie zaszkodzicie, lecz raczej pomożecie człowiekowi, który szlachetny cel ma przed sobą.

–A więc mów – rzekł traper sadowiąc się na ziemi i dając młodzieńcowi znak, by poszedł za jego przykładem. Tamten chętnie to uczynił, a gdy Paweł i doktor ulokowali się wygodnie, przybysz zaczął opowiadać o tym, co sprowadziło go w te dalekie i odludne okolice.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tak chmurne niebo czyści tylko burza.

"Król Jan"

Tymczasem godziny mijały w swym niestrudzonym i nieodwracalnym biegu. Słońce, które przez cały dzień walczyło ze zwałami chmur, stoczyło się z wolna na skrawek czystego nieba i majestatycznie zatonoło za posępną równiną, tak jak zwykło tonąć w wodach oceanu.

Gdy światło dnia zaczynało gasnąć, Estera zgromadziła przy sobie młodszą dziatwę i usiadłszy na wystającym cyplu samotnej fortecy, oczekiwała cierpliwie powrotu myśliwych. Ellen Wadę siedziała nieco dalej i można by sądzić, że trzyma się na uboczu od niespokojnej gromadki, aby zaznaczyć, iż dzieli ich pewna różnica.

–Twój wuj nigdy nie umiał i nie będzie umiał nic dobrze obmyślić – zauważyła matka po dłuższej przerwie w rozmowie

0 trudach dnia. – Ciężki on jest, ten Izmael Bush, gdy trzeba coś obliczyć i przewidzieć. Wierci się koło skały od rana do południa

1 nic nie robi, tylko obmyśla coś i obmyśla, mając u boku siedmiu najpiękniejszych synów, jakich kobieta może dać mężczyźnie. I co z tego? Noc już zapada, a on nie zrobił jeszcze tego, co miał do

zrobienia.

–Z pewnością jest to nierozsądne, ciociu – odparła Ellen, lecz wyraz jej twarzy świadczył, że nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego, co mówi. – I zły przykład daje to synom.

–Hola, hola, moja panno! Któż to uczynił cię sędzią nad starszymi od siebie! Nad starszymi i lepszymi! Na całym pograniczu nie znajdziesz człowieka, który świeciłby dzieciom lepszym przykładem niż właśnie Izmael Bush.

Powiedziawszy to, żona osadnika roześmiała się głuchym, szyderczym śmiechem.

–Halo! Estero! Staruszko! – rozległ się z równiny dobrze jej znany głos męża. – Zejdź na dół i pomóż nam dźwigać na górę mięso...

Zaledwie wymówił imię żony, a już cały siedzący wokół niej krąg poderwał się na nogi i dzieci, potykając się o siebie wzajemnie, z nieopanowaną niecierpliwością popędziły w dół skały niebezpiecznym przejściem. Estera spokojniejszym krokiem podążyła za dziatwą, a i Ellen uważała, że nie byłoby rzeczą mądrą ani roztropną pozostać na skale. Wkrótce więc wszyscy zgromadzili się na otwartej równinie u stóp swej cytadeli.

–Nie ma na równinie czerwonoskórych, no, przynajmniej dzisiejszej nocy – powiedział Izmael, gdy uciszył się nieco gwar powitań. – Przewędrowałem na własnych nogach wiele długich mil po prerii; dobrze umiem poznać odcisk indiańskich mokasynów. A więc daj nam, staruszko, kilka kawałków jeleniny, a potem trzeba będzie odespać trudy dnia.

–Ja bym nie ręczył, że nie ma dzikusów w pobliżu – rzekł Abiram. – Także znam trop czerwonoskórych i śmiało mógłbym przysiąc, że Indianie są niedaleko, chyba że oczy już mnie zawodzą. Ale poczekajmy, aż wróci Aza. Przechodził przez to miejsce, gdzie widziałem ślady Indian, a i on trochę się na tym zna.

–Ach, on zna się zbyt dobrze na zbyt wielu rzeczach – odrzekł ponuro Izmael. – Byłoby dla niego lepiej, gdyby uważał, że wie mniej. Ale jeżeli nawet wszystkie plemiona Siuksów z zachodniej strony wielkiej rzeki są nie dalej niż o milę od nas, to i cóż z tego, Hetty! Przekonają się, że niełatwo wdrzeć się na tę skałę, gdy broni jej dziesięciu śmiałych mężczyzn.

–Powiedz, że dwunastu, Izmaelu, powiedz zaraz, że dwunastu! – zawołała jego wojownicza małżonka. – Bo jeśli można uważać za mężczyznę twego przyjaciela, który zbiera ćmy i poluje na owady, to mnie licz, proszę cię, za dwóch mężczyzn. Chłopcy, jeżeli okaże się, że naprawdę jest tak, jak myśli Abiram, i Indianie znajdują się w pobliżu, to będziemy zmuszeni uciekać na skałę i przypadnie nasza kolacja. Zabezpieczmy więc najpierw zwierzynę, a o doktorze pYigadamy, gdy nie będzie już nic lepszego do roboty.

Posłuchano tej rady i w parę minut później wszyscy członkowie rodziny opuścili wystawione na niebezpieczeństwo miejsce, na którym się spotkali, i weszli na skałę, lepiej chroniącą przed napadem. Estera zakrzętnęła się koło wieczerzy, z równą energią pracując i zrządzając. Gdy posiłek był gotów, wezwała męża głosem tak donośnym, jakim muezin wzywa wiernych, by spełnili swój, o ileż ważniejszy, obowiązek.

–Zupełnie nie rozumiem, czemu to Azie zachciało się o tej porze być poza obozem – powiedziała nadąsana Estera.

–Dobrze będzie, jeżeli chłopiec zdoła ujść z rąk Tetonów – zamruczał Abiram. – Bardzo byłoby to przykre, gdyby Aza, który jest jednym z najlepszych wśród nas, i to zarówno gdy chodzi o serce, jak i rękę, wpadł w szpony tych czerwonych diabłów.

–Pilnuj swego nosa, Abiramie, i nie rozpuszczaj języka, skoro umiesz go użyć tylko po to, by straszyć moją kobietę i dziewczęta. Spójrz, jak pobladła Ellen Wadę.

Izmael podniósł się ze skały, i przeciągając się ciężko, jak wół tłusty i obżarty, obwieścił, że udaje się na spoczynek. Oświadczenie takie musiało spotkać się z uznaniem gromady ludzi, których głównym celem było zaspokajanie naturalnych potrzeb. Rozchodzili się stopniowo, każdy udawał się na swoje posłanie i nie minęło wiele czasu, a Estera, która zrządzając zapędziła już dziatwę do snu, miała opustoszałą skałę w niepodzielnym władaniu.

Choć życie koczownicze rozbudziło w tej niewykształconej kobiecie różne niezbyt cenne cechy charakteru, uczucie, które stanowi podstawę kobiecej natury, zbyt głęboko było zakorzenione w jej sercu, aby dało się zagłuszyć. A może naprawdę stało się to, czego obawiał się Abiram, i Aza wpadł w ręce jednego z plemion, które na okolicznych terenach polowały na bawoły? Może zdarzyło się jeszcze straszniejsze nieszczęście?

Podniecona rozmyślaniami, spędzającymi jej sen z powiek, Estera trwała na posterunku nasłuchując odgłosu kroków ludzkich. W końcu osądziła, że jej życzenia się spełniają, gdyż wyraźnie usłyszała z dawna upragnione odgłosy i wkrótce ujrzała u podnóża skały ciemną postać mężczyzny.

–No, Aza, zasłużyłeś sobie, by spać dziś na gołej ziemi – zaczęła burczeć, gdyż w jej uczuciach dokonana się gwałtowna przemiana.

–Kobieto! – zawołał ktoś, wyraźnie usiłując przybrać ton rozkazujący, choć nie mógł opanować lęku. – Kobieto, w imieniu prawa zakazuję ci wyrzucać którykolwiek z twoich piekielnych pocisków! Jestem obywatelem państwa, właścicielem ziemi, mam dyplomy dwóch uniwersytetów i żądam tego, co mi się prawnie należy. Strzeż się, abyś nie wyrządziła mi krzywdy, byś nie popełniła zabójstwa, umyślnie czy przypadkiem. To jestem ja, twój przyjaciel, znajomy i domownik. To ja, doktor Obed Battius.

Gdyby Estera była jedyną jego słuchaczką, przyrodnik mógłby jeszcze długo natężyć płuca i nie osiągnąć zamierzonego celu, zwiedziona i rozczarowana kobieta udała się bowiem na swe posłanie i z rozpaczliwą obojętnością starała się usnąć. Jednakże Abner, który wartował na dole, rozpoznał głos przyrodnika i wpuścił go bez dalszej zwłoki.

–Abner, spostrzegam u ciebie groźne symptomy senności, świadczy o tym dostatecznie twoja tendencja do ziewania, a okazać się to może niebezpieczne nie tylko dla ciebie, ale i dla całej rodziny twego ojca.

–Nigdy się pan bardziej nie mylił – odparł młodzian ziewając jak rozleniwiony lew – na całym moim ciele nie znajdziesz pan tych tam, jak je pan nazywa, symptomów, a co się tyczy ojca i dzieci, ospa i odra wymęczyły ich gruntownie przed kilku miesiącami.

Zadowolony się udzieleniem krótkiego napomnienia, przyrodnik zdążył już przebyć połowę trudnej drogi, nim Abner skończył się usprawiedliwiać. Stąpając lekko i rzucając wokół trwożne spojrzenia, jak gdyby lękał się czegoś znacznie gorszego niż grad słów, doktor doszedł do szafasu, który przy ogólnym rozdziale sypialni został mu wyznaczony.

Lecz zamiast spać, czcigodny nasz przyrodnik rozmyślał o tym, co widział i słyszał w ciągu dnia, dopóki odgłosy niespokojnych poruszeń na posłaniu i pomrukiwania, dochodzące z sąsiedniego domku, gdzie leżała Ellen, nie powiadomiły go, że Estera nie śpi. Wiedząc, że nim przystąpi do wykonania swych zamiarów, musi rozbroić tego niewieściego cerbera, doktor, choć z niechęcią myślał o narażeniu się na jej gadaninę, poczuł się zmuszony do nawiązania rozmowy.

–Wydaje mi się, że pani nie śpi, moja zacna pani Bush –

rzekł, zdecydowany zacząć lekarskie zalecenia od przepisania plastra, który jej zwykle pomagał. – Moja szanowna gospodyni nie może jakoś znaleźć spoczynku. Czy wolno mi ulżyć w pani

cierpieniach?

–A cóż mi pan może dać? Pewno plaster na bezsenność.

–Powinna pani powiedzieć raczej kataplazm. Jeżeli cierpi pani na jakieś bóle, oto są krople nasercowe, które przyjęte z kieliszkiem mojego koniaku pozwolą pani usnąć, chyba że się zupełnie nie znam na medycynie.

Doktor, jak o tym doskonale wiedział, zaatakował Esterę z jej słabej strony, a ponieważ nie wątpił, że przyjmie lek, zaczął go przygotowywać nie tracąc chwili. Gdy zaofiarował Esterze lekarstwo, wzięła je, wymamrotała parę słów podziękowania, a eskulap usiadł przy niej w milczeniu, oczekując skutków działania medykamentu. Kiedy niespokojną kobietę zmorzył sen, wszystko dokoła zatoneło w głębokiej ciszy.

Wtedy doktor Battius zdecydował się wstać, a uczynił to tak cicho i ostrożnie jak nocny rozbójnik. Wykradł się ze swego domku, a raczej psiej budy, gdyż pomieszczenie to nie zasługiwało na lepszą nazwę, i udał się w kierunku sąsiednich sypialni. Nie żałował czasu, by upewnić się, że wszyscy jego sąsiedzi pogrążeni są w głębokim śnie.!

Stwierdziwszy ten ważny fakt, nie wahał się dłużej, lecz począł śmiało się wspinać trudnym wejściem, które prowadziło na najwyższy szczyt skały. Choć baczył na każdy krok, nie zdołał posuwać się tak, by go nie było słyhać. W chwili gdy miał już postawić stopę na najwyższym stopniu wejścia, czyjaś ręka pociągnęła go za poję płaszcz, co tak skutecznie położyło kres jego wędrówce, jakby gigantyczna siła samego Izmaela przytwierdziła go do

ziemi.

–Czyżby choroba nawiedziła ten namiot – wyszeptał mu w ucho czyjś łagodny głos – że o tak późnej godzinie wezwano doktora Battiusa?

Gdy tylko serce przyrodnika powróciło z pośpiesznej ekspedycji w głąb jego gardła, znalazł w sobie dość odwagi, by odpowiedzieć. Głos jego zarówno z ostrożności, jak i ze strachu brzmiał tak cicho jak pytanie:

–Moja droga Nelly! Bardzo się cieszę, że to ty, a nie kto inny. Sza, dziecko, sza! Jeżeli Izmael dowie się o naszych planach, nie zawaha się zrzucić nas z tej skały!

Sza, Nelly!

Ponieważ doktor wypowiedział te przerywane zdania wspinając się w górę, obydwój, on i jego słuchaczka, znajdowali się już na szczycie, gdy skończył.

–A teraz doktorze Battius – dopytywała się z przejęciem dziewczyna – czy mogę wiedzieć, co sprawiło, że naraziłeś się na niebezpieczeństwo sfrunięcia z tej skały, i to bez skrzydeł, przy czym niezawodnie skręciłbyś kark?

–Niczego nie będę ukrywał przed tobą, moja dobra Nelly... Czy to ty wartowałaś dzisiaj na skale?

–Tak mi kazano.

–I widziałaś, jak zwykle, bizona, sarnę, wilki, jelenie, zwierzęta należące do rodzajów: belluae i ferae?

–Widziałam zwierzęta, które nazywasz po angielsku, ale nie znam języków indiańskich.

–Jest jeszcze jeden rodzaj, którego nie wymieniłem, a który także widziałaś: z rzędu naczelnych, prawda?

–Nie mogę tego powiedzieć. Nie znam zwierzęcia, które się tak nazywa.

–No, Ellen, rozmawiasz przecież z przyjacielem. Czyż nie widziałaś, moje dziecko, zwierzęcia należącego do klasy homo?

–Cokolwiek widziałam, nie spostrzegłam Vespertilio ho-rribi...

–Ciszej, Nelly, twoja żywość może nas zdradzić. Powiedz mi, dziewczyno, czy nie widziałaś pewnych dwunogów, zwanych ludźmi, wędrujących przez prerię?

–Naturalnie. Odkąd słońce zaczęło kłonić się ku zachodowi, mój wuj i jego synowie polowali na bawoły.

–Muszę więc mówić pospolitym językiem, żeby mnie zrozumiano. Ellen, ja mówię o gatunku Kentucky.

Ellen poczerwieniała jak róża, ale na szczęście rumieniec ten skryły ciemności. Wahala się przez chwilę, a potem zebrawszy się na odwagę, powiedziała zdecydowanym głosem:

–Jeżeli pan chce mówić przenośniami, to niech pan poszuka sobie innego słuchacza.

–Jak ci wiadomo, Nell, podróżuję przez tę pustynię w poszukiwaniu zwierząt, których dotąd jeszcze nie dojrzało oko nauki. Między innymi odkryłem okaz rodzaju homo, klasa Kentu-cky, którego nazywasz Paweł...

–Ciszej, na litość boską – rzekła Ellen – niech pan mówi ciszej, doktorze, bo nas usłyszą!

–...Hover, z zawodu zbieracz małp czy też pszczoł – dokończył. – Czy mnie rozumiesz?

–Doskonale rozumiem – odparła dziewczyna, która ze wzruszenia i podniecenia ledwo mogła złapać oddech. – Ale dlaczego mówi pan o nim? Czyż to on kazał panu wspinać się na skałę? On nic nie wie, bo przysięga, którą złożyłam wujowi, zamknęła mi usta.

–Ale jest ktoś, kto nie składał żadnej przysięgi i kto to wszystko wyjawiał. Chciałbym, aby równie łatwo można było odsłonić ukryte skarby natury, zdzierając zasłonę, która spowija jej tajemnice. Ellen, Ellen, człowiek, z którym nieroztropnie zawarłem pakt czy ugodę, zapomina w pożałowania godny sposób o nakazach uczciwości. Twój wuj, moje dziecko...

–Ma pan na myśli Izmaela Busha, męża wdowy po bracie mojego ojca – trochę wyniośle odparła dziewczyna. – No, doprawdy, to okrucieństwo czynić zarzut za węzeł rodzinny, który stworzył przypadek i który bardzo pragnęłabym zerwać!

Upokorzona Ellen nie mogła powiedzieć nic więcej. Oparła się o zrab skały i załkała, co uczyniło ich sytuację podwójnie krytyczną. Doktor wyszeptał kilka słów, które miały być przeproszeniem i wyjaśnieniem, lecz nim zdążył ukończyć mozolne usprawiedliwienia, dziewczyna wstała i rzekła stanowczym głosem:

–Nie przyszedłam tu, żeby niemądrze tracić czas na łzy, ani pan tu nie przybył, żeby mnie uspokajać. Po co pan tu przyszedł?

–Muszę wejść do wnętrza namiotu.

–Pan wie, co tam jest?

–Tak. Powiedziano mi to wyraźnie. Poza tym przyniosłem list i muszę go oddać osobiście. Jeżeli okaże się, że zwierzę jest czworonożne, to Izmael jest uczciwym człowiekiem, ale jeżeli to dwunóg – upierzony czy nie upierzony – Izmael jest

oszustem i nasza umowa nie obowiązuje!

D W U N A

Daj Bóg, by księżę Jork się uniewinnił.

"Król Henryk VI"

Następnego poranka nasi wędrowcy wstali w milczeniu, zatroskani i posępni. Śniadaniu brakowało zgrzytliwego akompaniamentu, jakim Estera zwykła ożywiać rodzinne posiłki, wpływ bowiem silnej dawki narkotyku, zaaplikowanej przez doktora, wciąż jeszcze przyćmiewał jej bystry zazwyczaj umysł. W atmosferze powszechnej nieufności Ellen i jej druh, doktor, zajęli zwykłe miejsca między dziatwą, nie budząc podejrzeń ani nie wywołując uwag. Przyrodnik spoglądał ukradkiem ku trzepoczącym na wietrze ścianom samotnego namiotu.

–Aza odpowie przede mną za brak poczucia obowiązku – rzekł osadnik zimno. – Przez całą tę długą noc był gdzieś daleko na prerii, a przecież mogło nam braknąć jego dłoni i strzelby w bitce z Siuksami. Skąd wiedział, że nie będzie potrzebny?

–Nie wysilaj daremnie płuc, mój mężu – odparła żona – nie wysilaj płuc, bo może długo jeszcze będziesz musiał wołać naszego syna, zanim ci odpowie.

–Ojcie – rzekł Abner, gdy zdołał wreszcie przezwyciężyć wrodzoną ociężałość i zdobyć się na śmiałe wystąpienie – my wszyscy, moi bracia i ja, właściwie już postanowiliśmy ruszyć na poszukiwania Azy.

–Cicho! – mruknął Abiram. – Chłopak zabił jelenia, a może bawołu i został przy nim do rana, aby odpędzić wilki. Zobaczymy go wkrótce albo usłyszymy, jak woła, żeby mu pomóc w dźwiganiu ciężaru.

–Mój syn nie będzie wzywał pomocy – powiedziała matka – gdy zechce dźwignąć na plecach jelenia lub poćwiartować bawołu! I to ty, Abiramie, opowiadasz takie historie. Ty, który sam powiedziałeś, że czerwonoskórzy kręcili się koło tego miejsca nie dalej jak wczoraj...

–Ja! – wykrzyknął brat Estery pośpiesznie, jakby chciał naprawić pomyłkę. – Powiedziałem to wtedy i mówię teraz, a wy zobaczycie, że miałem rację. Tetoni są w pobliżu i będzie wielkim szczęściem, jeśli chłopak zdoła im umknąć.

–Wydaje mi się – powiedział doktor Battius z powagą i godnością człowieka, który przemyślał gruntownie i pewien jest swego zdania – wydaje mi się... a choć nie bardzo się znam na symptomach zwiastujących pochod wojenny Indian, jestem przecież człowiekiem, który... nie będzie próżnością z mej strony, gdy powiem: który rozumie tajemnice przyrody...

–Mam już dosyć pańskiego doktorowania! – zawołała na-dąsana Estera. – Dość już pańskich szarlataństw w zdrowej rodzinie! Powiadam: koniec! Ja na przykład byłam całkiem zdrowa, a pan mnie poczęstował lekiem, który dotąd ciąży mi na języku zupełnie tak, jakby ktoś kolibrowi uwiesił na skrzydłach funtowy ciężarek.

–Czy ma pan jeszcze to lekarstwo? – drwiąco zapytał Iz-mael. – To musi być niezwykle lek, skoro języczek starej Estery, stał się mniej obrotny.

–Przyjacielu – odparł doktor dając zagniewanej małżonce Izmaela znak ręką, aby zachowała spokój – samo oskarżenie wypowiedziane przez zacną panią Bush jest dostatecznym dowodem, że lekarstwo nie było zdolne dokonać tego, co ona mu przypisuje. Ale mówmy o nieobecny chłopcu. Nie wiemy nic o jego losie i wysunięto propozycję, aby wyjaśnić te wątpliwości...

–Nie słuchajcie go, nie słuchajcie! – zawołała Estera zauważywszy, że reszta rodziny przysłuchuje się z uwagą.

–Doktor Battius chce powiedzieć – skromnie wtrąciła Ellen – że skoro niektórzy z nas myślą, iż Azie grozi niebezpieczeństwo, a drudzy są innego zdania, cała rodzina powinna poświęcić godzinę lub parę godzin na poszukiwania.

–To chce powiedzieć? – przerwała starsza kobieta. – W takim razie doktor Battius jest rozsądniejszy, niż myślałam. Ja

sama wezmę strzelbę i biada czerwonoskóremu, który wejdzie mi w drogę!

Gnuśnym synom Estery udzielił się jej nastrój, podobnie jak udziela się zapał wyrażony zwycięskim okrzykiem wojennym. Wszyscy powstali i jednogłośnie obwieścili, że popierają jej śmiałą decyzję.

–Kto chce zostać z dziećmi, niech zostaje – powiedziała – a ci, co mają odważne serca, niechaj idą za mną.

–Abiramie, nie możemy zostawić obozu bez opieki – szepnął Izmael, spoglądając w stronę wierzchołka skały.

Człowiek, do którego się zwrócił, drgnął i z niezwykłą skwa-pliwością odpowiedział:

–Ja zostanę i będę strzegł obozu.

Natychmiast odezwało się kilka głosów protestu. Domagano się, żeby Abiram wskazał miejsce, gdzie widział ślady wroga.

Izmael ofiarował urząd komendanta twierdzy doktorowi Bat-tiusowi, który jednak odrzucił ten wątpliwy honor, a uczynił to pośpiesznie i nieco wyniośle, spoglądając przy tym ze szczególnym jakimś wyrazem na Ellen. W tej sytuacji osadnik zmuszony był mianować kasztelanem Ellen, lecz powierzając jej ten ważny urząd, nie szczędził słów ostrzeżeń i pouczeń. Kiedy rozstrzygnięto ów wstępny problem, młodzieńcy zebrali się do przygotowywania środków obrony i znaków alarmowych, dostosowanych do sił i charakteru oddziału mającego strzec obozu. Na skraju najwyższego wzniesienia zgromadzono kupy kamieni, układając je w ten sposób, by słała Ellen i jej towarzyszki mogły w razie potrzeby zrzucić je na głowy napastnikom, którzy zmuszeni byłiby wdzierać się na skałę trudnym i wąskim przejściem, już przez nas opisanym. Nie poprzestając na przygotowaniu tej groźnej przeszkody, umocniono bariery, które stały się niemal nie do przebycia. Naszykowano mnóstwo drobniejszych pocisków, które rzucić mogła nawet ręka dziecka i które mogły okazać się bardzo niebezpieczne ze względu na wysokość skały. Gdy jeszcze na najwyższym szczycie ułożono stos suchych liści i trzasek, nawet ostrożny osadnik uznał, że twierdza może przetrzymać poważne oblężenie.

Skoro osądzono, że skała jest należycie zabezpieczona, grupa ludzi, którą można by nazwać oddziałem wypadowym, wyruszyła, nie bez pewnego lęku, na wyprawę.

Estera osobiście sprawowała

dowództwo. Ubrana w strój na wpół męski, uzbrojona podobnie jak reszta, nie wydawała się niestosownym przywódcą tej grupy dziwnie przyodzianych ludzi pogranicza, którzy powoli szli za nią.

–No, Abiramie – zawołała nasza amazonka, a głos jej był ochryply i chwilami piskliwy, co stanowiło prostą konsekwencję faktu, że często go nadwerężała, krzycząc zbyt głośno – no, Abiramie, idź za swym węchem, okaż się psem myśliwskim szlachetnej rasy i przynieś zaszczyt swojemu wychowaniu. To ty widziałeś ślady indiańskiego mokasyna, poucz więc innych o tym, co sam wiesz. Wysuń się naprzód i prowadź nas śmiało.

Brat jej, który żył, zdaje się, w nieustannym, acz zbawiennym strachu przed swą władczą siostrą, usłuchał i tym razem, ale z taką niechęcią, że wzbudził drwiny synów osadnika, choć byli to chłopcy niemrawi i nie odznaczali się bystrością. Jeden tylko Izmael obojętnie szedł wśród rosnących synów, jak gdyby niczego nie oczekiwał po tych poszukiwaniach i wcale mu nie zależało na ich powodzeniu. Oddział długo posuwał się naprzód, a daleka forteca coraz bardziej malała i chyliła się ku linii widnokrzęgu, aż wreszcie stała się niewyraźnym punktem na skraju prerii. Szli pośpiesznie i w milczeniu, bo wchodząc i schodząc wciąż z takich samych pagórków, nie dostrzegali ani jednego stworzenia zdolnego ożywić martwość krajobrazu. Milczała nawet Estera, choć ogarniał ją coraz silniejszy lęk. Wreszcie Izmael postanowił się zatrzymać.

Zdjął strzelbę z ramienia, oparł ją na ziemi i rzekł:

–Dosyć. Nie brak tu śladów bawołów i jeleni, ale gdzie są odciski stóp Indian, któreś widział, Abiramie?

–Dalej na zachód – odparł zapytany wskazując ręką kierunek. – Tu ujrzałem ślady jelenia, a dopiero po zabiciu go natrafiłem na szlak Tetonów.

–No i krwawą z tego zrobiłeś historię, człowieku! – zawołał osadnik. – Chodźcie, chłopcy. Mówię, że dosyć już tego. Za stary jestem na to, żebym nie potrafił odróżnić śladów na pograniczu i powiadam wam, że od czasu, gdy opadły wody, nie było tu żadnego Indianina. Chodźcie za mną, poprowadzę was tak, że nagrodą za trudy będzie przynajmniej mięso sarny.

–Chodźcie za mną! – zawołała jak echo Estera, wysuwając

się odważnie naprzód. – Ja dziś prowadzę i za mną pójdziecie! Bo powiedzcie sami, czy może być lepszy przewodnik niż matka, gdy trzeba znaleźć zagubione dziecko!

–Zacna i szlachetna pani Bush – rzekł doktor Battius – podobnie jak towarzysz pani życia, uważam, że jakiś ignis fatuus* wyobraźni zwiódł Abirama, jeżeli chodzi o znaki czy symptomy,

o których mówi.

–Sam pan jesteś symptomem! – przerwała mu wojownicza niewiasta. – Nie ma teraz czasu na słowa z książek i nie miejsce tu zatrzymywać się i łykać leki. Jeśli bolą pana nogi, powiedz to otwarcie, siądź sobie na prerii jak zgoniony pies i zażywaj odpoczynku.

–Zgadzam się z pani zdaniem – odpowiedział przyrodnik, dosłownie biorąc jej szydercze słowa, i usiadł spokojnie koło jakiegoś krzaka, okazji tamtejszej flory. Chcąc oddać nauce to, co był jej winien, zabrał się natychmiast do badania rośliny. – Cenię twoją doskonałą radę, pani Estero, jak pani sama widzi. Proszę iść na poszukiwanie swego dziecka, a ja się tu zatrzymam i zajmę się ważniejszymi poszukiwaniami, mianowicie odczytywaniem

tajemnic ksiąg przyrody.

W parę minut później cały orszak wspiał się na najbliższe wzgórze i zaczął schodzić po jego zboczu. Nagle u podnóża pagórka usłyszeli tupot nóg jakiegoś zwierzęcia, a w chwilę potem ujrzeni jelenia, który wspiał się na wzgórze i przemknął tuż przed nimi, biegnąc w stronę przyrodnika. Pojawienie się zwierzęcia było tak nagłe i nieoczekiwane, a ukształtowanie terenu tak bardzo sprzyjało jego ucieczce, że nim który z wędrowców zdążył podnieść strzelbę, jeleni znajdował się już daleko poza zasięgiem

strzału.

–Wypatrujcie wilka! – zawołał Abner kręcąc głową z niezadowolenia, że o sekundę za późno chwycił strzelbę. – Skóra wilka to niezła rzecz w zimowe noce. O, właśnie nadchodzi ten

wyglodzony diabeł.

–Stój! – krzyknął Izmael wytrącając strzelbę z ręki porywczemu synowi. – To nie

wilk, to pies myśliwski szlachetnej krwi! Ha! Mamy tu gdzieś blisko myśliwych: są dwa psy!

Nie skończył jeszcze mówić, gdy nadbiegły obydwaj psy. Pędziły tropem jelenia prześcigając się wzajemnie w szlachetnym zapale.

–To musi być jakiś silny zapach – rzekł Abner, który wraz z resztą rodziny ze zdziwieniem obserwował ruchy psów – skoro tak nagle sprowadził psy z ich szlaku.

Przez długą chwilę panowało milczenie, lecz w końcu osadnik przypomniał sobie o swej władzy i prawie kierowania czynami dzieci.

–Chodźcie stąd, chłopcy. Chodźcie i pozwólcie psom zawodzić ich piosenki dla własnej zabawy – powiedział Izmael najspokojniej, jak umiał. – Niegodziwością byłoby odbierać życie zwierzęciu dlatego tylko, że jego pan rozbił swe namioty zbyt blisko mojego wyrębu.

–Nie odchodźcie! – zawołała Estera tonem Sybilli*. – Powiadam, nie odchodźcie stąd, moje dzieci. To się nie dzieje bez powodu. To jest ostrzeżenie. Jakem kobieta i matka, muszę wiedzieć, co to znaczy.

Mówiąc te słowa żona osadnika wymachiwała w podnieceniu bronią. Wyraz jej twarzy podziałał na patrzących. Estera poprowadziła ich ku psom, których przeciągłe, żalosne skargi wypełniały powietrze.

–Powiedzcie mi, Abnerze, Abiramie, Izmaelu! – krzyknęła Estera, zatrzymując się w miejscu, gdzie ziemia była stratowana, zdeptana i zbryzgana krwią – powiedzcie mi, wy myśliwi, jakie zwierzę tu zabito? Mówcie! Jesteście mężczyznami i każdy z was umie dobrze rozróżniać ślady na prerii. Czy to jest krew wilka czy pantery?

–Bawół... był to wspaniały i wielki okaz! – powiedział osadnik, obserwując spokojnie złowieszcze znaki, których widok tak dziwnie poruszył jego żonę. – Te ślady wskazują, że tutaj zarył się w ziemię kopytami w śmiertelnej walce. Rzucił się naprzód i rwał nogami ziemię. Ach, to był byk wielkiej siły i odwagi.

–A któż go zabił? – dopytywała się Estera. – Człowiek? Gdzie więc są resztki? Wilki? One nie zjadają skóry? Powiedzcie mi, wy mężczyźni i myśliwi, czy to krew zwierzęcia?

Ignis fatuus (łac.) -błądny ogień.

Sybilla (gr.) – wieszczka w mitologii starożytnej.

–To stworzenie musiało się powlec za ten pagórek – rzekł Abner, który szedł z tyłu.
– O! tam je znajdziecie, w tej olszynie. Spójrzcie! Tysiąc żałobnych ptaków unosi się w tej chwili nad padliną.

–Zwierzę jeszcze żyje – odparł osadnik – gdyż inaczej mysołowy rzuciłyby się na swą ofiarę! Po zachowaniu się psów poznaję, że to zwierzę drapieżne. Pewnie biały niedźwiedź z górnych wodospadów. One podobno rozpaczliwie trzymają się życia.

–Ach, wracajmy! – powiedział Abiram. – To może być niebezpieczne, i nic dobrego nie wyniknie z atakowania dzikiego zwierzęcia. Pamiętaj, Izmaelu, to ryzykowne zadanie, a korzyść będzie niewielka.

Młodzi ludzie uśmiechnęli się na ten nowy dowód dobrze im znanej przezorności zbyt wrażliwego wujka. Najstarszy posunął się tak daleko, że dał wyraz swej pogardzie w grubiańskich słowach:

–Przyda się to zwierzę, wsadzi się je do klatki razem z tym drugim, które wozimy ze sobą. Będziemy mogli wtedy iść do osad i uchodzić za cyrkowców w sądach i więzieniach Kentucky.

Ponura, groźna zmarszczka na czole ojca ostrzegła młodzieńca, aby zamilkł. Wymienił z bratem buntownicze spojrzenie i uznał, że trzeba być cicho. Zamiast zachować ostrożność, którą doradzał Abiram, gromadka nasza szła naprzód, lecz zatrzymała się znów, znalazłszy się o parę jardów od splątanej gęstwiny.

I doprawdy przed oczyma ich roztaczał się obraz tak pełen dzikości i tak przerażający, że uczyniłby potężne wrażenie nawet na ludziach lepiej niż nieokrzesa rodzi osadnika przygotowanych, by oprzeć się wpływowi wstrząsającego widoku. Niebo, jak zawsze o tej porze roku, okrywały ciemne, szybko płynące chmury, a ponad nimi leciało nie kończącymi się stadami ptactwo wodne w uciążliwą, pełną trudu drogę ku dalekim wodom na południu. Zerwał się wiatr i znów szalał nad prerią, a jego podmuchom trudno się było oprzeć.

–Przywołajcie psy! – rzekła Estera. – Przywołajcie psy i puśćcie je w gąszcz.

Jeden z młodzieńców posłuchał, a gdy udało mu się odciągnąć psy od miejsca, wokół którego aż do tej chwili nieustannie biegały, poprowadził je na skraj zarośli.

–Puść je w zarośla, chłopcze, puść je w zarośla – mówiła kobieta – a jeżeli wypadnie stamtąd jakieś wstrętne lub krwiożercze stworzenie, to wy, Izmael i Abiramie, pokażcie, że władacie strzelbą jak ludzie pogranicza. Jeśli brakuje wam odwagi, to ja was zawstydzę, i to w obecności moich dzieci.

Młodzieńcy, którzy do tej pory wstrzymywali psy, wypuścili z rąk smycze i krzykiem zachęcili psy do ataku. Zdawało się jednak, że wyczucie czegoś niezwykłego hamowało starszego psa, a może zbyt doświadczony, by niebaczenie porwać się na niebezpieczną przygodę. Gdy przeszedł parę jardów i zbliżył się do skraju zarośli, nagle zatrzymał się, począł drżeć na całym ciele i stał w miejscu, niezdolny widocznie ani iść naprzód, ani się cofnąć.

–Czyż nie ma mężczyzny między mymi synami! – zawołała podniecona Estera. – Dajcie mi lepszą broń niż ta dziecinna strzelba, a pokażę wam, że kobieta pogranicza potrafi być odważna.

–Stój, matko! – krzyknęli Abner i Enoch. – Jeżeli koniecznie chcesz zobaczyć to stworzenie, pozwól, abyśmy przypędzili je tutaj.

Przygotowawszy broń z największą uwagą, spokojnie zbliżali się do zarośli. Gdy zbliżali się do krzaków, szczenie psów stawało się coraz bardziej przejmujące i żalosne.

Był to moment pełen napięcia i wszystka krew nieulękłej zazwyczaj Estery spłynęła jej nagle do serca, gdy ujrzała, że synowie rozsuwają poplątane gałęzie krzaków i zanurzają się w gęstwinę. Zapadła głęboka, uroczysta cisza, a potem podniosły się dwa okrzyki, jeden po drugim – głośnie, przeraźliwe. I znów zaległa cisza, jeszcze bardziej przerażająca i groźna!

–Wracajcie, wracajcie, dzieci! – zawołała kobieta, gdyż uczucia macierzyńskie owładnęły nią niepodzielnie. Lecz głos jej zamarł na ustach. Skamieniała z przerażenia i grozy, bo w tym samym momencie krzaki znów się rozchyliły i ukazali się dwaj młodzieńcy, bladzi, półżywi, i złożyli u jej stóp sztywne, nieruchome ciało zaginionego Azy, na którego bladej twarzy gwałtowna śmierć wycisnęła swe piętno.

Psy raz jeszcze przeciągle zawyły, a potem zerwały się i przepadły na zapomnianym szlaku jelenia. Stado ptaków zakolysało

napelniając powietrze skargą, że pozbawiono

sbSBSSKB3R=

ich żarłocznych apetytów.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rydel, łopata, rydel, łopata I całun, a potem cisza. Mogilna glina jak matka syna Już oczekuje przybysza.

"Pieśń grabarza"

Zatrzymajcie się, zatrzymajcie się wszyscy! – rzekła Estera ochryplym głosem do rodziny tłoczącej się zbyt blisko ciała zmarłego. – Ja jestem jego matką i mam do niego większe prawo niż wy wszyscy! Kto to uczynił? Powiedzcie mi, Izraelu, Abiramie, Abnerze! Otwórzcie usta i serca, niech przemówi przez was prawda boża. Kto popełnił ten krwawy czyn?

Mąż jej nie odrzekł nic. Stał wsparty na strzelbie, patrząc smutnym, choć spokojnym wzrokiem na pokaleczone ciało zabitego. Inaczej zachowała się Estera. Przypadła do ziemi, dźwignęła na kolana przeraźliwie zimną głowę zmarłego i długo wpatrywała się w twarz, której mięśnie wykrzywiały wciąż straszliwy grymas śmiertelnej męki. Milczenie matki wymowniejsze było nad wszelkie słowa rozpacz. Oniemiała z bólu. Daremnie Izrael usiłował pocieszać ją kilku niewyszukanymi słowy. Nie odpowiadała, nawet nie słuchała. Apatyczny zazwyczaj Abner usiłując przezwyciężyć dławiące go wzruszenie, rzekł:

–Matka chce, byśmy szukali śladów i wykryli, dlaczego zginął Aza.

–To sprawka przeklętych Siuksów! – odparł Izrael. – Dwukrotnie zaciągnęli u mnie dług. Za trzecim razem wyrównam rachunek.

Ale synów osadnika nie zadowoliło widać to na pozór słuszne tłumaczenie lub może w skrytości ducha pragnęli odwrócić się od widoku napelniającego ich spokojne zwykle serca niecodziennymi, niezwykłymi uczuciami, odeszli bowiem od zamordowane-

go i od matki i rozpoczęli poszukiwania, o które dopominała kilkakrotnie.

Abner i Enoch zgadzali się w swym opowiadaniu co do tego, w jakiej pozycji znaleźli

ciało Azy. Zmarły siedział prawie prosto, plecy wspierały się o gęstwą splątanych gałęzi, jedna ręka trzymała złamaną gałązkę olchy, i zapewne ta okoliczność sprawiła, że zwłoki nie stały się pastwą żarłocznych ptaków, które widziano kołujące nad prerią, a jednocześnie stanowiła dowód, że gdy nieszczęsny chłopak znalazł się w olszynie, życie nie wygasło w nim jeszcze. Wszyscy podzielali teraz przekonanie, że młodzian otrzymał śmiertelną ranę na otwartej prerii i przywłókł osłabłe ciało w krzaki, szukając osłony i schronienia. Potwierdza to szlak, widoczny w zaroślach. Z badania śladów wynikało również, że na samym skraju zagajnika ranny stoczył ostatnią walkę. Świadczyły o tym podeptane gałęzie, głębokie odciski stóp na wilgotnej ziemi i obfite nacieki krwi.

–Strzelano do niego na otwartej przestrzeni i tutaj szukał schronienia – rzekł Abiram. – Ślady dowodzą tego jasno. Chłopca napadła banda Siuksów. Walczył jak bohater. Był bohaterem. W końcu Indianie pokonali go i zaciągnęli w krzaki.

Jeden tylko głos nie poparł tej opinii. Był to głos powoli myślącego Izmaela, który domagał się, aby obejrzeć zwłoki w celu dokładnego zbadania, jakie rany odniósł chłopiec. Przy oględzinach okazało się, że kula ze strzelby przebiła na wskroś ciało wszedłszy poniżej potężnej łopatki i wyszła przez klatkę piersiową. Ustalenie tego trudnego do zdecydowania problemu wymagało znajomości ran postrzałowych, lecz w tej dziedzinie doświadczenie naszych kresowców dorównywało ich sztuce badania śladów. Uśmiech dzikiego, niewątpliwie osobliwego zadowolenia rozjaśnił twarze synów Izmaela, gdy Abner z wielką pewnością siebie orzekł, że wrogowie Azy strzelali do niego z tyłu.

–Musiało tak być – powiedział posępny, lecz baczny na wszystko osadnik. – Potomek naszego rodu nie mógł zwrócić się świadomie bezbronną stroną do człowieka czy zwierzęcia, zwłaszcza że ćwiczyłem go w tych rzeczach.

–Patrzcie! – przerwał Enoch wyplątując ze strzępów ubrania kawałek ołowiu, który pozbawił sił junaka. – Oto jest kula.

Izmael wziął ją do ręki i przypatrywał się długo i bacznie.

–Na pewno się nie mylę. Niemożliwe, bym się mylił – wy-nruczał wreszcie przez zaciśnięte zęby. – To jest kula z mieszka 'ego przeklętego trapera. Podobnie jak inni myśliwi, używa zna-!7onych kul, by móc poznać dzieło swojej strzelby. Oto widzicie wyraźnie znak: sześć małych dziurek na krzyż.

–Mogę przysiąc na to! – krzyknął triumfalnie Abiram. – Pokazywał mi swoje znaki i przechwalał się, ile jeleni powalił tymi kulami na prerii. Teraz, Izmaelu, uwierzysz chyba, gdy powiem, :e ten stary łotr jest szpiegiem czerwonoskórych.

Ołów przechodził z ręki do ręki. Na nieszczęście dla reputacji trapera paru młodzieńców przypomniało sobie, że widzieli te znaki na kulach starca, gdy kierowani ciekawością oglądali jego ekwipunek. Oprócz tej jednej rany znaleziono na ciele Azy inne, mniej niebezpieczne, które potwierdzały, w ich opinii, winę trapera.

Między miejscem, gdzie po raz pierwszy połała się krew, a zagajnikiem, do którego – jak teraz wszyscy przypuszczali – Aza wycofał się szukając schronienia, znaleziono ślady wielu starc. Wskazywało to jako dowód słabości mordercy, który dlatego tylko tak długo nie mógł zabić swej ofiary, że siły młodzieńca nawet w chwili śmierci czyniły go groźnym przeciwnikiem dla zgrzybiałego starca. Broni zmarłego nie można było znaleźć, gdyż niewątpliwie stała się łupem zwycięzcy, łącznie z wieloma innymi, mniej wartościowymi drobiazgami, które chłopiec zwykł nosić przy sobie.

Okolicznością, która najniezawodniej i najsilniej – poza tak wiele mówiącą kulą – zdawała się oskarżać trapera o popełnienie tego okrutnego czynu, były znaki na szlaku. Świadczyły one, że ranny młodzieniec, choć już ugodzony śmiertelnie, był jeszcze 'dolny stawiać długi i zaciekły opór dalszym atakom mordercy, l-.mael podkreślał ten fakt ze smutkiem, lecz również i z dumą; smutkiem ze straty syna, którego wysoko cenił, gdy panowała między nimi zgoda, dumą z odwagi i siły, jakie syn okazywał do końca, do ostatniego tchnienia.

–Umarł, jak przystało memu synowi – powiedział osadnik, najdując jakąś wzniosłą pociechę w tym nienaturalnym trium-

le. – Chodźcie, dzieci, musimy najpierw wykopać grób, a potem

iukać mordercy.

Synowie osadnika w milczeniu i smutku przystąpili do żałobnego dzieła. Gdy ciało zmarłego przykryto dostatecznie grubą warstwą ziemi, by mogła stanowić ochronę zwłok, Enoch i Abner zeszli do mogilnego dołu i ciężarem swych potężnych ciał ugniatali ziemię na twardą masę, a twarze ich wyrażały dziwną, by nie powiedzieć dziką, mieszaninę troski i obojętności. Ten dobrze znany sposób zabezpieczenia grobu zastosowano, aby zapobiec szybkiemu wykopaniu ciała przez żarłoczne zwierzęta prerii, które instynkt niezawodnie przywiedzie w to miejsce.

Izmael skrzyżowawszy ramiona stał i ze spokojem patrzył, jak synowie wywiązują się ze smutnego obowiązku, a gdy skończyli, zdjął czapkę z głowy dziękując im za usługi z godnością, jaka przystałaby nawet człowiekowi o wiele bardziej kulturalnemu. Następnie wziął żonę za rękę, i rzekł do niej głosem, który brzmiał zupełnie spokojnie, choć baczny obserwator zauważyłby, że był nieco łagodniejszy niż zwykle.

–Estero, uczyniliśmy wszystko, co jest w mocy mężczyzny i kobiety. Daliśmy życie temu chłopcu, wychowaliśmy go na młodzieńca, który na całym pograniczu Ameryki niewiele znalazłby sobie równych, i złożyliśmy go do grobu. A teraz odejźmy.

Kobieta oderwała z wolna wzrok od świeżej mogiły i położywszy ręce na ramionach męża przez długą chwilę patrzyła mu niespokojnie w oczy, aż wreszcie rzekła głębokim, przejmującym, zdławionym głosem:

–Izmaelu! Izmaelu! Rozstałeś się z synem w gniewie!

–Niech mu Pan przebaczy grzechy, jako ja mu wybaczyłem najcięższe wykroczenia – spokojnie odpowiedział osadnik.

Gdy doszli do szczytu wzgórza, do najdalszego miejsca, skąd – jak wiedzieli – można jeszcze było dostrzec grób Azy, wszyscy, jak umówieni, odwrócili się, by spojrzeniem pożegnać mogiłę. Małego pagórka nie było już widać, ale jego położenie wskazywały wyraźnie, w jakże straszliwy sposób, stada skrzeczących ptaków, unoszących się nad mogiłą. W przeciwnym kierunku, na skraju horyzontu, ukazało się niskie, błękitne wzgórze, gdzie Estera pozostawiła resztę dzieci, i stało się siłą przyciągającą jej kroki, tak niechętnie oddalające się od miejsca ostatniego spoczynku najstarszego syna. Na ten bowiem widok zgodnie z naturą uczucia odezwały się w sercu matki i ostatecznie uznała,

że prawa umarłego muszą ustąpić wobec naglących potrzeb żywych dzieci.

Opisane wydarzenia wykrzesaly iskry uczucia w surowych duszach istot tak osobliwie skostniałych w swym na wpół barbarzyńskim życiu. Dzięki tej iskrze znowu rozpalil się w nich przygasający żar rodzinnego przywiązania. Ponieważ synów nie łączyło z rodzicami nic prócz węzłów, jakie stworzyło przyzwyczajenie, istniało, jak przewidywał Izmael, niebezpieczeństwo, że przepelniony ul szybko się wyroi, a on pozostanie sam, obarczony troską o małe, bezradne dzieci i nie będą go już wspierali ci, których zdołał doprowadzić do dojrzałości. Duch nieposłuszeństwa, który promieniował z nieszczęsnego Azy, szerzył się wśród jego młodszych braci, w bolesny sposób przypominając osadnikowi ów czas, gdy w beztrosce młodości i siły, pragnąc wejść w świat nieskrępowany i wolny, odtrącił od siebie starzejących się i słabych rodziców i odwrócił w ten sposób porządek istniejący wśród zwierząt. Teraz niebezpieczeństwo odejścia synów zostało zażegnane, przynajmniej na jakiś czas, i jeśli nawet Izmael nie odzyskał w pełni swej władzy, w każdym razie widoczne było, że jest ona uznawana i wpływ jej utrzyma się w najbliższej przyszłości.

W takim nastroju nasza gromadka dążyła ku miejscu, skąd rano wyruszyła na poszukiwania, uwieńczone tak smutnym rezultatem. Długi i daremny marsz pod przewodnictwem Abirama, znalezienie ciała zmarłego i pogrzeb, wszystko to zajęło tyle czasu, że gdy znów zaczęli przemierzać krokami rozległą i pustą płaszczyznę, leżącą między grobem Azy a skałą, słońce już się chyliło ku zachodowi. W miarę jak się zbliżali, góra wznosiła się coraz wyżej, jak wieża wynurzająca się z łona oceanu, a gdy podeszli na odległość mili, niewyraźnie zarysowało się przed ich oczyma wszystko, co było na jej szczycie.

–Smutne to będzie powitanie dla dziewcząt – rzekł Izmael, który od czasu do czasu z rozmysłem rzucał słowa mające przynieść ukojenie udręczonej duszy małżonki. – Dzieci bardzo lubiły Azę, a rzadko zdarzało się, by powracając z łowów nie przyniósł czegoś, co sprawiało im przyjemność.

–Tak, to prawda – szepnęła Estera. – Chłopiec był dumą naszej rodziny. Inne dzieci ani się umywają do niego.

–Nie mów tak, moja droga – odparł ojciec, z pewną dumą

–Preria

spoglądając na idącą niedaleko za nim grupę atletycznych młodzieńców. – Nie mów tak, staruszko, bo niewielu ojców i matek ma większe powody do dumy.

–Do wdzięczności – szepnęła pokornie kobieta. – Chciałeś powiedzieć do wdzięczności, Izmaelu.

–Niech będzie do wdzięczności, skoro wolisz to słowo, moja kochana... Ale co stało się z Nelly i małymi! Dziewczyna zapomniała o rozkazie i nie tylko pozwoliła małym zasnąć, lecz, zapewniam cię, sama w tej chwili śni o polach Tennessee. Coś mi się zdaje, że życie w osadach stale zaprzęta myśl twej bratanicy.

–Tak,1 ona nie dla nas. Powiedziałam to i myślałam tak, zabierając ją do nas, gdy straciła najbliższych krewnych. O, czegoż nie robi śmierć z rodzinami, Izmaelu! Aza żywił serdeczne uczucia dla tego dziecka, i może kiedyś zajęliby nasze miejsce, gdyby nie było pisane inaczej.

–Nie, nie byłaby to dobra żona dla kresowca, gdyby tak pilnowała domu w czasie nieobecności męża, który poszedł na łowy. Abner, strzel no, niech się dowiedzą, że wracamy. Obawiam się, że Nelly i dzieci śpią.

Młodzieniec spełnił polecenie z żywością świadczącą, że bardzo chciałby ujrzeć krągłą, energiczną postać Ellen na pustym, poszarpanym szczycie skały. Lecz strzał nie wywołał żadnego znaku, żadnej odpowiedzi. Przez chwilę cała rodzina trwała w niepewności, wyczekując, a potem wspólny impuls nakazał wszystkim jednocześnie dać ognia. Potężny huk, jaki się rozległ, musiał dobiec uszu każdego, kto znajdował się w tak niewielkiej odległości.

–No, nareszcie się zjawiają! – zawołał Abiram, który należał do tych osób, co to pierwsze spostrzegają, że sytuacja się wyjaśnia i pierzchają złe przeczucia.

–To sukienka powiewa na sznurze – rzekła Estera – sama ją tam powiesiłam.

–Masz rację, ale teraz idzie Ellen! Dziewczyna szukała wygod w namiocie!

–Nie, nie – powiedział Izmael, a jego nieugięte zazwyczaj rysy zdradzać zaczęły straszliwy niepokój. – To namiot powiewa na wietrze. To niemądre dzieciaki rozluźniły sznurki na dole, i namiot sfrunie, jeśli go nie przytrzymają.

Zaledwie wypowiedział te słowa, gwałtowny poryw wiatru przeleciał nad nimi, wznosząc na swej drodze tumany kurzu, a potem, jak gdyby prowadzony jakąś władcą ręką, porzucił ziemię i wdarł się na to właśnie miejsce, w którym wszyscy utkwili oczy. Rozluźniona lina poruszała się pod tym naporem, lecz nie ustąpiła. Na chwilę wiatr się uspokoił. Potem chmura liści zawirowała nad namiotem i opadła w dół szybko jak jastrząb, następnie popłynęła nad prerią długą, prostą smugą, jak klucz jaskółek unoszący się na rozpostartych skrzydłach.

Za liśćmi frunął śnieżnobiały namiot, wkrótce jednak spadł za skałę. Jej wierzchołek znów był taki nagi, jak wówczas gdy na otaczającej go prerii nie widziało się ludzi.

–Ci mordercy tu byli! – jęknęła Estera. – Moje dzieci! Moje dzieci!

Nawet Izmael ugiął się pod ciężarem tego nieoczekiwanego ciosu. Wstrząsnął się jak przebudzony lew, rzucił naprzód i odtrącając na bok przeszkody z kłód, jakby to były piórka, wdarł się na szczyt z impetem, który dowodził, jak groźne stać się mogą takie ospałe natury, gdy coś gwałtownie je poruszy.

ROZDZIAŁ C Z TERNASTY

Po czyjej stronie są teraz mieszczanie?

*. "Król Jan"

Aby wątki naszej powieści rozwijały się równomiernie, należy powrócić do wypadków, jakie nastąpiły, gdy obóz znajdował się pod strażą Ellen.

Przez parę godzin serdeczna i sumienna opiekunka zajęta była jedynie spełnianiem próśb swych młodszych towarzyszek, które z bezmyślnym dziecięcym egoizmem wciąż kapryśnie domagały się, by zaspokoiła ich głód, pragnienie i inne nigdy się nie kończące potrzeby wieku dziecięcego. Wymagało to wiele czasu i cierpliwości. W pewnym momencie udało się jednak Ellen zbiec przed natarczywością dziatwy i wśliznąć się do namiotu. Usługiwała osobie godniejszej jej serdeczności i starań, lecz po chwili krzyk opuszczonych dzieci przypomniał dziewczynie o zaniedbanych obowiązkach.

–Patrz, Nelly, patrz! – krzyknęło z przejęciem kilka głosików, gdy dziewczyna znalazła się znów wśród dziatwy. – Tam są jacyś ludzie, Fabe mówi, że to Indianie, Siuksowie!

Ellen zwróciła spojrzenie w kierunku wskazanym przez kilka rąk. Ku swemu zdumieniu i przerażeniu dostrzegła paru mężczyzn szybko idących wprost ku skale.

Policzyła nadchodzących, było ich czterech, ale wygląd tych ludzi powiedział jej tylko jedno: że nie ma wśród nich nikogo, kto miałby prawo wejść do for-; tency. Był to dla Ellen straszliwy moment. Z rumieńcem na twarzy i ogniem w oczach zaczęła obmyślać obronę i przygotowywać | skromne środki będące w jej dyspozycji. Chociaż znacznie górowała nad dziewczętami odwagą, wpływającą z pobudek moral-

nych, ustępowała jednak dwóm najstarszym córkom Estery pod względem obojętności na niebezpieczeństwo, która również stanowi zaletę wojownika.

Grupa nieznanymi znajdowała się już w odległości ćwierci mili od skały. Może dlatego, że zawsze zwykli posuwać się ostrożnie, a może ze względu na groźną postawę obrończyń, które wystawiły lufy dwu starych muszkietów poza kamienne obwarowanie¹, przybysze zatrzymali się w miejscu, gdzie teren się nieco za-ję. i ciał, a bujniejsza niż gdzie indziej trawa mogła służyć za osłonę. Stamtąd bacznie obserwowali fortecę przez kilka minut, które Ellen dłużyły się w nieskończoność. Potem jeden wysunął się naprzód. Widoczne było, że występuje raczej w charakterze posła ni/, napastnika.

"Febe, czy strzelasz..." i "Nie, Hetty..." – doleciało do nieco przestraszonych, lecz pełnych wojennego zapału córek osadnika. Ellen, aby uchronić nadchodzącego przed groźącym niebezpieczeństwem, a przynajmniej oszczędzić mu niepotrzebnego strachu, zawołała:

–Opuśćcie muszkiety. To doktor Battius!

Podwładne posłuchały jej o tyle, że zdjęły palce z cyngla. (! różne lufy nie zmieniły jednak pozycji. Wtedy przyrodnik, który posuwał się bardzo ostrożnie, by zauważyć, w porę każdy nieprzyjazny ruch garnizonu twierdzy, wzniosł w górę rewolwer /. zawieszoną na nim chusteczką i zbliżył się na odległość umożliwiającą prowadzenie rozmowy. Następnie, przybierając postawę, która w jego mniemaniu świadczyła, iż obdarzony jest władzą i dostojeństwem, zawołał tak głośno, że słyhać go było znacznie ilalej, niż wymagały okoliczności:

–Hej, tam! Wzywam was wszystkich w imieniu Konfederacji Zjednoczonych Niezawisłych Stanów Ameryki Północnej do poddania się prawu!

–Doktor czy nie doktor, to jest wróg, Nelly. Słuchaj, słuchaj, on mówi o prawie!

–Stać! Czekaście, aż usłyszę, co on powie! – zawołała Ellen prawie bez tchu, odtrącając na bok niebezpieczną broń, która ponownie została wymierzona w kurczącą się ze strachu osobę posła.

–Upominam was i ostrzegam – mówił wylęknięty dok-

tor – że jestem spokojnym obywatelem wymienionej Konfederacji, popieram zasadę umowy społecznej, jestem zwolennikiem porządku i przyjaźni... – spostrzegłszy, że niebezpieczeństwo jest, przynajmniej chwilowo, zażegnane, zaczął znów krzyczeć nieprzyjaznym głosem -...wzywam was przeto, abyście poddali się prawu!

–A ja myślałam, że pan jest naszym przyjacielem – odparła Ellen – i że podróżuje pan z moim wujem na zasadzie umowy...

–Ta umowa jest nieważna. Oszukano mnie co do samych założeń, ogłaszam zatem pakt, zawarty pomiędzy Izmaelem Bu-shem, osadnikiem, a Obedem Battiusem, doktorem medycyny, za niebyły i nieprawomocny. Odłóżcie więc broń palną i posłuchajcie upomnień rozumu. Nelly, żywię dla twojej osoby przyjazne uczucia. Posłuchaj więc tego, co mam ci powiedzieć, i nie zatykaj uszu szukając złudnego spokoju. Znasz charakter człowieka, z którym podróżujesz, dziewczyno, i rozumiesz, na jakie niebezpieczeństwo naraża cię przebywanie w tak złym towarzystwie. Wyrzeknij się więc błahej przewagi, jaką daje ci twoja sytuacja, i poddaj w spokoju skałę woli tych, co mi towarzyszą... żądam tego w imieniu zarówno siły, jak sprawiedliwości i... rozumu.

–Niezupełnie rozumiem to, co pan mówi, doktorze – odparła spokojnie, gdy skończył – ale jestem pewna, że skoro pan żąda, abym zawiadła pokładane we mnie zaufanie, to nie powinnam wcale tych słów słuchać. Ostrzegam, proszę nie próbować przemocy, bo cokolwiek bym sama chciała uczynić, otacza mnie, jak pan widzi, siła, która może wziąć górę nade mną. Wie pan, a przynajmniej powinien pan zdawać sobie sprawę, że w takich wypadkach nie wolno igrać z Bushami, choćby to były małe dziewczynki.

–Znam trochę ludzką naturę – odparł przyrodnik, przezornie ustępując nieco ze swej pozycji, choć dotychczas udawało mu się mężnie trwać na posterunku u stóp skały – ale teraz nadchodzi ktoś, kto zna jej tajemnice jeszcze lepiej ode mnie.

–Ellen! Ellen Wadę! – zawołał Paweł Hover – nie spodziewałem się znaleźć w tobie wroga!

–Nie znajdziesz we mnie wroga, jeżeli prosić będziesz o to, co dać ci mogę bez zdradzenia kogokolwiek i narażenia się na wstyd. Wiesz, że wuj powierzył swą rodzinę mojej opiece. Czy aż

– tak mam zawieść jego zaufanie, żeby wpuścić tu jego najgorszych wrogów, którzy pewnie pomordują jego dzieci i obrabują go do reszty z tego, czego nie zabrali mu Indianie!

–Czyż ja jestem mordercą... czy ten starzec, ten oficer Stanów... – tu wskazał na trapera i na swego nowego przyjaciela, którzy znaleźli się tymczasem u jego boku – wyglądają na to, że mogliby uczynić to, o czym mówisz?

–Czegóż więc ode mnie chcecie?! – zawołała Ellen załamując ręce w rozterce i niepewności.

–Bestii! Ani mniej, ani więcej, tylko po prostu ukrywanej przez osadnika dzikiej i niebezpiecznej bestii!

–Zacna młoda pani... – zaczął nieznajomy, który tak niedawno spotkał się z traperem i bartnikiem w prerii. Natychmiast jednak przerwał, traper bowiem dał mu znak nakazujący milczenie, a potem szepnął cicho do ucha:

–Niechaj chłopak mówi za nas. Naturalne uczucia odezwą się w sercu tego dziecka, a uzyskamy to, czego chcemy.

–Ellen, już cała prawda wyszła na wierzch – mówił dalej Paweł. – Wykryliśmy nikczemne postęпки osadnika, tak skrzętnie przez niego ukrywane. Przybyliśmy, aby naprawić krzywdę i oswobodzić uwięzioną; jeżeli bije w tobie odważne serce, o czym ni[^]dy nie wątpię, przyłączysz się do ogólnego odlotu i pozostawisz ul Izmaela pszczołom jego własnego rodu.

–Złożyłam uroczystą przysięgę...

–Ugoda zawarta w nieświadomości rzeczy albo pod przymusem jest, zdaniem wszystkich moralistów, nieważna! – zawołał doktor.

–Cicho, cicho – szepnął znowu traper – pozostawmy to naturze i temu chłopcu!

–Przysięgłam na imię Tego, który stworzył wszystko, cokol-wiek jest dobrego czy to w obyczajach, czy religii – mówiła podniecona Ellen – że nigdy nie zdradzę, co kryje namiot, ani nie linpomogę uciec uwięzionej. Obydwie złożyłyśmy uroczyste i straszliwe przysięgi. Zapewne w nagrodę za tę obietnicę zostawiono nas przy życiu. To prawda, że znacie już ten sekret, ale myśmy się <k> tego nie przyczyniły. Nie wiem, jak bym się mogła usprawiedliwić, gdybym zachowała obojętność wtedy, gdy chcecie przemo-aj zawładnąć siedzibą wuja.

–Czyż tylko tę przysięgę złożyłaś, Ellen – mówił Paweł, a ton jego głosu był smutny i pełen wyrzutu, jeżeli się zważy, że należał do wesołego, lekkomyślnego bartnika. – Czy tylko to przysięgałaś? Czyż słowa, które mówi osadnik, mają być dla ciebie miodem, a wszystkie inne przypomnienia tylko bezużytecznym pustym plastrem?

Na policzki Ellen, zazwyczaj rumiane, a w czasie tej rozmowy pokryte bladością, wstąpiła nagle ognista łuna, widoczna nawet z odległości, w jakiej znajdował się Paweł. Dziewczyna zawahała się przez chwilę, a potem odpowiedziała z wrodzoną żywością:

–Zupełnie nie wiem, kto może mieć jakiegokolwiek prawo, aby mnie pytać o przysięgi i przyrzeczenia. Obchodzić one mogą tylko osobę, która je złożyła, o ile w ogóle coś takiego, o czym wspomniałeś, zaszło istotnie. Nie będę dłużej rozmawiać z kimś, kto tak wiele myśli o samym sobie i radzi się tylko własnych uczuć.

–Widzisz, moje dziecko – powiedział traper, dobrodusznie interweniując na rzecz Pawła – powinnaś wziąć pod uwagę, że młodość jest porywczą i niezbyt skłonna do namysłu. Ale przecież przyrzeczenie jest przyrzeczeniem, nie można go wyrzucić i zapomnieć o nim, jak to się robi z kopytami i rogami bawołu.

–Dziękuję panu za przypomnienie mi o mojej przysiędze !- rzekła wciąż jeszcze urażona Ellen, przygryzając gniewnie dolną wargę pięknych ust. – Mogłoby się okazać, że zapomniałam o niej.

–Ellen! – zawołał młody nieznajomy, który dotąd był jedynie uważnym słuchaczem tej dysputy. – Musi pani chyba przyznać, że choć sam nie jestem związany przysięgą, ja przynajmniej umiem szanować przysięgi innych. Jesteś pani świadkiem, że nie wołałem ani razu, choć pewien jestem, że głos mój dotarłby do uszu osoby, którą by bardzo ucieszył. Niech więc pani pozwoli mi wejść na skałę. Przyrzekam hojną rekompensatę wujowi za wszelki uszczerbek w jego dobytku.

Ellen zdawała się wahać, ale gdy spojrzenie jej padło na Pawła, który wsparty dumnie na strzelbie, z wyrazem zupełnej obojętności gwizdał melodię żeglarskiej piosenki, przypomniała sobie w porę o przysiędze i odpowiedziała:

–Ustanowiono mnie komendantem tej skały na czas, gdy

wuj i jego synowie polują, i pozostanę komendantem, aż wróci i sam obejmie z powrotem to stanowisko.

–To jest marnowanie chwil, które mogą nigdy nie wrócić, i zaniebywanie okazji, jaka może się już nie powtórzyć – z powagą powiedział młody żołnierz. – Słońce zaczyna już zachodzić i wkrótce osadnik i jego dzicy synowie wrócą do szałasów.

Doktor Battius rzucił za siebie niespokojne spojrzenie i włą-c/ył się do rozmowy.

–Doskonałość znajduje się w dojrzałości, i to zarówno gdy rhodzi o świat zwierzęcy, jak i o świat rozumny. Refleksja jest matką mądrości, a mądrość rodzicem powodzenia. Proponuję zatem, abyśmy wycofali się na stosowną odległość od tej twierdzy nic do zdobycia i tam odbyli naradę, czyli konsylium, zastanawiając się nad metodą oblężenia lub też może odłożenia go na stosowni ej szą porę, w celu zdobycia pomocy z zaludnionych części kraju i uchronienia majestatu prawa przed zniewagą.

–Atak będzie czymś bardziej skutecznym – odpowiedział / uśmiechem żołnierz, mierząc jednocześnie uważnym spojrzeniem wysokość skały i oceniając przeszkody. – W najgorszym razie ktoś będzie miał złamane ramię albo potłuczoną głowę.

–A więc naprzód! – krzyknął porywczy bartnik i skoczywszy znalazł się w bezpiecznej pozycji, pod występem skały, na której umieścił się garnizon pod komendą Ellen. – No, pokażcie teraz, '•<> umiecie, przekłete diabłątka! Macie tylko jedną chwilę na swe Mirgodziwości!

Pawle, lekkomyślny Pawle! – krzyknęła Ellen. – Jeszcze i'den krok, a kamienie cię zdruzgocą! Wiszą niemal na nitce, i dziewczęta są gotowe je spuścić!

A więc odpędź ten przekłety rój z ula, bo ja się wedrę na ikułę, choćby ziemia pokryta była trutniami!

–Niechaj się tylko ośmieli! – szyderczo zawołała najstarsza ' dziewcząt, wymachując muszkietem z miną tak zuchwałą, że nie przyniosłoby to wstydu nawet jej nieustraszonej matce. – Ja cienie znam, Nelly Wadę! Sercem jesteś z tymi tam prawnikami! Je-!cli zejdziesz choć o stopę niżej, ukarzymy cię, jak karzą na po-!(runiczu. Wsadźcie jeszcze jeden drąg, dziewczęta. Chciałabym ubaczyć tego odważnego mężczyznę, co-się ośmiela wchodzić do !ibozu Izmaela Busha nie pytając jego dzieci o pozwolenie!

–Pawle! Nie ruszaj się, jeśli ci życie miłe! Nie wychodź spod skały!

Przerwała jej ta sama jasna zjawa, która poprzedniego dnia uspokoiła inny, niewiele mniej groźny zamęt, ukazawszy się na tym samym niebezpiecznym szczycie, na którym teraz ją ujrzano.

–W imię Boga, który włada światem, zaklinam was, przestańcie! I wy, co tak szaleńczo narażacie się na niebezpieczeństwo, i wy, co tak porywczo odebrać chcecie to, czego nigdy nie będziecie mogli zwrócić! – powiedział słodki, błagalny głos o lekko cudzoziemskim akcencie.

Natychmiast oczy wszystkich skierowały się w górę.

–Inez! Inez! – zawołał oficer. – Czyż naprawdę cię widzę! O, będziesz teraz moją, choćby milion diabłów strzegło tej skały! Posuń się, mój dzielny leśniku, i zrób miejsce dla mnie!

Nagle pojawienie się nieznanym z namiotu wywołało na chwilę osłupienie wśród obrońców skały. Ale nie sądzone było, by się ten nastrój pogłębił. Usłyszawszy głos Middletona zdumiona Febe wystrzeliła z muszkietu do owej postaci kobiecej, nie bardzo wiedząc, czy godzi na życie istoty śmiertelnej, czy też strzela do zjawy z innego świata. Ellen wydała okrzyk grozy i skoczyła do namiotu za swoją przerażoną czy też zranioną przyjaciółką.

W czasie gdy na górze rozgrywało się to groźne intermezzo, z dołu dobiegały bardzo wyraźne odgłosy świadczące o rozpoczęciu poważnego ataku. Paweł korzystając z zamieszania przesunął się nieco, robiąc miejsce dla Middletona. Za oficerem przybiegł przyrodnik, który, w stanie zamętu umysłu spowodowanego strzałem z muszkietu, instynktownie szukał schronienia pod skałami. Traper pozostał w miejscu, gdzie go ostatnio widziano, jako niewzruszony, lecz uważny obserwator rozgrywających się wydarzeń. Choć osobiście nie chciał brać udziału w działaniach nieprzyjacielskich, był jednak bardzo użyteczny. Pozycja, którą zajmował, pozwalała mu informować przyjaciół, znajdujących się pod występem skały, o ruchach tych osób, które stojąc nad nimi planowały ich zgubę. Mógł więc w ten sposób kierować atakiem.

Tymczasem dzieci Estery okazały się, że żyje w nich duch ich nieustraszonej matki. Głuche pozostały również na wołanie trapera, wzywającego je, by zaprzestały oporu, który może okazać się bardzo niebezpieczny dla nich samych, a nie daje im najmniejszej

szansy zwycięstwa. Zachęcając się wzajemnie do wytrwania, ustaliły we właściwej pozycji odłamki skały, przygotowały mniejsze pociski do natychmiastowego użytku i pochyliły naprzód lufy muszkietów w sposób fachowy i z taką zimną krwią, że przyniosłoby to zaszczyt mężczyznom, z dawna zaprawionym w rzemiośle wojennym.

–Schowaj się pod występ – powiedział traper wskazując Pawłowi, jak ma to zrobić. – Wsuń głębiej stopę, chłopcze... I owszem, dziewczęta, strzelajcie, moje stare uszy przywykły do świstu ołowiu. I nie mam powodu, aby się okazać tchórzem dźwigając osiemdziesiąt lat na karku.

Potrząsnął głową ze smutnym uśmiechem, lecz nie drgnął mu ani jeden muskuł twarzy, gdy kula, posłana przez zrozpaczoną Hetty, przeleciała tuż koło niego.

–Bezpieczniej jest stać w miejscu niż ruszać się, gdy słaba!t;ka ciągnie za cyngiel – mówił dalej. – Smutne to jednak, gdy widzi się na osobie tak młodej dziewczyny, jak skłonna jest do /tego ludzka natura. Doskonałeś to zrobił, zbieraczu zwierząt i roślin! Jeszcze jeden taki skok, a będziecie się mogli śmiać ze wszystkich zapór i przegród, jakie postawił osadnik. O, i w doktorze zagrała krew. Widzę w jego spojrzeniu, że pokaże nam teraz io.ś nadzwyczajnego.

Choć traper nie pomylił się co do stanu ducha, w jakim znajdował się doktor Battius, był w wielkim błędzie co do przyczyn |i'Kr<> podniecenia.

Gdy przyrodnik wspinał się mozolnie na szczyt skały, naśladowując ruchy towarzyszy i zachowując najdalej posuniętą ostrożność, serce jego pełne było udręki. Nagle spostrzegł nieznaną ro-lmc, rosnącą w miejscu odległym o kilka jardów, lecz bardziej u/, inne narażonym na grad pocisków, którymi dziewczęta praży-iv napastników. Od razu zapomniał o wszystkim i myśląc jedynie

•chwale, jaka spłynie na tego, kto pierwszy wzbogaci przyrodni-•'<' katalogi tym klejnotem, z chyżością wróbla spadającego na notyle skoczył naprzód, by zobaczyć tę nagrodę. Kamienie, które

|ncmal w tej samej chwili runęły z hukiem na dół, były dowodem,

•• tfo dostrzeżono, a ponieważ postać jego okryła chmura piasku drobnych kamyczków, lecących śladem gwałtownie ciśniętych ucisków, trapjgr sądził, że doktor Battius zginął. Wkrótce jed-

nak ujrzał przyrodnika, siedzącego bezpiecznie w grocie utworzonej przez odłamki skały, które wysunęły się naprzód skutkiem wstrząsu. W rękę trzymał triumfalnie zdobycz, ową roślinę, i pożerał ją spojrzeniem pełnym zachwytu, a z pewnością i wiedzy. Paweł skorzystał z okazji. Szybko jak myśl zmienił kierunek i znalazł się na stanowisku, które z takim poczuciem bezpieczeństwa zajmował Obed. Bezceremonialnie postawił stopy na barkach przyrodnika, pochylonego nad swym skarbem, skoczył w wyłom, powstały po zrzuconym kamieniu, i już był na szczycie. Za nim nadbiegł Middleton i wspólnymi siłami zaczęli chwytać i rozbierać dziewczęta. W ten sposób w czasie krótkiej nieobecności Izmaela bez przelewu krwi zawładnięto cytadelą, którą on w swojej próżności uważał za twierdzę nie do zdobycia.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Niech niebo uśmiech ześle świętej

sprawie, By jutro nowej nie przyniosło troski.

Szekspir

Wypada nam teraz wstrzymać bieg opowiadania i rzucić okiem na przyczyny, które doprowadziły do osobliwej walki, opisanej w poprzednim rozdziale.

Wśród wojsk, wysłanych przez rząd Konfederacji w celu objęcia w posiadanie nowo nabytych terenów na zachodzie, znajdował się oddział żołnierzy dowodzony przez młodego oficera, który tak czynną odgrywa rolę na kartkach naszej powieści. Nowi rządownicy wypełniali swe funkcje taktownie i nie nadużywali powierzonej sobie władzy. Jednakże trzeba było trochę czasu, by zespoliły mi; ze sobą tak sprzeczne elementy społeczeństwa, jakie reprezentowali z jednej strony ludzie zrodzeni i wychowani w wolności, a

drugiej ci, co byli uległymi poddanymi władzy despotycznej;

z jednej strony protestanci, z drugiej katolicy; z jednej pełni energii, z drugiej – leniwi i bierni. Nim osiągnięto ten pożądaný cel,

rola odegrać musiała swą zwykłą, wdzięczną rolę. Bariery re-

prezesa i przesądu łamała nieprzewidywana moc najpotężniejszego uzurpatora i w krótkim czasie związki rodzinne poczęły umacniać i polityczną, która siłą połączyła ludzi tak bardzo różniących

› id siebie zwyczajami, wykształceniem i przekonaniem.

Wśród nowych władców tej ziemi Middleton był jednym iTwszych, którzy ulegli wdziękom pięknej Luizjanki. W naj-

;zym sąsiedztwie placówki, którą polecono mu objąć, mie-it człowiek będący głową jednego ze starych rodów, przywy-

h od wieków do spokojnej i wygodnej, leniwej egzystencji 'xl bogactw hiszpańskiej kolonii. Był oficerem koronnym, lecz

odziedziczywszy bogatą sukcesję porzucił Florydę i zamieszkał z Francuzami w sąsiedniej prowincji. Prawie nikomu; poza mieszkańcami miasteczka, w którym rezydował, nie było znane nazwisko Don Augustyna de Certavallos, lecz on znajdował tajemną rozkosz w tym, że mógł pokazywać swemu jedynemu dziecku ogromne zwoje zmurszałych dokumentów, na których nazwisko jego figurowało w rządzie największych bohaterów i grandów Starej i Nowej Hiszpanii. Don Augustyn de Certavallos trzymał się z dala od przybyszów pozornie zadowolając się towarzystwem córki, zaledwie wyrastającej wówczas z lat dziecinnych.

Jest więc rzeczą bardziej niż prawdopodobną, że gdyby nie zdarzył się wypadek, który pozwolił Middletonowi oddać osobiście pewne usługi jej ojcu, tyle minęłoby czasu, nim by się oboje spotkali, że w innym kierunku pobiegyby uczucia młodego mężczyzny, bo był on wówczas w wieku, kiedy najbardziej jest się wrażliwym na powaby młodości i urody.

Opatrzność albo – jeśli to wielkie słowo nie wyda się odpowiednie – los zdecydował inaczej. Wyniosły, pełen rezerwy Don Augustyn zbyt ściśle stosował się do form życia obowiązujących ludzi jego stanu – z którego tak był dumny – ale mógł zapomnieć o powinnościach dżentelmena. Powodowany wdzięcznością za życzliwość Middletona, otworzył oficerom garnizonu drzwi swego domu, nawiązując stosunki towarzyskie w sposób nieco chłodny, choć uprzejmy. W miarę jednak jak poznawał szczery i szlachetny charakter kipiącego życiem młodego oficera, rezerwa stopniowo ustępowała i wkrótce bogaty plantator cieszył się na równi z córką, gdy dobrze znany sygnał u bramy oznajmiał, że to komendant posterunku wojskowego przybywa na jedną ze swych miłych wizyt. Nim upłynęło sześć miesięcy od czasu, gdy Luizjana stała się posiadłością Stanów, oficer tych Stanów był narzeczonym najbogatszej dziedziczki znad Missisipi.

Nie należy jednak przypuszczać, że Middleton bez żadnych trudności odniósł zwycięstwo nad uprzedzeniami córki i ojca. Religia stanowiła dla obojga przeszkodę niemal nie do pokonania. Zakochany w Inez młodzieniec ulegle poddał się próbie, jaką polecono podjąć ojcu Ignacemu w celu nawrócenia go na prawdziwą wiarę. Ojciec Ignacy nie szczędził sił i prowadził pracę systematycznie i przez dłuższy czas. Niekiedy wydawało się dobremu księ-

d/u, że nadchodzi dzień jego wspaniałego triumfu nad herezją, |"vz najazd protestantów przyszedł z pomocą żołnierzowi. Zaczęto księdza zdumiewał i niepokoił zarówno swobodny sposób życia Ivch spośród nich, którzy myśleli tylko o sprawach doczesnych, |uk i cierpliwa, konsekwentna pobożność innych. Ich przykład wywierał wpływ, udzielał się również ich zwyczaj swobodnego • lyskutowania. Ukrył relikwie przed oczyma profanów, zakazał "w()j trzódce mówić o

cudach wobec ludzi, którzy nie tylko za-jirzrczali ich istnieniu, ale w dodatku jeszcze z desperacką zu-t hwałością kwestionowali ich dowody. Pod groźbą straszliwych kur zakazano nawet czytania Biblii, ponieważ można ją mylnie iiiUirpretować.

Tymczasem trzeba było zdać Don Augustynowi sprawozdanie / tryo, jaki wpływ wywarły argumenty i modlitwy ojca Ignacego hm poglądy młodego heretyka. Nikt nie ma ochoty przyznawać się < > swej słabości w tym właśnie momencie, gdy okoliczności do- uwi^ają się najwyższego natężenia sił. Nasz zacny ksiądz, uspra- | icdliwiając zapewne swe pobożne kłamstwo czystością intencji, iwiadczył, że chociaż dotychczas jeszcze nie dokonała się żadna ulana w umyśle Middletona, wszystko wskazuje na to, że już mu i; wbiło do głowy klin argumentu i w rezultacie utworzyła się | vi 'lina, przez którą, jak można się spodziewać, dostaną się bło- i wionę ziarna religijnego posiewu, zwłaszcza gdy osoba, | iivj mowa, będzie mogła stale korzystać z towarzystwa kato- nmego Don Augustyna ogarnęło pragnienie nawracania, \;ot łagodna, cicha Inez uważała, że będzie szczytnym speł- |i'in jej marzeń, jeśli za jej sprawą ukochany powróci na łono 'lziwego Kościoła. Przyjęto więc oświadczyzny Middletona, ojciec z niecierpliwością wyglądał nadejścia dnia wyzna- :4o na zaślubiny, widząc w nim rękojmię własnego sukcesu, Inez pełne było religijnych wzruszeń, a także innych, bar- | ij ziemskich uczuć, zrozumiałych w jej wieku i sytuacji. Kankiem owego dnia słońce świeciło jasno na niebie bez murki, co wrażliwej Inez wydało się zapowiedzią szczęśliwej

lości. Ojciec Ignacy dopełnił w kapliczce obrzędów religij-

Nim słońce dobiegło zenitu, Middleton tulił do serca spło-

nieśmieloną Kreolkę – swą żonę, której ślubował do-

zgonną wierność. Młoda para chciała spędzić dzień ślubu w odosobnieniu, by przeżywać najczystsze, najlepsze uczucia w spokoju, nie zmaconym hałaśliwą, pustą wesołością uczty weselnej.

W godzinie zmierzchu, gdy cienie wieczoru gasić zaczynają słoneczny blask, Middleton szedł przez posiadłości Don Augustyna, wracając z lustracji swego obozu. Nagle wśród liści stojącej na uboczu altanki mignęła mu suknia podobna do tej, w której Inez stała z nim u ołtarza. Zbliżył się do altanki z uczuciem radosnym, którą potęgował zapewne fakt, że Inez dała mu prawo, by dzielił jej chwile samotności. Lecz na dźwięk jej słodkiego głosu odmawiającego modlitwy, pokonał swe skrupuły i zajął taką postawę, by mógł słuchać bez obawy, że będzie spostrzeżony. Nie wątpliwie miło było mężowi, gdy odsłaniała się przed nim niewinna dusza jego młodej żony i ujrzał w niej obraz samego siebie, przechowywany jak świętość wśród najczystszych, najlepszych uczuć. Tak bardzo schlebiało to poczuciu jego godności własnej, że nie raził go bezpośredni cel jej modłów. Inez modliła się, by za jej skromnym współudziałem Middleton powrócił do wspólnej owczarni wiernych.

Młodzieniec czekał, aż jego młoda żona powstanie z klęczek, a wtedy podszedł do niej, pozornie nieświadomy, co dotychczas czyniła.

–Późno już, droga Inez – powiedział – i Don Augustyn robiłby ci wymówki, że nie dbasz o swe zdrowie przebywając o tak późnej porze poza domem. Cóż więc mam uczynić, mając tyle samo władzy co on i dwakroć tyle miłości do ciebie?

–Bądź podobny do niego we wszystkim – odparła ze łzami w oczach spoglądając na męża i wymawiając te słowa ze szczególnym naciskiem – we wszystkim. Naśladuj mego ojca, Middleto-nie, a nie będę cię prosić o nic więcej.

–I nie będziesz prosić o nic więcej dla siebie, Inez? Nie wątpię, że zadowolilibym wszystkie twe życzenia, gdybym był tak dobry jak zacny Don Augustyn. Ale musisz wybaczyć żołnierzowi jego braki i przyzwyczajenia. No, a teraz chodźmy do tego doskonałego ojca.

–Jeszcze nie teraz – odparła Inez, łagodnie uwalniając się z uścisku ramienia, którym otoczył jej wiotką postać, nakłaniając ją, by poszła z nim. – Muszę jeszcze wypełnić jeden obowiązek

przejdę pod twoją komendę, mój oficerze. Obiecałam zacnej Inzelli, która, jak wiesz, Middletonie. tak długo zastępowała mi matkę... obiecałam, że ją o tej porze odwiedzę. Ona sądzi, że Jrj dziecko nic już więcej nie będzie mogło ofiarować swej

opiekunce. Nie mogę więc zrobić jej zawodu. Idź do Don Augustyna, Middletonie, a ja za godzinkę przyłączę się do was.

Zatopiony w myślach, Middleton szedł z wolna ku domowi i niejednym raz kierował spojrzenie w stronę, gdzie zniknęła jego żona, jak gdyby spodziewał się, że dojrzy jej drogą postać wędrującą w wieczornym zmroku. Don Augustyn przyjął go serdecznie i przez dłuższą chwilę myśl oficera zaprzętnięta była rozmową z kapitanem, któremu opowiadał o swych planach na przyszłość. Na tej rozmowie godzina wyznaczona przez Inez zbiegła błyskawicznie, o wiele szybciej, niż przewidywał kapitan. W końcu spójnia jego poczęły biec ku zegarowi, a gdy Inez nadal nie wracał, liczył każdą, zbyt wolno płynącą minutę. Gdy wskazówka pognie obiegła pół tarczy zegara, Middleton wstał i oznajmił sobie, że postanowił iść po żonę i przyprowadzić ją do domu. Noc była ciemna, na niebie groźne chmury, które w tym klimacie stanowiły niechybną zapowiedź burzy. Niełaskawy wygląd nieba i wewnętrzny niepokój Middletona sprawiły, że przyspieszył kroku. Długimi susami zmierzał w kierunku chaty Inzelli. Niejednokrotnie przystawał łudząc się, że widzi zwierną postać Inez, którą w końcu krokiem wraca do domu. Za każdym jednak razem spotykał go zawód. Dotarł wreszcie do drzwi chatki, zastukał, ale nie usłyszał odpowiedzi, stanął przed starą nianią, lecz nie ujrzał tej, której szukał. Zła już i udała się do domu ojca. Pomyślał, że minął ją w ciemnościach, więc zawrócił. Lecz spotkało go nowe rozczarowanie, nie wróciła do domu. Nie zważając się nikomu ze swych obaw, ów młody małżonek z bijącym sercem podążył do małej, samotnej altanki, gdzie tak niedawno żona modliła się za jego szczęście i nawrócenie. I znów spotkał go zawód. Pograżonemu w bólu i niepewności obaw i domysłów, świat cały wirował przed nim.

Ukrywane podejrzenia, jakie Middleton żywił co do motywów i (ustępowania żony, skłaniały go do zachowania ostrożności i taktu w prowadzeniu poszukiwań. Lecz gdy dzień zaświtał, a ona nie wróciła ani do ojca, ani do męża, odrzucono wszelkie skrupuły

i powiadomiono wszystkich o jej niezrozumiałym zniknięciu. Otwarcie prowadzone teraz poszukiwania zaginionej okazały się równie bezowocne jak poprzednie. Od chwili gdy opuściła chatkę niańki, nikt jej nie widział ani słyszał.

Dzień mijał za dniem, a żadna nowina nie uwieńczyła poszukiwań. W końcu większość krewnych i przyjaciół Inez straciła nadzieję, by można było odszukać zaginioną i uznała ją za bezpowrotnie straconą.

Trudno było jednak prędko zapomnieć o tak niezwykłym wypadku. Pobudzał on wyobraźnię i dawał pole do wielu plotek i domysłów.

Dpn Augustynowi nie brakło uczuć ojcowskich, ale dławiła je bierność Kreola. Podobnie jak jego duchowy przewodnik, zaczął myśleć, że zbłądził, rzucając w ramiona heretyka istotę tak czystą, młodą i piękną, a nade wszystko tak pobożną. Skłonny był przypuszczać, że nieszczęście, które spadło na niego w starości, stanowi karę za zbytnią pewność siebie i lekceważenie form uświęconych zwyczajem.

Lecz Middleton – kochanek, mąż, oblubieniec – Middleton załamał się pod ciężarem niespodziewanego, a tak strasznego ciosu. W miarę upływu czasu wyrzec się musiał nawet tego dręczącego przekonania, że został celowo, choć może na krótko, porzucony. Coraz silniej opanowywać go zaczynała bardziej bolesna myśl, że Inez nie żyje, gdy nagle jego nadzieje zostały rozbudzone w sposób zupełnie niezwykły.

Pewnego wieczoru młody komendant w smutnym zamyśleniu wracał z defilady swych oddziałów do własnej kwatery, która znajdowała się w pewnej odległości od obozu, acz na tym samym wzniesieniu, gdy nagle jego spojrzenie padło na postać człowieka, który w myśl obowiązującego regulaminu nie miał prawa tu przebywać o tak późnej godzinie. Nieznajomy był nędznie ubrany, a jego twarz i cała postawa świadczyły o skrajnym ubóstwie i złych obyczajach. Smutek złagodził żołnierską dumę Middleton i gdy mijał schyloną ku ziemi postać intruza, powiedział tonem wielkiej łagodności, a raczej dobroci:

–Przyjacielu, jeśli cię tu znajdzie patrol, wsadzą cię na no' do paki. Masz tu dolara, idź poszukaj sobie lepszego miejsca ni nocleg i czegoś do zjedzenia.

–Połykam bez gryzienia wszystko, co mogę zjeść – odpowiedział włóczęga chwytając złoto chciwie i z nikczemnym unie-mcniem, do jakiego jest zdolny jedynie zdecydowany łotr. – Daj pan dwadzieścia takich meksykańów, a coś panu powiem.

–Idź, idź sobie – odpowiedział surowo Middleton wracając rt< swych dawnych żołnierskich form. – Wynoś się stąd, bo każę <•>(' chwycić warcie.

–Dobra, idę, ale gdy odejdę, kapitanie, zabiorę ze sobą to, <•> mam ci do powiedzenia, a wtedy będziesz żył jak zaklęty wdowiec, aż bęben, wojskowy zagra ci rozkaz odmarszu.

–Co to wszystko znaczy?! – zawołał Middleton zwracając "K' ku nędznikowi, który wlokąc ciężko swe schorzałe ciało, już uli; oddalał.

–Idę zamienić tego dolara na hiszpańską wódkę, a kiedy wrócę, sprzedam ci, kapitanie, mój sekret tak, żebym mógł kupić l>"c/.kę tej wódki.

–Jeżeli masz coś do powiedzenia, mów zaraz – rzekł Middleton, który nie chcąc zdradzać swych uczuć hamował, choć / trudnością, niecierpliwość.

–Sucho mi w gardle, a nie mogę mówić elegancko, gdy mi "uschnie w gardle, kapitanie. Ile mi pan da, żebym panu powie-il/iał to, co wiem? Niechże to będzie przyzwoita suma, jaką jeden •l/mtelmen może ofiarować drugiemu dżentelmenowi?

–Myślę, że najlepiej zrobię, jeśli każę doboszowi złożyć ci | i/.ytę. Czego dotyczy ten twój sekret?

–Spraw małżeńskich. Żona i nie-żona. Piękna twarz, boga-i dziedziczka. Czy teraz mówię jasno, kapitanie?

–Jeśli wiesz cokolwiek w sprawie mojej żony, to mów od Nie potrzebujesz niepokoić się o nagrodę.

–Aa, kapitanie, wiele interesów załatwiłem w swym życiu. |cm płacono mi pieniędzmi, a czasem tylko obietnicami.

iiiccanki tylko zaostwiają głód.

–Powiedz, ile żądasz.

–Dwadzieścia... Nie, do licha, to jest warte dwadzieścia do-v albo nie jest warte ani centa.

–Masz, oto są twoje pieniądze. Ale pamiętaj, jeśli nie po-.'. mi nic takiego, co warte jest wiedzieć, potrafię z łatwością nać te pieniądze i w dodatku ukarać cię za bezczelność.

IIII.

Włóczęga przyjrzał się podejrzliwie otrzymanym pieniądzom i upewniwszy się, że są prawdziwe, schował je do kieszeni.

–Lubię północne banknoty – powiedział chłodno. – I one, podobnie jak ludzie, mogą stracić dobre imię. Nie obawiaj się mnie, kapitanie, jestem człowiekiem honoru i nie powiem słowa mniej ani więcej prócz tego, o czym sam się przekonałem, że jest prawdą.

–A więc przystępuj do rzeczy, bo mogę pożałować swej decyzji i każę odebrać ci twą zdobycz, zarówno srebro, jak i banknoty.

–Bądź uczciwy, choćbyś miał umrzeć przez to – odpowiedział 'nędznik i wzniosł w górę rękę, udając strach i oburzenie z powodu tej zdradzieckiej groźby. – A więc, kapitanie, musi pan przecież wiedzieć, że nie wszyscy dżentelmeni mają ten sam zawód: jednym wystarczy do życia to, co dostali, a inni, by żyć, łapią, co się da.

–Jesteś złodziejem?

–Nie lubię tego słowa. Ja poluję na ludzi. Czy pan wie, kapitanie, co to znaczy?

–Mówiąc po prostu, jesteś handlarzem żywym towarem.

–Byłem, mój zacny kapitanie, byłem, ale teraz trochę zwijam interes, jak kupiec, który przestaje handlować tytoniem na beczki, a sprzedaje go na jardy. Byłem też w swoim czasie żołnierzem.

–Porwali ją! – jęknął przerażony mąż.

–To, że ona teraz podróżuje, jest równie pewne jak to, że pan teraz stoi w miejscu.

–Łotrze, jakie masz podstawy, by przypuścić coś tak okropnego?

–Cierpliwości, a wszystkiego się pan dowie. Ale jeżeli jeszcze raz zechce mnie pan traktować tak niedelikatnie, będę zmuszony wezwać na pomoc prawników.

–Mów więc, ale jeżeli zechcesz ukryć choć słowo prawdy albo dodać choć jedno słowo, które nie jest prawdą, nie minie ci moja natychmiastowa zemsta.

–Nie jest pan przecież tak niemądry, kapitanie, aby uwierzyć w to, co powie panu taki nicpoń jak ja, jeżeli nie ma na to dowodów. Przedstawię panu fakty i powiem, co o tym myślę,

a potem pana zostawię, żebyś mógł pan nad tym rozmyślać. Znam pewnego człowieka, który nazywa się Abiram White*. Myślę, że to ten przybrał to nazwisko, żeby okazać swą nienawiść do czarnej rasy. Wiem z całą pewnością, że ten dżentelmen transportuje systematycznie, i to od kilku już lat, ludzi z jednego stanu do drugiego. Prowadziłem z nim w swoim czasie interesy. Widziałem go w tym miasteczku w dzień pańskiego ślubu. Był w towarzystwie szwagra i udawał, że chce się osiedlić na nowych ziemiach. Mając tak wspaniałych pomocników, świetnie można prowadzić interesy. Siedmiu chłopaków, a każdy z nich tak wysoki jak pański sierżant, gdy ma na głowie czapkę. No, gdy posłyszałem, że zginęła żona pana kapitana, od razu zrozumiałem, że Abiram maczał w tym palce.

–Czy jesteś tego pewien? Czyż może to być prawdą... Jakie masz podstawy do tak dziwnych przypuszczeń?

–Mam wystarczającą podstawę: znam Abirama White'a. Sto razy w ciągu nocy myślał Middleton, że wiadomość zasłu-

r.uje na uwagę i sto razy odrzucał informację włóczęgi, jako nazbyt dziwną i fantastyczną, by warta była chwili zastanowienia. Po niespokojnej i niemal bezsennej nocy zbudzony został wczesnym rankiem przez ordynansa, który przyszedł z raportem, że na placu ćwiczeń, niedaleko od kwatery kapitana, znaleziono zwłoki jakiegoś człowieka. Middleton narzucił pośpiesznie ubranie i udał się na plac. Ujrzał tam martwe ciało człowieka, z którym prowadził wieczorem rozmowę. Włóczęga leżał w tym samym miejscu, w którym spotkał kapitana.

Nieszczęśnik padł ofiarą pijaństwa. Wysadzone gałki oczne, nabrzmiąta twarz, nieznośny odór, który nawet po śmierci wyliczało jego ciało – stanowiły wystarczający dowód tej wstrząsającej prawdy. Obrzydliwe to widowisko nappełniło młodzieńca iilruzą, rozkazał więc ordynansowi zabrać zwłoki i miał już odwrócić się od tego widoku, gdy nagle zwrócił uwagę na dziwne i"łożenie ręki zmarłego. Przyjrząwszy się dokładnie, zauważył, że i ily wyciągnął wskazujący palec, jak gdyby pisał na piasku. "k widniało niewyraźne, lecz dające się odczytać, w pół urwane nie: "Kapitanie, to prawda, jak jestem dżentel..." Widocznie

White (ang.) -biały.

~

nim ukończył to ostatnie słowo, zaskoczyła go śmierć lub ogarn sen, zwiastun zgonu.

Middleton, nie wspominając żołnierzom o swym spostrzeżeniu, powtórzył poprzednio wydany rozkaz i oddalił się. Całe to zdarzenie, zwłaszcza natarczywość, z jaką zmarły włóczęga narzucał mu swe zdanie, nakłoniły go do przeprowadzenia docho-; dzień w tej sprawie. Zachowując najściślejszą tajemnicę, dowie*s dział się, że rzeczywiście w dniu jego ślubu bawiła w okolicy ro dzina, o jakiej wspominał zmarły. Udało się ustalić, że rodzin, owa posuwała się jakiś czas brzegiem Missisipi, a następnie wsia-s| dła na,statek i popłynęła w górę rzeki, aż do miejsca gdzie łącz; się z nią Missouri. Tutaj ślad po nich zaginął, podobnie jak po set4 kach innych ludzi udających się w głąb lądu na poszukiwani^ ukrytych bogactw.

Zdobywszy te wiadomości Middleton pożegnał się z Don Augustynem, nie zdradzając jednak przed nim swych nadziei ani obaw. Wraz z małym oddziałkiem najbardziej zaufanych żołnierzy przybył wkrótce na miejsce, gdzie po raz ostatni widziano Abirama White'a i rozpoczął poszukiwania.

Nietrudno było wyśledzić szlak pochodzenia tak licznej grupy ludzi, dopóki posuwali się po ziemiach objętych ruchem osadniczym. Lecz Middleton upewnił się, że Abiram dążył znacznie dalej. Okoliczność ta wzmogła jego podejrzenia, ale jednocześnie nappełniła nową wiarą w ostateczne powodzenie wyprawy.

Gdy w pogoni za zbiegami nie można już było dłużej korzystać z ustnych informacji, Middleton uciec się musiał do zwykłego tropienia śladów. Nie przedstawiało to specjalnych trudności aż do chwili, gdy znaleźli się na twardej, nieustępliwej glebie falistej prerii. Tutaj urwały się wszelkie ślady. By odnaleźć zagubiony szlak, musiał wykorzystać każdą parę oczu i pojedynczo porozsy-łać żołnierzy na poszukiwania. Wyzaczył im dość odległy termin spotkania. Po tygodniu samotnie prowadzonych poszukiwań zetknął się przypadkiem z traperem i bartnikiem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Te znaki świadczą, że pewnie uciekła. Proszę więc, przerwij niepotrzebną mowę I chyżo dosiądz rumaka.

Szekspir

Ciodzina minęła na gorączkowych i pozornie niemal bez związku ttypiących się pytaniach i odpowiedziach, aż wreszcie Middleton, pochylony nad odzyskanym skarbem z zazdrosną czujnością,

laka skąpiec przygląda się swemu zło tu, zakończył bezładną

H i wieść o własnych czynach i spytał:

–A co się z tobą działo, droga moja Inez? Jak byłaś trakto-.ma?

–Jeżeli pominąć tę wielką krzywdę, jaką mi uczynili od-riciając mnie od najbliższych, to ci, co mnie porwali, obchodzili i; ze mną jak mogli najlepiej. Myślę, że ten, który na pewno jest i panem, niedawno dopiero wszedł na drogę występku. Strasznie i,1 kłócił w mojej obecności z łotrem, który mnie porwał, a potem iwarli podły układ, wiążąc siebie i mnie przysięgą. Ach, Middle-<nik** myślę, że heretycy nie tak dochowują swych przysięg, jak i **<lz i o** wychowani w prawdziwej wierze!**

–Nie sądź tak. Ale te łotry nie wyznają żadnej religii. To **! /.ywoprzysięzcy.**

–Nie, nie popełnili krzywoprzysięstwa. Ależ czyż nie jest i aszliwą rzeczą wzywać dobrego Boga na świadka tak niecnej.jody?

–I my tak samo uważamy, Inez, jesteśmy o tym tak samo **'•.!hoko przekonani, jak najcnotliwszy kardynał Rzymu. Ale jak! it rżymy wali przysięgi i co przysięgali?**

–•! Obiecali pozostawić mnie w spokoju i nie narzucać mi voj('j obecności, tak wstrętnej dla mnie, jeżeli przysięgnę, że nie

będę próbować ucieczki i nawet nie pokażę się nikomu, dopóki nie minie termin, który się mojemu panu spodobało wyznaczyć.

–A ten termin? – dopytywał niecierpliwie Middleton, któremu tak dobrze były znane religijne skrupuły żony. – A ten termin?

–Ten termin już upłynął. Przysięgłam na swoją świętą patronkę i wiernie dotrzymałam przysięgi, dopóki człowiek, zwany Izmaelem, nie złamał warunków umowy, zakłócając mój spokój. Ukazałam się wtedy na skale, tym bardziej że przeszedł już wyznaczony czas. Ale myślę, że nawet ojciec Ignacy zwolniłby mnie z przysięgi, skoro moi stróże nie dotrzymali jej ze swej strony.

–Powiedz, Inez, co skusiło tych nikczemników do podjęcia tak ryzykownej gry, do bawienia się mym nieszczęściem.

–Ty wiesz, Middletonie, jak zupełnie nie znam świata i jak nie nadaję się do tego, by wyjaśniać pobudki działania ludzi tak krańcowo różniących się od tych, wśród których dotąd żyłam. Ale czyż miłość pieniądza nie nakłania do jeszcze gorszych postępów? Myślę, iż oczekiwali, że uda im się wydobyć z bogatego i podeszłego wiekiem ojca hojny okup za oddanie dziecka. Zapewne też – dodała spoglądając ukradkiem przez łzy na zasłuchanego Middletona – liczyli na gorące uczucia świeżo zaślubionego męża.

–Tak, zapewne tak było. Ale teraz, Inez, chociaż przybyłem tutaj, ażeby cię strzec i bronić nawet kosztem własnego życia, i chociaż skała jest w naszych rękach, nie skończyły się jeszcze trudności, a może i niebezpieczeństwa. Zbierzesz więc całą swoją odwagę, dzielnie stawisz czoła przeciwnościom i zachowasz się, jak przystało żonie żołnierza, prawda, droga moja?

–Jestem gotowa stąd odejść. List, który posłałeś przez doktora, zbudził we mnie najlepsze nadzieje i przygotowałam wszystko, ażeby móc uciec każdej chwili, na twój znak..

–Wobec tego opuśćmy to miejsce i przyłączmy się do naszych przyjaciół.

–Przyjaciół?! – wykrzyknęła Inez rozglądając się po namiocie w poszukiwaniu Ellen.
– Ja także mam przyjaciółkę, o której nie wolno mi zapomnieć. Obiecałam jej, że będzie z nami aż do śmierci. Ale nie widzę jej tutaj.

Middleton łagodnie wyprowadził ją z namiotu i powiedział /. uśmiechem:

–Może miała, tak jak ja, coś do powiedzenia komuś drogiemu jej sercu.

Jednakże młodzieniec niesprawiedliwie ocenił pobudki, jaki-ini kierowała się Ellen Wadę. Wrażliwa dziewczyna zorientowała ii; szybko, że jej obecność w czasie rozmowy, którą przedstawili lny czytelnikowi, bynajmniej nie jest pożądana. Kierując się !.v rodzoną delikatnością uczuć, oddaliła się i w tej chwili siedziała odłamku skały. Całą jej postać tak szczelnie spowijały szaty, nie widać było nawet twarzy. Siedziała tak niemal przez godzi-Nikt się do niej nie zbliżał i, jak osądziła rzuciwszy wokół nie-'kojnym okiem, nikt jej nie obserwował. Lecz w tym ostatnim piędzie udało się komuś zwieść czujność bystrej Ellen.

Gdy Paweł Hover ujrzał, że jest panem Izmaelowej twierdzy, myślał przede wszystkim o tym, by otrąbić swe zwycięstwo, ic za dziwnym i śmiesznym zwyczajem, który tak często jest i ktykowany wśród mieszkańców zachodnich kresów.

–Mieliśmy więc regularne oblężenie i nikomu nie przetrą-10 kości! – zawołał. – No i co pan na to powie, traperze, pan,»ry przecież był w swoim czasie jednym z tych wyćwiczonych inierzy regularnych i widział pan, jak zdobywa się forty i jak umuje baterie... Czyż nie mam racji?

–Tak, tak, brałem w tym udział – rzekł starzec. Nie scho-l ze swego stanowiska u stóp skały i zupełnie go nie przejęło i o oglądał przed chwilą. W odpowiedzi na uśmiech Pawła po->lił sobie na długi wybuch charakterystycznego, cichego śmie-i. – A wy zachowaliście się w walce, jak przystało mężczyz-

m:i.

–Jest taki zwyczaj, prawda, by po każdej krwawej bitwie tszać imiona żyjących i grzebać umarłych?

–Jedni mają taki zwyczaj, a inni nie mają.

Paweł idąc za nastrojem chwili, stentorowym głosem wzywał v rodnika, by odpowiedział na apel. Doktor Battius uważał, że i'łnie wystarczającym sukcesem było zdobycie wygodnej gro-którą w odpowiednim czasie przypadek utworzył dla jego iony. Z miłym poczuciem bezpieczeństwa odpoczywał w niej

teraz po trudach, a serce jego pełne było radosnych uniesień z powodu zdobycia skarbu botanicznego.

–Właż na górę, właż na górę, czcigodny zbieraczu kretów, chodź tu i wyglądaj na horyzoncie nadchodzącego Izmaela. Chodź i patrz wprost w twarz przyrodzie, nie skradaj się już chyłkiem wśród traw i dziewanny jak indyk, gdy wyskubuje z niej koniki polne! – wołał Paweł.

Lecz nagle widok Ellen Wadę zamknął mu usta i lekkomyślny bartnik, tak chełpliwy i taki rozmowny przed chwilą, osłupiał. Gdy pogrążona w smutku dziewczyna usiadła na głazie, Paweł udawał, że jest pilnie zajęty przeprowadzaniem szczegółowej rewizji dobytku osadnika. W sposób bynajmniej nie delikatny przetrząsał szuflady Estery, rozrzucał po ziemi miejskie stroje dziewcząt, nie zwracając zupełnie uwagi na ich elegancję, ciskał tu i tam żelazne garnki i kociołki, jakby to były naczynia z drzewa. Lecz widoczne było, że czyniąc to, nie ma żadnego celu na widoku. Na tym zajęciu upłynął mu czas do chwili, gdy Middleton wyprowadził Inez z namiotu i nadał nowy bieg myślom naszych znajomych. Przerwał Pawłowi jego fanfary, a doktorowi badanie rośliny i jako uznany przez nich przywódca polecił, by niezwłocznie przygotowano się do wymarszu.

W pośpiesznej krzątaninie i zamieszaniu, jakie musiały zapanować po takim rozkazie, nie było czasu na żale czy rozważania. Middletona i jego towarzyszy nie zaskoczyło zwycięstwo, toteż każdy zajął się taką pracą, jaka najlepiej odpowiadała jego siłom i potrzebom chwili. Czas naglił, groziło niebezpieczeństwo szybkiego powrotu Izmaela, toteż ze szczególnym pośpiechem i pilnością spełniano te czynności.

–Chodź, dziecko – powiedział starzec, dając znak Ellen, by poszła za przykładem Inez, która siedziała już na grzbiecie osła. Trochę niespokojnie obrócił głowę, by spojrzeć na pustą równinę za swymi plecami. – Na pewno już niedługo właściciel tej cytadeli powróci tu, aby zająć się gospodarstwem. Nie jest to człowiek, który bez skargi pozwoliłby odebrać sobie swoją własność, bez względu na to, w jaki sposób ją zdobył.

–To prawda – zawołał Middleton – zmarnowaliśmy drogocenne chwile, a teraz musimy natężyć wszystkie siły!

Ellen zbliżyła się do osła i chwytając Inez za rękę powiedziała

Kłóć się, daremnie próbując opanować wzruszenie, które ją niemal dławilo:

–Niech cię Bóg błogosławi, słodka pani! Mam nadzieję, że y.npomnisz i wybaczysz krzywdy, które ci wyrządził mój wuj...

Zawstydzona i przygnębiona dziewczyna nie zdołała powie-• l/ieć nic więcej, gdyż bolesne łkanie odjęło jej mowę.

–Cóż to znaczy?! – zawołał Middleton. – Czyż nie mówi-i.i.1;, Inez, że ta szlachetna dziewczyna ma nam towarzyszyć i po-

! 'stać z nami przez całe życie, a przynajmniej dopóki nie znajdzie ! Milszego domu?

–Tak mówiłam. I nie tracę nadziei, że tak będzie. Okazywa-ł.i mi wiele współczucia i przyjaźni w mojej niedoli i dlatego są-

i łam, że nie opuści mnie, gdy powrócą szczęśliwe czasy.

–Ja nie mogę... Ja nie powinnam – mówiła Ellen opanowu-wzruszenie. – Spodobało się Bogu związać mój los z tymi lu-

ni i nie powinnam ich porzucać. Wyglądałoby to na zdradę, a co już się stało, i tak źle będzie świadczyć o mnie w oczach !!naela. Gdy zostałam sierotą, był dla mnie dobry na swój spo-i, nie mogę więc opuszczać go w takiej chwili.

–Taka z niej krewna Izmaela, jak ze mnie biskup – powie-;ił Paweł z głośnym chrząknięciem, jakby drapało go w gard-

–Jeśli ten staruch spełnił dobry uczynek, dając jej od czasu czasu kęs mięsa lub posadził przy misie homminy, czyż mu nie płaciła się za to, ucząc te młode diablątka czytać Biblię albo nagając starej Esterze doprowadzić do ładu i składu jej stroje!

–To jest bez znaczenia, kto ma nade mną władzę i czyją je-111 dłużniczką. Nikt na całym świecie nie dba o dziewczynę, i a nie ma ojca ni matki i której najbliżsi krewni są wyrzutka-społeczeństwa. Nie, nie, niech pani jedzie sama.

–Powiedz, traperze – rzekł Paweł – czy ona wie, o co tu>ll,i? Jest pan człowiekiem, który zna życie i ludzkie obyczaje, cli pan sam osądzi. Czyż nie taki jest porządek świata, że gdy czoly dorosną, zakładają nowy ul, a jeśli dzieci opuszczają ro-ców, czyktoś, kto nie jest żadnym krewnym...

–PstL. – przerwał mu zapytany. – Hektor jest niespokojny.. wyraźnie, wyraźnie, piesku, o co chodzi?

Zgrzybiały pies myśliwski powstał i wdychał świeży powiew, nący nad prerią. Na słowa pana zawarczał i ściągnął groźnie

muskuły pyska, jak gdyby chciał wyszczerzyć resztki zębów. Młodszy jego towarzysz, który po porannych gonitwach zażywał odpoczynku, okazał również, że nozdrza jego wyczuwały jakąś woń w powietrzu. Następnie psy pograżyły się na nowo w drzem-i ce, jak gdyby wypełniły już swą powinność.

Traper pochwycił uzdę osła i popędzając go, zawołał:

–Nie ma już czasu na gadanie! Osadnik i jego synowie są zaledwie o milę lub dwie!

Wobec nebezpieczeństwa, grożącego tak niedawno odzyskanej żonie, Middleton zupełnie zapomniał o Ellen. Nie musimy chyba dodawać, że doktor Battius nie czekał na ponowne ostrzeżenie, by rozpocząć odwrót. Dążąc w kierunku wskazanym przez starca, wszyscy zatoczyli półkole wokół skały i pod jej osłoną posuwali się przez prerię, jak mogli najszybciej. Tylko Paweł Hover pozostał na miejscu, wsparty na strzelbie. Ellen przesłoniła twarz rękami, jak gdyby chciała ukryć przed samą sobą swe opuszczenie, toteż minęła chyba minuta, nim go zauważyła.

–Czemu nie uciekasz?! – zawołała przez łzy, spostrzegłszy, że nie jest sama.

–Nie mam takich zwyczajów.

–Mój wuj zaraz tu wróci! Nie spodziewaj się po nim niczego dobrego.

–Tak jak od jego siostrzenicy. Niechaj przychodzi. Może mnie najwyżej zabić.

–Pawle, Pawle, jeśli ci życie miłe, uciekaj!

–Życie niczym jest dla mnie w porównaniu z tobą.

–Pawle!

–Ellen!

Wyciągnęła ku niemu obie ręce i znów zalała się łzami. Bartnik objął ją wpół silnym ramieniem i w chwilę później pędził z nią przez prerię, goniąc uciekających przyjaciół.

li O Z D Z I A Ł SIEDEMNAŚTY

Idź do pokoju i niechaj ci wzrok Nowa porazi Gorgona. Nie żądaj, Bym mówił, ale patrz i mów...

Szekspir

******fumyk, który zaopatrywał w wodę rodzinę osadnika i poił rwa i krzaki rosnące u stóp skalistego wzgórza, miał źródło laleko stamtąd, w zagajniku topól i winnej latorośli. Tam to śnie, jako do jedyne go miejsca mogącego zaofiarować schronie w grożącym niebezpieczeństwie, traper prowadził ucieka-ch. Należy wspomnieć, że roztropność starca kazała mu od u obrać ten kierunek, ponieważ w ten sposób zbiegowie od-•lali się górą od pogoni. Dzięki tej pomyślnej okoliczności zdo-we właściwym czasie skryć się w zaroślach, a Paweł Hover,;nący zadyszana Ellen, dopadł gęstwiny w tym właśnie mo-icie, gdy Izmael wdarł się na szczyt skały jak to już opisaliśmy, | it tam jak ogłuszony, patrząc to na spustoszenie i nieład w im gospodarstwie, to na dzieci z pętami na rękach i nogach, iilami na ustach, umieszczone przez przezornego bartnika pod •na dachu z kory, gdzie tworzyły coś w rodzaju nieforemne go n. Dalekonośna strzelba mogłaby z tego wzniesienia, na któ- znajdował się teraz osadnik, posłać kulę aż do kryjówki zbie-i. sprawców wszystkich tych niegodziwości.**

Traper, po którego doświadczeniu i rozsądku towarzysze spo-wali się dobrej rady, pierwszy zabrał głos, rzuciwszy wpierw m na zgromadzone wokół siebie postacie, aby się przekonać, i i kogo nie brakuje.

Niewiele mamy czasu na gadanie. Już wkrótce szczenięta

lory osadnika węszyć zaczną nasze ślady. Kapitanie, czy mo-

nas zaprowadzić tam, gdzie są twoi żołnierze? Bo krzepcy sy-

i

nowie osadnika walczyć będą mężnie, o ile ja się cokolwiek znanr na tych sprawach.

–Miejsce spotkania znajduje się o wiele mil stąd, nad brze-J giem Platte!

–To źle, to bardzo źle. Jeśli już trzeba podjąć walkę, rozsą-j dek każe mieć siły równe z wrogiem. Posłuchajcie, co wam doran dza siwa głowa i doświadczenie starca. Te zarośla ciągną się praj wie na milę w bok od skały i prowadzą na zachód, a nie ku osad^ nikom.

–Wystarczy, wystarczy! – krzyknął Middleton, nie czekaj jąc, aż starzec zakończy szczegółowe wyjaśnienia. – Szkoda czs su na słowa. Uciekajmy!

Traper uczynił gest przyzwolenia i ruszył w drogę prowadzą osła przez grząski teren zagajnika. Wkrótce znaleźli się na tws dym gruncie, oddzieleni lasem od obozu.

–Jeśli stary Izmael rzuci okiem na ten gościniec wśród za rośli – krzyknął Paweł, gdy wychodził z lasu i obejrzał się szyb! za siebie, na szeroki szlak, jaki nasi uciekinierzy przetarli w gą stwinie – nie będzie potrzebował drogowskazu, by wiedzieć, ktc redy ma iść, lecz niech próbuje nas gonić! Wiem, że ten włóczęga chętnie by uszlachetnił swój ród domieszką zacnej krwi, ale jeś kiedykolwiek któryś z jego synów zostać by miał mężem...

Nikt nie szczędził sił, nim więc upłynęło kilka minut, grmadka nasza dostała się na pagórek, a zszedłszy z niego bez chwiej li zwłoki, była już zasłonięta przed wzrokiem synów Izmaela, ktd rzy teraz odnaleźć by mogli zbiegów jedynie trafiwszy na ich śl dy. Starzec skorzystał z tego wzniesienia terenu i zmienił kier nek marszu, chcąc zmylić ewentualną pogoń, podobnie jak skręcając we mgle i ciemności umyka czujnemu oku wroga.

Po dwu godzinach wytężonego marszu zdołali zatoczyć kole wokół skały i znaleźli się w punkcie leżącym dokładnie na przeciw owego miejsca w lasku, z którego rozpoczęli ucieczł Większość naszych zbiegów nie wiedziała zupełnie, gdzie się znajdują, tak jak niedoświadczony podróżnik nie orientuje się w połc żeniu okrętu otoczonego zewsząd wodami oceanu. Starzec jedna przy żadnym zakręcie, przy żadnej kotlince nie okazywał najj mniejszego wahania, co natchnęło wędrowców zaufaniem, bo chlebnie świadczyło o jego znajomości terenu. Wierny pies trapfl

ł wyprzedzał go, niekiedy tylko zatrzymując się, by pochwycić iz oczu pana, lecz nigdy nie zmylił kierunku, jak gdyby z góry liii między sobą trasę wędrówki za pomocą zrozumiałej dla wymiany zdań. Teraz jednak pies nagle się zatrzymał, siadł i irerii, przez chwilę węszył w powietrzu, a potem zaczął skom-łośnie.

–W tych oto zaroślach możemy się zatrzymać, i prędeej na i vch polach wyrosną wysokie drzewa, nim ktokolwiek z rodzi-isadnika ośmieli się nas niepokoić.

–To jest właśnie miejsce, gdzie leżało ciało zamordowane-krzyknął Middleton, z odrazą przypatrując się okolicy.

Tak, to właśnie miejsce. Nie wiemy jednak, czy bliscy i lego złożyli go do grobu. Pies poznał to miejsce węchem, ale jakiś wystraszony. Trzeba więc, mój przyjacielu bartniku,

poszedł naprzód i rozejrzał się, a ja pozostanę tutaj i będę t.nał uciszyć psy, by nie zawodziły zbyt głośno.

Ja mam iść! – zawołał Paweł, rozczesując palcami nie-ii' Loki, jak gdyby uważał za rzecz rozsądną zastanowić się •ycie, nim wyruszy na tak niebezpieczną wyprawę. –
Posłu-

t raperze. W najcieńszym mym ubraniu stawałem bez zmru-i oka w samym środku niejednego roju, który utracił swą kró-. a pozwolę sobie powiedzieć, że człowiek, który tego doko-nio ulęknie się żadnego z żyjących synów Izmaela. Ale jeżeli>/.i o zajmowanie się zmarłymi, to nie mam do tego skłonności K wołania, dziękując więc za zaszczyt, jaki mi pan uczynił -> i się mówi w Kentucky, gdy mianują kogo kapralem – uchy-!<t<,' od tej służby.

–i ta rzec z wyrazem rozczarowania skierował wzrok na Mid-iiih, ale ten był zbyt pochłonięty pocieszaniem lnez, by zau-("• kłopot trapera, starcowi jednak przyszedł niespodziewanie mocą człowiek, po którym, sądząc po ubiegłych wydarze-i, nie należało się raczej spodziewać takiego dowodu męstwa. Jeżeli trzeba dokonać czynu wymagającego całkowitego owania systemu nerwowego – powiedział ów mąż nauki <•> zuchwałym spojrzeniem – oto stoi przed panem człowiek, iiSrcgo fizycznych siłach można polegać, proszę tylko oświecić intelekt.

–Jak panu wiadomo, mamy powody do obaw, że zagajnik

ten kryje widok zdolny przerazić kobiety. Czy jesteś pan prawdziwym mężczyzną i nie lękasz się obrazu śmierci, czy też ja ma: tam iść, ryzykując, że psy zaczną głośno wyc? Widzisz, że te: szczeniak już gotów jest biec z rozwartym pyskiem.

–Czy jestem prawdziwym mężczyzną? Czcigodny traperze, j nasza znajomość datuje się od niedawna. W przeciwnym razie p twoim pytaniu mogłaby się między nami wywiązać gniewna dysputa. Czy jestem prawdziwym mężczyzną! Szczycę się tym, że należę do klasy ssaków, gatunku nadrzędnych, rodzaju homo. Takiej są moje fizyczne przymioty, a jeśli chodzi o właściwości moralne, niech się wypowie potomność, mnie przystoi milczeć.

Doktor Battius znikł w zaroślach i traper zdradzał coraz silniejszy niepokój. Po chwili przyrodnik wynurzył się z krzaków, lecz szedł tyłem z twarzą zwróconą ku miejscu, które przed chwilą opuścił, jak gdyby urzeczony nie mógł oderwać odeń wzroku.

–Jego wygląd mówi, że ujrzał coś przerażającego! – wykrzyknął starzec uwalniając Hektora i nieustraszenie ruszył w stronę zupełnie nieprzytomnego przyrodnika. – Cóż się stało, przyjacielu, czy odkryłeś nową kartę w twojej księdze mądrości?

–To bazyliszek – wymamrotał doktor, a jego zmieniona twarz zdradzała, że dziwny zamęt ogarnął umysł naszego filozofa natury. – Przedstawiciel gatunku węży. Sądziłem, że przypisują mu cechy bajkowe, ale otóż okazuje się, że wszechmoc natury dorównuje fantazji człowieka.

–Co tam jest? Co tam jest! Węże prerii są nieszkodliwe z wyjątkiem pojawiającego się tu i ówdzie grzechotnika, ale ten zawsze ostrzeże człowieka ogonem, zanim wyrządzi mu krzywdę jadem. O Boże, jakże poniżającą rzeczą jest strach! Oto człowiek, który zawsze ma w ustach słowa wielkie, jakich nie wypowiadają pospolite wargi, a teraz jest niepodobny do siebie samego! Jęgi głos przypomina gwizd kozodoja. Odwagi! Co tam jest, człowieku? Co tam jest?

–Dziw natury! Lusus naturae\ Monstrum, które natun stworzyła, aby okazać swoją moc! Nigdy nie byłem świadkiem takiego zamętu w jej prawach, nie widziałem okazu tak zupeł' nie zaprzeczającego podziałowi na klasy i gatunki! Pozwól m opisać jego wygląd – daremnie próbował drżącymi rękami wy ciągnąć kartki notatnika – teraz, gdy mam czas i sposobność

Oczy: urzekające; kolory różnorodne, zawile, trudne do określenia...

–Można by pomyśleć, że ten człowiek oszalał, z tymi urze-ijcymi oczyma i pstrokacizną barw – przerwał z niezadowoleni traper, którego zaczynał niepokoić fakt, że jego towarzysze

czc nie znaleźli się w kryjówce. – Jeżeli w krzakach jest gad, I aż go, a jak nie zechce spokojnie się oddalić, no cóż, będziemy I rzyć o to, kto zostanie panem lasu.

–Tam! – powiedział doktor i wskazał miejsce leżące o dziesiąt stóp od nich, gdzie zarośla były szczególnie gęste.

'lber spokojnie spojrział w tym kierunku, lecz gdy jego bystry 'świadczony wzrok napotkał przedmiot, który tak zupełnie t acił przyrodnika z jego filozoficznej równowagi, starzec za-

! ił, gwałtownie pochylił strzelbę naprzód i równie gwałtownie ifnął, jak gdyby zorientował się w ułamku sekundy, że się po-

iił. Ani ten ruch instynktowny, ani błyskawiczne opamiętanie \yły bez przyczyny. Na samym skraju zagajnika ujrzał leżącą i cmi żywą istotę, mającą kształt piłki czy kuli. Jej szczególny amowity wygląd usprawiedliwiał zupełnie niepokój, jaki i-nał umysł przyrodnika. Niepodobna dokładnie określić altu czy koloru tego niezwyklego zjawiska. Można tylko po-lzieć ogólnie, że zbliżało się kształtem do kuli i mieniło wszy-nii kolorami tęczy, pomieszanymi bez względu na harmonię

tworzącymi żadnego widocznego wzoru. Dominującymi bar-i i były czerń i jaskrawy cynober, w które wplatały się w dziw-posób kolory biały, żółty i szkarłatny. To nie wystarczyłoby, przypisać owemu przedmiotowi życie, gdyż leżał nieruchomo kamień. Jednakże para ciemnych, ruchliwych i błyszczących k ocznych, podejrzliwie obserwująca każdy ruch traperu !u towarzysza, świadczyła niezawodnie o doniosłym fakcie, iż

kula była żywą istotą.

–Pański gad to Indianin na zwiadach albo nie znam się zu-ic na ich malowidłach i sztuczkach – zamruczał starzec.

!;cił strzelbę na ziemię i wspierając się na lufie przybrał zrów-izoną postawę i spokojnym wzrokiem obserwował przeraża-ustotę. – Chce nas swoją twarzą otumanić i zwieść, abyśmy i'li, że to nie głowa czerwonoskórego, ale kamień okryty je-lymi liśćmi. A może knuje jakiś inny piekielny podstęp?

–A więc to stworzenie jest człowiekiem? – dopytywał się; doktor. – Należy do rodzaju homo? Sądziłem, że to stwór dotąd jeszcze nie opisany.

–To jest człowiek i równie śmiertelny jak każdy wojownik tych prerii. Wyjdź z ukrycia, przyjacielu – dodał w języku pogranicznych plemion Dakotaów – na prerii jest dość miejsca na jeszcze jednego zawodnika.

Zdawało się, że ciemne oczy zapłonęły dzikszym blaskiem niż poprzednio, lecz owa kula, będąca według opinii trapera ni mniej, ni więcej, tylko ludzką głową ostrzyżoną aż do skóry na modłę wojowników Zachodu – pozostała nadal nieruchoma, nie dając innego znaku życia.

–To pomyłka! – zawołał doktor. – To zwierzę nie należy nawet do ssaków, a tym bardziej nie jest człowiekiem!

–Tyle mówi pańska wiedza – odpowiedział traper śmiejąc się z wewnętrznym triumfem. – Tyle mówi wiedza człowieka, co patrzył w tak wiele ksiąg, że jego oko już nie potrafi odróżnić jelenia od dzikiego kota. Mój Hektor to pies wykształcony w swojej dziedzinie, a chociaż najprostszy elementarz z osad przerasta jego wiedzę, w takich sprawach mojego psa nie oszukasz. Nie zamierzam zabijać tego czarta, chcę go tylko wypłoszyć z zasadzki.

Począł bardzo uważnie oglądać skałkę swej strzelby, a manipulując bronią, starał się jak najwyraźniej manifestować wrogie względem nieznajomego zamiary. Kiedy osądził, że ów musiał już zrozumieć, co mu grozi, sprezentował powoli broń i zawołał:

–Słuchaj, przyjacielu, jestem za zdecydowanym pokojem lub za zdecydowaną wojną – tak można to określić. Dobrze, iż nasz mędrzec powiada, że to nie jest człowiek. Mogę sobie strzelić w tę kupę liści, nie zrobię nic złego.

Zniżył lufę i powoli szykował broń do strzału, który musiałby się okazać śmiertelnym. Wtem smukły Indianin wyskoczył spod przykrycia liści, które widocznie narzucił na siebie w chwili, gdy biali podchodzili do zagajnika, i stanął wyprostowany, wydając krótki okrzyk:

–Ugh!

U. O \ Z D Z I A Ł OSIEMNASTY

Dach Filemona mą maską, a w domu Jest Jowisz...

Szekspir

Hamlet nie zamierzał użyć broni, opuścił więc z powrotem strzelnicę, i wielce zadowolony z siebie rzekł do przyrodnika, zmuszając tym samym do oderwania zdumionego wzroku od Indianina. – Te diabły zwykły leżeć godzinami, jak śpiące aligatory, w ich snach lęgną się pomysły zdrad i szatańskich podstępów, ale jednak zbliża się prawdziwe niebezpieczeństwo, trzaska się skóra jak wszyscy śmiertelnicy. Ale to jest zwiadowca, ozdobiony wojennym malowidłem! Niedaleko stąd kryją się wewnątrz jego współplemieńcy. Musimy wydobyć z niego prawdę, i spotkanie oddziału Indian idącego na wojnę może być bardziej niebezpieczne niż odwiedziny całej rodziny osadnika, i zarazem rzucił dokoła wzrokiem, chcąc upewnić się w tym wszystkim, czy nieznajomy nie ma w pobliżu sprzymierzeńców. Następnie, na znak pokojowych zamiarów, podniósł w dłoń, wewnętrzną stroną skierowaną ku przybyszowi, i śmiało stanął naprzód. Indianin nie okazywał najmniejszych obaw i wolał traperowi się zbliżyć. Z postawy i zachowania wojownika była nieustraszona odwaga i ogromne poczucie godności własnej. Zapewne też zdawał sobie z tego sprawę, że gdy nieznajomi staną się bliżej, utracą przewagę, jaką im daje ich broń. Indianin był wojownikiem wysokiego wzrostu i kształtnej postury. Gdy zrzucił maskę z pośpiesznie zebranych kolorowych liści, ukazała twarz naznaczoną powagą, godnością i rzec można, iście wojennego rzemiosła. O wojennych zamiarach świadczą brak ozdób, jakie w czasie pokoju zwisają zwykle z uszu

r

czerwonoskórych. Pomimo późnej jesieni był prawie nagi, część ciowo tylko okryty lekką szatą ze skóry jeleniej, bardzo staranni* wyprawionej i ozdobionej prymitywnym malowidłem, przedstawiającym jakiś zuchwały czyn wojenny. Nosił ją niedbale, raczej chyba z dumy niż z niemęskiej troski o ciepło.

Jego nogawice uszyto z jasnoszkarłatnego sukna i tylko ta część ubrania Indianina świadczyła, że utrzymywał stosunki z handlarzami białej rasy. Lecz niby zadośćuczynienie za to jedyne ustępstwo na rzecz kobiecej próżności, od kolan wojownika aż do jego mokasynów zwisały wzdłuż nogawic przerażające frędzle z włosów oskalpowanych głów ludzkich.

Starzec przyjrzał się wojennemu malowidłu i innym drobiazgom, po których doświadczone oko poznaje natychmiast, do jakiego plemienia należy wojownik napotkany na pustkowiach Ameryki, podobnie jak tajemnicze obserwacje żeglarza pozwalają mu po żaglach odróżnić dalekie statki.

Po czym, posługując się językiem Pawni, spytał:

–Czy mój brat znalazł się daleko od swej wioski?

–Dalej jest do miast Długich Noży – brzmiała lakoniczna odpowiedź.

–Czemu Wilk Pawni jest tak daleko od rozwidlenia swojej rzeki i w miejscu tak pustym i nie ma nawet konia do podróży?

–Czy kobiety i dzieci białych twarzy mogą żyć, gdy zabraknie mięsa bizonów? Był głód w mojej chacie.

–Brat mój jest jeszcze zbyt młody, aby już miał własną chatę – odparł traper, patrząc bacznie na spokojną twarz młodego wojownika – choć wiem z pewnością, że jest odważny i śmiały i niejeden wódz ofiarowywał mu córkę za żonę. Ale – dodał wskazując strzałę chwiejącą się w dłoni wspartej na łuku – czy brat mój nie pomylił się, zabierając strzałę z kolczastym i luźno osadzonym grotem? Czyż Pawni chcą, by rany zadane zwierzyńie jątrzyły się i ropiały?

–Strzała nada się na Siuksa. Chociaż go nie widać, może go skrywa gąszcz.

–Ten człowiek jest żywym świadectwem prawdy swoich słów – szepnął po angielsku traper. – Jest pięknie zbudowany i postawę ma waleczną, ale o wiele za młody, aby był jakimś ważnym wodzem. Przeworność jednak każe zaskarbić jego względy

jeśli dojdzie do walki z osadnikami i jego synami, siła jednego

mienia zdecydować może, której stronie przypadnie zwycię-

70. Widzisz – ciągnął dalej w języku prerii wskazując na

wch towarzyszy, którzy tymczasem zdążyli już się przybliżyć –

I o dzieci są zmęczone. Chcemy rozłożyć obóz i posilić się. Czy

mia ta należy do mojego brata?

–Gońcy ludu mieszkającego nad wielką rzeką powiedzieli ni, że twój naród prowadził handel ze śniadymi twarzami, które ;/ za słonym jeziorem, i że teraz prerie stały się terenem łowców

tych twarzy.

–Tak, to prawda, słyszałem o tym od myśliwych i traperów ul Platte. Ale naród mój prowadzi handel z Francuzami, a nie idźmi, którzy uważają, że do nich należy Meksyk.

–I wojownicy brodzą długą rzeką, aby zobaczyć, czy kupu-C te ziemie nie zrobili złego interesu?

–A tak, to też niestety jest po części prawda. Zdaje się, że ' rótce już banda przeklętych drwali będzie dążyć za nimi krok

i i rok, aby zniszczyć te dzikie obszary, tak szeroko i bogato rozciągające się po zachodniej stronie Missisipi.

–Skóra podróżnika jest biała – rzekł młody Indianin, zna-(co kładąc palec na twardej i pomarszczonej dłoni trapera. – • serce jego mówi co innego niż język?

–Wakonda białego człowieka otwiera uszy tylko na słowo wdy. Spójrz na mą głowę: jest jak pokryta szronem sosna krotce już złożą ją w ziemi. Czy myślisz, że chcę, by Wielki

h /wrócił ku mnie zachmurzoną twarz, gdy przed Nim stanę?

Pawni wdzięcznym ruchem przerzucił tarczę na jedno ramię '(ożywszy dłoń na piersi skłonił głowę na znak szacunku dla \ ch włosów trapera.

Pomiędzy traperem i czerwonoskórym toczyła się subtelna /.t-biegła gra, gdyż każdy starał się dociec, dlaczego drugi tu vhył, i jednocześnie nie zdradzić się, że go ta sprawa interesu-lak można było z góry przewidzieć, walka pomiędzy przeciw-iimi o

tak wyrównanych siłach nie przyniosła żadnemu oczekiwanych rezultatów. Traper wyczerpał już wszystkie pytania, jakie 'Minęło mu doświadczenie i dowcip. Mimo to nie udało mu się I obyć z Indianina odpowiedzi, która by w najmniejszym cho-

cięż stopniu mogła wyjaśnić, dlaczego samotny wojownik znalazł się tak daleko od współplemieńców.

W czasie rozmowy z traperem nie znający spoczynku wzrost Indianina powędrował ku postaci Inez, promieniującej idealną pięknnością i pełnej dziecięcego niemal uroku, i zatrzymał się nienajmniej z takim wyrazem, z jakim mógłby się ktoś wpatrywać w piękną nieziemskiej zjawy. Oto – było to wyraźnie widoczne – pierwszy w życiu ujrzał jedną z tych kobiet, o których tak często mówią ojcowie jego plemienia, widzący w nich niezwykłą do skonałość, przewyższającą wszelkie obrazy kobiecej urody, jak stworzyć może wyobraźnia Indianina. Ellen obserwował w sposób mniej widoczny, lecz choć jego oczy zachowały wojowniczy i opaczny wyraz, to przecież nawet w przelotnych spojrzeniach, jakby chwilami rzucał na jej dojrzałą i zapewne silniejszą niż ciemniejszą postać; malował się hołd, jaki mężczyzna zwykł składać piękną kobiecie. Tymczasem nieświadoma niczego Ellen ze zwykłą sobie pracowitością i serdecznością krzątała się wokół słabej i mniej dzielnej Inez, a jej szczerą twarzą odzwierciedlała chwilami walczące ze sobą uczucia radości i żalu, gdy czynny umysł dziewczyny rozważał sprawę stanowczego kroku, który właśnie podjęła.

–Czy mój brat uważa, że człowieka zmienia klimat i syn może być inny od ojca? – zapytał starzec Indianina.

Młody wojownik badawczym i pogardliwym wzrokiem przyglądał się przez chwilę pytającemu, a potem dumnym ruchem podniósł w górę palec i z godnością powiedział:

–Wakonda wylewa deszcz ze swoich chmur; kiedy mówi, drżą góry, a ogień, który pali drzewa, to gniew jego oczu. Kiedy tworzył swoje dzieci, uważał i myślał, a co w ten sposób stworzył to się nigdy nie zmienia.

–Słyszałem nieraz, jak myśliwi i traperzy mówili o wielkim wodzu waszego plemienia.

–Moi rodacy nie są babami. Wielu jest dzielnych wojowników w mej wiosce.

–Tak, ale ten, o którym najczęściej mówią, to wódz przewyższający sławą wszystkich wojowników, to ktoś, kto przyniósł; zaszczyt imieniu górskich Delawarów, plemienia tak potężnego ongiś, choć dziś ginącego.

–Taki wódz musi mieć imię.

–Nazywają go Nieugiętym Sercem za śmiałość jego czynów, lusznie go tak nazywają, jeżeli wszystko, co o nim słyszałem, i prawdą.

Nieznajomy Indianin rzucił na starca spojrzenie, jakby chcąc • |jrzyć do głębi jego nie znającą fałszu duszę, i zapytał:

–Czy blada twarz widziała wojownika z mojego plemienia?

–Nie. Inne jest teraz moje życie, niż bywało jakieś czter-| sci lat temu, gdy wojna i przelew krwi stanowiły mój zawód

wioł.

Przerwał mu głośny krzyk nierozważnego Pawła i w chwilę niej bartnik wynurzył się z przeciwnego końca zagajnika, pro-l/ąc indiańskiego konia, w wojennym ryszunku.

–Takiego rumaka dosiada czerwonoskóry! – wołał przy-/.ając zwierzę do biegu. – Żaden brygadier w Kentucky nie i- się poszczycić tak pięknym i zręcznym wierzchowcem!

i o hiszpańskie siodło, jak u meksykańskiego granda!

–Spokojnie, chłopcze, spokojnie! Wilcy słyną ze swych koni

'•raz się zdarza, że Indianin na prerii ma piękniejszego konia

'i;atszy rząd niż niejeden członek Kongresu mieszkający w osa-

li. Ale na tym rumaku, doprawdy, nie jeździ chyba nikt inny,

« wódz. Siodło, jak słusznie przypuszczasz, należało w swoim

ic do słynnego hiszpańskiego kapitana, który utracił je razem

ciem w jednej z bitew, jakie jego naród tak często toczył

czskańcami południowych prowincji. Ten młodzik na pewno

;ynem wielkiego wodza. Kto wie, czy nie ów potężny wódz,

ucięte Serce, jest jego ojcem.

Młody Pawni nie okazał niecierpliwości ani niezadowolenia,

I ego rozmowa z traperem została tak niegrzecznie przerwana.

W tym czasie, osądzając widocznie, że dostatecznie już dłu-rządano jego konia, z wielkim spokojem i z miną człowieka

wykłęgo do wydawania rozkazów odebrał Pawłowi wędzidło. Wziął uzdę na kark konia i skoczył na siodło ze zręcznością mi-

siernicą i konnej jazdy. Trudno było sobie wyobrazić, by ktoś mógł

z taką pewnością i pewnie trzymać się na koniu. Koń, który z miejsca po-i) w lansadach, był równie dziki jak jego pan, lecz choć runi ich obu brakło może ułożenia i sztuki, cechowała je swobo-

radny wdzięk.

Skoczywszy tak niespodziewanie na konia, nie okazał chęć szybkiego odjazdu. Czuł się swobodniej i bezpieczniej, gdy zape wnił sobie możliwość ucieczki. Starzec zdecydował się nawiązać znów rozmowę, dlatego też wykonał ruch ręką, wyrażający pokorę jego intencje oraz chęć podjęcia na nowo rozmowy. Bystre oczy czerwonoskórego spostrzegły ten gest, lecz dopiero po upływie pewnego czasu, gdy zastanowił się nad słusznością tego kroku, okazała gotowość zbliżenia się i zaufania gromadce ludzi, wielokrotni od siebie silniejszej, a więc zdolnej w każdym momencie pozbawić go wolności lub życia. Ze szczególną mieszaniną dumy i nieufności podjechał wreszcie tak blisko, by można było swobodnie prowadzić rozmowę.

–Daleko jest stąd do wioski Wilków – rzekł, wyciągając ramię w kierunku przeciwnym, niż jak traper dobrze wiedział mieszkało to plemię – i kręta prowadzi tam droga. Co Wielki Nó chce powiedzieć?

–Powiedz, mój bracie, czy wodzowie Pawni chętnie widzą obce twarze w swoich chatach?

Młody wojownik wdzięcznym ruchem pochylił się na siodło i odpowiedział z godnością:

–A kiedyż to moi rodacy zapomnieli ugościć obcych?

–Jeżeli zaprowadzę swe córki do drzwi chaty Wilków, czy kobiety wezmą je za ręce? Czy wojownicy zapalą fajki z moimi młodzieńcami?

–Kraj białych twarzy znajduje się za nimi. Czemuż wędrują tak daleko ku zachodzącemu słońcu? Czyżby zagubili swój ścieżkę?

–Ani jedno, ani drugie. My zwiastujemy pokój. Biali i czerwonoskórzy to sąsiedzi i chcą być przyjaciółmi. Czyż Omaha nie odwiedza Wilków, gdy zakopią tomahawk na ścieżce między sobą?

–Omahawi mogą nas odwiedzać.

–A czyż Janktoni i Tetoni ze spalonych lasów, którzy żyją w kolanie rzeki o mulistej wodzie, nie przychodzą do chat Wilków, aby z nimi zapalić?

–Tetoni to łgarze! – krzyknął zapytany. – Oni nawet nocy nie odważą się zamknąć oczu. Spójrz – dodał wskazując z pełnym okrucieństwem triumfem na przerażające ozdoby swojej

iwic – Pawni mają tak wiele ich skalpów, że mogą po nich łać! Niechaj Siuksowie żyją na śnieżnych pagórkach, te rów-i bawoły są dla mężczyzn!

–A! Tajemnica wyszła na jaw – powiedział traper do Mid-ona, który, głęboko zainteresowany wynikiem rozmowy, łagą obserwował tę scenę. – Ten piękny młody Indianin to dowca tropiący Siuksów, co możesz poznać po grotach jego it, po jego malowidle, no i po jego oczach także, bo czerwono-v zmienia swój wygląd zależnie od tego, czemu się w danej iii oddaje, wojnie czy pokojowi. Spokój, Hektorze, spokój, nigdy nie czuleś Pawni w pobliżu? Spokojnie, piesku, spo-10. Mój brat ma rację... Siuksowie to złodzieje. Mówią tak •h ludzie wszystkich kolorów skóry, i mówią słusznie. Ale lu-od strony wstającego słońca nie są Siuksami, a właśnie ci lu-chcą odwiedzić chaty Wilków.

Głowa mego brata jest biała – odparł Pawni rzucając na łia jedno ze swych spojrzeń, które w tak szczególny sposób i/.ały nieufność, inteligencję i dumę, i wskazał przy tym ku iodniej stronie nieba. – Oczy mego brata widziały już wiele, może mi powiedzieć, co tam jest? Czy to bawół?

Wygląda to raczej na chmurę, która wychodzi nad skrajem rimy i ma słońcem ozłoczone brzegi. To jest dym niebios.

To jest pagórek ziemi, a na jego szczycie są chaty bladych •i/y. Niechaj kobiety mego brata obmyją stopy wśród ludzi w"i")rtfo koloru.

Dobre oczy ma Pawni, skoro z tak daleka zobaczyć może *"!<" skórę.

Indianin zwrócił się z wolna ku mówiącemu i po krótkim mil- ni zapytał surowo:

Czy mój brat poluje?

Niestety! Jestem tylko nędznym traperem. Kiedy równinę pokryją bawoły, czy je widzi? Bez wątpienia, bez wątpienia, daleko łatwiej jest zoba- niż trafić uciekającego bawołu.

•– A kiedy ptaki odlatują przed zimnem i chmury są czarne *"h skrzydeł, czy widzi je także?

–Tak, tak, nie jest trudno dojrzeć kaczkę albo gęś, kiedy -"ny ich przesłaniają niebo.

–A kiedy pada śnieg i zakrywa chaty Długich Noży, czy może zobaczyć płatki śniegu w powietrzu?

–Moje oczy teraz nie są zbyt dobre – powiedział starzec trochę niechętnie – ale był czas, Pawni, kiedy nosiłem imię świadczące o dobrym wzroku.

–Czerwonoskórzy znajdują białych z taką łatwością, z jaką przybysz widzi bawoły albo odlatujące ptaki, albo spadający śnieg. Wasi wojownicy myślą, że Władca Życia uczynił całą ziemię białą. Oni się mylą. Są biali i dokoła widzą tylko własny twarz. O, Pawni nie jest ślepcem, aby musiał długo szukać w szych ludzi.

Ntagle wojownik przerwał i pochylił na bok głowę, jak gdyby nasłuchiwał w najwyższym skupieniu. Potem obrócił koniem, odjechał od naszych znajomych, zatrzymał się na skraju zagajnika i uważnie wpatrywał się w ciemną prerię. Ukończywszy tę nieznaną czynność, która zaniepokoiła jego towarzyszy, zawrócił i jeździł przez chwilę tam i z powrotem po lasku, a wyraz jego twarzy świadczył, że w myślach Indianina odbywa się zawzięta walka. Jak jeleni popędził na miejsce swych poprzednich obserwacji i tam począł krążyć galopem w koło, jakby wciąż niepewny, co ma robić, a potem pomknął w dal, podobnie jak ptak, który krąży nad gniazdem, zanim odleci w daleką drogę. Przez chwilę gnę prerię, a potem wzniesienie zasłoniło go przed wzrokiem patrzących.

Psy, które również od pewnego czasu okazywały zaniepokój, nie pobięły za nim, lecz po chwili przystanęły, siadły na ziemi i zaniosły się pełnym jęków i przerażenia wyciem.

KOZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

A jeśli cię nie zatrzyma?...

Szekspir

arzenie, opowiedziane w zakończeniu poprzedniego rozdziału, i wkrótce się w tak krótkim czasie, że traper nie miał sposobności złożenia swego sądu o motywach postępowania Indianina, choć i jego nie uszedł najmniejszy ruch czerwonoskórego. Gdy jednak Pawni znikł im z oczu, starzec ruszył powoli ku tej stronie łąki, gdzie przed chwilą jeszcze stał koń z jeźdźcem, i pognawszy głową rzekł cicho:

–Powietrze pełne jest zapachów i dźwięków, ale moje zmysły już stępsiały, że ani węch, ani słuch ich nie rozpoznaje.

–Nic tu nie ma! – zawołał idący za nim krok w krok Mid-'ll. – Mam dobry wzrok i słuch, ale zapewniam pana, że nic lepsze i nic nie widzę.

Dobrze widzisz! I nie jesteś głuchy! – nieco pogardliwie

f jego towarzysza. – Ale natura jest zwodnicza na tych równi-

gdzie powietrze odbija czasem obrazy jak woda, a wtedy

0 orzec, czy to preria, czy morze. Ale oto znak, który pojmie myśliwy!

1 aperi wskazał na stado sępów, które w niewielkiej odległości leżały ponad równiną, najwidoczniej w tym kierunku, w zwracał spojrzenie Pawni.

Słuchaj – mówił traper, gdy wreszcie Middleton dostrzegł i naprzód kolumnę ptaków. – Teraz kapitanie, zrozumiesz nicę sępów. Oto nadchodzą bawoły. Cóż za piękne stado! u jestem, że gdzieś tu w jednym z pobliskich rozdołów ukry-

grupka Pawni, a ponieważ nasz Indianin czmychnął do

nich, ujrzymy wkrótce wspaniały wyścig. Dzięki temu osa i jego rodzina będą siedzieć w kryjówce. My zaś nie mamy pow du do obaw, gdyż Pawni nie jest złośliwym dzikusiem.

Wstrząsające widowisko, jakie roztoczyło się teraz prze nimi, ściągnęło uwagę wszystkich obecnych. Nawet lękliwa Ine stanęła przy Middletonie, chcąc popatrzeć na ten widok, a Pawe odwołał Ellen od kulinarnych zajęć, by na własne oczy ogląda*} mogła tę pełną żywiołowej potęgi scenę.

Najpierw zauważono kilka ogromnych byków, pędzących po najdalszym wzniesieniu. Za nimi ukazały się długie szeregi pojedynczych bawołów, a potem gnała taka masa zwierząt, że pod ciemną barwą ich kudłatych futer zginęła zupełnie szara zieleń prerii. Od czasu do czasu wiatr przynosił głucho, stłumione ryczenie, jak gdyby tysiąc gardzieli wypowiadało skargi w niezgodnych pomrukach.

Długie, pełne zadumy milczenie panowało wśród naszyć podróżnych, gdy spoglądali na ten obraz dzikiej grozy i majest tu. Wreszcie traper przerwał ciszę.

–W tym stadzie pędzi dziesięć tysięcy byków, nie mając na sobą dozorcę ani pana, prócz Tego, który je stworzył i dał im szerokie prerie za pastwisko. Ach, tutaj właśnie może się człowiek przekonać, do czego doprowadza go chciwość i głupota! Czyż naj dumniejszy władca Stanów mógłby wyjść na swe pola i upolowa' piękniejszego byka od tego, jakiego tutaj może zabić najzwyczaj szy człowiek? Ale oto stado zbacza trochę w naszym kierunku i wypada nam przygotować się na tę wizytę. Gdybyśmy się wszy scy ukryli, te rogate bestie przebiegłyby tędy i stratowały nas ko pytami, jak nędzne robaki. Dlatego też odprowadźmy stąd naszi słabsze towarzyszeki, a sami utwórzmy przednią straż, jak przy stało mężczyznom i myśliwym.

Z pośpiechem i przejęciem zajęto się niezbędnymi przygotowaniami, na które pozostało bardzo niewiele czasu. Ellen i Ine: odprowadzono na przeciwległy skraj gąszczu, najdalej od na biegającego stada. Nerwowego Asinusa umieszczono w środku a starzec i jego trzej towarzysze rozdzielili się w taki sposób, a móc zwrócić czoło pracy naprzód kolumny, gdyby przypadkiem: zbyt zbliżyła się do ich stanowisk. Biegająca na przodzie gru; pięćdziesięciu czy stu byków odchyłała się to w jedną, to w drugą:

•Jronę, tak że przez dłuższą chwilę trudno było odgadnąć, w jakim kierunku pognają. Lecz oto zza kłębow kurzawy, wznoszącej •"V nad środkiem pędzącego stada, wzbil się w niebo potężny i pe-l"-M przerażenia ryk. Odpowiedział mu przeraźliwy pisk żarłocznego ptactwa prerii, niecierpliwie krążącego nad uciekającymi zwierzętami, i zdało się, że nowe siły wstąpiły w bizony. Znikły wszelkie

Ślady niezdecydowania i wystraszone stado, pewnie spragnione widoku najmniejszego bodaj skrawku lasu, pognało całą masą prosto ku gęstwinie, w której schowali się nasi pod-

i/.ni.

A teraz rzeczywiście niebezpieczeństwo stało się tak bliskie t.inżne, że trzeba było mieć nerwy z żelaza, by zachować spokój. Każdy z naszych przyjaciół odczuwał grozę sytuacji inaczej, sposób właściwy swemu charakterowi i usposobieniu.

–Traperze! – wołał Paweł. – Znasz tajemnice prerii, i /yjdź nam na pomoc swoimi sztuczkami, bo zostaniemy zagrze-ini pod górą bawolich garbów!

Starzec, który przez cały czas stał wsparty na lufie i niewzru-"/<nym wzrokiem obserwował bieg zwierząt, uznał, że nadeszła |Mira działania. Ze zręcznością, która przyniosłaby zaszczyt mło-•Incńcowi, podniósł strzelbę do oka, wymierzył w biegnącego na nnym przodzie byka i strzelił. Zwierzę, trafione kulą w zmie-! wionę kudły między rogami, przyklęło, lecz jak gdyby przera-nio podwoiło jego siły, dźwignęło się natychmiast, potrząsając UM-rn. Nie było czasu do stracenia. Traper cisnął strzelbę na zie-mK1, wyciągnął naprzód ramiona i z gołymi rękami wyszedł z Mkrycia, kierując się wprost na kolumnę zwierząt. Postać człowieka, od którego bije stanowczość i spokój, jakimi jedynie inteligen-")ii zdolna jest obdarzyć, niezawodnie budzi szacunek u niższych łtworzeń. BaVoły, biegnące na czele stada, zawahały się i przy-•iimęły. Zakotłowała się masa zwierząt w pierwszych szeregach, •> wpadać na nie poczęły setki biegnących z tyłu towarzyszy, •'•tedy ponownie dał się słyszeć gdzieś z dalszych szeregów niski k, który poruszył całe stado. Lecz przednia linia kolumny roz-/icliła się. Nieruchoma postać trapera zdawała się przecinać ją i dwa żywe strumienie. Middleton i Paweł natychmiast poszli za tfo przykładem i występując naprzód w podobny sposób, wzmo-uli słabą zaporę. Wtem rozszalały byk przemknął obok Middle-

tona tak blisko, że niemal otarł się o niego i w sekundę zaszył się w gąszcz z szybkością wiatru.

–Zbliźcie się i padnijcie na ziemię – krzyknął starzec – bc pogna za nim tysiąc tych diabłów!

Jednakże wszystkie ich wysiłki w walce z tą żywą rzeką oka załyby się bezskuteczne, gdyby ponad porykiwania i tupot bawołów nie wzbił się ryk Asinusa, oburzonego brutalnym wtargnięciem intruza do jego królestwa.

Strumień pędzących zwierząt rozdwoił się, omijając laseki dwie ciemne kolumny bawołów zatoczyły wokół niego dwa łi i przebiegłszy milę złączyły się po przeciwnej jego stronie.

Gdy starzec ujrzał nagły skutek ryku Asinusa, począł spokojnie rozładowywać strzelbę, śmiejąc się serdecznie, choć cicho, do swego.

–Oto uciekają jak psy, u których ogonów dyndają wpół na-j pełnione mieszki z kulami. Nie ma mowy, by zmieniły porządek pochodów. Cóż z tobą, przyjacielu? – zapytał traper przyrodnika, który wciąż stał bez ruchu, jak urzeczony. – Czyżby pan, który zarabia na życie notując w księgach nazwy zwierząt chodzących po ziemi i ptaków latających w powietrzu, czyżby pan uląkł się widoku stada uciekających bawołów?

Zanim jeszcze Paweł i traper opanowali wybuch wesołości, jaką w nich rozbudziło długie i nieprzytomne zamyślenie ich uczonego towarzysza, zaczął on oddychać głęboko, jak gdyby para sztucznych miechów pobudziła do działania jego zmarłe płuca, a potem usłyszano, jak z jego ust – w tym jednym jedynym wypadku – padły słowa, których już nigdy potem nie powtórzyli

–Boves americani horridi – wykrzyknął doktor, kładąc silny nacisk na ostatnim słowie, a potem znów zamilkł, jak gdyby zamyślił się nad dziwnym i wprost nie do pojęcia zdarzeniem.

–Zwierzę to ma przerażający wygląd, zwłaszcza dla kogoś nie przyzwyczajonego do widoku prawdziwego życia natury odparł traper. – Ale jego odwaga zupełnie nie dorównuje wyglądom. O, nadbiega ogon naszego stada bawołów. Za nimi gędy wilki czyhają na sztuki chore lub te, co przewrócą się i skręć kark. Ha! tam za nimi jadą ludzie na koniach... jakem grzeszył śmiertelnik... tam, chłopcze, możesz ich stąd dojrzeć, tam gędy

! ir podnosi kurzawę! Krążą przy rannym bawole, zadając

łami śmierć temu ponuremu diabłu!

Wkrótce rzeczywiście ukazał się oddział piętnastu czy dwustu jeźdźców, szybko okrążających wspaniałego byka, który

! / .ony i zbyt ciężko ranny, aby uciekać, zanadto był hardy, by;(*, choć w potężnym jego cielsku, jak w tarczy strzelniczej,

i la już setka strzał. Lecz gdy potężny Indianin ugodził je dzi-

lopelniając zwycięstwa, krzepkie zwierzę musiało pożegnać

życiem, którego tak zaciekle broniło.

–Jak dobrze znają Pawni zasady polowania na bawoły –

i oddział starzec, gdy przez dłuższą chwilę z widocznym zado-!riiem obserwował tę pełną ruchu scenę. – To nie są Pawni!

i na głowach pióra z sowich skrzydeł i ogonów... A... jakem

ny traper, toż to jest banda przeklętych Siuksów. Chowajcie

!hłopczy, chowajcie się!

Vliddleton odwrócił się już od tego widowiska, szukając cze-

.nacznie milszego, a mianowicie widoku młodej i pięknej Paweł pochwycił ramię doktora, traper szedł, jak mógł naj-

!iirj, toteż wkrótce całe towarzystwo znalazło się za osłoną li. Po kilku zwięzłych wyjaśnieniach, dotyczących istoty no-niebezpieczeństwa, starzec, na którym z racji jego wielkiego uידczenia spoczywał obowiązek pokierowania towarzysza-

" wiedział tak:

Znajdujemy się w okolicy, gdzie, jak musicie wiedzieć, sil-inię znaczy więcej niż prawo i gdzie prawo białych jest mało i mało potrzebne. Dlatego też wszystko zależy teraz od roz-i siły. Gdyby – ciągnął, kładąc palec na policzku, jak czoło-który głęboko się zastanawia nad kłopotliwą sytuacją, w ja-it,1 znalazł- gdyby dało się coś wymyślić, żeby Siuksowie • i na osadnika pokłócili się, moglibyśmy się zjawić jak ja-

wr po bitwie między zwierzętami i zabrać, co się da... Pawni./c w pobliżu! To pewne, bo przecież ten młodzik nie odda-[(,| tak od swojej wioski, gdyby nie miał do spełnienia jakie-iilania. Tak więc w zasięgu kuli armatniej znajdują się czte-ipy ludzi, a żadna nie może drugiej zaufać. To wszystko pale niemal nasze ruchy na tych otwartych przestrzeniach. Ale as tu trzech dobrze uzbrojonych, a mogę powiedzieć –

ii odważnych mężczyzn...

–Czterech – przerwał Paweł, wskazując na przyrodnika-

–W każdej armii są maruderzy i próżniacy – rzekł upart człowiek pogranicza. – Przyjacielu, musimy zabić pańskiego" osła.

–Zabić Asinusa! Taki czyn byłby aktem najwyższego ok: cieństwa.

–Nie pojmuję pańskich słów, których dźwięk zaciemnia ic znaczenie, ale okrucieństwem byłoby, gdyby dla ocalenia zwierzę[^] cia poświęciło się człowieka. Takie jest według mnie prawo miło sierdzia. Równie bezpiecznie byłoby zadać w trąbę, jak pozwoli zwierzęciu ponownie zaryczeć, gdyż i jedno, i drugie stanowiłob jawne wyzwanie rzucone Siuksom.

–' Biorę na siebie odpowiedzialność za dyskrecję Asinuss który rzadko odzywa się bez powodu.

–Mówią, że można poznać człowieka po tym, jakich doberf sobie towarzyszy – odparł starzec. – Pewnie i po tym, jakie sobi wybrał zwierzę.

–Jest w tym racja i logika – poparł go Paweł. – Muzyka t muzyka i zawsze jest hałaśliwa, czy płynie ze skrzypiec, c. z gardła osła. Toteż zgadzam się z naszym staruszkim i powia* dam, zabijmy tego osła.

–Przyjaciele – odrzekł przyrodnik, smutnie spoglądając t na jednego, to na drugiego ze swych żądnych krwi towarzyszy nie zabijajcie Asinusa. Jest on przedstawicielem swego gatunkuj o którym można powiedzieć wiele dobrego, a mało złego. Jak m swój gatunek, jest wytrzymały i łagodny. Jest powściągliwy i pe len cierpliwości nawet jak na swój rodzaj. Wiele podróżowaliśni razem i bardzo by mnie zasmuciła jego śmierć. Czcigodny trape rze, czy nie utraciłby pan pogody ducha, gdyby musiał się rozsta w tak niewczesny sposób ze swoim wiernym psem?

–Nie zabijemy osła – powiedział starzec, chrząkając, gdy widocznie trafiły mu do serca słowa przyrodnika. – Ale trzeb; mu jakoś unieemożliwić ryczenie. Zwiążcie mu szczęki, a reszt zdamy na Opatrzność.

Mając tę podwójną gwarancję dyskrecji Asinusa – Paweł b wiem natychmiast związał pysk osła we wskazany sposób – tr; per poszedł na brzeg lasku na zwiady.

Ryk, który towarzyszył ucieczce bawołów, jak ucichł, a rac

•/.legał się gdzieś o milę. Wiatr rozwiał tumany kurzu i tam, l/.ic przed dziesięciu minutami rozgrywały się dzikie wydarzenia, pełne dzikości i zamętu, oko dostrzegało

tylko spokojną i'rie.

Siuksowie zebrali już plony zwycięstwa i wydawało się, że / .wolą reszcie stada uciec, zadowoleni, że zdobycz powiększyła ak już liczne łupy. Kilkunastu wojowników zebrało się wokół • trzelonego zwierzęcia, nad którym zawisło parę sępów o żarłokowych ślepiach. Reszta Indian jeździła w różne strony, szukając icwne, czy na szlaku tak licznego stada nie znajdą jeszcze ja-j." zdobyczy. Traper bacznie przyglądał się postaciom i uzbro-!!m Indian, którzy zbliżyli się do skraju zarośli. W końcu wska-

Middletonowi jednego z nich, mówiąc, że to Weucha.

–Tak więc wiemy już nie tylko, co to za Indianie, ale i dla-i:⟨ tu przybyli – prawil starzec, potrząsając w zamyśleniu głó-

–Zgubili szlak osadnika i szukają go teraz. Bawoły przebie-im drogę i gdy je ścigali, zły los przywiódł ich tutaj, skąd wi-tfóre, na której obozuje rodzina Izmaela. Czy widzicie, jak te

ki czatują na resztki bawołu zabitego przez Indian? Zawiera *v tym morał, który uczy, czym jest życie na prerii. Zgraja Pa-czyha na Siuksów, podobnie jak sępy czatują na żer. A nam stało, jako chrześcijanom będącym w niebezpieczeństwie, !Jadać z góry na jednych i drugich! Ha! czemuż te gady stanę-ilaj! Jakem żyw, znaleźli miejsce, gdzie zginął nieszczęsny syn Inika!

Istoria

ROZDZIAŁ DWUDZIEST

Witaj, stary Pistolu.

Szeksp

Wkrótce potem traper wskazał wyniosłą postać Mahtoriego, nazywając go wodzem Siuksów. Ów wódz ostatni z Indian posłuchał przeraźliwego wezwania Weuchy, ledwie jednak podjechał naj miejsce, gdzie zebrał się cały jego oddział, natychmiast zeskoczyli z konia i zaczął badać znaki straszliwego szlaku z godnością i uwagą, jak przystało jego wysokiemu i odpowiedzialnemu stanowisku. Wojownicy z cierpliwością i opanowaniem oczekiwali na rezultat oględzin. Nikt, z wyjątkiem kilku najwybitniejszych; nie odważył się nawet odezwać, gdy ich wódz był zajęty tak ważną sprawą. Uplęło kilka minut, nim Mahtori zakończył badania. Zatrzymał wzrok na tych paru śladach, które również i dla Izmaela stanowiły wstrząsający dowód krwawej walki. Skinął na swych ludzi, by szli za nim.

Cała gromada posuwała się naprzód ku zagajnikowi. Zatrzymali się o parę zaledwie jardów od miejsca, skąd Estera wzywała swych leniwych synów, aby zobaczyli, co się kryje pod osłon drzew. Traper i jego towarzysze nie mogli w tak groźnym momencie pozostać obojętnymi widzami. Starzec wezwał do swego bok wszystkich zdolnych do noszenia broni i w jasnych słowach, choć głosem tak cichym, by nie mógł dobiec do uszu groźnych przybyszów, dopytywał, czy chcą walczyć o swoją wolność, czy też uważają, że należy podjąć łagodniejsze, pojednawcze kroki. Zdania na ten temat były różne. Middleton skłaniał się ku środkom pokój o wym rozumiejąc, że wskutek wielkiej przewagi wroga walka mu siałaby doprowadzić do klęski.

162

– Tak, masz słuszość – powiedział traper, gdy tamten wyłożył swoje racje – masz zupełną słuszość, bo jeśli nie można pokonać przeszkody, należy ją sprytnie obejść. Rozum czyni człowieka silniejszym od bawołu i szybszym od jelenia. Zostańcie tutaj i trzymajcie się razem. Moje życie i moje sidła nie mają wielkiej wartości w porównaniu z losem tylu ludzkich istot. Poza tym mogę chyba powiedzieć, że znam się na kręactwach Indian. Dla was wyjdę sam na prerię. Może się zdarzyć, że odwrócę ich uwagę i dam wam sposobność ucieczki.

Gdy przed oczami Siuksów pojawiła się postać mężczyzny w

trykocie myśliwskim, z dobrze im znaną, straszliwą strzelbą na ra-

ii-niu, całą bandę ogarnęło widoczne, choć hamowane podniece-

ć. Zręczność i spryt trapera odniosły zwycięstwo i chociaż In-
mie nie przestali rzucać niespokojnych, podejrzliwych spojrzeń
lasek, zupełnie nie wiedzieli, czy nieznajomy wynurzył się
izaków, czy też nadszedł z prerii. Stali w odległości lotu strza-
od krzaków, ale gdy przybysz podszedł dość blisko, by mogli
•/nać, iż pod grubą warstwą brązu i czerwieni, jaką słońce
iatr pokryły w ciągu długich lat jego oblicze, kryją się rysy bia-
i) człowieka – poczęli z wolna się cofać, aż znaleźli się poza
ięciem strzałów ognistej broni.

A tymczasem starzec nie przestawał iść w ich kierunku, aż
–Iszedł tak blisko, że mogli go słyszeć wyraźnie. Wtedy stanął
i uściwszy strzelbę na ziemię podniósł ku górze dłoń, wewnę-
na stronę zwróconą ku Indianom, na znak pokoju. Paru słowy
iikoił psa, i zwrócił się do Indian w języku Siuksów.

–Witam mych braci – rzekł przebiegły starzec. – Odeszli iko od swych wiosek i są
głodni. Niechaj udadzą się do mojej ty, by się najeść i wyspać.

Gdy Indianie posłyszeli jego głos, z piersi kilkunastu wojow-
<w wydarł się okrzyk radości, który wyjaśnił mądrymu wojo-
kowi, że i jego także poznano. Czując, że już za późno na ucie-
–:, skorzystał z zamieszania, jakie powstało wśród Indian, gdy
łicha zaczął opowiadać, kim jest nieznajomy, i posuwał się na-
>d, aż stanął przed obliczem straszliwego Mahtoriego. Ponow-
potkanie tych dwu ludzi, z których każdy był na swój sposób

**s niezwykłym, cechowała zwykła ostrożność obowiązująca na
raniczu. Przez minutę przyglądali się sobie bez słowa.**

–Gdzie są twoi młodzi ludzie? – surowo zapytał wódz Te tonów, gdy się przekonał, że nieporuszona twarz trapera nie zdradzi pod wpływem jego groźnych spojrzeń żadnej tajemnicy.

–Czy Długie Noże chodzą gromadą na bobry? Sam jestem.

–Masz białą głowę, lecz rozdwojony język. Mahtori był w twoim obozie. Wie, że nie jesteś sam. Gdzie twoja młoda żona i wojownik, których spotkałem na prerii?

–Nie mam żony. Mówiłem już memu bratu, że ta kobieta i jej przyjaciel są mi obcy. Trzeba słuchać słów siwej głowy i nie zapominać ich. Dakotaowie spotkali śpiących podróżnych i myśleli, że białym nie potrzeba koni. Kobiety i dzieci bladych twarzy nie przywykły chodzić daleko na własnych nogach. Szukaj tam, gdzie ich pozostawiłeś.

Oczy Tetona ciskały błyskawice, gdy odpowiadał:

–Tam ich nie ma. Ale Mahtori to mądry wódz, a jego oczy widzą daleko!

–Czy tetońscy wojownicy widzieli ludzi na tej pustej pre rii? – ze spokojnym wyrazem twarzy pytał traper. – Ja już je stem bardzo stary i oczy moje zaszły mgłą. Gdzie oni są?

Wódz milczał przez chwilę, jak gdyby nie chciał sprawdza faktu, co do którego dostatecznie już się upewnił. Nagle surow; wyraz twarzy złagodniał. Indianin wskazał ślady na ziemi i rzekł

–Mój ojciec wiele długich zim zdobywał mądrość. Czy moż mi powiedzieć, czyj mokasyn pozostawił tu ślad?

–Wiele jest wilków i bawołów na prerii, a być może są t i pumy.

Mahtori rzucił okiem na zarośla, jak gdyby sądził, że przypu szczenie trapera może być trafne. Wskazał swym młodym ludziorzaki rozkazując dokładnie je zbadać. Ostrzegł ich jednak, spoi glądając przy tym surowo na trapera, by mieli się na baczność przed podstępami Wielkich Noży.

Słyszając to paru półnagich młodzieńców ochoczo zacięło koni i popędziło wypełnić rozkaz. Tetoni parokrotnie okrążyli lasek, zi każdym razem zataczając coraz mniejsze koła, a potem przegalo powali do wodza, by oświadczyć, że zarośla wydają się puste. Ni odpowiadając na informację zwiadowców, wódz łagodnie rzek parę słów do swego konia, skinął na młodego Indianina, żebj wziął uzdę, a raczej postronek, za pomocą którego kierował zwie»

... i. ' (;ciem, ujął pod ramię trapera i odprowadził go parę kroków na bok od gromady.

–Czy brat mój jest wojownikiem? – powiedział przebiegły czerwonoskóry, starając się nadać swemu głosowi ton jak najbar-icj pojednawczy.

–Czyż liście pokrywają drzewa w porze owocowania? Słuchaj! Dakotanie nie widzieli tylu żyjących wojowników, ilu ja

... i. Jdałem we krwi! Ale – dodał po angielsku – cóż znaczy jał- ' wspomnienie przyszłości, gdy nogi sztywnieją, a wzrok słab-, '!

Wódz przez chwilę spoglądał na niego surowo, jak gdyby chciał wykrzyć, czy w tym, co słyszał, nie kryje się kłamstwo, ale czerwonoskóry w jasnym spojrzeniu i spokojnej twarzy trapera po-ii'rdzenie prawdy jego słów, ujął dłoń starca i łagodnym ruin położył ją sobie na głowie, na znak szacunku należnego jego im i doświadczeniu.

–Czemuż więc Wielkie Noże mówią swym czerwonym braci, ażeby zakopali tomahawk – rzekł – a ich młodzi ludzie: 'ly nie zapominają, że są wojownikami i tak często idą naprze-

siebie z krwawymi rękami?

–Mój naród jest liczniejszy niż bawoły na prerii lub gołębie powietrzu. Często są wśród nich kłótnie, lecz mało wojowni-

r. Nikt nie wyrusza na ścieżkę wojenną prócz mężów odbarzo-h cnotami wojownika, i dlatego tacy oglądają wiele bitew.

–Nie, nie jest tak... mój ojciec się myli – odparł Mahtori, walając sobie na triumfalny uśmiech, choć jednocześnie z szakiu dla lat i doświadczeń sędziwego trapera złagodził ostrość

ch słów. – Wielkie Noże są bardzo mądrzy i godni imienia ów i wszyscy chcieliby być wojownikami. Chcieliby pozosta-czerwonoskórym tylko wykopywanie kukurydzy. Ale Dakota po to się urodził, aby wieść życie kobiety. Musi bić Pawni nahawów albo utraci imię swych ojców.

Mahtori delikatnie położył rękę na ramieniu trapera i poprosił go w stronę lasu. Gdy znaleźli się w odległości pięćdziesięciu stóp od skraju zarośli, wbił przenikliwe spojrzenie w poczy i twarz starca i ciągnął dalej przerwana rozmowę:

Jeżeli mój ojciec ukrył swoich młodych ludzi w tych krzakach, niechaj im powie, aby

wyszli. **Widzisz przecież, że Dakota**

się nie boi. Mahtori jest wielkim wodzem! Wojownik, który ma siwą głowę i wkrótce odejdzie do Krainy Duchów, nie może mieć języka o dwu końcach jak wąż.

–Dakota, rzekłem ci prawdę. Od kiedy Wielki Duch uczynił mnie mężem, żyję w lasach albo na tej pustej prerii, nie mają domu ani rodziny. Jestem myśliwym i samotnie idę swoją ścieżką

–Mój ojciec ma dobry karabin. Niech wyceluje w zarosły i strzeli.

Traper zawahał się chwilę, a potem zaczął z wolna czyni przygotowania do złożenia tego niebezpiecznego dowodu prawdy dziwością swych słów, pojął bowiem, że bez tego nie zdoła uspić podejrzeń chytrego Indianina. Zniżając lufę przebiegł oczym różnobarwną zasłonę z liści, starając się dojrzeć, co znajdzie się pod nimi, a chociaż lata osłabiły i przyćmiły jego wzrok, dostrzegł brunatną korę pnia niewielkiego drzewka. Mając ten cel przed oczami podniósł strzelbę i wypalił. Zaledwie kula wysliznęła się z lufy, ręce starca poczęły drzeć gwałtownie. Gdyby zdarzyło się to o sekundę wcześniej, nie mógłby podjąć tak ryzykownej próby. Zapanowała chwila przerażającej ciszy, a on oczekiwał, że ład moment dobiegną go krzyki kobiet. Gdy dym opadł, ujrzał powie wający na wietrze kawałek odłupanej kory i zrozumiał, że nie utracił jeszcze zupełnie dawnej celności strzału. Opuścił strzelbę na ziemię i z wyrazem najwyższego spokoju zwrócił się do towarzysza, pytając:

–Cóż, czy to wystarczy memu bratu?

–Mahtori jest wodzem Dakotów – odparł przebiegły Teton i w uznaniu dla prawdomówności tramera położył rękę na jego ramieniu. – Mahtori wie, że siwowłose wojownik, który palił fajkę wielu radach wojennych, nie przebywa w niegodnym towarzystwie. Lecz czyż mój ojciec nie jeździł kiedyś konno, jak boga: wódz białych twarzy, zamiast przemierzać ziemię własnymi koniami, jak czyni głodny Konza?

–Nigdy! Wakonda dał mi nogi i wzbudził chęć ich używania. Przez sześćdziesiąt zim i wiosen wędrowałem lasami Ameryki, dziesięć uciążliwych lat spędziłem na tej otwartej prerii i chociaż sto musiałem posługiwać się tym, czym Pan obdarzył inne stworzenia, gdy chciałem przenieść się na inne miejsce.

–Skoro mój ojciec tak długo żył w cieniu lasów, czemuż wyjechał na prerię? Tu słońce go porazi.

Starzec popatrzył przed siebie żalonym wzrokiem, a potem wracając się do towarzysza z takim wyrazem twarzy, jak gdyby miał mu zwierzyć jakąś tajemnicę,

powiedział:

–Spędziłem wiosnę, lato i jesień życia wśród drzew. Nade-"/ł; i zima, a ja wciąż jeszcze byłem tam, gdzie tak dobrze mi się /wło, w tych spokojnych... ach, tak, w tych pocziwych, zacnych lasach. Tetonie, szczęśliwe były moje sny wtedy, gdy wzrok po-t>izez gałęzie sosen i buków sięgał aż do samej siedziby Dobrego

ucha mojego ludu. Ale zbudził mnie stuk siekier drwali. Przez

u^i czas uszy nie słyszały nic prócz łoskotu wyrąbywanych

. cw. Znosiłem to, jak przystało mężowi, jak przystało wojowni-

!wi, bo był powód, abym to znosił, ale gdy powód ten wygasł,

lanowiłem udać się daleko, by nie słyszeć już tych przeklętych

lasów. Posłyszałem o tych pustych preriach i przyszedłem tutaj,

ckając przed niszczycielskimi zapędami mojego ludu. Powiedz

Dakota, czy nie postąpiłem słusznie?

Indianin słuchał z uwagą tych słów i odpowiedział na pytanie nntencjonalny sposób, w jaki zwykł przemawiać jego naród:

–Głowa mojego ojca jest zupełnie siwa. Żył on zawsze po-! dzy ludźmi i widział wiele. To, co robi, jest dobre, to, co mówi, 1 mądre. Niechaj mi teraz powie, czy jest pewien, że nie zna

I kich Noży, którzy na wszystkie strony szukają po prerii swo-koni i nie mogą ich znaleźć?

–Dakota, to, co powiedziałem, jest prawdą, żyję sam i nigdy '.udaję się z ludźmi, których skóra jest biała, jeżeli... Przerwał ujrząwszy widok, który go równie zdziwił, jak za-okoił. Gdy domawiał tych słów, rozchyliły się nagle przed

krzaki i ukazała się gromada ludzi, których niedawno opus- t (ila których dobra starał się pogodzić zamiłowanie do mowie- ' prawdy z koniecznością uciekania się do wykrętów i wy-

<>W.

W niewielkiej odległości za nimi ujrzano inną grupę ludzi,

[>kich i uzbrojonych, która wynurzyła się zza lasku i sunęła

luksom, podobnie jak nieraz oddział krążowników sunie

bezmiar oceanu ku bogatemu, lecz dobrze strzeżonemu

i rytowi. Mówiąc krótko, na prerii ukazała się rodzina osadnika,

a przynajmniej ci jej członkowie, którzy byli zdolni do nosze broni. Najwidoczniej pragnęli pomścić doznaną krzywdę.

Kiedy Mahtori i jego towarzysze zobaczyli przybyszów, za częli się z wolna wycofywać spod zarośli, aż przystanęli na wzniesieniu, skąd rozciągał się szeroki, niczym nie przysłonięty widok na otaczającą ich prerię. Wódz postanowił tu się zatrzymać i wyjaśnić sytuację. Mimo tego odwrotu, w którym traper musiał J uczestniczyć, Middleton szedł naprzód, aż znalazł się na tym samym wzniesieniu. Stał w takiej odległości od wojowniczych Siuksów, by mógł się z nimi porozumieć. Mieszkańcy pogranicz również zajęli wygodną pozycję, chociaż w znacznej odległości.

W tej chwili niepewności czarne, groźne oczy Mahtorieg wędrowały od jednej grupy nieznanym do drugiej, dokonują-pośpiesznego, lecz dokładnego przeglądu. Następnie wódz skierował palące spojrzenie na starca i powiedział tonem zjadliw wzgardy:

–Wielkie Noże to głupcy! Łatwiej jest złapać śpiącą pumi niż znaleźć ślepego Dakotę! Czy Siwa Głowa zamierza dosiąć konia Siuksa?

Traper zdążył już tymczasem zebrać rozproszone myśli i zrc> zumiał, że gdy Middleton ujrzał Izmaela, który nadchodził ku ich własnym szlakiem, wołał zaufać gościnności dzikich niż przy jęciu, jakie zgotowały mu osadnik. Toteż starzec postanowi przyczynić się do tego, by Indianie okazali życzliwość jego przyja ciolom, bo rozumiał, że takie przymierze, choć nienaturalne, jes niezbędne dla uratowania wolności, a kto wie, czy nie życia tyci kilku osób.

–Czy brat mój kiedykolwiek szedł ścieżką wojenną przeciw mojemu narodowi? – spokojnie zapytał wzburzonego wodza, któ' ry wciąż czekał jego odpowiedzi.

–Jakież plemię czy naród nie odczuwa ciosów Dakotów Mahtori jest ich wojownikiem.

–A czy Wielkie Noże okazały się babami czy też mężami? Gdy Indianin posłyszał to pytanie, na jego ciemnym oblicz

odmalowała się gwałtowna walka uczuć. Początkowo nie dając się ugasić nienawiść zdawała się brać górę, po chwili jednak zagościł na jego twarzy inny wyraz, szlachetniejszy i bardziej god ny dzielnego wojownika. Indianin odrzucił z piersi lekką szat*,1

i/dobionej malowidłami jeleniej skóry i wskazując na bliznę po I mięciu bagnetem, rzekł:

–Otrzymałem tę ranę tak, jak sam rany zadawałem: stojąc a arzą w twarz z wrogiem.

–To mi wystarcza. Brat mój jest dzielnym wojownikiem musi być mądrym wodzem. Niechaj spojrzy przed siebie: czy to

I wojownik bladych twarzy? Czy ktoś podobny do tej osoby.'. i nił wielkiego Dakotę?

Spojrzenie Indianina pobiegło w kierunku, jaki wskazywała a yciągnięta ręka starca, i spoczęło na wiotkiej postaci Inez. Ob-|irrwował j? przez chwilę; a potem po kolei przypatrywał się innym osobom w tej grupie, aż obejrzał wszystkie.

–Mój brat widzi, że nie mam języka o dwu końcach – rzekł iaper. – Wielkie Noże nie posyłają na wojnę żon. Wiem, że Da-kotaowie wypalą fajkę z przybyszami.

–Mahtori jest wielkim wodzem. Wita Długie Noże – po-•v icdział Teton kładąc rękę na sercu. – Strzały moich młodych

(ijowników są w ich kołczanach.

Traper dał Middletonowi znak, aby podszedł, i w chwilę póź-ij dwie grupy połączyły się ze sobą. Mężczyźni wymieniali przygnę powitania stosownie do obyczajów wojowników prerii. Lecz wet w momencie świadczenia tych uprzejmości Dakota nie zostawał bacznie obserwować stojącej dalej gromadki białych, i; gdyby nadal podejrzewał podstęp lub szukał dalszych wyjaś- ii. Traper zrozumiał, że musi jakoś wytłumaczyć sytuację, by

! utracić pewnych korzyści, jakie już zdobył, choć niewielkie

! c były i stawiały ich wszystkich w dość dwuznacznym położe-i. Przyglądając się gromadce przybyszów, którzy nie opuszczali

.ijsca swego pierwszego postoju, udawał, że zastanawia się, co:;ą za ludzie. Spostrzegł, że Izmael najwyraźniej szykuje się do -1 ychmiastowego natarcia. Doświadczony wojownik osądził, że i iik bitwy, jaką na otwartej prerii stoczyliby uzbrojeni tubylcy, <rby nawet wspomagani przez białych sprzymierzeńców, z kil- mastu zuchwałymi ludźmi pogranicza, jest wielce niepewny, a miio iż sam, z osobistych przyczyn nie byłby przeciwny walce, iważał, że jego latom i charakterowi bardziej przystoi zapobiega4-ii"" rozlewowi krwi niż zachęcanie do walki. Z wiadomych przyczyn jego uczucia zgadzały się z zapatrywaniami Pawła i Middle-

lis

2 a s> " ^

o§'g.S.2oN

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

nie żartuj z bogów – i raczej się wynoś Panie Baptysto. Mam wskazać ci drogę?

Szekspii

Zaledwie Małitori zdradził swój prawdziwy zamiar, rodzina osadnika dała ku niemu salwę ze wszystkich strzelb, dowodząc, że doskonale rozumieją, o co chodzi. Strzały nie wyrządziły Indianom żadnej szkody, bo uciekali bardzo szybko i znaczna odległość dzieliła ich już od strzelających. Wódz Dakotów, chcąc okazać jak mało sobie robi z przeciwnika, odpowiedział na salwę ciem, a potem, na znak jawnej pogardy dla daremnych wysiłków wroga, wraz z kilku najlepszymi wojownikami zatoczył na końcu koło na równinie, wymachując strzelbą nad głową. Zamanifestowawszy w ten dziki sposób pogardę dla wroga, grupka wybrańców powróciła do głównego oddziału, który ani na chwilę nie przerywał jazdy w wyznaczonym kierunku, i zajęła stanowisko w tyle tak sprawnie i szybko, że niewątpliwie manewr ten musiał być z góry ułożony.

Po pierwszej salwie szybko nastąpiły dalsze, lecz w końcu rozwścieczony osadnik, choć z wielką niechęcią, musiał zaniechać próby pokonania wroga za pomocą tak słabych środków. Przerwał więc bezowocne wysiłki i puścił się w gwałtowną pogoń czerwonoskórymi. Od czasu do czasu strzelał, by zaalarmować garnizon, pozostawiony przezornie pod dowództwem nieulekłej Estery. Ale okoliczność ta nie przeszkadzała wodzowi Indian. Jechał teraz znów na czele i nadal trzymał się właściwego kierunku tak dokładnie, jak wyborny pies myśliwski. Zwolnił tylko nie bieg, ponieważ konie gnały już resztkami tchu. W zapadającym

mroku traper podjechał ku Middletonowi i zwrócił się do niego i do angielsku:

–Odbędą się tu zapewne napad i rabunek, a ja doprawdy zupełnie nie miałbym ochoty brać w tym udziału.

–Cóż pan może na to poradzić? Okropny byłby nasz koniec, gdybyśmy oddali się w ręce nikczemników, którzy pędzą za nami.

–Niech licho weźmie złoczyńców, zarówno czerwonych jak białych! Patrz przed siebie, chłopcze, tak jakbyśmy rozmawiali

naszych wielkich lekarzach albo na przykład wychwalali in-ańskie konie. Ci głupcy bardzo lubią, gdy chwali się ich konie, "iobnie jak niemądra matka w osadzie z zadowoleniem słucha ii hwał dla swego nieznośnego dziecka. Poklep więc konia i po-

rękę na świecidełkach, którymi czerwonoskórzy ozdobili jego /ywę. Niechaj twoje oczy zajęte będą jedną rzeczą, a myśl dru-

Posłuchaj, jeżeli nie pokpimy sprawy, to z zapadnięciem nocy 11 bierny mogli rozstać się z Tetonami.

–Błogosławiony pomysł! – wykrzyknął Middleton, którego.rzyło wspomnienie pełnych zachwyków oczu wodza Indian, s ten wpatrywał się w Inez, jak również jego późniejszego zu-walstwa, gdy chciał wziąć na siebie urząd jej opiekuna, sadzają na swego konia.

–Bądź gotów i słuchaj sygnału, którym będzie wycie Hekto-Na pierwszy znak przygotuj się, na drugi wyjdź z tłumu, na

rei uciekaj. Czy zrozumiałeś mnie?

–Doskonale, doskonale – odparł Middleton drżąc z ochoty,, natychmiast ten plan wprowadzić w czyn, przyciskając do serii robne ramię, które go obejmowało wpół. – Doskonale. Poś-

zmy się.

Tymczasem traper ostrożnie przepychał się przez tłum ciem-li postaci, aż znalazł się u boku Pawła. Wyjawiał mu swoje pla-w sposób równie dyskretny jak Middletonowi.

–Czy mój brat zna to zwierzę, na którym jedzie blada iiz? – powiedział starzec, zwracając się do posępnego Indiani-

Wskazał przy tym ręką na przyrodnika i potulnego Asinusa. Teton na chwilę utkwiał wzrok w ośle, lecz nie okazał nawet ci zdumienia, jakie odczuwał – podobnie zresztą jak jego to-i /.ysze – widząc po raz pierwszy owego rzadkiego czworonogi Udało mu się dostrzec na ciemnej twarzy czerwonoskórego

głęboko ukrywane zdziwienie, a to wskazało mu, jak ma postąpić.

–Czy mój brat przypuszcza, że ten jeździec jest wojownikiem bladych twarzy? – zapytał, osądzivszy, że czerwonoskóry miał już dość czasu, by dokładnie przypatrzeć się całkiem niewo jennej postawie przyrodnika.

Nawet w bladym świetle gwiazd widać było, że rysy Tetona ściągnęła nagle wzgarda.

–Czyliż Dakota jest głupcem?! – brzmiała odpowiedź.

–To mądre plemię, a ich oczy są zawsze otwarte, toteż dziwi ninie bardzo, że nie poznają wielkiego lekarza bladych twarzy!

–Ugh! – krzyknął Indianin i nie zdołał opanować wyrazu zdumienia, który zapalił się nagle w jego posępnych oczach jak błyskawica rozjaśniająca mrok północy.

–Dakota wie, że mój język nie jest rozdwojony. Niechaj otworzy szerzej oczy. Czyż nie widzi wielkiego lekarza!

Nie trzeba było światła, żeby dziki wyraźnie uprzytomnił sobie każdy szczegół istotnie oryginalnego kostiumu i ekwipunku doktora Battiusa. Słyszając słowa trapera wyobraził sobie, iż biały czarownik dokona tajemniczych praktyk magicznych, a magicznych praktyk Indianin bardzo się lękał. W poczuciu zupełnej bez radności, płynącej z niewiedzy, zatracił całą swą rezerwę i godność zachowania. Zwrócił się do starca i wyciągając ku niemi obydwie ręce na znak, że poddaje się jego woli, rzekł:

–Niechaj mój ojciec popatrzy na mnie. Jestem dzikim miesz kańcem prerii, moje ciało jest nagie, moje dłonie są próżne, moja skóra jest czerwona. Potrafię pokonać Pawni, Konzów, Omaha-wów, Osagów, a nawet Długie Noże. Jestem mężem, gdy znajdę się wśród wojowników, ale kobietą wobec czarodziejów. Niechaj przemówi mój ojciec, uszy Tetona są otwarte. Nasłuchuje jak jeleń kroków pumy.

–Tetonie – powiedział traper – zapytuję ciebie, czyliż to nie jest potężny lekarz i czarownik? Jeśli Dakotaowie są mądrzy, nie będą oddychać tym samym powietrzem ani tykać jego szaty. Wiedzą przecież, że Wahconshech (zły duch) miłuje swoje dzieci i nie pozostanie obojętny wobec człowieka, który wyrządził im krzywdę!

Starzec wygłosił to zdanie w sposób złowróźbny i zagadkowy,

Mitem odjechał, jakby na znak, że powiedział już dosyć. Rezultaty odpowiadał jego oczekiwaniom. Wojownik, do którego się tócił, nie ociągał się z przekazaniem tej ważnej nowiny wszystkim jadącym w tylnej straży, toteż w chwilę później przyrodnik stał się przedmiotem ogólnej obserwacji, pełnej szacunku i lęku. Wówczas jedna, a potem druga i trzecia ciemna postać zacięła konie, kierując się galopem w sam środek grupy czerwonoskórych, topniowo oddalili się wszyscy i sam tylko Weucha pozostał w tyle. Niżej trapera i Obeda. Głupota tego dzikusa o nikczemnej dumie, który w jakimś tępym podziwieniu wlepił wzrok w domniemanego wodzownika, stanowiła teraz jedyną przeszkodę na drodze do wodzenia podstępnie trapera.

Ale starzec, który znał doskonale charakter Indian, wiedział, się uwolnić od obecności Weuchy. Podjechał ku niemu i podział przejmującym szeptem:

–Czy Weucha pił dziś mleko Długich Noży?

–Ugh! – wykrzyknął zdumiony dzikus, jak gdyby pytanie ciągnęło go z obłoków na ziemię.

–Bo wielki kapitan moich ludzi, który jedzie przed nami, – krowę, która zawsze dawać może mleko. Wiem, że niedługo

lejdzie chwila, kiedy zapyta: "Czy żaden z moich czerwonych i ci nie chce pić?"

Zaledwie wypowiedział te słowa, Weucha zaciął konia i przy-/ył się do grupy ciemnych postaci, jadących klusem w niewielkiej odległości przed nimi. Traper wiedział, że myśli i nastroje kich zmieniają się nagle i niespodziewanie, toteż nie tracąc ani chwili skorzystał ze sprzyjających okoliczności, popuścił wodze i cierpliwemu rumakowi i znów się znalazł u boku Obeda.

–Czy widzi pan tę mrugającą gwiazdę, która znajduje się l.ień cztery długości strzelby nad prerią... o tutaj, na północ?

–Tak, należy do konstelacji...

–Jak tylko odwrócę się od pana, proszę ściągnąć uzdę osła, straci pan z oczu dzikich, a potem niech Bóg będzie pana

rońcą, a ta gwiazda przewodniczką. Proszę nie zbaczać ani w.\'O, ani w prawo i nie tracić ani chwili, gdyż pański wierzcho-ł ii-c nie jest chyży, a każdy cal prerii więcej to jeden dzień dodany do pańskiej wolności, a może i życia.

Nie czekając na pytania, które przyrodnik chciał mu zadać,

starzec znowu popuścił wodze koniowi i w chwilę później równie: dołączył się do grupy jadącej na przodzie.

Obed pozostał sam. Eaczej z desperacji niż z jasnego zrozu mienia rozkazu, który przed chwilą otrzymał, ściągnął uzd' wierzchowca, a ten chętnie zastosował się do wskazówki i zwolni kroku. Ponieważ Tetoni gnali na złamanie karku, w chwilę potem znikli z oczu przyrodnika. Doktor upewnił się, że paczka zawierająca mizerne resztki jego zapisków i okazów znajduje się cała i bezpieczna pod siodłem, a potem – bez żadnych planów ani nadziei, ożywiony jedynie chęcią ucieczki od groźnych towarzyszy skierował osła w stronę wskazaną przez trapera. Wściekłymi uderzeniami pięt udało mu się zmusić niemrawe zwierzę do szybkiego biegu. Zaledwie zdołał zjechać do kotlinki i wspiąć się na najbliższe wzrriesienie, usłyszał albo przynajmniej wydało mu się, że usłyszał, jak z dwudziestu tetońskich gardzieli wydarło się jegi imię i to w całkiem poprawnej angielszczyźnie. To wrażenie dodało mu nowych sił. Żaden profesor sztuki tanecznej nie okazał tyl wytrwałości, co Obed, gdy bódł piętami żebra Asinusa. Obed mylił się sądząc, że Indianie spostrzegli jego zniknięcie i zaczęli go szukać. Jednocześnie wyobraźnia jego przekształciła krzyki czerwonoskórych w dobrze mu znane dźwięki, tworzące łącińsk; formę jego nazwiska. A prawda była po prostu taka. Wojownicj tylnej straży nie omieszkali poinformować jadących przed sobą towarzyszy o tajemniczej godności, jaką spodobało się traperów zaszczyścić Bogu ducha winnego przyrodnika. Ten sam płynący z ignorancji podziw, który nakłonił jadących w tyle, by natych miast po otrzymaniu owej wieści popędzili naprzód, kazał teraz cofnąć się jadącym na przodzie. Oczywiście nie znaleźli doktora a ów krzyk nie był niczym więcej jak tylko dzikim wyciem, wydanym w pierwszej chwili przykrego zawodu.

Traper starał się zręcznym wybiegiem uciszyć tę niebezpieczną wrzawę, a gdy jego inteligencji pośpieszył z pomocą autoryte wodza, spokój został przywrócony. Kiedy Mahtori dowiedział się dlaczego jego młodzi wojownicy okazali tak wielką nierozwagi przez smagłą jego twarz przemknął cień podejrzliwej nieufności. Jadący u jego boku traper spostrzegł to i bardzo się zaniepokoi: Wódz zwrócił się nagle do starca i jak gdyby składając na niego odpowiedzialność za powrót Obeda, spytał:

–Gdzie jest twój czarownik?

–Czyż mogę wyliczyć memu bratu gwiazdy na niebie?! Dro-wielkiego lekarza nie są drogami zwykłych ludzi.

–Posłuchaj mnie, siwowłoso, i spamiętaj moje słowa – mó-11 Mahtori głosem, w którym brzmiało dumne poczucie absolut-j władzy. – Dakotaowie nie wybrali kobiety za wodza. Kiedy

i ihtori odczuje potęgę wielkiego lekarza, wtedy zadrży przed
im, ale do tego czasu patrzeć będzie własnymi oczami, nie poży-
ijąc wzroku od bladej twarzy. Jeżeli rano wasz czarownik nie
ajdzie się wśród swych przyjaciół, poszukają go moi ludzie.

i.isz uszy otwarte. Dosyć.

Traper ucieszył się, gdy usłyszał, że udzielono mu tak długie- okresu wytchnienia. Już przedtem miał pewne podstawy, by ypuszczać, że wódz Tetonów jest jednym z tych śmiałych du-! i>w, które potrafią przekroczyć granice, jakie w każdej społeczności zakreślają umysłowi człowieka obyczaje i wykształcenie. i az starzec zrozumiał jasno, że chcąc zwieść wodza Indian musi !wmyślić podstęp zupełnie inny od tego, na jaki tak łatwo udało mi się nabrać jego wojowników. Jednakże na razie kres ich roz- nowie położyło ukazanie się skały, której posępna, poszarpana u yła wynurzyła się nagle z mroków tuż przed nimi, zwisając irżko niemal nad ich głowami. Mahtori poświęcił wszystkie my-* li zagadnieniu, w jaki sposób wprowadzić w czyn zamiar zabra-i.i osadnikowi reszty jego ruchomości. Nagły szept objął groma-ciemnych wojowników, bo każdy z nich dostrzegł wreszcie uagnioną przystań. Ale potem najwrażliwsze nawet ucho nie łołoby pochwycić głośniejszego dźwięku niż szelest cichej sto- wśród trawy prerii.

Jednakże niełatwo było zwieść czujność Estery. Dzicy zsiadli koni w niewielkiej odległości od skały i zaczęli zbliżać się ku ! j w swój zwykły, cichy a zdradziecki sposób, lecz nim zdołali.iłe otoczyć, głęboką ciszę rozdarł głos kobiety, wołającej bez nia trwogi:

–Któż tam jest pod skałą? Odpowiadajcie, jeśli wam życie lc. Siuksowie czy biali – ja się was nie boję!

Żadna odpowiedź nie padła na to wyzwanie. Każdy wojownik 1 izymał się, pewien, że wśród cieni równiny ciemna jego postać i zupełnie niewidoczna. Wtedy właśnie traper zdecydował się

176

177

T3 cc

i-i X!

0>

cfl

co

CO

Cl -N

8 ° g".2

CO

3 cfl

Cl

o*

•i-H

L.2 3

cfl

0>

w CU W

1.

li

O

8

to

^ -3

w

HH O Cfl W r>rt W)> C

^ a.2

N dJ' CO

N P cfl

-M o

-l

CC Ci

O

N w l

o vw a, c

o

OI

'o 3

3 (U

^ 53 - *-5 ^S - * -S -3

"> 2 a

d) ^ vN

.2,-rH ^ Cfl

r? ci t^'-

flf.t

•r-ł NC/3 ^ QJ

fl s 3 a

CO.rn"

M-I CJ

01 co

w

O.

oo-g

CO 00

.r-, CO O g fe O

miii

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUG

Chmury i łuny, które jego oczom Kiedyś i blaski zsyłały, i cienie – Dziś odpłynęły, gdzie nieba się mroczą O, któż wie dokąd wiatr nocy je żenię...

Montgomer;

Wydawało się, że miejsce, które niedawno opuścili nasi podróżni pogrążone jest w ciszy tak wielkiej, jak rozciągające się przed nimi pustkowie. Nawet doświadczony traper na próżno natężał wzrok i słuch, chcąc na podstawie tak dobrze sobie znanych znaków stwierdzić, czy doszło do starcia między ludźmi Mahtoriego i synami osadnika. Lecz konie unosiły ich coraz dalej i dalej, a nic nie wskazywało na to, że doszło już do walki.

–Chyba już dosyć na dzisiaj – odezwał się po paru godzinach Middleton, obawiając się, że trudy podróży przerastają siły Inez i Ellen. – Jechaliśmy prędko i pozostawiliśmy za sobą szeroki pas prerii. Czas znaleźć miejsce spoczynku.

–Znajdziesz je pan w niebie, jeśliś niezdolny do dłuższej jazdy – rzekł stary traper. – W obecnym stanie rzeczy narazimy się na pewną śmierć lub dożywotnią niewolę, jeżeli pozwolimy, by sen zmorzył nasze oczy, nim schronimy głowy w jakiejś niezwyklej kryjówce.

–Słuchaj, traperze – przerwał mu Paweł, który dotychczas jechał w niezwykłym u niego milczeniu, rad widocznie, iż obejmuje go piękne ramię Ellen – w dzień widzę tak dobrze jak ptak, ale w nocy nie mogę się chwalić swym wzrokiem. Czy tam, w dolinie,

czołga się chory bawół, czy też jest to jakieś zbłąkane bydło tych dzikusów?

Cała gromadka stanęła, aby przyjrzeć się zwierzęciu, które wskazywał Paweł. Dotychczas jechali przeważnie dolinkami, kry-

ł się w ich bezpiecznym cieniu, ale w tym momencie wjechali wzgórze, skąd mieli dostać się do kotlinki, w której spostrzegli aż owo nieznane zwierzę.

–Zjedźmy – powiedział Middleton. – Czy to zwierzę, czy li wiek, jest nas tu trzech, więc możemy się nie lękać.

–Gdyby to nie było normalnym niepodobieństwem – zawołał traper – powiedziałbym, że to właśnie człowiek, który wyru-

ł na poszukiwanie gadów i insektów: nasz towarzysz podróży, który!

–Dlaczegoż miałoby to być niemożliwe? Czyż nie kazał mu nie jechać w tym kierunku, by złączyć się z nami?

–No tak, ale nie kazałem mu tak gnać osła, aby wyprzedził u mnie... macie rację, macie rację – przerwał samemu sobie traper, gdy podjechał bliżej i upewnił się, że oczy jego oglądają Obedę

Asinusa. – Na pewno macie rację, choć to wprost nie do wiary. W'ho, Boże, czegoż może dokonać strach! Jakimż cudem, przyjacielu, zdołałeś nas o tyle wyprzedzić w tak krótkim czasie? Zdunowa mnie szybkość pańskiego osła!

–Asinus jest już zupełnie wyczerpany – powiedział przyrodzie ze smutkiem. – Nie próżnował od chwili naszego rozstania, li- teraz nie zwraca już uwagi na moje napomnienia i zachęty. Yzypuszczam, że w tej chwili nie grozi nam żadne bezpośrednie

(!bezpieczeństwo ze strony dzikich.

–Jak dotychczas, nikt z nas nie może być pewny, że nie zedł mu skalpu. Musimy się wszyscy ukryć i to jak najspieszniej. Ale

zrobić z osłem? Przyjacielu doktorze, czy rzeczywiście tak cieszycie życie tego stworzenia?

–To mój dawny i wierny sługa – odparł zasmucony Obed. – ! bawiłoby mi głęboką przykrość, gdyby go spotkała jaka krzywota. Zwiążmy mu nogi i zostawmy go w tej gęstej trawie, aby od-

, uczył. Zaręczam, że rano znajdziemy go w tym samym miejscu.

**–A Siuksowie? Co stanie się z pańskim osłem, jeśli który / tych czerwonych diabłów dostrzeże jego uszy, wystające nad lrawą, jak dwie dziewanny! – wykrzyknął bartnik.
– Wetkną wń tyle strzał, ile jest igieł w igielniczce i będą myśleć, że oddali lv przysługę patriarsze wszystkich królików. No, ale daję słowo, poznają swój błąd już przy pierwszym kęsku.**

Ta przydługa dyskusja zaczęła już irytować Middletona, toteż

wtrącił swe zdanie, a ponieważ szanowano jego rangę wojskowąJ udało mu się wkrótce doprowadzić do pewnego kompromisu: po-j korny Asinus, zbyt łagodny i zmęczony, aby mógł stawiać najlżejszy opór, został związany i złożony na półku wędnącej trawyjj Gdy zabezpieczono się w taki sposób przed ucieczką Asinusa,^ a jak sądził jego pan, gdy go tak ukryto, zajęto się szukaniem; miejsca, gdzie ludzie mogliby odpocząć podczas tych paru godzin, potrzebnych zwierzęciu, by odzyskało siły.

Według obliczeń trapera od chwili rozpoczęcia ucieczki ujechali dwadzieścia mil.

Jechali jeszcze czas pewien, aż ujrzeli, że wzgórza sfalowanej I prerii przechodzą łagodnie w szeroką równinę, ciągnącą się cały- 1 mi milami i porośłą taką samą trawą jak kotlinka, gdzie spotkali] doktora i pozostawili jego osła.

–No, tu możemy się zatrzymać – powiedział starzec, kiedy] znaleźli się na brzegu owego morza zwiędłej trawy. – Znam ten zakątek. Nieraz chowałem się tutaj przed Indianami i zdarzało się czasem, że gdy dzicy polowali na bawoły na otwartej prerii, ja całe dni leżałem w niewidocznych z dala jamach i kryjówkach. Musimy posuwać się bardzo ostrożnie, bo szeroki trop łatwo dojrzeć wśród trawy, a niebezpiecznie jest obudzić czujność czerwo- j noskórych.

Ruszył pierwszy i skierował się ku miejscu, gdzie najprościej stała wysoka stepowa trawa, przypominająca wysokością i gęstwą i trzcinowe zarośla. Począł się zagłębiać w ów gąszcz, polecając to-1 warzyszom, by jechali po jego śladach, trzymając się jak najbliżej j jeden drugiego. Wyszukawszy miejsce odpowiadające ich wyma-1 ganiom, zsiadli z koni i poczęli czynić przygotowania, by spędzić J tu resztę nocy.

Wyczerpane trudami dziewczęta zjadły lekki posiłek z zapa-j sów przezornego bartnika i trapera i udały się na spoczynek,] a ich silniejsi towarzysze, pozostawieni sami sobie, mogli teraz] według własnego uznania zadbać o swe potrzeby. Wkrótce Middle-J ton i Paweł poszli za przykładem ukochanych. Traper i przyrodnik siedzieli jeszcze nad smakowitym mięsem bizona, upieczonej na jednym z poprzednich postojów i spożywanym,-jak zwykle ns zimno.

KOZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Ratuj się, panie...

Szekspir

M-kinierzy spali kilka godzin. Traper pierwszy otrząsnął sen ||| wiek, choć ostatni szukał w nim pokrzepienia. Zawołał towary, aby porzucili ciepłe legowiska, i ostrzegł ich, że niebezpie-nstwo nie zostało jeszcze zażegnane, powinni więc mieć się na.u/.ności. Szybko zasiedli do śniadania, które nie odznaczało się prawdziwym wykwintem, do jakiego przywykła Inez, ale za to nie |zostawiało nic do życzenia pod względem aromatu i posilności.

–Jaki kierunek zamierza pan obrać, kiedy już wreszcie te sdekłe psy przestaną nas ścigać? – spytał Middleton trapera.

–Jeśli wolno mi coś rzec – wtrącił Paweł – to moja rada jest ka: iść ku jakiejś rzece i jak najprędzej popłynąć z jej nurtem, i na wodzie nie pozostawia się śladów.

–Nie przysięgłbym, że tak jest – odparł traper. – Nieraz ^ siałem, że wzrok czerwonoskórego potrafi dojrzeć ślad w po-• 'trzu.

–Patrz, Middletonie! – zawołała Inez w przystępie radości, i;ki której zapomniała na chwilę o swym położeniu. – Jakże,kne jest niebo! Jest to na pewno zapowiedź szczęśliwej przy-

–Wspaniałe! – przytaknął jej mąż. – Doprawdy, rzadko l,/dałem piękniejszy wschód słońca.

–Wschód słońca – wolno w zamyśleniu powtórzył starzec, wignął z ziemi swą wyniosłą postać, nie odrywając przy tym

/.u od wciąż zmieniających się i niewątpliwie pięknych barw, imi przystrajało się niebo. – Wschód słońca. Nie lubię takich

wschodów słońca. Ach! Te mściwe diabły osaczyły nas! Preria s: pali!

–O Boże w niebiesiech, broń nas! – zawołał Middleto: przyciskając do serca Inez w poczuciu grożącego niebezpiecze: stwa. – Nie ma czasu do stracenia, starcze, każda chwila liczy; się za dzień: uciekajmy!

–A dokąd? – zapytał starzec i spokojnie, z godnością, da mu znak, aby się zatrzymał w miejscu. – Na tym pustkowiu wśród trawy i trzcin, człowiek jest jak okręt bez kompasu na bezkresnych wodach. Jeden fałszywy krok może sprowadzić zgubę nam wszystkich. Rzadko się zdarza, młody oficerze, niebezpieczeństwo tak nagle, że nie ma dość czasu, aby przemówił rozsądek. Poczekajmy więc na jego rozkazy.

–Jeżeli chodzi o mnie – powiedział Paweł, rozglądając się dookoła z wyrazem głębokiej troski – to muszę przyznać, że gdyby ta łąka suchych traw na dobre stanęła w ogniu, pszczoła musiała by fruwać wyżej niż zwykle, by nie opalić swych skrzydeł. Dlatego też traperze, zgadzam się z kapitanem i mówię: siadać na konie i uciekać!

–Mylicie się, mylicie. Człowiek nie jest zwierzęciem, a jedynie kieruje się głosem instynktu i tylko wtedy, kiedy mu powie węch lub słuch. Człowiek musi zobaczyć i pomyśleć, a potem wyciągnąć wnioski. Chodźcie ze mną trochę w lewo, jest tam niewielki wzgórek, będziemy więc mogli rozejrzeć się po okolicy.

W miejscu gdzie się wznosił ów pagórek, widać było z dala tylko kępę nieco wyższej trawy. Kiedy jednak tam doszli, sam wygląd tej trawy, bardziej niż gdzie indziej wyschniętej, zdradził, brak tu wilgoci, która wykarmiła bujną roślinność na całym tym obszarze łąki. Kilka minut zeszło im na łamanie pędów, które otaczały pagórek i wyrosły tak wysoko, że sięgały ponad głowę Pawła i Middletona, choć stali na wzniesieniu. Uzyskano w ten sposób punkt obserwacyjny, z którego można było oglądać otaczające ich morze płomieni.

Widok był przerażający i odebrał resztę nadziei ludziom, których pożar stanowił tak okrutną groźbę. Choć świtało już dzień, żywe kolory nieba stawały się jeszcze jaskrawsze, jak gdyby rozszalały żywioł podjął chciwą bezbożną walkę z jasnością słońca. W twardych rysach traperów coraz wyraźniej rysował się niepokój.

Linia ognia na horyzoncie wydłużała się i wyginając coraz bardziej, opasywała kręgiem pożaru ich kryjówkę. Wre-! krąg się zamknął.

Starzec zwrócił twarz w stronę, gdzie ogień był najbliższy...ul szerzył się najszybciej. Potrząsając głową, powiedział:

–Tak więc pocieszałyśmy się złudną nadzieją, że zmyliliśmy się w Tetonów, a teraz mamy zupełnie wystarczający dowód, że tylko wiedzą, gdzie jesteśmy, ale postanowili wykurzyć nas

id niczym dzikie zwierzęta. Patrzcie! W tej chwili rozniecili ogień wokół tej kotlinki i jesteśmy otoczeni przez tych czerwonych diabłów tak, jak wyspa przez wody.

–Siadajmy na konie i uciekajmy! – krzyknął Middleton. – Nie o przetrwanie walczymy o życie!

**Dokąd pojedziesz? Czy koń tetański jest salamandrą i po-
bezkarnie chodzić wśród płomieni? A może myślisz, że Bóg
i swą moc, aby cię ratować, tak jak czynił to w dawnych cza-
i wyniesie cię bezpiecznie z tego pieca, który jak widzisz,
ię żywym ogniem pod krwawym niebem? A tam, za pożarem,
szystkich stron wokół czatują Siuksowie, zbrojni w łuki
c Jeśli jest inaczej, to zupełnie się nie znam na ich zbójeckich
! Lepach.**

**A więc jedźmy do nich, stańmy twarzą w twarz z tym ple-
i icm i rzućmy im wyzwanie! – gwałtownie zawołał młodzian.**

**To pięknie wygląda w słowach, ale jak to będzie wygląda-
praktyce? Oto znawca pszczół, on ci może coś o tym powie-**

**Jeśli chcesz, traperze, wiedzieć, jakie jest moje zdanie – wał się Paweł przeciągając
swą potężną postać jak brytan klom swej siły – to ja stoję po stronie kapitana i
uważam, że nny uciekać z tego ognia, choćbyśmy mieli wpaść do wigwa-i ctonów.
Oto jest Ellen, która...**

**Na cóż się zdadzą wasze dzielne serca, kiedy walczyć trze-irównno z żywiołem, jak i z
ludźmi. Spójrzcie sami, chłopcy, i / .cie sami, a jak znajdziecie choć jedną przerwę w
tym ogniu, i zekam, że pójdziemy tamtędy.**

Towarzysze trapera z najwyższą uwagą i przejęciem rozejrze-

«. po okolicy, ale nie uśmierzyło to ich obaw, tylko wykazało

isno, iż znajdują się w rozpaczliwej sytuacji. Pożar szedł na-

przód, pozostawiając za sobą przerażającą ciemność. Widok ten obwieszczał wyraźniej, niż mogłyby to uczynić słowa, jak groźr jest niebezpieczeństwo i jak szybko się zbliża.

–Jakież to straszne! – krzyknął Middleton, tuląc do serc drżącą Inez. – Zginąć w takiej właśnie chwili i w taki sposób.

–Niebo otwarte jest dla wszystkich, którzy szczerze wierzą – wyszeptała pobożna Inez.

–Nie dla mnie taka rezygnacja! Jesteśmy mężczyźni i będziemy walczyć o życie. Więc cóż, mój dzielny przyjacielu, czy dosiędziemy koni i przebijemy się przez płomień, czy też będzie my patrzeć, jak w strasznych męczarniach giną te, które kochamy, i nie uczynimy żadnego wysiłku, by je ratować?

–i Pszczoły'powinny uciekać z ula, nim się spalą – odparł bartnik, bo do niego zwracał się wółprzymtomny Middleton. Stary traperze, wszak przyznasz, że ratujemy się jakoś bardzo po woli. Jeśli pozostaniemy tu dłużej, to będziemy jak te pszczoły które leżą wokół słomy, gdy ul wykurzono, aby zabrać miód. Ji słyhać szum ognia, a wiem z doświadczenia, że kiedy trawa się powa zapali się na dobre, tęgo się trzeba uwijać, by prześcignąć ogień.

–Czy myślisz – powiedział starzec wskazując z wyrzutką na gęstą i splątą suchą trawę, wśród której stali – czy myślisz że stopa śmiertelnika zdoła biec szybciej niż płomień, i to po tej kiej ścieżce? Gdybym tylko wiedział, w której stronie czatują złoczyńcy!

–Co powiesz, przyjacielu doktorze?! – zawołał Pawe zwracając się do przyrodnika z bezradnością, z jaką często silr zwracają się do słabszych w chwili, gdy ludzka moc maleje wobec wyższej potęgi. – Co powiesz? Tu chodzi o życie, czy nie widzisz żadnej rady?

Przyrodnik stał trzymając w ręku swe zapiski i patrzył na straszliwe widowisko z takim spokojem, jak gdyby pożar ów wzniecono, po to, by ułatwić mu rozwiązanie jakiegoś proźbierni naukowego. Wyrwany z zadumy przez towarzysza, zwrócił się również spokojnego, choć zupełnie czym innym zaprzątniętego tr; i pera i zapytał, okazując oburzający brak zrozumienia niebezpiecznej sytuacji, w której się znajdowali: *

–Czcigodny myśliwco, czy pan często widywał pryzmatyczne zjawisko o podobnym

charakterze...

Paweł przerwał mu nagle i wytrącił z rąk uczonego zapiski, u uczynił to tak gwałtownie, iż widać było, że straszny zamęt opalił jego zwykle zrównoważony umysł. Nim ktokolwiek zdążył skarcić, starzec przybrał nagle zdecydowaną postawę. Widocznie już się nie wahał, jaką obrać drogę postępowania.

– Czas działać – rzekł, zapobiegając w ten sposób wiszącej i włosku kłótni między doktorem a bartnikiem – pora porzucić icgi i zaniechać skarg, czas działać.

– Zbyt późno doszedł pan do tego wniosku, nieszczęsny star-i1! – zawołał Middleton. – Pożar jest już o ćwierć mili od nas, wiatr niesie go w naszą stronę z przeraźliwą szybkością.

– Ach, co tam pożar, nie boję się pożaru. Gdybym potrafił \ wieść w pole chytrych Tetonów, tak jak potrafię wyrwać og-

! <wi jego ofiary, no, to pozostałoby tylko dziękować Bogu za ! i lenie. Połóżcie ręce na tej krótkiej i zwiędłej trawie – wyrzy-ijcie ją z ziemi!

– I pan przypuszcza, że w tak dziecinny sposób uda się wyr-ic ogniowi jego ofiary! – wykrzyknął Middleton.

Rysy starca rozjaśnił blady, uroczysty uśmiech, gdy mówił:

– Pański dziadek powiedziałby, że kiedy wróg blisko, żoł-tz powinien słuchać rozkazu.

Kapitan zrozumiał wyrzut i natychmiast zaczął pomagać Pawłowi, który rozpaczliwie poddał się woli trapera i zaciekle rwał 1 więdła trawę. Ellen także przyłożyła ręki do tej pracy, a wkrótce n/yłączyła się Inez, chociaż żadne z nich nie wiedziało, w jakim

! •In to robią. Kiedy zapłata za wysiłek ma być ocalenie życia, luzie zwykli okazywać gorliwość. Wystarczyła krótka chwila, by>:.)łocili z roślinności kawałek ziemi o średnicy około dwudziestu 'ip. W jeden kąt tej niewielkiej polanki traper zaprowadził Inez i 'llon, polecając Middletonowi i Pawłowi, aby otulili dziewczęta

koce, gdyż lekkie ich suknie łatwo mogły się zająć od ognia. Iv wykonano jego polecenie, starzec przeszedł na drugą stronę 'lanki i stanąwszy na skraju trawy, która więziła ich w samym 'i bezpiecznym kręgu, wyrwał garść najsuchszego zielska i poło-) je na lufie swego karabinu. Gdy strzelił, łatwo zapalny mate-il zajął się ogniem,

a wtedy starzec cisnął go na kępe gęstej tra-

wy. Następnie cofnął się na środek polanki i cierpliwie oczekiwał rezultatu.

Okrutny żywioł chciwie rzucił się na nowy żer i w chwilę później widać było, jak języki ognia migają wśród traw niby jęzo: była przebijająca zielsko w poszukiwaniu najsmakowszej kęsy.

–A teraz – powiedział starzec wznosząc w górę palec i śmiejąc się w swój osobliwy cichy sposób – teraz zobaczcie, jak płomień pożre płomień. O, ileż to razy trzebiłem sobie w ten sposób wygodną ścieżkę przez splątane gąszcz, gdy nie chciało mi się przez nie przedzierać!

Doświadczony traper miał słuszną rację. Gdy ogień wzmógł się, zaczął ogarniać trawę z trzech stron, a z czwartej wypalał się i gasł z braku paliwa. Wkrótce dał się słyszeć złowrogi szum wzbierającego na sile pożaru. Niszczył wszystko przed sobą, ogalał ziemię z roślinności dokładniej, niż potrafiłby to zrobić jakikolwiek kosiarz, i pozostawiał ją czarną, spiekłą i dymiącą. Płomień szerzył się, obejmując z trzech stron naszych uciekinierów, i położenie ich byłoby nadal bardzo niebezpieczne, gdyby jednocześnie ze wzrostem pożaru nie powiększała się wypalona przestrzeń wokół nich. Uciekając przed spiekotą, posuwali się ku miejscu, gdzie traper zapalił trawę. Wkrótce ogień począł gasnąć dokoła, a choć znajomych naszych spowijały kłęby dymu, przestały już być dla nich groźne rzeki płomieni, które wściekle rwały naprzód.

–To cudowne! – powiedział Middleton, gdy przekonał się, że dzięki temu sposobowi zdołali wyjść cało z niebezpieczeństwa, które wydawało mu się nie do pokonania.

–Przygotujcie się do drogi – odparł starzec. – Niechaj płomień jeszcze przez pół godziny pełnia swoje dzieło, a potem ruszamy. Musi upłynąć tyle czasu, by łąka przestygła, gdyż kopyta; i tych nie podkutych teteńskich koni są tak wrażliwe jak bosa stopa dziewczyny.

Middleton i Paweł, którzy swe niespodziewane ocalenie traktowali niemal jak zmartwychwstanie, cierpliwie oczekiwali wyznaczonej przez starca pory, gdyż zbudziła się w nictuwiarę w nieomylną jego słów. Doktor odzyskał swe zapiski, nieco usz kodzone, gdyż leżały w płonącej trawie. Chcąc się pocieszyć nas/

przyrodnik nieustannie notował różnice w natężeniu światła i cie- co wydało mu się godnym uwagi zjawiskiem. Choć traper tak jasno zdawał sobie sprawę, jak trudne jest to przedsięwzięcie, żywo i z wielką starannością zajął się przygotowaniem ucieczki. Dokończył przegląd okolicy, przerwanego 11 minutą wędrówką myśli, a

potem dał towarzyszom znak, by do-icdli swych wierzchowców. Gdy konie, które przez cały czas po-uru drżały z przerażenia, poczuły na grzbiecie ciężar jeźdźców, kazały wielką radość, co wróżyło dobrą jazdę. Traper zaofiario-it doktorowi swego konia, mówiąc, że sam zamierza iść pieszo. •' iktor mruczał z cicha jakieś pełne żalu słowa pod adresem stratnego Asinusa, ale zadowoleniem nappełniła go myśl, że szybkość ilszej podróży zależeć będzie od siły nie dwóch, lecz czterech •>k'. Toteż nie zwlekając wykonał polecenie i wkrótce potem bart-ik, który w podobnych okolicznościach zawsze pierwszy zabierał los, obwieścił, że są gotowi do drogi.

–Spoglądajcie ku wschodowi... – mówił starzec, prowa-/ijc ich poprzez mroczną, wciąż jeszcze dymiącą prerię – a gdy ustrzeżecie biały, lśniący pas, który błyska spomiędzy dymów iby srebrna blacha – to będzie woda. To szeroka i bystra rzeka, Bóg dał jej na tej pustyni wiele podobnych towarzyszek. Wypa-tijcie więc wszyscy szeroko otwartymi oczami tego pasa lśniącej

! i idy, bo nie będziemy bezpieczni, aż nie położy się ona między uni a bystrookimi Tetonami.

Mając ten cel przed sobą, posuwali się naprzód w zupełnym liczeniu.

Przebyli w ten sposób prawie trzy mile, lecz nigdzie nie zdo-!t dostrzec upragnionej rzeki. W oddali wciąż szalały płomienie, tfdy powiew wiatru rozpędzał falę dymu, napływały w to miejs-! nowe jego kolumny, przesłaniając widok. Traper począł zdra-!ać pewien niepokój, co wzbudziło wśród jego towarzyszy oba-!;;, że nawet on traci już orientację w tym labiryncie dymu. Nagle /.ystanął i opuścił strzelbę na ziemię. Wydawało się, że w zadu-ie bada wzrokiem coś, co leży u jego stóp. Middleton i reszta iszych wędrowców podjechali ku niemu, ciekawi przyczyny tego • spodziewanego postoju.

–Spójrzcie tutaj – rzekł starzec i wskazał na niewielkie za-ii.bienie, gdzie leżały szczątki konia, wpół pożarte przez pło-

mień. – Widzicie oto, czym jest pożar prerii. Ziemia tutaj j wilgotna, więc trawa była wyższa niż gdzie indziej. Ogień zask czył tu konia w jego legowisku. Oto są kości, spalona i spęk skóra, wyszczerzone zęby. Tysiąc zim nie zdołałoby tak szczyć zwierzęcia, jak uczynił to żywioł w ciągu jednej mini

–A taki los mógłby i nas spotkać – rzekł Middleton – by ogień zaskoczył nas w śnie.

–Nie, nie sędzę, żeby tak było. Nie sędzę. Nie dlatego, żeb; człowiek palił się gorzej niż hubka, ale dlatego, iż jako stworzeni rozumniej sze od konia lepiej by potrafił uniknąć niebezpieczeń' stwa. t

–Może więc tutaj leżały już zwłoki konia, bo gdyby żyłj zdołałby uciec.

–Widzicie te ślady na wilgotnej ziemi? Tutaj odcisnęły s jego kopyta, a to są ślady mokasy na, jakem żyw! Właściciel koni próbował ze wszystkich sił wyciągnąć go stąd, ale taka już j natura zwierzęcia, że gdy znajdzie się wśród ognia, staje się t: żliwy i uparty.

–To fakt dobrze znany. Ale skoro był i jeździec, to gdz; jest on teraz?

–A, w tym właśnie tkwi zagadka – odparł traper nachyl jąc się, by obejrzeć z bliska ślady na ziemi. – Tak, tak, to jas: tych dwu stoczyło ze sobą długą walkę. Pan próbował za wszćcenę ocalić swego konia i płomień musiał być potężny, bo w p: ciwnym razie lepiej powiodłoby się człowiekowi.

–Słuchaj, stary traperze, mów o dwu koniach – prze: mu Paweł i wskazał miejsce nie opodal, gdzie ziemia była bard: sucha i roślinność musiała być uboższa. – Tam leży drugi koń.

–Chłopiec ma rację! Czyż to możliwe, by Tetoni wpadli swoje własne sidła? Takie rzeczy się zdarzają, a to jest naucz dla wszystkich złoczyńców. O, patrzcie, tu żelazne strzemię! A więc ten rząd koński był dziełem ręki białego człowieka. Musiał być tak... musiało być tak... część tych rozbójników plądrował-trawę szukając nas, gdy reszta podpalała prerię, i patrzcie, jak | były skutki: stracili konie i mogą nazwać się szczęśliwymi, je: ich własne dusze nie skradają się teraz ścieżką, która prowad do indiańskiego nieba.

–Mogli zastosować ten sam sposób co pan – mówił Middk*

posuwając się wraz z całą gromadką ku drugim zwłokom ko-łożącym na szlaku ich ucieczki.

–Nie wiem, czy mogli. Nie każdy dziki nosi ze sobą krze-ii i krzesiwo i nie każdy ma strzelbę tak dobrą, jak ta moja

jaciółka. Mając tylko dwa patyki, powoli roznieca się ogień,

!c mieli tutaj wiele czasu, by mogli zastanowić się i obmyślić

niek. Możecie się o tym przekonać, patrząc na pas ognia, który

i z wiatrem tak chyżo, jak gdyby rozsypano proch na jego

l/.e. Ogień przeszedł więc niedawno, i może dobrze byłoby

iwdzić skałki naszych strzelb, bo choć nie chciałbym, Boże

n! walczyć z Tetonami, jeżeli już musi dojść do bitki, niech le-

I pierwszy strzał należy do nas.

–To jakieś dziwne zwierzę, starcze – powiedział Paweł, ! iv ściągnął uzdę, a raczej postronek swego konia, i zatrzymał

przy drugich zwłokach, podczas gdy reszta osób mijała je już, hcąc przerywać jazdy. – Dziwne zwierzę! Nie ma łba ani ko-

–Powiadam panu, traperze, to nie jest koń.

–Co takiego? Nie koń? Twoje oczy, chłopcze, dobre są, aby atrywać pszczoły i dziuple w drzewie, ale... ach, na Boga,

–pak ma rację! Że też mogłem wziąć skórę bawołu, choć tak

nną i pokurczoną, za skórę końską! Ach, doprawdy! Był czas,

panowie, gdy mogłem rozpoznawać zwierzę z tak daleka, jak

pfc ! ko sięgnąć zdoła wzrok ludzki, i z tej odległości potrafiłem

/eć dokładnie jego barwę, określić wiek i płeć.

–Jakże cenny przywilej posiadał pan wtedy, czcigodny my-! i ze – powiedział

słuchając go uważnie przyrodnik. – Czł-

**, który może uczynić takie spostrzeżenia na pustyni, oszczędnie trudu wielu uciążliwych marszów, nie potrzebuje przedać badań, które jakże często okazują się bezowocne. Pro-
niech mi pan powie, czy wzrok pana odznaczał się aż tak
iką perfekcją, że mógł pan orzec, do jakiego to zwierzę należy
11 czy gromady?**

–Nie wiem, co pan rozumie przez rząd czy gromadę.

**–Doprawdy – przerwał bartnik – zdradza pan taką nie-
spodziewałbym się po człowie-**

o pańskim doświadczeniu i inteligencji. Mówiąc o gromadzie

'dzie, nasz przyjaciel chciał zapytać, czy te zwierzęta przeno-

o tą się z miejsca na miejsce bezładną gromadą, podobnie jak rój

pszczoł leący za królową, czy też mają zwyczaj chodzić pojed czym rżędem, tak jak bawoły, które nieraz biegną prerią po ty samych śladach. Są to słowa powszechnie znane i na ustach ka; dego. Wiemy, że to, co mówi doktor, ma zawsze głębsze znaczenia a teraz o to mu właśnie chodziło.

EUen kochała Pawła za wiele rzeczy, ale nie za jego wykształcenie. Odważny i szczery, męski charakter chłopaka, jego urok czar osobisty podbiły jej serce i nie czuła potrzeby szczegółowo go badać jego intelektualnych osiągnięć. Biedna dziewczyna poczerwieniała jak róża, jej piękne palce poczęły szarpać pasę przytrzymując ją na koniu, i powiedziała szybko, chcąc zapewne odwrócić uwagę innych od tego braku i niedostatku, o który; sama myśleć nie mogła.

–A więc, tak czy owak, to nie jest koń?

–Jest to ni mniej, ni więcej, tylko skóra bawołu – powiadał traper, równie zbity z tropu tłumaczeniem Pawła, jak uczy nymi słowami doktora.

–Unieś róg skóry, stary traperze – rzekł Paweł, a w ton! jego brzmiało przekonanie, że dowiódł przecież swego prawa zabierania głosu w każdej sprawie. – Jeśli jest tam jeszcze kawa* łek garbu, musi być świetnie wypieczony i zjemy go z przyjemnością.

Starzec zaśmiał się serdecznie z dowcipu towarzysza. Wsunął stopę pod skórę, która się poruszyła, a potem podniosła gwałtownie. Wyskoczył z niej młody Indianin, a szybkość jego ruchów świadczyła, że zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Chciałbym, by pora nocy już nadeszła i by się wszystko skończyło szczęśliwie.

Szekspir

(t Iv nasi znajomi spojrzeli uważniej na Indianina, przekonali się,

' st to młody Pawni, którego spotkali poprzednio. Zdumienie

Mało mowę zarówno białym jak i czerwonoskóremu. Przez

7 chwilę spoglądali na siebie z niemym zdziwieniem, a nawet

i' jrzliwością. Ciszę przerwał dopiero okrzyk doktora Battiusa:

–Rząd: naczelne; rodzaj: człowiek; gatunek: preryjny.

–Ano wydał się sekret – powiedział stary traper, kiwając (lową, jak gdyby gratulował sobie, że trafnie odgadł trudną i za- ił;; tajemnicę. – Chłopak schronił się w trawie, ogień zaskoczył K" we śnie. Stracił konia i szukając ocalenia schował się pod świe-

! ściągniętą skórę bawołu. Nie najgorszy to pomysł, gdy braknie

!;!Im i strzelby, by wypalić krąg trawy. Jestem pewien! że to

I ny młodzieniec, i dobrze byłoby z nim podróżować. Przemó-

•! <lo niego uprzejmie, bo gniewem nic byśmy nie wskórali. Wi-!i po raz drugi mego brata – odezwał się w języku zrozumia-

dla Indianina – Tetoni zamierzali wykurzyć go stąd dymem,

iak wykurzają szopy.

Młody Indianin strzelił oczyma po prerii, chcąc ocenić nie-"•• i 'ieczeństwo, z którego zdołał się ocalić, lecz jego dumna twarz •• dradzała najmniejszego lęku. Ściągnąwszy brwi, tak odpo-

* I ział traperowi:

–Tetoni to psy. Kiedy w ich uszy uderzy wojenny okrzyk l*"wni, wyje całe plemię Tetonów.

–To prawda. Te diabły gonią za nami, więc cieszę się, że "IK)tykam wojownika z tomahawkim w dłoni, który nie darzy ich

1'rrria

miłością. Czy brat mój zaprowadzi do swej wioski moje dzieci? Ji żeli Siuksowie podążą naszym szlakiem, moi ludzie pomogą memu bratu ich pobić.

Nim młody wojownik Pawni odpowiedział na tak ważne pytanie, uznał za stosowne obrzucić bystrym spojrzeniem gromadką białych. Podobnie jak w czasie poprzedniego spotkania, Indianin nie mógł oderwać zachwyconych oczu od istoty urzekającej nim znaną mu pięknoscią – delikatnej i subtelnej lniez. Nigdy dotychczas nie zdarzyło się Pawni spotkać na prerii kobiety tak pełnej powabu i niezwykłego uroku, tak godnej tego, by młody wojownik pragnął ujrzeć w niej nagrodę za swe męstwo i oddanie. Widać było wyraźnie na twarzy Indianina, że został oczarowany wdziękiem tej doskonałości niewieściej. Lecz kiedy dostrzegł, że jego spojrzenia wywołują niepokój i zmieszanie zachwycającej piękności, oderwał od niej wzrok. Położył dłoń na piersi na znak szczerości intencji i odparł z prostotą:

–Mój ojciec będzie mile przyjęty. Młodzi mężczyźni mego plemienia pójdą z jego synami na polowanie, wodzowie wyprowadzą fajakę z Siwą Głową, a dziewczęta Pawni napełnią śpiewem uszy jego córek.

–A jeżeli spotkamy Tetonów? – dopytywał się traper, który chciał dokładnie ustalić ważniejsze punkty sojuszu.

–Wrogowie Wielkich Noży poczują ciosy Pawni.

–A więc dobrze. Teraz niechaj mój brat naradzi się ze mną, abyśmy nie szli ścieżką, lecz by droga do jego wioski była tak prosta jak lot gołębi.

Młody Pawni kiwnął głową na znak zgody. Narada nie trwała długo, prowadzono ją w sposób zwięzły i rzeczowy, według zwyczajów Indian, obie strony zdobyły więc niezbędne wiadomości. Po wróciwszy do towarzyszy, traper tak streścił to, czego się dowiedział od czerwonoskórego:

–Tak, tak, miałem rację – mówił. – Ten młody wojownik o pięknej twarzy mówi, że posłano go, aby wytropił Tetonów, którzy właśnie zgrają, z którą się spotkaliśmy. Jego oddział nie jest dosyć liczny, by mógł uderzyć na tych diabłów. Tetonowie bowiem wielką siłą wyruszyli ze swych osad na bawoły. Do wioski Pawni pobiegli więc gońcy po posiłki. Młodzian widocznie nie zna, co to strach, gdyż sam jeden deptał po piętach wrogowi, aż wreszcie.

Wolno jak my, musiał szukać schronienia w trawie. Ale powie mi mi coś, o czym usłyszały z prawdziwym smutkiem. Otóż doszło do walki między Tetonami a osadnikami. Przebiegły, który mieni się teraz jego przyjacielem i obydwie grupy, białych i czerwonych, są na naszym tropie. Rozstawieni dookoła tej unęcej równiny

czyhają na naszą zgubę.

–Skąd wie, że tak jest?

–Skąd wie! Więc sądziSZ; że tu na prerii; potrzeba gazet icroidów, jak w zaludnionych prowincjach, aby zwiadowca wie-iał, co się dzieje dokoła. Żadna plotkara biegająca z obmową I domu do domu nie rozpusza plotek tak szybko, jak szybko ci.lzie podają sobie wiadomości za pomocą znaków i ostrzeżeń dla i;bie tylko zrozumiałych. Zapewniam cię, kapitanie, że młody i wni mówi prawdę.

–Gotów jestem przysiąc, że tak jest – rzekł Paweł. – To.idza się z rozsądkiem, a więc musi być zgodne z prawdą. Pawni i wiedział, że rzeka płynie w tej stronie, w odległości mniej wię-I półtorej mili i zgodził się Ze mna; ze woda musi splukać ślady. nas. Tak, powinniśmy oddzielić się od Siuksów rzeką, a wtedy. ijac łasce boskiej i nie żałując własnych wysiłków, zdołamy iże dotrzeć do wioski Pawni.

–Gadaniem nie posuniemy się nawet o krok – rzekł Mid-; •t.on. – Ruszamy w drogę.

Pawni zarzucił na ramiona skórę bawołu i stanął na czele po-udu. Po godzinie uciekinierzy znaleźli się nad brzegiem jednej.wych stu rzek, które wpadając do potężnych arterii wodnych, •issisipi i Missouri, tocząc \$0 oceanu wody tego rozległego,, wciąż jeszcze nie zaludnionego terenu. Rzeka nie była głęboka, •/. nurt miała niespokojny i mętny. Ziemia aż po brzegi rzeki orzała od ognia, a ciepłe opary) wstające znad wody, mieszały • w chłodnym powietrzu ranka z dymem wciąż jeszcze szaleją-i;o pożaru i przykrywały jej powierzchnię falującym płaszczem.rej mgły. Traper z zadowoleniem zwrOcił na to uwagę towarzy-; i pomagając lnez zsiąść z konia, mówił:

–Te łotry przechytryły sprawę. Wcale nie jestem pewny, v sam bym nie podpalił prerii, by ukryć naszą ucieczkę w dy-ich, gdyby te okrutne diabły nie oszczędziły nam pracy. Witałem w swoim czasie, jak robiono takie rzeczy, i to z powodze-

niem. Chodźcie, od drugiego brzegu dzieli nas niecałe ćwierć mi a gdy się tam dostaniemy, wszelki ślad po nas zaginie.

–Czy ta rzeka jest tak głęboka, że nie można jej przejść w bród? – zapytał Middleton, dochodząc podobnie jak Paweł i wniosku, że niepodobieństwem będzie przepłynąć na drugi brzeg, której bezpieczeństwo droższe mu jest nad własne życie.

–Kiedy pobliskie góry zasilają ją swymi potokami, nurt, jak widzicie, wzbiera i płynie wartko. A jednak w swoim czasie przechodziłem przez jej piaszczyste łóżko i nie zmoczyłem kolan. A mamy przecież konie Siuksów i zaręczam wam, że te wierzgają jak diabły przepłyną przez wodę jak jelenie.

–Traperze – rzekł Paweł – wątpię, czy Nell zdoła utrzymać się na koniu, gdy woda będzie jej wirować przed oczami w młynie wodnym. Poza tym, jeśli nawet nie spadła, pewno zmoknie przy tej przeprawie.

–Tak, chłopak ma rację. Trzeba coś wymyślić, bo inaczej nie przebedziemy rzeki.. i

Traper przerwał i zwróciwszy się do Pawni, wyjaśnił mu, jak napotkali trudność. Młody wojownik słuchał z powagą, a potem zdjął z ramienia bawołą skórę i za pomocą rzemieni z jeleniej skóry, zrobił ze skóry bawolej coś w rodzaju wierzchu od parasola! Wzmocnił w kilku miejscach skórę kijami. Kiedy ten prosty i naturalny środek ratunku był gotów, spuszczonego na wodzie Indianin dał znak, że łódź może przyjąć ładunek.

–Niech Pawni będzie przewoźnikiem – powiedział traper – bo ja nie mam już tak pewnej ręki jak dawniej, a jego ramiona są tak mocne, jakby je zrobiono ze stwardniałego drzewa hikorowego. Zaufajmy mądrości Pawni.

Pawni wybrał spośród trzech koni wierzchowca wodza, a szybkość jego decyzji świadczyła, że dobrze widzi zalety szlachetnego zwierzęcia. Skoczył na siodło, wjechał do wody, zaczepił dzidą o skózaną łódź, wyciągnął ją na głębszą wodę, puścił koniowi cugle i popłynął na głębiej. Middleton i Paweł płynęli za nimi, trzymając się tak blisko, jak pozwalała ostrożność. W ten sposób młody wojownik bezpiecznie przewiózł na drugi brzeg powierzony mu skarb, nie naraziwszy pasażerów na najmniejszą niewygodę. Dokonał tego sprawnie i z wielką szybkością, co dowodziło, że taka przeprawa nie była nowością ani dla jeźdźcy, ani

i unia. Gdy dobił do brzegu, nie rzekłszy słowa powrócił, by i nam sposób przewieźć resztę osób.

A więc, przyjacielu doktorze – powiedział stary traper (je, że Indianin po raz drugi znalazł się na wodzie – ten czer-i-łkóry młodzian budzi we mnie zaufanie. Kiedy zobaczyłem,, 'brał najlepszego konia, zbudziły się we mnie złe przecucia, <ljjc na takim wierzchowcu mógł tak łatwo nas opuścić, jak i zwinny gołąb wyrwie się spośród stada wrzaskliwych kich kruków. Ale to widać porządny chłopak. A jeśli raz zy-u; przyjaźń czerwonoskórego, pozostanie on przyjacielem, k i będzie uczciwie traktowany.

Jak daleko stąd znajdować się mogą źródła tej rzeki? – ! ił doktor Battius, tocząc pełnymi niepokojem oczyma po spie-m i burzliwym nurcie. – W jakiej odległości stąd jest jej ta-v początek?

To zależy od pogody. Zapewniam pana, że zmęczylbyś się l oj korytem do Gór Skalistych. Ale czasem można przejść tę:, nie zmoczywszy nóg.

A w jakiej porze roku zdarzają się takie okresy? Wędrowiec, który przyjdzie tu za parę miesięcy, ujrzy na cu tej spienionej rzeki pustynię lotnych piasków. Przyrodnik popadł w głębokie zamyślenie. W miarę jak nad-l/.iła chwila, gdy miał przepłynąć przez burzliwą wodę w tak mitywnej łodzi, niebezpieczeństwo wydało mu się coraz groź-/.e. Gdy Pawni przygotował łódź, traper zasiadł w niej z wiel-strożnością i rozważą i ułożywszy troskliwie Hektora między !.nni, skinął na uczonego, by zajął trzecie miejsce.

Przyrodnik postawił stopę na wątlej łodzi, podobnie jak słoń • ilmjący sił mostu lub koń, który dokonuje podobnego ekspery-rntu, nim powierzy skarb swego ciała przerażającej go tratwie.

- i.uzec sądził, że przyrodnik zdecydował się zająć miejsce, tam-

- ii jednak, postawiwszy stopę, natychmiast się cofnął.

–Szanowny myśliwce – powiedział żałośnie – to jest łódź itudowana w sposób zupełnie nienaukowy. Nakaz wewnętrzny

!• pozwala mi jej zawierzyć. Niemożliwe, by jakikolwiek statek •nidowany na zasadach tak całkowicie przeciwnych nauce mógł

ć bezpieczny. Ta balia, szanowny myśliwce, nigdy nie dopłynie

› przeciwnego brzegu.

–Widział pan przecież na własne oczy, że dopłynęła.

–Tak, ale to był szczęśliwy wyjątek. Jeżeliby wyjątki były za regułą w formowaniu sądów o rzeczach, plemię ludzkie zaniżyłoby się szybko w otchłań ignorancji.

Trudno powiedzieć, jak długo doktor Battius skłonny był prowadzić ten dyskurs, gdyż poza względami natury osobiste nakazującymi mu odłożyć na później eksperyment, który nie zapewne pozbawiony niebezpieczeństwa, zapalała go do dysku; duma z własnego rozumu. Na szczęście jednak dla cierpliwa starca, gdy przyrodnik wymówił ostatnie słowo, w powietrzu do się słyszeć głos, który wydać się mógł niezwykłym echem jego myśli. Młody Pawni, oczekujący z powagą i charakterystycznie dla swej rasy cierpliwością zakończenia tej niezrozumiałej dyskusji podniósł głowę i wsłuchiwał się w nieznany krzyk, przypominający cyjelenia, który dzięki tajemniczym zdolnościom posłyszał w sobie wicher dalekie szczekanie psów myśliwskich. Jednakże zwykle te dźwięki nie były obce uszom trapera i doktora. Ten ostatni zrozumiał w nich głos swego osła. Stęskniony za ulubionym wierzchowcem, już chciał pójść w górę wysokim brzegiem rzeki, gdy niespodziewanie w wielkiej odległości ukazał się galopujący Asinus, a na nim Weucha, niecierpliwie i brutalnie przyspieszając go do niezwykłego tempa.}

Teton i uciekinierzy spojrzeli na siebie. Weucha zawył przez rozdzierającą ranę, a w głosie jego dała się wyczuć nuta dzikiego triumfu i przerażające ostrzeżenie. Ten sygnał zadał ostateczny cios dyskusji na temat przydatności łodzi. Doktor tak szybko usiadł obok trapera, jak gdyby tajemnicza ręka zdjęła bielmo z jego umysłu. W sekundę później rumak młodego Pawni dzielnie walczył z prądem.

Koń musiał wyżyć wszystkie siły, by unieść uciekinierów poza zasięg strzał, które natychmiast przeszły powietrze. Jego okrzyk Weuchy zjawiło się na brzegu pięćdziesięciu jego towarzyszy. Szczęściem nie było wśród nich ani jednego, którego stanowisko dawałoby mu prawo noszenia fuzji. Nim jednak Pawni przepłynął połowę rzeki, na brzegu ukazała się postać Mahtoriego. Chybiony strzał świadczył o wściekłości i rozczarowaniu wodza Traper kilkakrotnie wznosił strzelbę, jak gdyby chcąc wypróbować ją na wrogu, ale za każdym razem opuszczał ją bez strzału

*•|| widok tyłu przeciwników oczy Pawni zaiskrzyły się niczym

i na pumy. Z pogardą pomachał ręką w odpowiedzi na daremny

śmiech wodza nieprzyjaciół i rzucił mu wojenny okrzyk swego

rodzica. W wyzwaniu brzmiało zbyt wiele szyderstw, by Tetoni

;li je znieść spokojnie. Skoczyli hurmem ku rzece i wnet woda

lemniała od postaci ludzi i koni.

Rozpoczęła się straszliwa pogoń na rzece. Ponieważ konie kotaów nie były zmęczone poprzednim wysiłkiem, tak jak koń •mi, i ruchów ich nie utrudniał żaden ciężar, prócz ciężaru łźców, goniący płynęli znacznie szybciej niż uciekający. Traktory jasno zdawał sobie sprawę z grozy położenia, spokojnie i niósł wzrok z Tetonów na swego młodego indiańskiego przyja-! la chcąc przekonać się, czy nie zmieni on swego zamiaru ujrza-y, jak zmniejsza się odległość od wrogów. Lecz twarz wojow-iv,i nie zdradzała lęku ani niepokoju, choć niebezpieczna sytua-j.i łatwo mogła wzbudzić te uczucia. Oblicze czerwonoskórego 'innęto głęboką, śmiertelną nienawiścią.

–Czy bardzo ceni pan sobie życie, przyjacielu doktorze? – zgadnął starzec z filozoficznym spokojem, który sprawił, że pytonie to szczególnie wstrząsnęło jego towarzyszem.

–Nie cenię życia dla życia, zacny traperze – odparł przyrodnik i aby odświeżyć schrypnięty głos, nabrał w dłoń wody

rzeki i napił się. – Nie stoję o swą egzystencję, jako taką, ale

11'zmiernie ją cenię ze względu na jej wartość dla nauki, gdyż ro-

.vój historii naturalnej tak bardzo związany jest z moim życiem.

Starzec przez kilka minut bacznie się przypatrywał doktoro-

! i, a potem rzekł, kiwając głową:

–Boże, czymże jest strach? Odmienia w naszych oczach tak \ierzęta, jak dzieła rąk ludzkich, czyniąc z rzeczy brzydkich ",kne, a z pięknych wstrętne! Boże, Boże, co znaczy strach!

Konie Dakotaów dopłynęły już do środka rzeki i triumfalne

rzyki dzikich rozdarły powietrze. W tym momencie na brzegu

azali się Paweł i Middleton, którzy odprowadzili dziewczęta do

bliskiego zagajnika i zbliżali się, grożąc strzelbami nieprzyja-

'•lowi. Gdy traper ich ujrzał, począł wołać:

–Na koń, na koń! Siadajcie na koń i uciekajcie, jeżeli drogie im życie kobiet, które od

was oczekują ratunku! Uciekajcie, nasz los powierzcie Bogu!

198

199

KJ I

O) -r-

N 3

:Ł7 g

CB °

J?L jL J *L

!3B S

o " +3

<U

13

L L

d a ot 5?jj 8 L 3 * "

cc

o

. o

→ d N ^ W s- g ft w 'c?

S o.rt

f 11S

5 -g O. O

t) r" N OT

OJ -H M

CO1

fl a

rS O CB

OT^ OT

CB

O) O

I-

!flff

_cc n>J Jy -d o ^ cB cB>, [j N gLrvi o>' fl" CO NOT^CJSOTtu0^^"N

C g XI -,Q -c*?^ CO.S ^ J§

I ^^ §>#! n.° i g a cb. ^

§S-^I""^"§J.^g*-gSc8

!N te

•xi ot

ii

!N N

' CU I

tir-

^ a

3 X>

o

CB

OH

cy,

tuO O> (U

P

I

lit n

N

!6*

•N CB

9

t3 N

cr> S

rVI CB

3 i Sjo O

N

cu-

N

Q

I N

w." P •!-i t" tuO co t> oj

W)-O g

o 3 -"

T3 T3

"^Sa-

o 8P M "

Z, <U +J.^ CB +J

2 a. j fl "

HO

S"9

!!

ii! N

^!S "cl-a as t; g2^ . ^aa.Şaf ||a a

|N ^J

IM

•-<" CB

|3 S

* i L =

>-i g o fl ~

li 2 --

CB

a.

|^ f f o 5>

N J* CB

IJMIa

L-g

Ş L " - " o L a g S s cj

||

i | * H

5 to o tu

<w

53"-2>3

CC N

0)

0 5 w w 3

V fj OJ ^ rrl

0)

•r~A CO

5" oi 'aJ 'o>i

O N T

O H I N N -N

•§ L -g -s g H

L m

o

a ^ g s 2 s

!; 1 i 11?

Ph CO

w

I-I N Q

0

Q

<NI

Q N I O

h a CD

0

(U-

prz

5" •N |

•O

U

o

reszty rodziny i samotnie rozmyślał nad tym, w jaki sposób mógł by zapewnić sobie korzyści ze swego czynu, co z każdą chwilą wy dawało się coraz trudniejsze ze względu na Mahtoriego, któr otwarcie okazywał swój zachwyty niewinnej ofierze nikiemnośr białego zbrodniarza.

Tymczasem na niewielkiej ławce, na prawym końcu obozu leżeli Middleton i Paweł. Ciała ich skrępowano aż do bólu rzemic niami z bawolej skóry, a przez jakieś wyrafinowane okrucieństw!> umieszczono ich w ten sposób, że mogli patrzeć na siebie i w ciei pieniu towarzysza widzieć obraz własnej niedoli. O kilkanaści' jardów od nich, przywiązany do pala, mocno wbitego w ziemi*, stał Nieugięte Serce, Indianin o postaci Apollina. Pomiędzy nim stał traper. Zabrano mu strzelbę, miszek z kulami i rozek z pr< chem, lecz obdarzono go, jak na szyderstwo, pozorną wolnością W niewielkiej odległości od niego czuwało kilku młodych wojów ników, z kołczanami na plecach i grubymi łukami przewieszony mi przez ramię, a widok ten jasno dowodził, że wszelka prób ucieczki podjęta przez tego starego i słabego człowieka byłaby zu pełnie daremna. Ci nasi znajomi, w odróżnieniu od innych obsei watorów narady Indian, rozmawiali o swych własnych sprawach

–Kapitanie – rzekł bartnik z humorem, którego w człowieku o tak wesołym usposobieniu nie zdoła zagłuszyć żadne nieszczęście – czy pan też czuje, że ten przeklęty pas z nie wypr; i wionej skóry wrzyna mu się w ramię, czy po prostu ścierpła m ręka?

–Kiedy duch tak strasznie cierpi, ciało nieczułe jest n ból – rzekł subtelniejszy, ale nie tak dzielny Middleton. – Nie chaj niebo sprawi, by moi wierni artylerzyści wpadli na ten prze klęty obóz!

–Równie dobrze mógłbyś pan pragnąć, żeby te indiański! namioty stały się ulami pełnymi szerszeni i aby szerszenie wpa dły z nich i stoczyły bitwę z półnagimi dzikusami!

Tu bartnik zaśmiał się z własnego konceptu i począł sobie wyobrażać, co by to było, gdyby ten dziwaczny pomysł się spełnił. Fantazja podsunęła mu przed oczy obraz tej walki, ujrzał, jak wo bec takiego natarcia ustępuje nawet sławna indiańska cierpliwość – i przyniosło mu to chwilową ulgę w jego niedoli.

Middleton był rad, że może milczeć, ale starzec, który przy

mchiwał się ich słowom, przysunął się jeszcze bliżej i podjął / .mowę.

–Z pewnością odbędzie się tu bezlitosne, piekielne widowie – powiedział kiwając głową, jakby dla okazania, że nawet c,() doświadczenie nie może mu podsunąć żadnej rady w tej strasnej sytuacji. – Przywiązano już do pala tortur naszego przyjadę Pawni, a widzę po oczach i twarzy Wielkiego Siuksa, że po-i'ga swój lud do jeszcze gorszych okrucieństw.

–Słuchaj, traperze – rzekł Paweł, skręcając się w swych

tach, by spojrzeć na niego. – Znasz język Indian i wiesz, do

kiej podłości są zdolni. Idź do ich wodzów i powiedz w moim

ieniu, to jest w imieniu Pawła Hoovera ze stanu Kentucky, że

li zapewnią bezpieczny powrót do Stanów niejakiej Ellen;ide, mogą mnie oskalpować, kiedy i jak im się podoba. A jeśli ; ; zechcą na tych warunkach ubić interesu, dorzuc godzinę albo. ie tortur przed oskalpowaniem, aby cała sprawa wydała się

i dziej ponętna w ich diabelskich oczach.

t- Ach, chłopcze, nie będą nawet słuchali takiej propozycji, oro wiedzą... a wiedzą to na pewno... że jesteś niczym niedź-icdź w potrzasku, niezdolny walczyć ani uciec. Ale nie podda-ij się przygnębieniu, bo wprawdzie wśród tych dalekich ple-ion indiańskich kolor skóry białego człowieka staje się czasem

rokiem śmierci dla niego, ale czasem bywa jego tarczą. Chociaż n lianie bynajmniej nas nie kochają, wyrachowanie często wiąże i ręce. Dlatego też nasz los nie jest jeszcze pewny, ale zdaje mi ':, że dla Pawni nie ma już prawie nadziei.

Skończywszy, starzec podszedł ku młodzieńcowi, o którym owił, i zatrzymał się w niewielkiej odległości. Postawą swą milczeniem starał się okazać szacunek należny sławnemu wo-owi, znajdującemu się w takiej sytuacji, jak towarzysz jego nie-(iii. Ale Nieugięte Serce zapatrzył się gdzieś w przestrzeń, a wy-w. jego twarzy świadczył, że i myślami wybiegł gdzieś daleko.

–Siuksowie naradzają się, co zrobić z moim bratem – powiedział wreszcie traper, doszedłszy do wniosku, że jeśli się nie ulezwie, nie zdoła ściągnąć na siebie jego uwagi.

Młody wódz zwrócił ku niemu głowę i ze spokojnym uśmie-• liem odparł:

o

cB J3

.a (tm) o

? | ° | 3 ^ "

O

Życia choć jednego z nich, serce jego stanie się sercem Siuk.s; Jeśli mój ojciec lęka się, że posłyszysz go Teton, niechaj cicho szej nie te słowa naszym starcom.

–Strach, mój młody wodzu, równą przynosi ujmę bladi twarzy, jak i czerwonoskóremu! Wakonda każe nam kochać życia którym nas obdarzył. Kiedy Pan Życia wywoła moje imię, nie bę, dzie musiał powtarzać wezwania. Gotów jestem stawić się na je^ wołanie tak samo dzisiaj, jak jutro czy kiedykolwiek indziej, gd\ zechce. Lecz cóż wart jest wojownik bez religii! Moja religia ni" pozwala mi przekazywać twoich słów.

Indianin milczał dłuższą chwilę, widocznie pod wpływem p<> przedniego rozczarowania, a potem rzekł:

–Niech blada twarz posłucha. Niechaj zostanie tutaj,;i Siuksowie skończą liczyć skalpy zmarłych wojowników. Niechu czeka, aż będą próbowali nakryć głowy osiemnastu Tetonów skórą jednego Pawni. Niechaj otworzy szeroko oczy, aby widział gdzie zakopują kości wojownika.

–Chcę zrobić to wszystko i zrobię, mój szlachetny chłopcze

–Niechaj oznaczy to miejsce, aby mógł je poznać.

–Na pewno nie zapomnę, gdzie to będzie – przerwał mu starzec, którym wstrząsnął

do głębi widok takiego opanowania i rezygnacji i odebrał mu spokój ducha.

–Wiem, że potem ojciec mój pójdzie do mojego ludu. Głowa mojego ojca jest siwa i słowa jego nie rozwieją się z dymem. Niechaj przyjdzie do mego namiotu i głośno wykrzyknie moje imię. Żaden Pawni nie pozostanie głuchy na to zawołanie. Niech wtedy mój ojciec każe przyprowadzić żrebaka, na którym nikt dotąd nif jeździł, żrebaka o skórze lśniącej i gładkiej jak jeleń, biegnącego szybciej niż łoś. A kiedy moi młodzi wojownicy dadzą memu ojci w rękę uzdę żrebca, niech przyprowadzi go krętą ścieżką do grobu Nieugiętego Serca! A kiedy koń przybędzie na to święte miejsce, niech postawią go w głowach grobu, aby mógł patrzeć ku zachodzącemu słońcu. I ojciec mój przemówi do żrebaka i powie mu że potrzebuje go jego pan, który karmił go od pierwszego dnia życia?

–Spełni się wola mojego syna... I te stare ręce zabiją żrebca i na twojej mogile, chociaż myślałem, że nie splamią się już więcej krwią... ani człowieka, ani zwierzęcia.

i – A więc wszystko będzie dobrze! – odparł młodzieniec, I Jego poważne, zastygłe w spokoju rysy rozjaśnił promień radości. – Nieugięte Serce zajedzie koniem na Święte Prerie i jako

Wz stanie przed Panem Życia. W tej samej chwili wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie.

aper rozejrzał się i zobaczył, że Indianie zakończyli naradę Jahtori w asyście paru najślawniejszych wojowników zbliża się i wolna ku upatrzonej ofierze.

ii,

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Nie jestem skłonna do łez jak

niewia Lgfz czuję w piersi szlachetny ból,

który Bardziej mnie pali niżli gorycz łez...

Szeks|ili

Tetoni za\ zymali się w odległości dwudziestu stóp od jeńców i wódz dał znak traperowi, aby się przybliżył. Starzec posłuchał i odchodząc od Pawni rzucił mu znaczące spojrzenie, które miał go jeszcze raz zapewnić, że nigdy nie zapomni o obietnicy, i tal też zostało przez młodego wodza zrozumiane.

Kiedy podszedł do Mahtoriego, wódz wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu starca.

–Czy blada twarz ma dwa języki? – zapytał.

–Uczciwość leży głębiej niż skóra.

–Tak. Niechaj mój ojciec posłucha. Mahtori ma tylko jeden język, Siwa Głowa – wiele. Może wszystkie one są proste, żaden nie jest rozdwojony. Siuks może być tylko Siuksem, a blada twarz – wszystkim! Potrafi rozmawiać z Pawni i z Konzą, i i Omahawem i mówi z ludźmi własnego narodu.

–Pan Życia ma uszy otwarte dla słów każdego narodu!

–Siwa Głowa źle uczynił. Powiedział jedno, a myślał co innego. Patrzył przed siebie wzrokiem, a za siebie myślą. Za bardzo pędził konia Siuksa. Był przyjacielem Pawni, a wrogiem mego ludu.

–Tetonie, jestem twym jeńcem. Chociaż słowa moje są białe, nie będą się skarżyć. Spełnij swą wolę.

–Nie. Mahtori nie zaczerwieni białych włosów. Mój oj ci ci jest wolny. Preria otwiera się przed nim na wszystkie strony. Lec/ nim Siwa Głowa zwróci się plecami do Siuksów, niechaj się im

dobrze przyjrzy, by mógł opowiedzieć swemu wodzowi, jak wielki jest Dakota.

–Nie spieszno mi w drogę. Tetonie, widzisz męża z białą skórą, a nie kobietę, dlatego też nie będę gnać bez tchu, by pojechać narodom prerii, co robią Siuksowie.

–To dobrze. Mój ojciec palił z wodzami fajkę na niejednej drodze – odparł Mahtori, który był już dostatecznie pewny siebie, by przystąpić bez ogródek do celu rozmowy. – A teraz Mahtori chce mówić językiem swego drogiego przyjaciela i ojca. Młoda lada twarz będzie słuchać, kiedy starzec z jej narodu otworzy

usta. Chodźmy, mój ojciec przystosuje dla białego ucha słowa białego Indianina.

–Mów więc głośno – rzekł traper, który w lot pojął przełożenie, za pomocą której Teton wyraził życzenie, aby przetłumaczyć jego słowa na angielski. – Niechaj Mahtori otworzy usta.

–Czy mój ojciec chciałby, abym krzyczał i aby dzieci i kobiety słyszały mądrość wodzów? Wejźmy do namiotu. Będziemy

opowiadać.

Powiedziawszy to, wskazał z powagą namiot, który stał nieco w uboczu, jakby dla oznaczenia, iż jest siedzibą uprzywilejowanego członka plemienia. Na jego ścianach wymalowano żywymi kolorami historię jednego z najsmielszych i najczęściej opiewanych czynów wodza. Tarcza i kołczan wiszący u wejścia były wspanialsze niż u innych wojowników. O wysokiej godności pana a miotu świadczyła strzelba myśliwska, która stanowiła znaczne wyróżnienie. Poza tym kwatery wodza odznaczała się nie bogactwem, lecz raczej ubóstwem.

Od powrotu z ostatniej wyprawy Mahtori nie był w swym namiocie, który uczyniono więzieniem Inez i Ellen. Małżonka Midletona siedziała na prostym pościeli z wonnych ziół, nakrytych skórami. Przez krótki okres niewoli wycierpiała tak wiele, widziała tyle nieoczekiwanych i straszliwych wydarzeń, że każde nowe nieszczęście, jakie spadało na jej udręczoną głowę, na którą chyba sprzysięgły się losy – dotykało ją słabiej niż poprzednie. Wszystkie krew uciekła z jej twarzy, a w ciemnych, zazwyczaj pełnych życia oczach osiadł wyraz głębokiego smutku.

Ellen przejawiała znacznie więcej kobiecej natury i co za tym idzie, ziemskich uczuć. Płakała, aż oczy jej spuchły i poczerwie-

niały. Policzki dziewczyny płonęły gniewem, a całe zaehow cechowały męstwo i upór, złagodzone jednak obawami o p szłość.

W namiocie znajdowała się jeszcze trzecia kobieta. Była n: najmłodsza, najhojniej przez naturę obdarzona i, aż do chwili obecnej, najbardziej ukochana żona wodza Tetonów, Tachechan Mahtori ulegał urokowi jej wdzięków aż do chwili, gdy oco: jego niespodziewanie ukazała się niezrównana piękność kobie bladych twarzy. Od tego nieszczęsnego momentu powab, pr: wiązanie, wierność młodej Indianki utraciły nad nim władz A przecież cera Tachechana, choć mniej olśniewająca niż jej walki, była, jak na kobietę jej rasy, czysta i zdrowa; orzecho oczy patrzyły słodko i łagodnie niby oczy sarny, głos brzmi, miękko i wesoło niczym pieśń mysikrólika, a radosny śmiech cza rował melodią lasu. Ze wszystkich dziewcząt tetońskich Tach chana (Skacząca Łania) była najweselsza i najwięcej wzbudzał) zazdrości. Jej ojciec należał do sławnych wojowników, a braci polegli na dalekiej i krwawej ścieżce wojennej. Wielu wojowni ków słało dary do wigwamu jej ojca, lecz nie słuchał on żadneg* konkurenta, póki nie przybył wysłannik wielkiego Mahtoriego Została, co prawda, jego trzecią żoną, ale niewątpliwie najbar dziej ukochaną. Związek ich trwał zaledwie dwa lata, a jego owocł leżał teraz uśpiony u jej stóp, spowity wedle zwyczaju w bandaże' ze skóry i kory, które tworzą powijaki indiańskiego niemowlęcia.

W chwili gdy Mahtori i traper zjawili się u wejścia do namiotu, młoda Tetonka siedziała na prostym stołku, zwracając swe łagodne oczy, wyrażające na przemian uczucie miłości lub podziwu, to na uśpione maleństwo, to na dziwne istoty, które wzbudziły w jej naiwnym umyśle tyle zachwyty i zdumienia. Inez i Ellen spędziły cały dzień na jej oczach, a jednak Tachechana przyglądała; się im z wciąż rosnącą ciekawością. Uważała je za istoty zupełnie innej natury i stanu niż kobiety prerii. W swej szlachetności i prostocie przyznawała, że nieznanome górują pięknnością i powabem nad dziewczętami tetońskimi, lecz nie widziała powodu do niepokoju. Mąż nie był jeszcze w jej chatce po powrocie z ostatniej wyprawy.

Pomimo obecności Inez i Ellen wódz Tetonów wchodził jako pan do namiotu wybranej żony. Stapał bezszelestnie w moka-

11 ach, lecz grzechotanie bransolet i srebrnych ornamentów na
 < rżanych spodniach obwieściło jego przybycie, gdy rozsunał
 ury, zakrywające wejście do namiotu, i ukazał się jego mie-
 kańcom. Zaskoczona Tachechana wydała cichy okrzyk radości,
 z natychmiast stłumiła wzruszenie, przybierając opanowany
 raz twarzy, jak przystało kobiecie jej rasy. Mahtori nie odwza-
 mniał spojrzeń, rzucanych na niego ukradkiem przez pełną ei-
 irj radości żonę, lecz podszedł do posłania, na którym siedziały
 tnki, i stanął przed nimi w dumnej, wyniosłej postawie indiań-
 iego wodza. Traper wśliznął się za nim i zajął miejsce odpowie-
 ue do wypełnienia zadania, jakim go obarczono.

Obie kobiety oniemiały na chwilę ze zdumienia i siedziały (tymal bez tchu. Po chwili
 lnez odzyskała władzę nad sobą i /wracając się do trapera zapytała z godnością
 obrażonej damy, lirz jednocześnie z właściwą sobie uprzejmością, czemu zawdzię-
 r/ają tę niezwykłą i niespodziewaną wizytę. Starzec zawahał się, r,ikaszał, jak
 człowiek, przed którym stanęło nie spotykane do-ivchczas zadanie, a potem zdobył
 się na następującą odpowiedź:

–Pani – rzekł – dzikus pozostanie zawsze dzikusiem, a na (.iłowej prerii, Smaganej
 wichrami, nie może pani oczekiwać zwyczajów i grzeczności przestrzeganych w
 osadach. Tak więc, gdyby ode mnie zależała ta wizyta, najpierw chrząknąłbym
 głośno u wejścia, żeby panie słyszały, że ktoś obcy nadchodzi, no a potem...

–Nie chodzi mi o sposób – przerwała lnez zbyt niespokojna, by mogła słuchać
 rozwlekłych wyjaśnień starca. – Ale po co lii przyszedł?

–Na to dziki sam odpowie. Córki bladych twarzy chcą wiedzieć, dlaczego Wielki
 Teton przyszedł do swego domu?

Mahtori spojrział na starca ze zdumieniem, które wymownie lwiadczyło, jak
 niezwykle wydało mu się to pytanie. Po chwili wahania stanął w postawie pełnej
 uprzejmości i odrzekł:

–Zaśpiewaj w ucho czarnookiej. Powiedz, jej, że dom Mahtoriego jest bardzo obszerny i nie zapełnił się jeszcze. Znajdzie tu ona miejsce dla siebie i nikt nie będzie się nad nią wywyższał. Powiedz jasnowłosej, że może także pozostać w namiocie wojownika i spożywać jego zwierzynę. Mahtori to wielki wódz. Nie zamyka nigdy swojej ręki.

–Tetonie – odparł traper, potrząsając głową na znak, że

nie podobają mu się słowa wodza. – Mowa czerwonoskórego musi przybrać kolor biały, jeżeli ma brzmieć jak muzyka w uc bladej twarzy. Gdybym powtórzył, co powiedziałaś, moje có: zatkałyby uszy i uważały Mahtoriego za kupca. Posłuchaj, co wie Siwa Głowa, a potem mów wedle mej rady. Mój naród j bardzo potężny. Słońce wstaje na wschodniej granicy kraju i za" chodzi na zachodniej. Pełno w tym kraju roześmianych dziewczgl o promiennych oczach, jak te, które widzisz... ależ tak, Tetonie, nie kłamię – dodał, zauważywszy, że słuchacz aż cofnął się ją zdumienia – promiennookich i tak ładnych jak te, które teraz widzisz.

–Czy ojciec mój ma sto żon? – przerwał mu dziki.

–Nie, Tetonie. Pan Życia powiedział mi: żyj samotnie, twoim domem będzie las, a chmury dachem twojego wigwamu. Leci choć nigdy nie związany byłem ową tajemną więzią, jaka w moin kraju łączy jednego mężczyznę z jedną kobietą, często widziałem działanie tego uczucia. Idź do ziem moich ludzi, zobaczysz ich córki, które przelatują ulicami miast niczym kolorowe, wesoł ptaki w porze kwiatów. A kiedy młodzian spotyka miłą jego sercu dziewczynę, mówi do niej głosem tak cichym, że nikt inny nie słyszy. Nie powiada jej: mój dom jest pusty i znajdzie się tam jeszcz miejsce dla niej, ale pyta: czy mam zbudować dom i czy dziewczyna zechce mi wskazać, nad jakim strumykiem pragnie zamieszkać. Głos jego jest słodszy niż miód akacjowy i brzmi w uszach jak śpiew mysikrólika. Jeśli więc mój brat chce, aby słuchano jeg«słów, musi mówić białym językiem.

Mahtori zadumał się głęboko i nawet nie próbował ukr\ swego zdumienia.

Było to w jego oczach odwrócenie całego porządku społecznigo. Według najgłębszego przekonania Indianina takie poniżani* się wojownika wobec kobiety ubliżałoby godności wodza. Jak gdyby uznając swój, błąd skłonił głowę, cofnął się nieco i tak mówił:

–Jestem człowiekiem o czerwonej skórze, lecz moje oczy czarne. Widziały już wiele śniegów. Widziały wiele rzeczy i potr; fią odróżnić walecznego wojownika od tchórza. Mahtori stał wodzem, jakim byli jego ojcowie. Bił wojowników wszystkich ni rodów, mógł wybierać sobie żony z plemienia Pawni, Omahaw«

i Konza, lecz oczy jego patrzyły na tereny łowieckie, a nie na wiotką. Myślał, że koń jest miłszy od tetońskiej dziewczyny. Ale zna-U/.ł kwiat prerii, zerwał i przyniósł do swego wigwamu. Zapomi-'t.i, że ma tylko jednego konia, odda wszystko przybyszom, bo Mahtori nie jest złodziejem. Zatrzyma tylko kwiat, który znalazł 'i.i prerii. Jej stopy są bardzo delikatne. Ona nie zdoła dojść do |||rzwi domu ojca. Pozostanie już na zawsze w wigwamie wojo-cnika.

Kiedy Teton skończył to niezwykle przemówienie, czekał, aż -ostanie przetłumaczone, podobny konkurentowi, który nie żywi diytnich obaw o swój sukces.

–Córki moje nie potrzebują uszu, aby zrozumieć, co mówi * lelki Dakota – powiedział traper, zwracając się do czekającego

i odpowiedź Mahtorigo. – Spojrzenia, jakie rzucił, znaki, jakie i/.ynił, wystarczyły. Pojęły jego słowa. Chcą pomyśleć nad nimi, ołyż dzieci wielkich wojowników, jakimi są ich ojcowie, nie zwy-tv czynić nic bez głębszego namysłu.

Teton odpowiedział starcowi okrzykiem wyrażającym zgodę abierał się do odejścia.

Jednakże scena ta miała jeszcze jedną słuchaczkę. Nikt na nią

c zwrócił uwagi, lecz, cłibć siedziała bez ruchu, to, co usłyszała,

trzasnęło nią do głębi. Każde słowo, które padło z ust długo

ik;sknie oczekiwanego męża, godziło prosto w serce jego wiernej

my. W ten sam przecież sposób zalecał się do niej w namiocie

t ojca! Tachechana stała na jego drodze, nieśmiała i drżąca, w

romnym ubiorze indiańskiej kobiety, trzymając w ramionach

!wód ich miłości. Drgnął gwałtownie, lecz natychmiast rysy jego

A.irzy stężały w wyraz kamiennej obojętności. Wódz Indian

miał w podziwu godny sposób przywoływać obojętność na swe

iiilicze w momencie przymusu lub maskowania uczuć. Władczym

stem dał żonie znak, aby usunęła się z drogi.

–Czyż Tachechana nie jest córką wodza? – zapytała głosem llawionym, w którym duma walczyła z bólem. – Czyż bracia jej ic byli mężni?

–Odejdź. Mężowie wzywają wodza. Uszy jego nie są dla kołu ety.

–Nie Tachechany głosu będziesz słuchać – odparła – ale chłopca, który przemówi ustami matki. Jest synem wodza

i jego słowa wleczą do uszu ojca. Posłuchaj, co mówi. Czy Mahtol był kiedy głodny, a Tachechana nie miała dla niego jedzenia? A czy kiedy poszedł na ścieżkę Pawni i nie znalazł wroga, matka moja nie płakała? Czy wrócił kiedy ze śladami ich ciosów, a ni" śpiewała mu? I któraż z tetońskich kobiet dała wojownikowi ta kiego syna jak ja! Przypatrz mi się dobrze, abyś mnie znał. Mojtt oczy są oczami orła. Patrzę na słońce i śmieję się. Już niedługo Dakotaowie pójdą ze mną na łowy i na wojenną ścieżkę. Dlaczego mój ojciec odwraca oczy od kobiety, która mnie wykarmiła? Czemu tak prędko zapomniał córę wielkiego Siuksa?

Zimne spojrzenie ojca powędrowało z dumą ku roześmiane) buzi chłopczyka – i przez krótki moment zdawać się mogło, że surowego Tetona ogarnia wzruszenie. Ale odtrącił od siebie uczucie wdzięczności, rad pozbyć się przykrych, bo budzących wyrzuty sumienia wzruszeń. Spokojnie położył rękę na ramieniu żony i poprowadził ją przed Inez. Wskazał słodką twarz, która patrzyli na nią serdecznym, współczującym wzrokiem, a potem chwil* czekał, chcąc, by Tachechana przyjrzała się piękności, która w mniemaniu prostej Indianki była niezrównana i która tak groźny wpływ wywarła na jej niewiernego męża. Kiedy osądził, że minęło już dość czasu, by kontrast stał się wystarczająco silny, podsunął nagle przed oczy żonie wiszące na jej szyi lustro, którym niegdyś, w uznaniu dla jej urody, sam ją ozdobił w godzinie czułości Ukazawszy Indiance jej własne ciemne oblicze, Mahtori poprawi) szaty, skinął na traperę, aby podążył za nim, i dumnym krokiem opuścił namiot mówiąc:

–Mahtori jest bardzo mądry! Któryż naród ma tak wielkiego wodza, jak Dakotaowie?

Tachechana stała przez chwilę, jakby zastygła w posąg pomężni. Jej łagodna i zwykle wesoła twarz zmieniła się gwałtownie. Oblicze jej stało się zimne i surowe, jak wykute z kamienia.

Tachechana zdjęła z siebie proste, lecz wysoko przez kobiety jej rasy cenione ozdoby, którymi hojny mąż ją zasypywał. W uznaniu wyższości Inez zaniósł ją do niej pokornie, bez słowa n jęku. Ściągnęła z rąk bransolety, odczepiła od skórzanych spodni splątane sznury paciorków, zsunęła z czoła szeroką srebrną przepaskę. A potem zamyśliła się długo i boleśnie. Okazało się jednak że raz powziętego postanowienia nie zdołało odmienić żadn*

wzruszenie, żadne najbardziej zgodne z naturą uczucia. U stóp domniemanej rywalki złożyła nawet swego synka. Teraz pokorna /ona Siuksa mogła uważać, że w pełni dokonała swej ofiary.

Inez i Ellen stały, patrząc zdumionymi oczyma na niezrozumiałe postępowanie

Indianki. Nagle dał się słyszeć cichy, melodyjny głos, który mówił w nie znanym im języku:

–! Obca mowa powie memu synkowi, jak ma się stać mężem. Posłyszysz nieznane dźwięki, ale nauczysz się ich i zapomni głosu matki. Taka jest wola Wakondy i tetońska kobieta nie będzie się skarżyć. Mów do niego cicho, bo jego uszko jest bardzo małe. Kiedy podrośnie, możesz mówić głośniej. Nie wychowuj go na dziewczynę, bo bardzo smutne jest życie kobiety. Naucz go patrzeć zawsze na mężów i nie pozwól mu nigdy zapomnieć, że ma oddawać cios za cios! A kiedy pójdzie na łowy, wtedy kwiat białych twarzy – zakończyła używając z goryczą metafory, która /rodziła się w wyobraźni jej niewiernego męża – szepnie mu ci-i ho w ucho, że jego matka miała czerwoną skórę i że była kiedyś I,anią Dakotaków.

Złożyła pocałunek na wargach syna i odeszła w najdalszy kąt namiotu. Narzuciła na głowę suknię z lekkiego perkalu i na znak lokory siadła na gołej ziemi. Towarzyszki daremnie starały się wrócić na siebie jej uwagę. Ani nie słyszała ich perswazji, ani nie /uła dotknięcia delikatnych rąk. Parę razy podniosła głos, niby '◁> zając żalną pieśń, która liigdy jednak nie brzmiała tak głośno i dziko, jak brzmiały zazwyczaj pieśni jej plemienia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Nie chcę tu fanfaronów. Jestem

w zgodzi1 Z najzacniejszych... Proszę, zaniknij

drzwi

Dość fanfaronów. Nie po to człek żyje, By słuchać fanfaronad. Zamknij drzwi

Szeksph

U wejścia do namiotu Mahtori spotkał Izmaela, Abirama i Est rę. Przebiegłemu Indianinowi starczyło raz rzucić okiem na za» palczywą i groźną minę barczystego osadnika, by odgadnąć, gwałtowne zerwanie grozi zdradzieckiemu układowi, zawartem1 z ludźmi, których chciał w swej chytrłości wystrychnąć na dud ków.

–Słuchaj, stary, siwy brodaczu! – zawołał Izmael chwytając trapera i kręcąc nim młynka jak zabawką. – Naturalna rzecz: że sprzykrzyło mi się prowadzić rozmowę paluchami zamiast językiem. Toteż będziesz tłumaczem i przełożysz moje słowa prosto i jasno na język Indian, nie trapiąc się o to, czy czerwonoskóremu łatwo je przyjdzie strawić.

–A więc mów, przyjacielu – spokojnie odparł traper. – Słowa dojdą do uszu Tetona takie, jakimi wyjdą z twoich ust.

–Przyjacielu! – powtórzył osadnik. – Powiedz temu zbójowi Siuksów, że przychodzę z żądaniem, aby dotrzymał warunków naszego uroczystego paktu, który zawarliśmy pod skałą.

Kiedy traper przetłumaczył słowa osadnika na język Siuk sów, Mahtori zapytał ze zdumieniem:

–Czy memu bratu jest zimno? Skór bawolich mamy pod dostatkiem. Czy jest głodny? Moi młodzi wojownicy przyniosą zaraz zwierzynę do jego namiotu.

Osadnik w odpowiedzi pogroził pięścią, a potem gwałtownie uderzył nią w otwartą dłoń, na znak, że jego postanowienie jest nieodwołalne, i zawołał:

–Powiedz temu hultajowi, że nie przychodzę do niego jak !!brak, co chwytając rzucone mu kości, ale jako wolny człowiek,

ory domaga się tego, co mu się należy. I muszę to mieć! A dodaj zcze, że żądam też, abyś i ty, nędzny grzesznik, wydany został ręce sprawiedliwości. Mówię chyba jasno. Mój więzień, moja istrzenica i ty. Żądam, aby zgodnie z zaprzysiężonym układem dał w moje ręce was troje!

Nie wzruszony tym starzec uśmiechnął się ze szczególnym ja-| nnś wyrazem twarzy i rzekł:

–Przyjacielu osadniku, niewiele jest osób, które zgodziłyby i; dać ci to, czego się domagasz. Chcesz wyrzeć język z ust Teto-

i.i i serce z jego piersi.

–Izmael Bush mało dba o to, komu czy czemu nie dogadzają jrtfo żądania, gdy domaga się swoich praw. Postaw no tę sprawę jusno, a kiedy będziesz mówił o sobie, zrób znak, który biały człowiek zrozumie, bo chcę wiedzieć, czy mnie nie oszukasz.

Traper zaśmiał się na swój cichy sposób i powiedział coś do "ifbie, a potem zwrócił się do wodza:

–Niechaj Dakota otworzy swe uszy bardzo szeroko – rzekł – •!>y wejść w nie mogły wielkie słowa. Jego przyjaciel Wielki Nóż przychodzi z pustą ręką i powiada, że Teton musi ją napęlić.

–Wagh! Mahtori to bogaty wódz! Jest panem prerii.

–Musi oddać ciemnowłosą.

Złowroga zmarszczka przecięła czoło wodza, jak gdyby chciał położyć trupem zuchwałego trapera, lecz natychmiast przypomniał sobie, do czego zmierza, i odparł przebiegle, ze zdradliwym uśmiechem na ustach:

–Dziewczyna to rzecz zbyt lekka dla dłoni takiego wojownika. Napęlię jego ręce bawołami.

–Mówi, że chce mieć również jasnowłosą, w której żyłach płynie jego krew.

–Ona zostanie żoną Mahtoriego. Wtenczas Długi Nóż bę-4/ic ojcem wodza.

–Chce także i mnie – mówił traper dalej.

Dakota objął ramieniem starego człowieka, okazując mu w lrn sposób swoje uczucie, a potem dopiero dał odpowiedź na to trzecie i ostatnie żądanie.

–Mój przyjaciel jest stary – rzekł – i nie zdoła zająć dale-

ko. Pozostanie z Tetonami, aby uczyli się mądrości słuchając jr. słów. Któryż z Siuksów ma taki język, jak mój ojciec! Nie, niech jego słowa będą łagodne, ale jasne. Mahtori da skóry i bawoły. I młodzieńcom bladych twarzy żony, ale nie może oddać nikoi; kto mieszka w jego własnym domu.

Zadowolony ze swej lakonicznej odpowiedzi, wódz skierou się ku oczekującym na niego doradcom. Nagle zawrócił i przerw traperowi jego tłumaczenie, mówiąc:

–Powiedz Wielkiemu Ba wołowi – to imię nadali IzmaeJo ; Indianie – że dłoń Mahtoriego jest zawsze szeroko otwarta Popatrz – wskazał na uwiędłą, pomarszczoną twarz przysłuclu jącej się bacznie Estery – jego żona jest za stara dla tak wielki(>: wodza. Niech wypędzi ją ze swego namiotu. Mahtori kocha go j <brata. t)n jest jego bratem. Dostanie najmłodszą żonę Tetona. T.t chechana, duma dziewcząt tetońskich, będzie gotować mu zwi> rzynę i wielu wojowników spojrzy na niego z zazdrością. Tak, l>. kota jest hojny.

Spokój i chłód, z jakim Teton zakończył tę zuchwałą prop' zycję, zaskoczyła trapera, choć tak dobrze znał życie. Ze zduni h niem, którego nie starał się ukrywać, spoglądał na oddalające^ się Indianina i dopiero wtedy podjął się tłumaczenia.

Izmael przysłuchiwał się odpowiedzi, z jaką spotkały się jj żądania, z rosnącym oburzeniem, które nieraz doprowadza bardziej nawet ospałe temperamenty do gwałtownych wybucl wściekłości. Udawał, że bawi go propozycja zamienienia wypj bowanej w ciągu długich lat Estery na bardziej wiotką podpc młodziutką Tachechanę, ale wymuszony jego uśmiech brzm| głucho i nienaturalnie, Estera zaś daleka była od tego, aby żai mi zbyć ten projekt.

–Któż to dał Indianinowi władzę stanowienia i łamai praw ślubnych żon? On myśli, że kobieta to zwierzę prerii i może ją wyszczuć z wioski psami i wystraszyć strzelbą! A któraż squaw mogłaby się pochwalić gromadką takich dzieci, jak moj Bezczelna Czerwona Skóra to niegodziwy tyran i skończony łoi No oczywiście! Zachciało mu się być hersztem w domu, tak ji poza domem. Nie wie, ile jest warta uczciwa kobieta! A ty, Izrru elu Bush, choć masz siedmiu synów i siedem ślicznych córt masz czelność otwierać grzeszne usta i nie przeklinać tego gałgij

(Chciałbyś pohańbić swoją rasę i stać się ojcem rasy mułów!? i;m cię często kusił, mój mężu, ale nigdy przedtem tak sprytnie astawił sideł...

l)oświadczony mąż nie odpowiadał na ten wybuch zranionej

i y kobiecej i tylko od czasu do czasu wykrzykiwał coś, co mia-

. i no wić wstęp do stwierdzenia, że nic tu nie zawinił. Furii ko-

i v nie dało się uspokoić. Estera nawoływała do odjazdu.

Osadnik jeszcze przed przystąpieniem do swych śmiałych za-

› słów zgromadził na wszelki wypadek bydło i załadował wozy,

ik że w rezultacie wszystko sprzyjało życzeniom Estery. Mło-

nińcy na rozkaz ojca szybko złożyli namioty na wozy i wkrótce

›ły orszak opuścił obozowisko, jadąc niedbale i opieszale jak

w kle.

Izmael uczynił ustępstwo na rzecz obrażonych uczuć Estery,)*"/ nie zamierzał tak łatwo wyrzec się swych pierwotnych pla-"w. Sznur wozów posuwał się przez milę z biegiem rzeki, a po-→*m zatrzymał się na wzniesieniu, gdzie istniały odpowiednie wa-|"inki do założenia obozu. Tutaj znów rozbili namioty, wyprzęgli "-iriie, pognali bydło w dolinę, krótko mówiąc, poczynili zwykle \}i /ygotowania do noclegu.

Tymczasem Tetoni przystąpili do właściwego zadania. Od wili gdy do obozu doszły wieści, że Mahtori wraca prowadząc ii-nawidzonego wodza wrogiego plemienia, który od dawna bu-ł w nich trwogę, wśród Siuksów zapanowała dzika, okrutna ość. Przez długie godziny staruchy chodziły od namiotu do na-tu, chcąc wzbudzić w wojownikach nastrój, który nie pozwo-iy im kierować się litością.

W rezultacie mężczyzn ogarnęło takie wzburzenie, że zeszli na radę.

Z wyrafinowanym okrucieństwem, do jakiego nie byłby zdol-nikt prócz Indianina, na ponurą tę rozprawę wybrano miejsce ijdujące się w bezpośrednim sąsiedztwie słupa, do którego i y wiążano najważniejszą osobę mającą ponieść karę. Middleton k i '.iweł zostali sprowadzeni w pętach i złożeni u stóp Pawni.

Gdy wszyscy już się zebrali, sędziwy wojownik zapalił wielką hjkę swojego ludu i rozwiął dym na cztery strony niebios. Zjedli wszy Wakondę tą ofiarą, wręczył fajkę Mahtoriemu, który I udaną pokorą podał ją siedzącemu obok siwowłosemu wodzowi-

'1

Kiedy wpływ kojącego zieleń oddziaływał na wszystkich zebranych zapanowała głuchość cisza. Wydawało się, że każdy z wojowników nie tylko jest w lepszym nastroju do zastanowienia się nad obchodzącą wszystkich sprawą, ale rzeczywiście nad nią myśli. Wreszcie powstał stary Indianin i odezwał się w następujące słowa:

–Stary jest orzeł, który gnieździ się nad wodospadami wielkiej rzeki. Lecz gdy on dopiero wykluwał się z jaja, byłem już wojownikiem i z ręki mej od dawna ginęli Pawni. Mój język opowie o tym, co widziały oczy. Bohrechina jest bardzo stary. Niech więc Tetonci słuchają, co on powie. Odkąd woda płynie i drzewa rosną, na ścieżce wojennej Siuksa stał Pawni. Jak puma kocha swój tył, tak Dakota kocha swego wroga. Kiedy wilk znajdzie łani' czy kładzie się i zasypia? Kiedy pantera widzi sarnę u źródła, czy zamyka oczy? Wiecie, że tego nie robi. Ona także pije, ale pić krew! Siuks jest skaczącą panterą, a Pawni drżąca sarną. Niech moje dzieci słuchają. Zobaczą, że dobrze mówię. Skończyłem.

Gardłowe okrzyki zgody wyrwały się z ust stronników Mai toriego, gdy słuchali tych okrutnych pouczeń człowieka, który nie leżał do najstarszych w plemieniu. Daleko jednak było do jednomyślności. Wódz, który z kolei zabrał głos, minął już wprowadzić wiosnę życia, był jednak znacznie młodszy od swego poprzednika.

–Młody wojownik ma dobre oczy. Może widzieć bardzo daleko. To młody ryś. Przyjrzyjcie mi się dobrze. Obróć się do mnie plecami, żebyście mogli widzieć mnie z dwóch stron. Teraz wiecie, że jestem waszym przyjacielem, bo widzicie mnie całego, a zadr Pawni nigdy nie ujrzał moich pleców. Czymże ja jestem? Dakot wewnątrz i na zewnątrz. Wiecie o tym. Dlatego też posłuchają mnie. Krew każdego stworzenia na preriach jest czerwona. Kto może odróżnić miejsce, gdzie padł ugodzony Pawni, od tego miejsca, w którym moi młodzi wojownicy położyli bawoła? Ich krew jest tego samego koloru. Pan Życia uczynił ten kolor dla krwi obu. Uczynił ją podobną. Ale czy zielona trawa pokryje miejsce, gdzie zabił. bladą twarz? Niechaj moi młodzi wojownicy nie myślą, że ten ich ród jest tak liczny, że nie dostrzeże braku jednego wojownika. Kwodzowie zwołują często wszystkich wojowników i pytają: gdzie są moi synowie? Jeżeli brak choć jednego, ślą na prerię ludzi, ul' go szukali. Jeżeli go nie znajdą, każą swym gońcom pytać o niego Siuksów. Moi bracia, Wielkie Noże, nie są głupcami. Przebywa te

i/, pomiędzy nami potężny czarownik ich plemienia. Któż może !' wiedzieć, jak donośny jest jego głos, jak długie jest jego ramię... Tutaj wodzowi, który przemawiał coraz goręcej, przerwał i ccierpliwie Mahtori. Powstał nagle i zawołał głosem, który r/. miał władczo i pogardliwie, a przy ostatnich słowach dźwię-ła ironia:

–Niechaj moi młodzi wojownicy przyprowadzą przed radę lego ducha bladych twarzy. Wtedy mój brat zobaczy z bliska wojego czarownika!

Śmiertelna cisza zapadła po tym niezwykłym wystąpieniu. ! lanowiło ono ciężkie wykroczenie przeciw niewzruszalnym za-idom prowadzenia narad. Ci, do których skierowany był rozkaz Mahtoriego, posłuchali go jednak. Wyprowadzono z namiotu Obe-li, siedzącego na Asinucie, a wjazd ten odbył się z wielką ceremonią, której celem było wyszydzenie domniemanego czarownika, ule której dodało powagi przerażenie patrzących. Mahtori przewi-iział, jaki wpływ na jego rodaków może mieć Obed, i aby temu '.apobiec, chciał go ośmieszyć. Gdy osioł i jego pan znaleźli się przed obradującymi, wódz rzucił dokoła okiem, pragnąc wyczytać w ciemnych twarzach otaczających go wojowników, że odniósł '.wycięstwo.

Doprawdy natura i sztuka połączyły się, aby uczynić z przyrodnika i jego zawodu widowisko, które zawsze i wszędzie wzbu-lziłoby zdumienie. Ogolono go starannie, według najlepszych wzorów mody czerwonoskórych. Z bujnego pokrycia głowy, które było z pewnością czymś bardzo pożądanym w tej porze roku, powstał tylko zadzierzasty lok na czubku głowy, choć gdyby zapy-'ano o zdanie doktora, zapewne wyrzekłby się tej ozdoby. Na wygolony czerep nałożono grube warstwy farby, a fantastyczne de-,mie, również wymalowane farbami, dochodziły prawie do oczu i warg, nadając bystremu już z natury spojrzeniu wyraz drwiącej przebiegłości i wykrzywając stanowcze i surowe usta w posępny grymas, godny czarnoksiężnika. Górną połowę jego ciała pozbawiono właściwego odzienia, lecz włożono mu za to fantastycznie wymalowaną szatę z wyprawionej skóry jelenia, która wystarczająco chroniła przed zimnem. Różne ropuchy, żaby, jaszczurki, motyle itp., które przyrodnik starannie przygotował, aby mogły w przyszłości zająć miejsce w jego prywatnym gabinecie, przymo-

–Preria

cowano mu do jednego loku, do uszu i innych wystających części ciała, jak gdyby szydząc z jego umiłowanych zajęć. Ukazanie się jego wśród czerwonoskórych, którzy skłonni byli uwielbiać go jako potężnego wysłannika złego ducha, musiało wzbudzić przerażenie.

Weucha wprowadził Asinusa prosto w środek kręgu wojowników, potem pozostawił Obeda i osła razem, a sam powrócił na dawne miejsce. Gdy oddalał się od doktora, spoglądał na niego ze zdumieniem i podziwem, naturalnym u człowieka o umyśle pogrążonym w upadającej ciemności.

–Czcigodny myśliwcze, czyli łowco, czyli traperze – powiedział wielce zgnębiony Obed – cieszę się bardzo, że znów pana spotykam. Obawiam się, że bezcenny czas, jakiego mi użyczono, abym wypełnił pewne ważne zadanie, przedwcześnie dobiega kresu. Chciałbym otworzyć swe serce przed kimś, kto nie będąc wprawdzie wychowankiem nauki, posiada jednak nieco tej wiedzy, jakiej cywilizacja użycza nawet najskromniejszym osobom. Czuję się szczęśliwy, że obecny jest przy mnie człowiek, który zna język tubylców, i że dzięki temu zachowana będzie pamięć o moim zgonie. Zaświadczy pan, że po chlubnie przeżytych, pięknym życiu zmarłem jako męczennik wiedzy i ofiara umysłowej ciemnoty. Ponieważ przypuszczam, że w ostatnich chwilach mego życia będę szczególnie spokojny i zamyślony, nie zapomnij, proszę, wymenić parę szczegółów dotyczących męstwa, z jakim szedłem na śmierć, i godności uczonego, którą zachowałem do końca. A teraz, przyjacielu traperze, spełniając obowiązek, jaki winie-nem naturze ludzkiej, zakończę pytaniem, czy rzeczywiście nie ma już dla mnie nadziei, czy też może jest jeszcze jakiś sposób, by wydrzeć ignorancji źródło tak niezmiernie cennych informacji, które powinny być przekazane kartom historii naturalnej?

Starzec słuchał uważnie tego żalosego wezwania i widoczne było, że wszechstronnie przemyślał to pytanie, nim odważył się odpowiedzieć.

–Sądzę, przyjacielu lekarzu – rzekł w końcu z wielką powagą – że w obecnej sytuacji pański los zależy wyłącznie od woli Opatrzności, a jej wyrazem będzie decyzja tych przeklętych Indian. Co do mnie, uważam, że czy sprawa weźmie taki czy inny obrót, nie będzie to miało większego znaczenia, bo przecież dla

Ci I

•nkogo oprócz pana nie jest to znów tak bardzo ważne, czy pan i(;dzie żył, czy umrze.

–Czy pan uważa, że usunięcie się kamienia węgielnego fundamentów nauki to fakt bez znaczenia dla współczesnych

czy przyszłych pokoleń? – żywo przerwał traperowi oburzony przyrodnik. – Poza tym, mój sędziwy towarzyszu – dodał z wy-zutem – przywiązanie człowieka do życia nie jest przecież błahostką, choćby przesłaniało je poświęcenie się szerszym, ogólno-ndzkim celom.

–Raz się tylko rodzimy i raz umieramy, wszyscy, zarówno u es, jak i jeleni, czerwonoskóry i biały. Nasze urodziny i nasza śmierć są w ręku Boga i równie niemożliwe jest, by człowiek przy-pieszył swe urodziny, jak zapobiegł śmierci. Według mego zdania, jeżeli wasze sprawy zależą będą od humoru Indian, to polityka Wielkiego Siuksa każe jego plemieniu wszystkich was pozbawić życia. Nie ufam też jego pozornej życzliwości dla mnie. Pozostaje zatem pytanie, czy jest pan przygotowany na tę podróż, i jeżeli tak, to teraz jest równie dobry moment, aby ją rozpocząć, jak kiedykolwiek indziej.

Obed spojrzał z przygnębieniem na pełną filozoficznego spokoju twarz traper a i wyjawiał mu, jak smutno przedstawia się jego sprawa.

–Sądzę, szanowny myśliwce – odparł – że rozważając to pytanie we wszystkich jego aspektach i uznając słuszność pańskiej teorii, najbezpieczniej będzie stwierdzić, że nie jestem przy-;otowany na tak szybkie rozstanie się z życiem i dlatego też nale- 'V zastosować jakieś środki ostrożności.

–Teraz, kiedy wiem o tym – odparł w zamyśleniu traper – robię dla pana wszystko, co bym zrobił dla siebie. Ponieważ jed-iak słońce twego życia minęło już swe południe, radziłbym, abyś iie zwlekając, zajął się tą sprawą, gdyż może się zdarzyć, że po-tyszysz swe imię równie mało jak w tej chwili przygotowany, by i ióć odpowiedzieć na to wezwanie.

i

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓS

M

Ta wiedźma z Smithfield niech spłoni*

na sto.sir A waszej trójce – ot, stryczek na ka»

Szeksi

Siuksowie oczekiwali zakończenia tej rozmowy z godną pochwa ły cierpliwością. Toteż gdy starzec przerwał rozmowę, wódz rzuci mu wymowne spojrzenie, aby podkreślić, jak wielką okazał ciei pliwość, czekając, aż traper zechce skończyć. Po krótkiej przerwie zapadła głucha, nie zmacona niczym cisza. Po chwili podniósł si". Mahtori, aby zabrać głos.

–Czym jest Siuks? – zaczął przebiegle Mahtori. – Jest władcą prerii i panem zwierząt, jakie na niej żyją. Ryby w rzec«o mętnych wodach znają go i przychodzą na jego wołanie. Jest lisem na naradzie, szarym niedźwiedziem w boju, a oczy jego ssi oczyma orła! Dakota jest mężem! – Poczekał chwilę, aż ucichnc szmer uznania, jakim jego współplemieńcy powitali tak pochlebny obraz ich samych. Teton ciągnął:

–Czym jest Pawni? Złodziejem, który umie kraść tylko kobietom! Czerwonoskórym, ale nie wojownikiem, myśliwym, który żebrze o zwierzynę. Na radzie jest wiewiórką, skaczącą z miejsca na miejsce. Jest sową, która przylatuje na prerię nocą. W bitwie jest długonogim łośiem. Pawni jest kobietą! – Znów nastąpiła pauza. Z kilku gardzieli wydarł się radosny ryk, a potem dało się słyszeć żądanie, aby przetłumaczyć te drwiące słowa jeńcowi, który nie rozumie tej gryzącej pogardy. Mahtori dał spojrzeniem znak starcowi i traper spełnił jego wołę. Nieugięte Serce słuchał 228

powagą, a potem uznawszy widać, że nie czas jeszcze zabrać os, utkwiał wzrok w przestrzeń.

–Jeżeli całą ziemię pokryłyby bezużyteczne szczury – mó-it – nie starczyłoby miejsca dla bawołów, które dają Indianino-i jedzenie i ubranie. Jeżeli prerię zajęliby Pawni, nie miałyby lzie spocząć stopa Tetona. Pawni jest szczurem, Siuks potężnym i wołem: niechaj bawoły stratuują szczury i zrobią miejsce dla ubić

Moi bracia, przemawiało do was małe dziecko. Mówił on...

11, którego włos nie jest siwy, lecz oszroniony... Mówił, że trawa

nie wyrośnie w miejscu, gdzie zabito białego człowieka! Czy on

wie, jaki kolor ma krew Wielkich Noży? Nie, jestem pewien, że

nie wie. Nigdy jej nie widział. Któryż z Dakotaków, prócz Mahto-

riego, zabił kiedy bladą twarz? Nikt. Ale Mahtori musi być cicho.

Każdy Teton zatka uszy, gdy on się odezwie. To kobiety zdobyły

skalpy, jakie wiszą nad jego namiotem. Zdobył je Mahtori, a on

jest kobietą. Zamyka usta i czeka, aż nadejdzie czas uczyty, by

śpiewać wraz z dziewczętami.

Chociaż po tym upokarzającym oświadczeniu rozległy się okrzyki żalu i oburzenia, wódz usiadł, jak gdyby postanowił nie zabierać więcej głosu. Ale protesty stawały się coraz głośniejsze i liczniejsze, i zdawało się, że ogólny zamęt położy kres dalszym obradom. Wtedy Mahtori powstał i znowu zaczął przemawiać, ale zupełnie inaczej. Z ust pragnącego zemsty wojownika padły spieszenie dzikie wezwania.

Chytry wódz przez długą chwilę przemawiał w ten sposób, wzywając po imieniu wojowników, o których wiadano, że znaleźli śmierć w walce z Pawni albo w bójkach, tak często wybuchających między hordami Siuksów i tą grupą białych, która niewiele różniła się od nich pod względem cywilizacji.

W chwili najwyższego wlotu elokwencji wodza wszedł w sam środek koła i zajął miejsce na wprost mówcy człowiek tak stary, że poruszał się z największą trudnością. Przybysz wyróżniał się niegdyś pięknnością i harmonijną budową ciała, a spojrzeniu jego orlich oczu nie można się było oprzeć. Lecz teraz skóra jego tyła pomarszczona, a twarz pokrywały liczne blizny. Dzięki nim zyskał przed pół wiekiem u Francuzów z Kanady przydomek, który nosiło przed nim wielu bohaterów Francji. Kiedy starzec uka-

zał się, całe zgromadzenie przebiegł szept: "Le Balafre"* świał czący nie tylko o wielkim szacunku, ale również i o tym że ie" pojawienie się poczytano za niezwykle wypadek '

Nietrudno było wyczytać w twarzach słuchaczy triumf Mah. tonego. Mówca zakończył potężnym apelem do dumy i mesK współplemieńców, a potem nagle siadł na swoim miejscu

Wśród szmeru uznania, jaki dał się słyszeć po tak niezwykły, popisie elokwencji czujne uszy Indian pochwyciły jakiś słaby głucho brzmiący głos, który zdawał się wydobywać z najgłęb. szych otchłani ludzkiej piersi, a wydostawszy się na powietrze L dawać siłę i energię. Gdy posłyszano te dźwięki, zapadła uroczy, sta cisza. Zauważono, że starzec porusza wargami

–Dni Le Balafre bliskie są końca – te słowa brzmiały jui wyraźnie. – Jest on jak bawół, na którym włos przestał rosnać Wkrótce gotów będzie opuścić swój wigwam i pójść na poszuki-wanie innego, który znajduje się daleko od wioski Siuksów a więc to, co chce powiedzieć, nie dotyczy jego, ale ludzi, którzy tu pozostaną. Jego słowa są jak dojrzały owoc na drzewie który mogą spożyć wodzowie. Wiele spadło już śniegów od tej pory gdy Le Balafre znalazł się na ścieżce wojennej. Jego krew była wtedy bardzo gorąca, ale miała czas przestygnąć. Wakonda nie zsyła mu już snów o wojnie. Le Balafre widzi, że lepiej jest żyć w pokoju Moi bracia, jedna jego stopa skierowana jest już ku ziemi szczęśliwych łowów, druga również wkrótce tam podąży i stan wódz szukać będzie śladów mokasynów swego ojca Lecz kto wóidzie za nim? Le Balafre nie ma syna. Najstarszy jeździł na zV wielu koniach Pawni. Kości najmłodszego gryzą psy Konzów I. Balafre przyszedł tu szukać młodego ramienia, na którym móelb się oprzeć przyszedł znaleźć syna, aby wigwam jego nie pozol pusty kiedy on odejdzie. Tachechana, Skacząca Łania Tetonóu jest zbyt słaba, aby mogła wesprzeć starego wojownika Ona ni, patrzy za siebie, ale przed siebie. Jej serce jest w domu męża

Wypowiedz Le Balafre była spokojna, ale jasna i stanowcza Stary wódz powolnym, ciężkim krokiem zbliżył się ku więźniowi Staął tuż przed Nieugiętym Sercem i przez długą chwilę z wielką i me ukrywaną satysfakcją podziwiał jego pięknie zbudowaną po

Le Balafre-pokryty szramami, bliznami (od balafre, po francusku: szrama, blizna).

! 'ać, śmiałe spojrzenie i dumną postawę. Potem uczynił rozkazu-łcy gest i czekał, aż wykonane będzie jego polecenie i jeniec jed-.m zamachem noża został odcięty od słupa i uwolniony z pęt.

. indy przyprawdowano młodego wojownika tak blisko, by słab-jcy wzrok starca mógł go dobrze widzieć, znów począł mu się icznie przyglądać, okazując podziw, jaki zawsze w piersi dzikie-

, i i budzi widok doskonałości fizycznej.

–Toż to skacząca pantera! Czy mój syn mówi językiem Te-! nów?

Błyszczące oczy jeńca zdradzały, że dobrze rozumie pytanie, nyt był jednak dumny, aby przekazywać swoje myśli za pośred-ictwem języka nieprzyjaciół. Wojownicy otaczający starego wo-i/.a wyjaśnili mu, że jeniec jest Wilkiem Pawni.

–Mój syn – powiedział Le Balafre w języku Pawni – uro-l/.ił się jako Pawni, ale umrze jako Dakota. Spójrz na mnie. Je-icm sykomorą, pod której cieniem wielu się niegdyś chroniło. Mugo czekałem, aż znajdę kogoś, kto mógłby wzrastać u mego nku. Teraz go znalazłem. Le Balafre nie będzie już dłużej bez s na, a kiedy odejdzie, imię jego nie zostanie zapomniane! Mężowie tetońscy, biorę tego młodzieńca do mego wigwamu.

Nikt nie ośmielił się zakwestionować prawa, z którego tak (^sto korzystali wojownicy mający o wiele mniejsze znaczenie i / ten, który obecnie przemawiał. W poważnym, pełnym szacun-n milczeniu wysłuchano słów adopcji. Le Balafre wziął swego rzybranego syna za ramię i wprowadziwszy go w sam środek i ęgu wojowników, z triumfującą miną odsunął się nieco na bok, i by mogli zobaczyć, jak dobry uczynił wybór. Mahtori nie zdra-l/.ał swoich zamiarów, lecz zdawał się czekać na moment lepiej Opowiadający jego przebiegłej polityce. Bardziej od innych do-wiadczeni mądrzejsi wodzowie pojowali jasno, że niepodobień-icwem jest, aby dwóch tak sławnych i tak sobie nieprzyjaznych przywódców dwu plemion, cieszących się w dodatku przez tak • I ługi czas równą sławą, mogło żyć zgodnie w jednym obozie. Jednakże Le Balafre był wojownikiem powszechnie szanowanym, a zwyczaj, do którego się odwoływał, uważano za święty, toteż nikt nie odważył się wystąpić przeciw niemu.

Podczas całej tej sceny trudno było dojrzeć w rysach jeńca siad najmniejszego wzruszenia. Z taką samą obojętnością wysłu-

chał słów zwiastujących mu wolność, z jaką słuchał rozkazu, 1 go przywiązano do słupa.

–Mój ojciec jest bardzo stary, ale nie widział jeszcze wszystkiego! – zawołał Nieugięte Serce tak wyraźnie, aby słyszeli go wszyscy obecni. – Nie widział nigdy, aby bawół zamienił się w1 nietoperza. Nie zobaczy też nigdy, by Pawni stał się Siukseml

Choć nagle obwieścił swą decyzję, uczynił to ze spokojem, który wzbudził w większości słuchaczy przekonanie, że jest ona nieodwołalna.

–pobrze – powiedział – takich słów powinien używać waleczny mąż, aby ukazać wojownikowi swe serce. Był dzień, kiedy wśród namiotów Konzów najgłośniejszym brzmiał głos Le Balafrć. Lecz korzeniem siwych włosów jest mądrość. Moje dziecię pokaże Tetonom swą odwagę, bijąc ich wrogów. Mężowie tetońscy, oto jest mój syn!

Pawni zawahał się przez chwilę, a potem stanął przed wodzem. Wziął jego twardą, pomarszczoną dłoń i z szacunkiem położył na swej głowie, jakby dla okazania wielkiej wdzięczności. Odstąpił o lcrok, wyprostował jak mógł najbardziej swą wyniosłą pc stać i patrząc z dumą i pogardą na otaczającą go gromadę Sil" sów, przemówił głośno w ich języku:

–Nieugięte Serce patrzył na siebie od wewnątrz i od zew nątrz. Myślał o wszystkim, czego dokonał na łowach i wojnie. Zj wsze jest ten sam. On się nie zmienia. We wszystkim jest Pawn Zabił tak wielu Tetonów, że nigdy nie mógłby jeść w ich wigw mach. Jego strzały wracałyby z powrotem, ostrze dzidy byłot zwrócone w złą stronę. Kiedy Tetoni zobaczą, że słońce wstaje zz Gór Skalistych i posuwa się ku ziemi bladych twarzy, wtedy Nie ugięte Serce odmieni postanowienie i jego duch stanie się ducher Siuksa. Do tej pory będzie żyć i umierać jako Pawni.

Przerwało mu wycie radości, w którym przedziwnie złączom brzmiały podziw i okrucieństwo, mówiąc jeńcowi aż nazbyt wyra źnie, jaki los go spotka. Pawni odczekał chwilę, aż zgiełk ucichł a potem zwrócił się ponownie do Le Balafre i mówił tonem łagod' nym i pojednawczym, czując widocznie, że powinien złagodzi* swą odmowę, aby nie ranić dumy wojownika, który tak bardzc chciał wyświadczyć mu dobrodziejstwo.

–Niechaj mój ojciec wesprze się mocniej na Łani Dakota-

nw – rzekł. – Teraz jest słaba, ale gdy namiot jej zapełni się dziećmi, stanie się mocniejsza. Niechaj mój ojciec spojrzy – dodał, wskazując oczyma poważną twarz przysłuchującego mu się / . uwagą trapera. – Nieugiętemu Sercu brak siwej głowy, która by mogła wskazać mu ścieżkę do błogosławionych prerii. Jeśli kiedykolwiek mieć będzie innego ojca, to właśnie tego sprawiedliwego wojownika.

Rozczarowany Le Balafre odwrócił się od młodzieńca i zbliżył do nieznanego, który tak uprzedził jego zamiary.

–Głowa mego brata jest bardzo biała – rzekł Le Balafre – ale oczy moje przestały być oczyma orła. Jaki kolor ma jego skóra?

–Wakonda zrobił mnie podobnym tym ludziom, którzy, jak brat mój widzi, czekają tu na sąd Tetonów. Lecz złe i dobre dole uczyniły mnie ciemniejszym niż skóra lisa. Ale co z tego! Chociaż kora jest pomarszczona i popękana, serce drzewa pozostało zdrowe.

–Mój brat to Długi Nóż! Niechaj zwróci twarz ku zachodzącemu słońcu i otworzy oczy. Czy widzi słone jeziora za tymi górami?

–Był czas, Tetonie, kiedy niewielu ludzi potrafiło dojrzeć białego orła z większej odległości niż ja. Ale blask osiemdziesięciu siedmiu zim zaćmił moje oczy i na stare lata nie mogę się już chlubić swym wzrokiem. Czy Siuks myśli, że blada twarz jest Bogiem i może widzieć przez góry?

–Niechaj więc mój brat popatrzy na mnie. Stoję blisko niego, więc widzi, że jestem tylko głupim czerwonoskórym. Dlaczego ludzie mego brata nie mogą widzieć wszystkiego, skoro wszystko chcą mieć?

–Pojmuję cię, wodzu. Nie odmówię ci słuszności, bo wiem, że słowa twoje opierają się na prawdzie. Ale chociaż należę do rasy, której nie darzysz miłością, nawet mój najgorszy wróg, nawet kłamliwy Mingo nie ośmieliłby się powiedzieć, że położyłem kiedykolwiek ręce na własności innego człowieka, chyba że zosta-

ła ona zdobyta w wojnie, albo że kiedykolwiek pożądałem więcej ziemi, niż Bóg przeznaczył każdemu człowiekowi.

\ – A jednak mój brat przybył do czerwonoskórych, ażeby znaleźć tu syna?

Traper położył palec na gołym ramieniu Le Balafre i patrzą! z zamyślonym i ufnym

wyrazem na jego poraną bliznami twarzą odparł: *

–Tak, ale zrobiłem to tylko dlatego, aby wyświadczyć przy* służbę chłopcu...

Dalszą rozmowę starców przerwało przeraźliwe wycie. Wydarło się ono z gardzieli gromady zasuszonych staruch, które wdarły się na poczesne miejsce w kręgu rady. Zaczęły wyć na widok nagłej zmiany w wyrazie twarzy Nieugiętego Serca. Kici i starcy zwrócili się ku młodzieńcowi, zobaczyli, że stoi w samym środku koła, głowę i jedno ramię ma wzniesione ku górze, a nogę wysuniętą naprzód, i cały zamienił się w słuch. Na moment twarz jego rozjaśnił słaby uśmiech, a potem młody wojownik oprzytomniał nagle, znowu zastygł w dawnej pozycji godności i chłodu.

Weucha, który już od dłuższej chwili wyczekiwał gorączkom przyzwolenia i stał z wzrokiem wlepionym w wodza, ujrzał; drżenie jego twarzy skoczyło nagle jak spuszczone ze smyczy pomyślnie. Przepchnął się w sam środek gromady wiedząc, że od wymysłów przechodzi już do czynnego znęcania się nad jęczym. Zbeształ je za niecierpliwość i kazał czekać, aż wojownik rozpocznie tortury. Wtedy zobaczą, że ofiarą będzie łzy kobieta.

Okrutny dzikus rozpoczął swój proceder od wymachów; tomahawkiem nad głową więźnia. Nieugięte Serce pozostał tu: nie niewzruszony wobec tej zwykłej indiańskiej próby nerw Traper wodził spojrzeniem za ruchami tomahawka z takim przejęciem, jak gdyby był naprawdę ojcem młodego skazańca w końcu, niezdolny pohamować oburzenia, zawołał:

–Mój syn zapomniał o przebiegłości. Ten Indianin to du: i łatwo go można nakłonić do szaleńczego czynu. Niech Pawni wie kilka ostrych słów i zyska łatwą śmierć. Ręczę, że mu się, wiedzie, ale niechaj uczyni to zaraz, nim rozważni mężowie się łaja zapobiec szaleństwu tego głupca.

Dziki Siuks, posłyszawszy te niezrozumiałe dla siebie słowa zwrócił się do trapera i zagroził mu, że położy go na miejscu pamiątkę za zuchwalstwo.

–Zabij mnie, jeśli chcesz – powiedział starzec bez zmi-

nia powiek. – Teraz jestem tak samo gotów na śmierć, jak gotów będę jutro. Chociaż taką śmiercią nie chciałby zginąć żaden porządny człowiek.

–Nieugięte Serce! – ryknął Siuks, w furii odwrócił się i wymierzył śmiertelny cios w głowę swej ofiary. Lecz dłoń jeńca powstrzymała jego ramię. Przez moment stali jak urzeczeni w tej postawie: jeden sparaliżowany niespodziewanym oporem, a drugi tym pochyloną głową, nie poddając się śmierci, ale nasłuchując / z najwyższą uwagą. Staruchy poczęły pisać z radości, gdyż pomyślały, że nerwy jeńca odmówiły mu wreszcie posłuszeństwa.

Lecz Pawni wahał się tylko chwilę. Błyskawicznie uniósł dru-Hą rękę, tomahawk mignął w powietrzu i Weucha z rozplataną Kłową osunął się na ziemię. Torując sobie drogę pokrwawioną hronią Pawni przedarł się przez lukę w pierścieniu wrogów, powstała po ucieczce przerażonych bab, i jednym niemal susem znalazł się u stóp pochyłości.

Gdyby piorun z jasnego nieba strzelił w sam środek kręgu Te-totiów, nie wywołałby większego przerażenia niż ten akt rozpaczliwego męstwa. Na usta kobiet wybiegł przeraźliwy lament i na-itijpiła chwila, gdy nawet najstarsi wodzowie potracili głowy. Ale I.⟨⟩ odrętwienie trwało bardzo krótko. Z setek gardzieli wydarł się d/.iki ryk zemsty i z tym wrzaskiem stu wojowników porwało się ha nogi, by dokonać najkrwawszego odwetu. Donośny, rozkazują-rv okrzyk Mahtoriego powstrzymał wszystkich w miejscu. Wódz, ii.i którego twarzy wściekłość i zawód walczyły z narzuconym solni' spokojem, wyciągnął ramię w kierunku rzeki. Tajemnica od i a/.u się wyjaśniła.

Nieugięte Serce przebył już prawie połowę doliny, leżącej nurdzy zboczem płaskowzgórza a wodą. Właśnie w tej chwili gromada zbrojnych Pawni wyjechała na koniach z za pagórka i popę-⟨/⟩iła galopem ku brzegowi. Usłyszano wyraźnie plusk wody, * którą skoczył zbieg. Silne jego ramiona przeniosły go przez rzeki; w ciągu kilku minut i wkrótce okrzyk z przeciwnego brzegu⟩h I powiedział upokorzonym Tetonom o tym, jaki wielki jest •i nimf ich przeciwników.

HOZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄT,

Jeśli ten pasterz wolny – niech uciek* Od klątw i męki, które pójdą za nim, Kark mu się ugnie i pęknie mu serce,

Szekspii

Łatwo się domyślić, że opisany przed chwilą wypadek wzbudził niezwykle poruszenie wśród Siuksów. Ich wódz, prowadząc z powrotem do obozu łowców swego plemienia, nie zaniedbał żadnego ze zwykłych indiańskich środków ostrożności, aby ukryć szlak pochodu przed oczyma wroga. Okazało się jednak, że Pawni nie tylko dokonali groźnego dla wrogów odkrycia, ale z wielką zręcznością zdołali podejść do ich obozu od jedynej strony, od której Siuksowie nie uważali za potrzebne stawiać na czatach wartowników. Strażnicy, porozrzucani za różnymi niewielkimi wyniosło-ściami terenu z tyłu obozowiska, ostatni dowiedzieli się o niebezpieczeństwie. W tak decydującej chwili nie było czasu na obrady. Właśnie przez okazanie siły charakteru w podobnie trudnych momentach Mahtori uzyskał, a następnie wzmocnił swa przewagę nad współplemieńcami. Nie zanosilo się na to, aby mógł ją utracić wskutek braku zdecydowania w obecnej sytuacji. Dokoła niego rozlegały się piski dzieci, wrzaski kobiet i dzikie wycia staruch, co samo w sobie wystarczyłoby zupełnie, żeby wywołać największy zamęt w myślach każdego, kto by mniej od Wielkiego Siuksa przyzwyczajony był do wydawania decyzji w stanowczych chwilach, lecz Mahtori niezwłocznie ujął władzę w swe ręce, wydając rozkazy ze spokojem godnym najbardziej doświadczonego wodza.

Stanął na wzniesieniu, z którego mógł dokładnie widzieć siły wroga, i obserwował jego ruchy. Szyderczy uśmiech pojawił się na twarzy wodza, kiedy stwierdził, że pod względem liczebności

tfo współplemieńcy znacznie przewyższają przeciwnika. Jednak zy wódza płonęły, gdy patrzył na grupę wojowników, którym le już razy zaufał i którzy nigdy go nie zawiedli, a chociaż w iecnej sytuacji nie miał ochoty przyśpieszyć bitwy, nie zamie- ałby z pewnością jej unikać, gdyby obecność kobiet i dzieci nie nawiła, że decyzja zależała od przeciwnika.

Jednakże Pawni, odniósłszy tak niespodziewanie sukces w.vym pierwszym i najważniejszym zadaniu, nie okazywali teraz dęci rozpoczęcia bitwy. Rzeka tworzyła groźną zaporę, zwła- cza że przebywać by ją musiano pod okiem zawziętego wroga; iiteż byłoby najzupełniej zgodne z ostrożną taktyką Indian, gdy-v Pawni wycofali się na czas pewien, odkładając napad na go-!/iny ciemności, na moment pozornego bezpieczeństwa. Lecz wo-!/.a ich ożywił duch, który kazał mu w tej chwili

zapomnieć ' zwykłych metodach walki. Serce jego płonęło pragnieniem zmy-ia hańby, która nad nim zaciążyła. Wojownicy Pawni przyprowadzili dla swego wodza konia wypróbowanego w wielu łowach, labą mając jednak nadzieję, że wierzchowiec przyda mu się w ym życiu. W czulej i pełnej szacunku trosce o swego wodza – wiadczącej, że szlachetność młodzieńca wzbudziła, głęboką miłość w sercach jego współplemieńców – zawiesili na szyi konia luk, dzidę i kołczan, z zamiarem złożenia z nich ofiary na grobie walecznego.

Nieugięte Serce wzruszony był dowodami pamięci swych wojowników i wierzył, że wódz tak wyposażony może z chwałą wyruszyć ku dalekim terenom łowieckim Pana Życia, uważał jednak, że rzeczy te mogą mu równie się przydać w obecnej sytuacji.

W tym właśnie momencie Mahtori, dopilnowawszy niezbędnych przygotowań, zaczął myśleć o bardziej stanowczych posunięciach. Dużo kłopotu sprawiło mu podjęcie decyzji, co zrobić z więźniami. W tej kłopotliwej sytuacji skinął na starego wojownika, któremu powierzył opiekę nad kobietami i dziećmi. Odprowadził go na bok, położył mu znacząco palec na ramieniu i powiedział tonem rozkazu i zarazem poufnego zlecenia:

–Kiedy moi młodzi ludzie będą bić Pawni, daj kobietom noże. Dosyć rzekłem. Mój ojciec jest bardzo stary, nie potrzebuje słuchać mądrości z ust chłopca.

Straszliwy staruch rzucił w odpowiedzi dzikie, pełne okru-

cieństwa spojrzenie i od tej chwili wódz przestał się niepokę tą ważną sprawą. Całą uwagę skupił na dopełnieniu zeir i utrzymaniu swej wojennej sławy. Skoczył na konia i księżę gestem dał znak wojownikom, aby uczynili to samo, przerywa bezceremonialnie pieśni wojenne i uroczyste obrzędy, który większość jego ludzi pobudzała swą odwagę, pragnąc dokor walecznych czynów. Kiedy wszyscy stanęli w ordynku, odda spokojnie i cicho skierował się ku brzegowi rzeki.

Wrogów oddzielała teraz od siebie1 jedynie woda. Szerokiej nie pozwalała na użycie zwykłej indiańskiej broni, lecz wodj wie oddali kilka chybionych strzałów ze swych fuzji – raczej okazania brawury, bo nie mogli się spodziewać, że kule donio. Nie uszło obserwacji trapera, że Teton dawał jakieś polecenie si ruchowi, ani też dzika radość, z jaką tamten przyjął okrutny rc kaz. Z tych tajemnych przygotowań starzec wnosił, że zbliża i krytyczny moment, i przyzwał całą mądrość swego długiego życ: aby wspomogła go w rozpaczliwej sytuacji. Właśnie gdy zastań wiał się nad sposobem ratunku, doktor ponownie zwrócił na si bie jego uwagę, prosząc żałośnie o pomoc.

–Szanowny traperze albo,' jak mogę teraz powiedzieć, bawco – rozpoczął zboląły Obed – wydaje mi się, że nadsze już właściwy czas, aby zerwać nienaturalny i dziwaczny zwiąże jaki istnieje między mymi dolnymi kończynami a ciałem Asinus. Przypuszczam, że jeśli uwolniona zostanie ta część mego ciał która czyni mnie panem całości, i wyzyskam tę sprzyjającą okol czność rozpoczynając forsowny marsz ku najbliższym osadom, n upadną nadzieje zachowania skarbów wiedzy, których jestem nit godnym nosicielem. W tak ważnej sprawie warto zaryzykować, i

–Nie wiem, nie wiem – odparł z namysłem starzec. – Ból przeznaczył do życia na prerii to robactwo i gady, które pan noa ze sobą, i myślę, że bezcelowe byłoby przenoszenie ich w inn| okolice, może dla nich nieodpowiednie. A poza tym sądzę, że bę dzie pan mógł oddać wielką, niezwykłą usługę, pozostając na ośJ<

–Czegóż mogę dokonać w tym bolesnym jarzmie, gd; powstrzymywane są niemal wszystkie czynności fizyczne, a filnk<cje ducha, czyli intelektu chromają na skutek tajemnej więzi, jak<sprzęga ducha z materią. Prawdopodobnie między tymi pogański' mi hordami dojdzie do przelewu krwi i wydaje mi się – chocia

scalę nie pragnę pełnić tej roli – że powinienem zająć się za-negami chirurgicznymi, a nie marnować drogiego czasu a udręce ducha i ciała.

–Czerwonoskóry nie będzie dbał o to, aby lekarz opatrywał,1^0 rany, gdy w uszach zabrzmiał mu okrzyk wojenny. Cierpliwość

i st cnotą u Indian, a na pewno białemu człowiekowi i chrześcij a-unowi też nie przynosi wstydu. Spójrz na te jędze, przyjacielu

loktorze. Jeżeli znam choć trochę charakter dzikich, kobiety te pragną krwi i aby zaspokoić żądzę okrucieństwa, gotowe są rozprawić się z nami bez cienia litości. Dopóki siedzi pan na osie i ma pan okropny wyraz twarzy – daleki od zwykłego wyglądu – obawa przed tak wielkim czarownikiem powściągać będzie ich zapędy. Jestem tu niby generał w chwili rozpoczęcia bitwy i mam obowiązek wyznaczyć każdemu z moich żołnierzy taką rolę, jaka według mego zdania najlepiej mu odpowiada.

–Traperze! – krzyknął Paweł, nie mając już cierpliwości słuchać tych zawiłych i przewlekłych wyjaśnień. – Może byś tak pan uciał z miejsca dwie rzeczy, które zaraz wymienię: pańską gadaninę, której bardzo byłoby miło słuchać nad smaczną pieczenia z garbu bawołu, a także te postronki, które zgodnie z moim doświadczeniem w żadnej sytuacji nie mogą być przyjemne. Jedno cięcie pańskiego noża będzie w tej chwili więcej warte niż najdłuższe przemówienie, jakie kiedykolwiek wygłoszono na sali rozpraw w Kentucky.

–A więc, po pierwsze, musicie wiedzieć – traper zwrócił się do towarzyszy niedoli – że, tak wnoszę z pewnych faktów, zdradziecki Teton wydał rozkaz, aby was wszystkich wymordowano w chwili, kiedy, jak mu się zdaje, będzie można zrobić to cichaczem, nie wywołując zamieszania.

–Wielkie nieba! Czyż pozwolisz, aby nas zarżnięto jak barany?

–Cicho, kapitanie, csss! Nie na wiele się zda porywcze usposobienie w chwili, gdy przebiegłością więcej można osiągnąć niż przemocą. O, ten Pawni to wspaniały młodzian! Urosłyby w was serca, gdybyście zobaczyli, jak cofa się od brzegu, chcąc zachęcić wrogów do przebycia rzeki, a przecież, o ile mnie nie myli mój słabnący wzrok, na dwóch wojowników tetońskich wypada jeden Pawni. Ale jak już powiedziałem, nic dobrego nie wychodzi

z pośpiechu i bezmyślności. Fakty są tak jasne, że może je po; nawet dziecko. Dzikusy nie dogadali się między sobą, jak z nam, postąpić. Csss – szepnął traper, po czym zręcznie i szybko prze! ciął rzemień, którym przywiązano ramię Pawła do jego boku, i upuścił nóż w pobliżu jego uwolnionej ręki. – Cyt, chłopcze, cyt! To był szczęśliwy moment! Wycie w dolinie odwróciło oczy tych krwiopicców w inną stronę i nic nam w tej chwili nie grozi. Korzystaj z okazji, ale pilnuj się, aby nie zauważono, co robisz.

–Doprawdy, stary traperze – odparł Paweł prostując ręce i nogi, które były już zupełnie swobodne, i próbując przywrócić' w nich obieg krwi – nielecho znasz się pan na tych sprawach. Oto ja, Paweł Hover, ja, którego mało kto by pokonał w wyścigach czy w zapasach, jestem teraz niemal tak bezradny, jak w dniu, kiedy po raz pierwszy złożyłem wizytę w domu starego Pawła, który już nie żyje... oby mu Bóg wybaczył wszystkie drobne błędy, jakie mógł popełnić w czasie swego pobytu w Kentucky! Jeśli mnie wzrok nie myli, stopa moja dotyka ziemi, ale nie trzeba by mnie bardzo namawiać, abym przysiągł, że jest od niej oddalona o sześć cali. Słuchaj, pocziwy traperze, skoro tyle już pan uczynił, bądź tak dobry i powstrzymaj w pewnej odległości te przekłete sąaw, o których słyszałem wiele interesujących rzeczy, bo chcę je grzecznie przyjąć, a musi mi się przedtem krew rozruszać w ramieniu.

Traper kiwnął głową na znak, że doskonale rozumie niebezpieczeństwo, polecił bartnikowi, aby starał się odzyskać władzę w rękach i nogach i pomógł Middletonowi, a widząc, że okrutny staruch chce się już zabrać do powierzonego mu zadania, podszedł ku niemu.

Mahtoriego nie zawiodła znajomość ludzi, gdy wykonanie okrutnego czynu powierzył temu właśnie człowiekowi. Wybrał jednego z owych bezlitosnych dzikusów, jakich znaleźć można w każdym plemieniu. Okrutnik ten nie gonił za chwałą, jaką daje zwycięstwo, lecz wprost przeciwnie, szukał przyjemności wymordowaniu, i

Okrutnik, choć od lat przywykł trzymać się w ryzach, z trudem powściągał niecierpliwość, czekając, aż nadejdzie chwila, kiedy będzie mógł spełnić życzenie wodza.

Kiedy traper się zbliżał, staruch rozdzielał noże między wie

Łźmy, a one, przyjmując te podarki, zawodziły cichą, monotonna [pieśń, która przypominała, jak to w rozmaitych starciach z białymi ginęli Tetoni, i opiewała radość i chwałę z dokonania zemsty. Każde stare babsko, otrzymawszy nóż, zaczynało krążyć wokół starucha wolnym, rytmicznym, ciężkim krokiem. W końcu wszystkie opasały go łańcuchem magicznego tańca. Szybkość kroków stosowały do rytmu pieśni, ruchy wiązały się z jej treścią. W środek tego demonicznego kręgu skierował swe kroki traper, idąc z takim spokojem i uwagą, z jakimi wchodziłby do wiej-ikiego kościoła. Jedynym skutkiem zjawienia się białego były je-nzcze groźniejsze gesty wieźm, odzwierciedlające jeszcze wyraźniej, jeśli to było możliwe, okrutne ich zamiary. Traper dał znak, •by ucichły, i rzeki:

–Dlaczego matki Tetonów śpiewają gryzącymi językami? Nie ma jeszcze w wiosce jeńców Pawni i młodzi wojownicy jesz-!ze nie powrócili do swych domów ze skalpami!

Odpowiedziało mu groźne wycie, a parę najśmielszych jędz idważyło się nawet podejść do niego, machając nożami w niebezpiecznej bliskości spokojnie patrzących oczu starca.

–Widzicie przed sobą żołnierza, a nie jakiegoś posłańca Długich Noży, którego twarz blednie na widok tomahawka – odparł i ani jeden muskuł jego twarzy nie drgnął. – Niechaj kobiety Siuksów pomyślą: jeśli umrze jeden biały, w miejscu gdzie pad-•ite, pojawi się ich stu.

Lecz wieźmy w dalszym ciągu nie dawały żadnej odpowiedzi i tylko coraz spieszniej krążyły wokół niego, od czasu do czasu rzucając głośnie i wyraźniej słowa pieśni, pełne groźby i okru-rieństwa. Niespodziewanie jedna z najstarszych i najbardziej bezlitosnych jędz wyrwała się z kręgu i poleciała w kierunku jeńców, podobna drapieżnemu ptakowi, co przez chwilę waży się na krzydłach nad swą ofiarą, a potem nagle i pewnie na nią spada. Koszta ze skowytem rzuciła się za nią. Leciały bezładnym stadem, <;iiane obawą, że się spóźnią i minie je naleźna im część krwawej rozkoszy.

–Potężny czarowniku mojego ludu! – zawołał traper po te-ońsku. – Podnieś swój głos i przemów! Niechaj cię posłyszysz na-()d Siuksów!

Nie wiadomo, czy Asinus wskutek ostatnich przeżyć nauczył

Eo *co H O

› " O 1 ^ O

› O Sh d TJ B

ROZDZIAŁ TRZYDZIES

Czy ten proceder jest słuszny i prawy'

Młody wódz Pawni, nie chcąc dłużej marnować bezcennego cza su na daremne próby skłonienia wroga do przejścia przez rzeki; cwałem poprowadził oddział wzdłuż brzegu, szukając odpowiedniego miejsca, aby jednym zamachem i bez strat w ludziach prze rzucić go na drugą stronę. Lecz Siuks odgadł ten zamiar. Za pomocą każdego tetońskiego jeźdźca siadł pieszy wojownik i Mahti ; ri znowu mógł wszystkie siły przeciwstawić wrogom. Gdy Pawn zobaczył, że plan jego przejrano, zdecydował nie męczyć kon tym wyścigiem, bo gdyby nawet zdołały wyprzedzić bardziej ociążone wierzchowce Tetonów, trud ten pozbawiłby je sił do dalszej walki. Ściągnął wodze konia i nakazał postój nad samą prądami woda.

Czas naglił, a okolica była zbyt otwarta, aby zastosować któryś z zwykłych podstępów indiańskiej taktyki. Rycerski Pawni postanowił zatem, że porwie się sam jeden na czyn zuchwały, byleby cel osiągnąć. Indiańscy wojownicy słyną z odważnych czynów i za ich cenę kupują najwyższe i najdroższe sercu wyróżnienia. Miejsce, które wybrał Pawni, odpowiadało jego planom. Choć rzeka na ogół była głęboka i wartka, tutaj rozlała szeroko, zajmując dwakroć tyle co zwykle przestrzeni, a pomarszczona jej tafli świadczyła, że kryje płyciznę. Z samego środka wynurzała się, długa, piaszczysta łacha nieco tylko wzniesiona nad poziom wody i nie pokryta roślinnością. Doświadczone oko poznawało po jej kolorze, że da ona mocne, bezpieczne oparcie stopom. Ku niej młody wódz zwrócił zamyślony wzrok. Nie ociągał się długo

244

wykonaniem decyzji. Przemówił do wojowników, a powiadomiwszy ich o swym zamiarze, skoczył w rzekę. Koń, częściowo płył, szybko i bezpiecznie przeniósł go na wyspę

Doświadczenie młodego wojownika nie zawiodło go i kiedy wierzchowiec parskając wynurzył się z wody, znalazł się na twardej, choć wilgotnym piasku. Był to doskonały teren do popisania le. jazdą konną i widać zwierzę zrozumiało to, bo niosło swego rycerskiego pana lekkim, elastycznym krokiem, głowę trzymało imnie wzniesioną w górę, niczym najlepiej wyćwiczony rumak .achetnej krwi.

Dziki gniew ogarnął Tetonów, gdy niespodziewanie ujrzeni na łąszczonej łasze wodza Pawni. Z przeraźliwym wyciem rzucili się hurmem ku brzegowi. Wypaliło kilka fuzji, świsnęło pięćdziesiąt strzał, a paru wojowników zdradzało wyraźną chęć skoczenia do wody, by dać bezczelnemu wrogowi nauczkę za to zuchwałość. Lecz Mahtori jednym rozkazem, jednym okrzykiem pohamował wściekłość swych

wojowników, mimo iż zdawała się nie opanowania. Nie chcąc pozwolić, aby choć jeden z jego współ-plemieńców wszedł do wody ani dopuścić do ponownej i znów laremnej próby przepędzenia wroga strzałami, polecił wszystkim 'ofnąć się od brzegu, a paru najbardziej zaufanym wojownikom ryjawił swe zamiary.

Kiedy Pawni ujrzeli, że Siuksowie pędzą ku rzece, dwudzie-tu wojowników wjechało do wody. Skoro jednak wrogowie się wycofali, i oni również odjechali od brzegu, pozostawiając wodza 'go własnym siłom, tylokrotnie wypróbowanym, i jego własnej, sławionej tyłu czynami odwadze. Nieugięte Serce, opuszczając woich wojowników, pozostawił im instrukcje godne jego męstwa. Jak długo wrogowie wychodzić nań będą pojedynczo, obroni się im, z pomocą Wakondy, jeżeli jednak Siuksowie rzucą się gro-nadą, niechaj pośpieszy tyłu Pawni, ilu będzie Tetonów – choćby ałe jego wojsko. Zastosowano się ściśle do tego wspaniałomyślicgo rozkazu.

Mahtori szybko zakomunikował swe plany powiernikom, i następnie polecił im połączyć się z resztą Siuksów. Sam wjechał barę kroków w rzekę i zatrzymał się. Parokrotnie podniósł do;óry rękę ze zwróconą na zewnątrz dłonią i uczynił jeszcze kilka nnych znaków, które mieszkańcom tych obszarów służą do ko-

munikowania przyjacielskich intencji. Potem, jak gdyby dla | twierdzenia swej szczerości, rzucił na brzeg fuzję i wjechał głęj do wody. Ponownie zatrzymał się, aby zobaczyć, jak Pawni pn muje jego pokojowe zapewnienia.

Przebiegły Siuks nie pomylił się licząc na uczciwą, szlachę naturę swego młodzieńczego rywala. Kiedy sypnęły się str i wyglądało na to, że tłum Siuksów rzuci się na niego, Nieug Serce nie przestawał galopować po piasku z tym samym dumij i pewnym siebie wyrazem twarzy, jaki miał w chwili, gdy zdd się na zuchwałę wyzwanie niebezpieczeństwa. Kiedy ujrzałj brzegu dobrze znaną sobie postać przywódcy Tetonów, zama(triumfalnie dłonią, począł wywijać dzidą i wzniósł przerazi okrzyk wojenny swego plemienia, wzywając wroga, żeby sta z nim do walki. Chociaż wiedział z własnego doświadczenia, wojny indiańskie zasadzają się na podstępach, gdy zobaczył zn pokoju, jakie mu dawał Mahtori, nie chciał, powodowany dun okazać mniej wiary we własne siły, niż uznał za stosowne oka; jego przeciwnik. Pojechał na najdalszy kraniec łachy, rzucii piasek własną fuzję i powrócił na poprzednie miejsce.

Dwaj wodzowie byli teraz jednakowo uzbrojeni. Każdy ni dzidę, łuk, kołczan, niewielki wojenny toporek i nóż, a także 1; . czę ze skóry, która mogła go zasłonić przed niespodziewanym ci sem, zadany m którąkolwiek z tych broni. Siuks nie namyślając: dłużej skoczył głębiej w wodę i wkrótce znalazł się na tej czc; wyspy, z której jego rycerski wojownik specjalnie w tym celu» usunął.

Pawni wycofał się na swoją stronę łachy, gdzie ze spokoje i godnością czekał na przybycie wroga. Teton wykonał parę obn tów, aby ukrócić niecierpliwość konia i aby po przepłynięciu rz. ki poprawić się w siodle, a potem podjechał ku środkowi łaci i uprzejmym gestem zaprosił Pawni, aby się zbliżył. Nieugic; Serce podjechał ku niemu na taką odległość, że mógł zarówno p«sunąć się jeszcze naprzód, jak i zawrócić, a wtedy zatrzymał s i płonącym wzrokiem patrzył w oczy wroga. Nastąpiła! długa, | sępna cisza. Dwaj sławni wodzowie, po raz pierwszy ppotykii się z bronią w ręku, badali się wzrokiem, jak wojownicy umiej. kocenić zalety rycerskiego, choć znieawidzonego przeciwnik. Lecz wyraz twarzy Mahtoriego był mniej zacięty i wojowniczy ni

fzywódcy Wilków. Zarzucił tarczę na ramię, chcąc zapewne k/budzić zaufanie przeciwnika, wykonał gest powitania i pierw-py się odezwał.

–Niechaj Pawni wejdą na wzgórze – rzekł – i rozglądają 1 od poranka do wieczora, patrząc od krainy śniegów do kraju

Helu kwiatów, a ujrzą wtedy, że ziemia jest wielka. Czemuż czer-fonoskórzy nie mogą znaleźć w niej miejsca na swoje wioski?

–Czy Teton widział kiedy, aby wojownik Wilków przycho-Bił do jego wioski prosząc o miejsce pod swój dom? – odparł łody wódz, a w spojrzeniu jego płonęła nie ukrywana duma i po-lrda. – Kiedy Pawni polują, czyż ślą do Mahtoriego gońców z u pytaniem, czy nie ma na prerii Siuksów?

–Kiedy głód panuje w namiocie wojownika, szuka on ba-iiu, który został mu dany na pokarm – ciągnął Teton, starając

pohamować gniew, jaki wzbudziła w nim pogarda okazywana.ez Nieugięte Serce. – Wakonda^tworzył ich więcej niż Indian. ic powiedział: ten bawół będzie dla Pawni, a ten dla Dakoty, ten 'br dla Konzy, a tamten dla Omahawy. Nie, on powiedział: jest li dosyć. Kocham moje czerwone dzieci i daję im największe bo-ctwa. Najszybszy koń nie będzie biegł przez wiele słońc od wiole Tetonów do wioski Wilków. Nie jest też daleko od siedzib Pani do rzeki Osagów. Jest miejsce dla wszystkich, których ko-iam. Dlaczego więc czerwonoskóry ma zabijać swego brata?

Nieugięte Serce wbił koniec dzidy w ziemię i z odrzuconą na unię tarczą wsparł się lekko na tym orężu. Odpowiadał, mając i ustach uśmiech, w którego intencję nie można było wątpić.

–Czyżby Tetonom sprzykrzyły się już łowy i ścieżka wojen-! i" Czyżby chcieli gotować zwierzynę, a nie zabijać jej? Czy chcą, i iy włosy pokryły ich głowy i wrogowie nie wiedzieli, gdzie zna-

ć skalp? Wojownik Wilków nigdy nie będzie szukał sobie żony iód tetońskich squaw!

Gdy wódz D.akotaów posłyszał tę strasliwą obelgę, przez panowaną jego twarz przemknął błysk okrucieństwa. Lecz nie hcąc się zdradzić pohamował się natychmiast i przybrał wyraz " piej odpowiadający jego zamiarom.

–Tak – rzekł ze szczególnym spokojem – młody wódz powinien tak mówić o wojnie. Ale Mahtori widział nieszczęścia licz-uejszych zim niż jego brat. Gdy noce były

długie, w namiocie pa-

nowała ciemność, a młodzi ludzie spali, wtedy myślał o nic swego narodu. Powiedział do siebie: Tetonie, porachuj skalpy szące się w dymie twojego ogniska. Oprócz dwóch są to ski czerwonoskórych. Czy wilk zabija wilka, a wąż dusi swego brata? Wiesz, że tego nie robi, dlatego też nie powinieneś iść z tomahawkami w dłoń na ścieżkę, która prowadzi do wioski czerwonoskórych.

–Czyż Siuks chce obdrzeć wojownika z jego sławy? powie tetońskim młodzieńcom: idźcie szukać korzonków na] rii, a tomahawki zakopcie w ziemi, bo nie będziecie już wojownikami?

–Jeżeli język Mahtoriego kiedykolwiek wypowie te słowa • odparł przebiegły Teton, okazując wielkie oburzenie – niech* jego kobiety odetną mu język i spalą go razem z odpadkami z l> wołu. Niechaj mój brat szeroko otworzy oczy. Czy nigdzie nie v ^ dzi wroga, na którego chciałby uderzyć? i

–Jak dawno Teton liczył skalpy swych wojowników, k1> f się suszą nad ogniskiem Pawni? Ręka, która je zdarła, jest tui. j gotowa do osiemnastu skalpów dodać jeszcze dwa, żeby!> | dwadzieścia.

–Niechaj myśl mego brata nie błądzi krętą ścieżką. Jt\ •., zawsze czerwonoskóry ma zabijać czerwonoskórego, to któż, stanie panem prerii, kiedy nie będzie już wojownika, który mu: by powiedzieć: ta ziemia jest moja. Posłuchaj głosu starych ludzi. Oni nam powiadają, że przed laty wielu Indian wyszło z las> pod wschodzącym słońcem, a wokół nich rozlegały się skargi i grabieże, jakich dokonali Długie Noże. Gdzie przychodzi b] twarz, tam nie może pozostać czerwonoskóry. Ten kraj jest mały. Oni są zawsze głodni. Spójrz, są już tutaj!

To mówiąc, Teton wskazał ku wyraźnie widocznym naim

tom Izmaela, a potem przerwał, chcąc sprawdzić, jakie wraż__p

wywołały jego słowa na szczerym i otwartym przeciwniku. Gdy Nieugięte Serce słuchał go, wydawało się, że rozumowanie Mahtoriego budzi w nim nowe myśli. Zastanawiał się nad czymś pr/c! chwilę, a potem zapytał: 1

–A co, zdaniem mądrych wodzów tetońskich, należy czynu

–Oni sądzą, że należy iść za śladem mokasyna każdej blad, twarży, jak za tropem niedźwiedzia, i że Długi Nóż, który zapt;-

ił się na prerię, nie powinien już z niej powrócić. Że dla każde-, kto przychodzi, droga powinna być otwarta, ale zamknąć ją uleży przed tymi, co chcą wracać. Jest ich tu wielu. Mają konie strzelby. Oni są bogaci, a my – biedni. Niechaj wojownicy Paw-i odbędą radę z Tetonami, a kiedy słońce zajdzie za Góry Skali-lo, powiedzą: to jest dla Wilka, a to dla Siuksa.

–O nie, Tetonie! Nieugięte Serce nigdy nie uderzy przyby-a. Oni przychodzą jeść w jego namiocie i wychodzą bezpiecznie. »tężny wódz jest ich przyjacielem. Kiedy mój naród wzywa wo-wników, ażeby poszli na ścieżkę wojenną, mokasyn Nieugiętego? rca wyrusza ostatni. Ale nim się tak oddalą od wioski, że drze-a zasłaniają ją przed ich oczyma, wódz idzie na czele. Nie, Teto-ie, jego ramię nie podniesie się nigdy przeciw przybyszowi.

–A więc giń, głupcze, z próżnymi rękami! – krzyknął Mah-»ri. Napiął łuk, błyskawicznie wziął śmiertelny cel i posłał strza-

(w nagą pierś szlachetnego wroga, który mu zufał.

Postępek zdradzieckiego Tetona był zbyt szybki i zbyt dobrze obmyślany, by Pawni mógł uciec się do któregoś ze zwykłych rodków obrony. Jego tarcza zawieszona była na ramieniu, a itrzała wypadła z właściwego miejsca i leżała w zagłębieniu dło-,i, trzymającej łuk. Ale bystre oczy wojownika dostrzegły ruch roga i przytomność umysłu go nie opuściła. Gwałtownie ścisnął odze, wierzchowiec wzniosł przednie nogi w powietrze, jeździec chylił się nisko i koń zastąpił mu tarczę w tej groźnej sytuacji. !ahtori jednak celował tak dobrze i z tak straszliwą siłą wypuścił;rzałę, że przebiła szyję zwierzęcia i wyszła drugą stroną.

W tej samej niemal chwili strzelił Nieugięte Serce. Strzała;eszyla tarczę Tetona, ale nie zrobiła mu krzywdy. Przez kilka wil nieustannie brzęczały ciężki i świstały strzały, choć wal-;ący nie mogli ani na moment zapomnieć o obronie. Wkrótce koł- any były puste, krew płynęła, ale nie słabła zaciętość wrogów. Nastąpiła seria wspaniałych, nieoczekiwanych i szybkich ma-iwrów na koniach. W końcu jednak Teton musiał zeskoczyć na emię, chcąc uniknąć ciosu, który położyłby go pewno trupem, 'awni przebił jego konia dzidą i przelatując koło niego wydał zyk triumfu. Zawrócił, by skorzystać z tej przewagi, gdy nagle tgo ognisty rumak potknął się i padł, nie mogąc już dłużej unieść "wego ciężaru. W odpowiedzi na przedwczesny okrzyk triumfu

wroga Mahtori z nożem i tomahawkim rzucił się ku uwięzione* mu pod koniem młodzieńcowi. Nieugięte Serce zrozumiał, że na" wet największa zręczność nie wystarczy, by mógł się w porę wy", dostać spod konia, i że nastąpiła decydująca chwila. Poszukił

I noża, ujął jego ostrze kciukiem oraz wskazującym palcem i z |>"

dziwu godnym spokojem rzucił w nadbiegającego wroga. Osti zakręciło się parę razy w powietrzu, a gdy jego szpic natrafił i i lł gołą pierś pędzącego Siuksa, wbiło mu się w ciało aż po rączki,

,/j jeleniego rogu. Mahtori położył dłoń na nożu, namyślając się u

docznie, czy go wyciągnąć. Przez chwilę na twarzy jego mało w się niewygasła nienawiść i okrucieństwo, a potem – jak gd\ wewnętrzny głos ostrzegł go, że nie ma czasu do stracenia chwiejnym krokiem podszedł ku brzegowi łachy i zanurzył; stopy w wodzie stanął. Niegasnące poczucie dumy, wpojonej u w dzieciństwie, zagłuszyło przebiegłość i fałsz, który od tak da\ na przesłaniały szlachetniejsze rysy jego charakteru.

–Niedorostku Wilków – powiedział z ponurym triuiu fem – skalp potężnego Dakoty nigdy nie będzie się suszył nad og-niskiem Pawni.

Wyciągnął z rany nóż i rzucił go szyderczo wrogowi. Ciemna twarz mieniła się ogromem nienawiści i pogardy, której nie zdołał wyrazić słowami. Pomachał ręką zwycięzcy i rzucił się głową w rzekę tam, gdzie prąd rwał najszybciej. Ręka jego powiewał* triumfalnie nad wodą, gdy ciało na zawsze tonęło w odmętach

Nieugięte Serce wydobył się spod konia. Ciszę, jaka panował* dotychczas na obu brzegach, przerwały gwałtowne, donośne okrzyki wojowników dwu plemion. Pięćdziesięciu wrogich jeźdźców znalazło się w rzece, śpiesząc ku zwycięzcy. Walka miała się dopiero rozpocząć. Ale młody wódz nie zwracał uwagi na niebezpieczeństwo. Skoczył po nóż, przebiegł po piasku stopą antylopy, szukając miejsca, gdzie woda skryła jego skarb. Ciemna krwawi plama wskazała mu, gdzie zginął Mahtori. Pawni, uzbrojony w nóż, rzucił się w topiel, zdecydowany zginąć lub zdobyć łup, znał zwycięstwa. \

Tymczasem łacha stała się miejscem walki i przelewu krwi. Lepiej uzbrojeni, a może i bardziej zażarci Wilcy dopadli tam wystarczającej liczbie, by zmusić Tetonów do odwrotu. Zwycięz* pognali aż na przeciwny brzeg i w zamęcie walki stanęli na pe\

nym gruncie, ale wyszli im naprzeciw wszyscy piesi wojownicy Tetonów i zmusili do

odwrotu.

Walka stała się bardziej ostrożna, bardziej zgodna z wojennymi sposobami Indian. Ponieważ walczący ostygli już z pierwszego porywu zapału, z jakim rzucili się w tak niebezpieczną bitwę, wodzowie mogli znów wpływać na to, aby w natarciach kierowano iig rozważą.

W ten sposób rozgrywana bitwa toczyła się ze zmiennym powodzeniem i bez większych strat. Siuksom. udało się zająć teren wstę porośnięty bujnym zielskiem, w które konny nieprzyjaciel nie mógł wjechać, a jeśli by nawet zdołał, konie przeszkadzałyby tylko w walce. Pawni musieli więc albo wyprzeć Tetonów z tego (chronienia, albo zaniechać dalszej walki. Kilka rozpaczliwych prób spotkało się z niepowodzeniem i Pawni poczynali już tracić icrca i myśleć o odwrocie, gdy nagle dał się słyszeć w pobliżu dobrze znany okrzyk wojenny ich wodza i chwilę później zjawił się wśród nich Nieugięte Serce, wymachując skalpem Wielkiego Siuksa jak sztandarem, prowadzącym do zwycięstwa.

Pawni wydali okrzyk radości i popędzili za wodzem ku wrogowi z takim impetem, że znosili wszystko przed sobą. Lecz krwa-We trofeum w rękach ich przywódcy było nie mniejszą podniętą do boju dla atakowanych, jak dla atakujących. W hordzie Mahto-Hego pozostało wielu walecznych wojowników.

Zwycięstwo przechylało się na stronę liczniejszych. Po kilku laciętych potyczkach, w których wszyscy wodzowie wstawili się Bieustraszoną odwagą, Pawni zmuszeni byli wycofać się w otwartą dolinę, naciskani przez prących na nich Siuksów, a ci zajmowali natychmiast każdą piędź ziemi oswobodzonej przez ustępującego wroga. Gdyby Tetoni zatrzymali się na skraju bujnych za-łośli, zwycięstwo pozostałoby w ich ręku, mimo niepowetowanej ltraty, jaką była śmierć Mahtoriego. Lecz kilku bardziej zuchwałych wojowników okazało nierozsądek, który całkowicie odmienił losy bitwy i niespodziewanie odebrał im przewagę, z takim trudem zdobytą.

W ostatniej grupie wycofującego się oddziału Pawni jeden z iężko rannych wodzów, w którego ciele tkwiło kilkanaście gro-r>w, osunął się z konia i padł martwy. Zapominając o dalszej wal-r z wrogiem, nie bacząc, na jakie wystawiają się niebezpieczeń-

stwo, wojownicy tetońscy z okrzykiem wojennym na ustach rzli się ku niemu, bo każdy z nich płaął chęcią zdobycia wiel sławy, jaką daje zdercie skalpu z zabitego wroga. Nieugięte Sei i kilku naj waleczniej szych wojowników stanęło im na drog: zdecydowani za wszelką cenę ocalić honor swego plemienia przy tak straszną plamą. Walka toczyła się wręcz, krew lała się obfici. Pawni cofali się unosząc ciało wodza.

Szybko rozstrzygnąłby się los Nieugiętego Serca i jego tow, rzyszy, którzy gotowi byli raczej umrzeć niż oddać ciało zabite^ gdyby nagle nie pojawiła się niespodziewana a potężna pomoc.

Z zarośli znajdujących się w pobliżu, nieco na lewo od w;ii czących, dał się słyszeć okrzyk i natychmiast sypnęła się salwa. straszliwych zachodnich strzelb. Pięciu czy sześciu Siuksów rzu ciło się naprzód i osunęło na ziemię w śmiertelnej agonii, a każd" wyciągnięte do ciosu ramię zawisło w powietrzu, jak gdyby padł grom z jasnego nieba, aby wesprzeć sprawę Pawni. W tej chwili ukazał się Izmael i grupka jego krzepkich synów. Szli naprzecie swemu zdradzieckiemu sprzymierzeńcowi, a ton ich głosu i wyr;-twarzy objaśniał dostatecznie, z czym przybywają.

Tego wstrząsu nie wytrzymało męstwo Tetonów. Zginc; śmiercią walecznych pod ciosami Pawni, w których znowu wstij piła odwaga. Powtórna salwa ze strzelb osadnika i jego synów d<pełniła zwycięstwa.

Siuksowie uciekali teraz do najdalszych kryjówek z tak samą gorliwością i desperacją, z jaką przed chwilą rzucali si w wir walki. Pawni gonili za nimi, jak dobrze wyćwiczone p.s myśliwskie szlachetnej krwi. Ze wszystkich stron dobiega) okrzyki tiumfu i mściwe wycie.

Nóż i dzida położyły kres ucieczce większej części pokona nych. Zwycięzcy nie oszczędzili nawet uciekających kobiet i dzir ci. Słońce dawno zapadło za falistą linię zachodniego widnokrt,' gu, nim okrutne dzieło straszliwego zwycięstwa wypełniło się <kkońca. \

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Który jest kupcem, a który jest Żydem?

"Kupiec Wenecki"

Następnego poranka promienie świtu padły na spokojniejszą scenę. Ustał już przelew krwi i gdy wzeszło słońce, blask jego rozjaśnił cichą i pustą równinę. Prócz

namiotów Izmaela, stojących wciąż na tym samym miejscu, nigdzie nie można było dostrzec ładu ludzkiej egzystencji. Tu i ówdzie stadko drapieżnego pta•twa unosiło się z piskiem nad miejscem, gdzie któryś z ciężkosto•ych Tetonów znalazł śmierć, ale po niedawnej bitwie nie pozowało ni znaku. Przez bezkresne łąki wiła się zasnuta mgłami rze-ca. Preria była jak niebo, gdy przeleci po nim mroczna zawieru•ha – cicha, spokojna, łagodna.

Pośród takiego to właśnie krajobrazu rodzina osadnika ze-irała się, by powziąć ostateczną decyzję w sprawie tych kilku !sób, które znalazły się w ich mocy na skutek zmiennych kolei pisanych przez nas wydarzeń. Synowie, spełniając rozkaz ojca, wyprowadzili z zamknięcia pod gołe niebo osoby, które były te-natem jego rozważań. Nikt nie został wyjęty spod tego zarządze-!ia, wszystkich – Middletona i Inez, Pawła i Ellen, Obeda i tra-cra wyprowadzono i ustawiono w miejscu, które ich samowładny sędzia wyznaczył do ferowania swych wyroków.

Nieugięte Serce przybył sam jeden, bez asysty współplemień^ !ów, ażeby być świadkiem tego niezwykłego i przerażającego wi-lowiska. Stał pełen powagi, wsparty o dzidę, a jego wierzchowiec kubał w pobliżu trawę, buchając parą, co mówiło wyraźnie, że Indianin przebył długą drogę i musiał jechać forsownie, ażeby być wiadkiem tego wydarzenia.

Izmael chłodno przyjął nowego sprzymierzeńca. Osadnik nie prosił Indian o pomoc, ani nie lękał się, że zrazi ich do siebie. Przystępował do wypełnienia swego zadania z takim spokojem: jak gdyby patriarchalna władza, którą w tej chwili sprawował była powszechnie uznana. Kiedy zobaczył, że wszyscy zajęli miejsca, rzucił posępne spojrzenie na więźniów i zwrócił się do Middletona, jako człowieka stojącego wyżej od reszty domniemanymi winowajców.

–Powołany zostałem dzisiaj, ażeby pełnić urząd, który w miastach oddajecie sędziom. Wybiera się ich, aby decydowali w sporach, jakie powstają między jednym a drugim człowiekiem. Niewiele wiem o tym, w jaki sposób sądy wydają wyroki, ale jest taka znana wszystkim zasada, która mówi: "oko za oko" i "ząb za ząb". Dlatego też oświadczam uroczyście, że dzisiaj będę się jej trzymał i każdemu z osobna i wszystkim razem oddam, co należy, niczego nie dokładając.

Wyjawiwszy tak dalece swe myśli, Izmael umilkł i rzucił wokół okiem, jak gdyby chciał sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jego słowa na słuchaczach. Kiedy wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Middletona, kapitan odpowiedział:

–Jeżeli winowajca powinien być ukarany, a ten, który nic nie popełnił żadnego przestępstwa, ma być uwolniony, musisz zmienić miejsce ze mną i być więźniem, a nie sędzią.

–Chcesz powiedzieć, że uczyniłem ci krzywdę, zabierając cię; damę z domu ojca i uwożąc ją wbrew jej woli tak daleko na pustkowie – odparł niewzruszony osadnik. – Nie będę dorzucał kłamstwa do złego czynu i zaprzeczał. Toteż doszedłem przede wszystkim do wniosku, że błędem było zabieranie dziecka rodzicom, i dlatego odwiozę damę tam, skąd ją zabrałem, dbając przy tym o jej bezpieczeństwo i wygodę.

–A kto ci podziękuje za tę przysługę, po tym wszystkim, co uczynił? – zamruczał Abiram, a jego obmierzły uśmiech wyrażał tyleż złości i strachu, co zawiedzionej chciwości. – Kiedy diabeł raz cię zapisze na swym koncie, już tylko od niego wyglądaj reszty rachunku!

–Spokój tam! – zawołał Izmael i wyciągnął ciężką rękę ku szwagrowi tak groźnie, że tamten momentalnie umilkł. – Twój

[los to dla mnie krakanie kruka. Gdybyś ty się nie odzywał, nie irzeżywałbym tego wstydu.

–Skoro zaczynasz rozumieć swój błąd i dostrzegać praw- powiedział Middleton – nie zatrzymuj się w pół drogi, ale

dachetnością postępowania zdobądź sobie przyjaciół, którzy ogą ci się przydać, kiedy w przyszłości prawo ci zagrozi...

–Młodzieńcze – przerwał mu osadnik z groźnym marsem a twarzy – ty także powiedziałaś już dosyć. Gdybym się lękał

awa, nie byłbyś świadkiem tego, jak Izmael Bush wymierza nawiedliwość.

–Nie tłum swych dobrych intencji i jeżeli zamierzasz wy-jdzić krzywdę komukolwiek z nas, pamiętaj, że ramię prawa, órym niby to pogardzasz, sięga daleko, a choć się czasem opóź-;i, nigdy nie chybia.

–Tak, osadniku, on ma słusność – rzekł traper. – To ra-uę prawa bywa często czymś wścibskim i kłopotliwym tutaj, na nerykańskiej ziemi, gdzie, jak powiadają, człowiek może się irdziej niż w jakimkolwiek innym kraju kierować własnymi i^ciami i o ileż jest dzięki temu szczęśliwy...

Kiedy traper wygłaszał tę tak bardzo stosowną opinię, Izmael ichowywał milczenie, ale w jego spojrzeniu skierowanym na mó-i;jcego malowały się uczucia dalekie od przyjaźni. Kiedy starzec ończył, osadnik zwrócił się do Middletona, powracając do zerwanej rozmowy.

–Co do nas, młody panie kapitanie – wina była po obydwu ronach. Jeżeli ja ciężko zraniłem pańskie uczucia, zabierając mu żonę z uczciwym zamiarem zwrócenia jej, skoro tylko speł-1 się plany tego diabła wcielonego, to pan za to wdarł się do i'go obozu, pomagając i podżegając – jak nieraz określają ucz-wsze postęпки – do zniszczenia mej własności.

–Ależ robiłem to, aby wyswobodzić...

–Z nami kwita – przerwał mu Izmael z miną człowieka, Łtóry wydał sąd na temat jakiejś kwestii i nie dba, co myślą o tym nni. – Pan i pańska żona jesteście wolni i możecie odejść, kiedy udzie chcecie. Abner, uwolnij kapitana.

–A niech mnie nawiedzą wszelkie nieszczęścia, niechaj unie nie minie ciężka kara za moje grzechy, jeżeli zapomnę

pańskiej uczciwości, chociaż tak późno się odezwała! – zawołał

Middleton i skoro tylko go uwolniono podbiegł do zapłakał Inez. – Przyjacielu, ofiaruję panu godność żołnierza, aby w pamięć poszedł pański udział w tej sprawie, jakkolwiek 1 uznał za stosowne postąpić, gdy znajdę się w miejscu, gdzie w: macalny sposób sięga władza rządu.

Oziębły uśmiech, z jakim osadnik przyjął to zapewnienie, wodził jasno, że niewiele sobie cenił tę wspaniałomyślną obiet cę, którą uczynił młodzieniec w pierwszym porywie uczuć.

–Ani strach, ani też chęć znalezienia czyjejs łaski nie kie wały mną, gdy wydawałem ten wyrok – odparł. – Niechaj czyni, co wydaje się słuszne w pańskich oczach, i będzie przei nany, że świat jest dość wielki, abyśmy pomieścili się na nim ot nie wchodząc sobie wzajemnie w drogę. Jeśli pan zadowolony w porządku, jeśli nie, szukaj sobie pan pociechy. Nie będę pro; aby mnie podnoszono, kiedy mnie pan raz w uczciwy sposób walisz. A teraz, doktorze, kolej na pana. Czas podsumować drc ne rachunki, jakie już od pewnego czasu mamy między sobą. | panem zawarłem uczciwie, po męsku, pewną umowę. Jakaś pan dotrzymał?

–Nie zamierzam bynajmniej przeczyć, że istniał pewij kontrakt, czyli porozumienie między Obedem Battem, doktor medycyny, a Izmaelem Bushem, podróżnikiem, czyli wędrownj farmerem – powiedział, dbając o użycie stosownych, nieobrai wych terminów. – Przyznaję, iż było tam zastrzeżone, postawi ne jako warunek, że pewną podróż powyższe osoby odbywać b)j wspólnie, czyli w swoim towarzystwie, dopóki nie minie tyle a tyle dni. Ponieważ wspomniany tam czas w pełni już upłył uważam za słuszne wnosić, iż pomieniona ugoda uznana być

na za wygasłą.

–Izmaelu! – przerwała zniecierpliwiona Estera – nie mieniaj ani słowa z człowiekiem, który równie dobrze może ci ści łamać, jak zestawiać! Niechaj ten truciciel z piekła rodem biera się precz! Każde jego pudełko i flaszeczka tej oszustwo! <)| daj mu jedną połowę prerii, a sam zabierz drugą! On się aklimatyzacji! Ja biorę to na siebie, że dzieciaki zaaklimaj

się w tej febrycznej kotlinie, i to bez pomocy słów trudniej! do wymówienia niż "kora drzewa wiśniowego" lub "krop) chodniego balsamu"! Jedna rzecz jest pewna, Izmaelu, a

wicie to, że nie chcę mieć za towarzysza podróży człowieka, który potrafi tak zrobić, że uczciwa kobieta nie może swobodnie obracać językiem w gębie... tak, i robi to w dodatku nie patrząc, czy w jej gospodarstwie wszystko w porządku!

Posępna twarz Izmaela rozjaśnił kpiący uśmiech, kiedy odpowiadał:

–Różni ludzie mogą różnie sądzić, Estero, o wartości sztuki tego człowieka. Ale nie będę przeorywał prerii, aby mu trudniej było po niej chodzić, gdy ty sobie życzysz, aby się z nami rozstał. Przyjacielu, jesteś wolny i możesz iść do osad, gdzie radziłbym ci pozostać, gdyż ludzie, którzy, podobnie jak ja, zawierają niewiele umów, nie lubią, gdy ktoś je tak łatwo zrywa.

–A teraz, Izmaelu – podjęła jego zwycięska żona – aby utrzymać porządek w rodzinie i usunąć wszelkie nieporozumienia między nami, pokaż temu czerwonoskóremu i jego córce – tu wskazała na sędziwego Le Balafre i owdowiałą Tachechanę – drogę do ich wioski i powiedzmy im jednym tchem: niech was Bóg błogosławi – żegnajcie!

–Oni są jeńcami Pawni, stosownie do indiańskich zasad wojennych, i ja nie mogę się w te sprawy mieszać.

–Strzeż się diabła, mój mężu! To oszust i kusiciel, i nikt nie jest bezpieczny, gdy ma przed oczyma jego straszliwe mamidła. 1'osłuchaj rady kobiety, której honor twojego nazwiska głęboko leży na sercu, i odeślij precz tę śniadą Jezabel!

Osadnik położył jej na ramieniu szeroką rękę i spokojnie patrząc żonie w oczy odpowiedział surowym i uroczystym głosem:

–Kobietto, to, co nas czeka, każe nam myśleć o innych sprawach niż szaleństwa, o których mówisz. Przypomnij sobie, co ma nastąpić, i ucisz swą głupią zazdrość.

–Tak, to prawda, to prawda – wyszeptała jego żona cofając się między córki. – Przebacz mi, Boże, że o tym zapomniałam!

–A teraz ty, młodzieńcze, ty, co tak często przychodzisz na moją parcelę, niby to idąc za pszczołą do barci – podjął znów I/.mael, zrobiwszy wpieryw przerwę, jak gdyby dla odzyskania równowagi umysłu. – Z tobą mam cięższe porachunki do wyrównania. Nie poprzestałeś na przetrząsaniu mego obozu, ale zabrałeś Ktamtąd dziewczynę, która jest krewną mojej żony i którą zamierzałem uczynić kiedyś własną córką.

Te słowa sprawiły większe wrażenie niż dotychczasowy bieg rozprawy. Wszyscy młodzi ludzie skierowali ciekawe ^ rżenia na Pawła i Ellen. Młodzieniec wydawał się mocno skłopotany, a dziewczyna zwiesiła głowę w zawstydzeniu.

–Posłuchaj, przyjacielu Izmaelu Bush – odrzekł bartnik. Nie mogę zaprzeczyć, że nie najprzejmiej obszedłem się z p;n skimi garnkami i statkami. Jeżeli mi pan powie, na ile sobie o te przedmioty, to prawdopodobnie będę mógł wyrównać tę str no, i zapomnijmy o gniewie! Kiedy wdrapaliśmy się na skałę, byłem w odświętnym humorze i nie odprawiałem nabożeński nad pańskimi garami, ale je kopałem. No, ale przecież za pien dze można zaszyć dziurę nawet w najlepszym ubraniu. Co sprawy Ellen Wadę, no, nie wiem, czy to pójdzie równie gładi Różni ludzie mają różne poglądy na małżeństwo. Jedni uważ;› że aby stworzyć sobie spokojny dom, wystarczy odpowiedzieć i lub nie na pytanie urzędnika albo pastora, jeżeli jest w pobli Ja zaś sądzę, że jeżeli myśli młodej kobiety zdecydowanie bit ! w jakimś kierunku, to rozsądnie jest pozwolić, aby i ona sama i poszła. Nie chcę przez to powiedzieć, że Ellen nie została przyn szona do tego, co uczyniła. Jest więc w tej sprawie zupełnie i: winna, tak niewinna, jak ten tu osioł, który ją niósł, i to rówi wbrew jej woli, co osioł potwierdziłby sam, gotów jestem p się, gdyby umiał mówić tak głośno, jak umie ryczeć.

–Nelly – rozpoczął osadnik, który bardzo mało przykł wagi do tego, co Paweł uważał za niezmiernie pomysłową i konywającą obronę. – Nelly, ten świat, do którego tak ci spieszno, pełen jest niegodziwości. Przez rok jadłaś i spał moim obozie i myślałem, że ta swoboda kresowa przypadła serca i zechcesz pozostać z nami.

–Niechaj dziewczyna robi, jak jej się podoba – dał się szyć gdzieś z tyłu głos Estery. – Ten, kto by ją rnpże namów pozostania, śpi na zimnej, nagiej prerii, słaba więc nadzieja, dało się zmienić jej humor, a poza tym kobiety są kapryśne i u te i niełatwo im wybić coś z głowy, jak sam przecież wiesz, mężu, bo w przeciwnym razie nie byłabym tutaj jako mutli twych synów i córek.

Wydawało się, że osadnik nie jest skłonny tak łatwo wyrMt się nadziei związanych z dziewczyną. Nim odpowiedział na nulf

żony, przebiegł posępny wzrokiem po pełnych zainteresowania twarzach synów, jak gdyby chcąc się przekonać, czy żaden z nich nie mógłby zająć miejsca zmarłego.

Paweł w lot zauważył wyraz jego twarzy i odgadując trafniej, niż mu się dotychczas zdarzało, ukryte myśli Izmaela, wpadł na pomysł, który, jak sądził, mógł rozwiązać wszelkie trudności.

–To zupełnie jasne, przyjacielu Bush – powiedział – że jest różnica zdań między nami: pan myśli o swych synach, a ja u siebie. Widzę tylko jeden sposób przyjacielskiego rozwiązania tej sprawy, mianowicie taki: niechaj pan wybierze spośród swoich synów jednego i ten pójdzie ze mną kilka mil przez prerię. Kto / nas zostanie w tyle, niechaj już nigdy nie wraca do osiedli, a ten, który powróci, będzie mógł, jak umie najlepiej, starać się o /dobycie życzliwych uczuć tej młodej kobiety.

–Pawle! – zawołała Ellen głosem stłumionym, lecz pełnym wyrzutu.

–Nic się nie bój, Nelly – powiedział bartnik, w którego prostolinijnym umyśle nie pozostało nawet podejrzenie, że powodem zakłopotania pani jego serca może być coś innego niż niepokój u niego samego. – Wziąłem miarę z każdego z nich, a możesz chy-lia polegać na moim oku, które potrafiło wysledzić lot tylu pszczoł, śpieszących do barci.

–Nie zamierzam rządzić niczymi uczuciami – zabrał głos osadnik. – Jeżeli dziecko jest naprawdę sercem w osadach, niechaj to powie. Nie będę jej namawiał ani powstrzymywał. Mów, Nelly, nie oglądając się na nic, niech tylko to, co powiesz, naprawdę płynie z serca.

Wezwana w ten sposób do powzięcia decyzji, Ellen nie mogła już dłużej się wahać. Starając się zapanować nad drżeniem głosu,

powiedziała:

–Przygarnąłeś mnie, gdy byłem ubogą, nie mającą przyja-ii ił sierotą i kiedy inni, którzy żyli, można powiedzieć, w bo-ictwie w porównaniu z tobą, nie chcieli o mnie pamiętać. Nie-iiaj niebo w swej łaskawości błogosławi cię za to! To, co tu robi-nn, jest niczym w porównaniu z tym jednym aktem dobroci! Nie ibię takiego trybu życia, od dzieciństwa nawykłam do czego in-'o-go, nie odpowiada to moim pragnieniom, ale mimo to gdybyś n! porwał tej słodkiej i dobrej pani spośród jej bliskich, nigdy

nie opuściłabym ciebie, póki sam byś nie powiedział: "Idź i niech błogosławieństwo Pana będzie z tobą!"

–To nie był mądry uczynek, ale wyraziłem żal za niego i na prawo go o tyle, o ile da się bezpiecznie naprawić. Teraz mów otwarcie: pozostaniesz czy odejdziesz?

–Przyrzekłam tej pani – odparła EUen spuszczać oczy – że jej nie opuszczę, a ponieważ tyle ją spotkało krzywd od naszej rodziny, ma prawo żądać, abym dotrzymała słowa.

–Zdejmijcie więzy z tego młodego człowieka – powiedział Izmael, a kiedy spełniono jego rozkaz, skinął na synów, aby się zbliżyli, i ustawił wszystkich w jednym szeregu przed Ellen. – Teraz już nie zbywaj nas wykrętami, ale otwórz przed nami swe serce. Oto wszystko, co mogę ci ofiarować – prócz naszych serdecznych uczuć.

Zrozpaczona dziewczyna przenosiła zmieszane spojrzenie z jednego młodzieńca na drugiego, aż w końcu jej wzrok napotkał przejętą i wzruszoną twarz Pawła. Natura wzięła górę nad konwenansami, Ellen rzuciła się w objęcia bartnika i głośnym szlochem obwieściła o swym wyborze.

–Bierz ją – rzekł Izmael. – Bądź dla niej dobry i obchodź się z nią uczciwie. Ta dziewczyna ma w sobie coś takiego, co uczyniłoby ją ozdobą każdego domu. Bardzo bym nie chciał posłyszeć, że dzieje się jej krzywda. Tak więc załatwiłem już porachunki ze wszystkimi i spodziewam się, że nie uważacie moich warunków za ciężkie, ale wprost przeciwnie, uznajecie chyba, że sprawiedliwie i po męsku doprowadziłem do porozumienia. Mam tylko jedno jeszcze pytanie, do kapitana. Czy zamierza pan skorzystać z moich zaprzęgów w drodze do osad, czy nie?

–Słyszałem, że część moich żołnierzy szuka mnie koło wioski Pawni – odparł Middleton – chcę więc towarzyszyć ich wodzowi, aby się spotkać z moimi ludźmi.

–A więc im prędzej się rozstaniemy, tym lepiej. W dolinie jest pełno koni, idźcie tam, wybierzcie sobie wierzchowce i pozostawcie nas w spokoju.

–To się stać nie może, póki starzec, który od przeszło pół wieku był przyjacielem mojej rodziny, pozostaje więźniem. Cóż takiego uczynił, że nie został jeszcze oswobodzony?

–Nie zadawaj pytań, które prowadzić mogą do wykrętnych

odpowiedzi – posępnie odparł osadnik. – Mam swoje własne sprawy z traperem i oficerowi Stanów nie przystoi się w to mieszać. Idźże pan, póki droga wolna.

–Ten człowiek daje wam uczciwą radę i chyba powinniście jej wszyscy posłuchać – powiedział sędziwy jeniec, nie okazując niepokoju z powodu niezwyklej sytuacji, w jakiej się znalazł. – Siuksowie to potężny i okrutny naród i nikt nie wie, kiedy znów zaczną szukać pomsty.

–Musiałbym zapomnieć nie tylko o długach wdzięczności, ale i o tym, że moim obowiązkiem jest stać na straży prawa, gdybym pozostawił tego więźnia w pańskich rękach, nawet za jego zgodą, dopóki nie znam istoty jego przestępstwa, w którym, być może, wszyscy nieświadomie byliśmy jego współnikami.

–Czy wystarczy panu, jeżeli powiem, że zasłużył na to, co otrzyma?

–Zmieniłoby to co najmniej moje zdanie o jego charakterze.

–Patrz więc pan! – zawołał Izmael, kładąc kapitanowi przed oczy kulę, którą znaleziono w ciele zabitego Azy. – Tym kawałkiem ołowiu pozbawił życia najdzielniejszego chłopaka, jaki kiedykolwiek radował oczy rodziców!

–Nie mogę uwierzyć, aby to zrobił... Chyba broniąc własnego życia albo też został sprowokowany. Przyznaję, że wiedział o śmierci waszego syna, bo pokazywał krzaki, w których leżało ciało, ale nic prócz własnych słów starca nie zdoła mnie przekonać, że to on popełnił morderstwo.

–Długo żyłem – zaczął traper, gdy nagła cisza wskazała mu, że wszyscy czekają, aby odpowiedział na to ciężkie oskarżenie – i wiele zła oglądałem w życiu. Ale o sobie mogę powiedzieć bez przechwałki, że chociaż moja ręka nieraz pomagała w walce z uciskiem i podłością, nigdy nie zadała ciosu, którego bym się musiał wstydzić, gdy nadejdzie sąd stokroć ważniejszy od dzisiejszego.

–Jeżeli mój ojciec odebrał życie człowiekowi z jego plemienia – odezwał się młody Pawni, któremu widok kuli i twarzy obecnych powiedział, co się dzieje – niechaj odda się w ręce przyjaciół zmarłego, jak przystoi wojownikowi. Jest zbyt sprawiedliwy, aby go musiano na postronku prowadzić na sąd.

–Chłopcze, mam nadzieję, że jestem tak sprawiedliwy, jak

i

myślisz. Gdybym popełnił nieczyny czyn, o który mnie oskarżają, znalazłbym w sobie dość męstwa, aby przyjść i pochylić głowę przed karą, jak czynią wszyscy dobrzy i uczciwi Indianie. Krótka będzie moja historia i ten, kto w nią uwierzy, uwierzy w prawdę, a ten, kto nie uwierzy, zejdzie na błędne ścieżki, a może nawet innych na nie sprowadzi. Czatowaliśmy wokół pańskiego obozu, przyjacielu osadniku – jak pan zapewne już wtedy podejrzewał – gdy odkryliśmy, że znajduje się tam uwięziona i skrzywdzona dama. Czatowaliśmy, nie mając na myśli nic bardziej ani mniej uczciwego, jak tylko uwolnienie jej, co byłoby zgodne z naturą i sprawiedliwością. Towarzysze moi, widząc, że jestem bardziej od nich zaprawiony w chodzeniu na zwiady, posłali mnie na równinę, abym się rozejrzał, a sami leżeli w ukryciu. Nie spodziewał się pan, osadniku, że tak blisko znajdował się ktoś, kto poznał wszystkie kręte ścieżki pańskich łowów. A jednak ja tam byłem. Leżałem w niskiej trawie, kiedy spotkało się w pobliżu dwóch myśliwych. Ich powitanie nie było serdeczne, nie było takie, jakim powinno być powitanie dwóch ludzi, którzy spotykają się na pustkowiu. Ale pomyślałem, że rozstali się w spokoju, gdy nagle ujrzałem, jak jeden z nich wycelował w plecy drugiego i popełnił to, co nazywam zdradzieckim, grzesznym morderstwem. Ach, ten młodzian, jakiż był dzielny i mężny! Chociaż proch wypalił mu dziurę w kurtce, więcej niż minutę opierał się słabości, nim upadł. A potem dźwignął się na kolana i rozpaczliwie walczył, aby dotrzeć do krzaków, podobny rannemu niedźwiedziowi szukającemu schronienia. Przyprowadziłem na to miejsce doktora, ażeby zobaczył, czy jego sztuka lekarska nie przyda się na coś. Nasz przyjaciel bartnik był razem z nami i wiedział o tym, że w krzakach znajduje się ciało zabitego.

–Tak, to prawda – powiedział Paweł – ale nie wiedząc, jakie powody nakłaniają starego trapera do ukrywania całej tej sprawy, mówiłem o tym jak najmniej, to znaczy nie mówiłem zgoła nic.

–A któż był sprawcą tego czynu? – dopytywał Middleton.

–Jeżeli przez sprawcę rozumiesz tego, kto czynu dokonał, oto jest ten człowiek! Wstyd to i hariba dla naszej rasy, że należy on do rodziny zmarłego.

–On łże! On łże! – krzyczał Abiram. – Nie popełniłem morderstwa! Oddałem tylko cios za cios.

Głos Izmaela brzmiał głucho i straszliwie, gdy odpowiadał:

–Dosyć. Uwolnijcie starca. Chłopcy, niech brat waszej matki zajmie jego miejsce.

–Nie dotykać mnie! – zawołał Abiram. – Jeśli mnie dotkniecie, spadnie na was kara boska!

Widząc dzikie błyski niepohamowanego gniewu w jego oczach, młodzieńcy zatrzymali się. Ale starszy i śmielszy od reszty Abner ruszył wprost na niego. Wyraz twarzy chłopaka mówił wyraźnie o wrogich zamiarach. Przerażony zbrodniarz rzucił się do ucieczki, lecz nagle upadł twarzą na ziemię jak martwy. Rozległy się ciche okrzyki przerażenia. Izmael gestem nakazał synom wnieść ciało do namiotu.

–Teraz – powiedział zwracając się ku tym, którzy byli obcy w jego obozie – nie pozostało już nic innego, jak tylko udać się każdemu w swoją drogę. Wszystkim wam dobrze życzę, a chociaż ty, Ellen, może nie będziesz cenić tego daru, powiem ci jednak: niechaj cię Bóg błogosławi!

Kiedy wszyscy byli już gotowi, krótko i w milczeniu pożegnali się z osadnikiem i jego rodziną, a potem cała ta dziwnie dobrana grupa, ze zwycięskim Pawni na czele, podążyła w ciszy i milczeniu ku jego dalekim wioskom.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUG

...i błaga Raz niechaj prawo ugnie się przed

władzą Małe zło czyniąc, wiele zdziałasz dobra

Szekspil

i

Długo i cierpliwie czekał Izmael aż zniknie dziwaczny orszak In-Ł dianina. Oddział czerwonoskórych przyłączył się do swego wodza| skoro ten znalazł się w takiej odległości od obozu, że ich obecność i liczba nie mogła już wzbudzić podejrzeń. Kiedy zwiadowca osa-J dnika doniósł mu, że ostatni maruder oddziału Pawni zniknął ze najdalszym wzniesieniem prerii, Izmael dał rozkaz, ażeby związać namioty. Konie były już w zaprzęgach, a umieszczenie ruchomości na wozach nie zajęło dużo czasu. Gdy ukończono te prace, dc namiotu, do którego poprzednio wniesiono bezwładne

ciało Abi-rama, podjechał lekki wóz, dawne więzienie Inez. Najwidoczniej czyniono przygotowania, aby umieścić na nim następnego więźnia. Dopiero wtedy, gdy ukazał się blady, wystraszony, uginający się pod ciężarem ujawnionej zbrodni Abiram, młodzi członkowie rodziny dowiedzieli się, że jest jeszcze wśród żyjących. Zbrodniarz był w takim stanie, w którym największe przerażenie w przedziwny jakiś sposób łączy się z zupełną apatią fizyczną. Ciało? jego jak gdyby zdrętwiało po wstrząsie, natomiast rozgorączko- j wany umysł zachował wrażliwość i gnębiony był najstraszliwszymi przeczuciami. Gdy znalazł się na wozie, począł snuć plany, jak ugasić słuszny gniew krewniaka, a licząc się z możliwością niepowodzenia, obmyślał też sposoby ucieczki przed straszną – jak mu przeczucia mówiły – karą.

W czasie tych przygotowań Izn^ael prawie się nie odzywał. Ruch ręki i spojrzenia wskazywały synom wolę ojca i ten sposób porozumiewania całkowicie zadowalał obydwie strony. Kiedy

dano znak, że można już ruszać, osadnik wsunął strzelbę pod pachę, przerzucił przez ramię toporek i jak zwykle stanął na czele pochodu. Estera ukryła się na wozie wśród córek, młodzieńcy zajęli swe miejsca przy bydle i zaprzęgach i cała grupa ruszyła w drogę wolnym, lecz wytrwałym krokiem.

Po raz pierwszy od wielu dni osadnik obrócił się tyłem do zachodzącego słońca. Szedł w kierunku zaludnionych ziem, a sposób, w jaki się posuwał, wystarczał, by dzieci, umiejące poznać decyzję ojca po jego zachowaniu, odgadły, że wkrótce już zakończy się ich wyprawa na prerię. Lecz godziny mijały, a nic nie zdradzało, że w uczuciach czy zamiarach Izmaela dokonała się jakaś nagła i gwałtowna zmiana. Przez cały czas szedł samotnie, o pół mili przed pojazdami, nie okazując bynajmniej ani wielkiego wzruszenia, ani nawet podniecenia. Ale nadeszła godzina, gdy trzeba było wreszcie okazać litość koniom i ludziom i dać im wytchnąć. Izmael ze zwykłą sobie roztropnością wyszukał odpowiednie miejsce i dał swemu orszakowi znak, że zatrzymuje się tu na postój, a sam rzucił się na ziemię i rozmyślał nad niezwykłą odpowiedzialnością, jaka na nim w obecnej sytuacji spoczywa. Synowie nadeszli szybko, gdyż bydło, czując wodę i trawę, przyśpieszyło kroku. Rozpoczęła się zwykła w takich wypadkach

krzątania.

Kiedy osadnik zobaczył, że wszyscy, nie wyłączając nawet powracającego do sił Abirama, pochłonięci są sprawą zaspokojenia własnych apetytów, rzucił na przygnębioną żonę znaczące spojrzenie i skierował się ku dalekim pagórkom, które zamykały widok od wschodu. Spotkanie się ich na tym pustkowiu przypominało rozmowę tej pary nad grobem zamordowanego syna. Izmael skinął na żonę, ażeby usiadła koło niego na odłamku skały. Nastąpiła chwila ciszy, której żadne nie miało ochoty przerwać.

–Podróżowaliśmy razem długo, przeżywając złe i dobre chwile – zaczął w końcu Izmael – i wiele wspólnych ciężkich prób. Wypiliśmy też niejedną kielich gorzkości, moja żono, ale przecież nigdy nie miałem przed sobą czegoś równie strasznego.

–Ciężki krzyż nieść musi biedna, zagubiona i grzeszna kobieta! – odparła Estera, kłoniąc głowę na kolana i kryjąc twarz w fałdach sukni. – Ciężkie, nieznośne brzemie pada na barki tej, która jest i siostrą, i matką!

li

–Estero – odparł mąż zwracając na nią pełne wyrzut choć nadal tępe spojrzenie – był czas, moja żono, kiedy myślał że inna ręka spełniła ten podły czyn?

–Tak, tak! Bóg zesłał mi tę myśl jako karę za grzechy! AW miłosierdzie boskie uniosło wkrótce zasłonę. Zajrzałam do książki, Izmaelu, i znalazłam w niej słowa pociechy.

–Czy masz tę książkę z sobą, żono? Może znajdzie się tam rada, co robić w tym strasznym położeniu.

Estera włożyła rękę do kieszeni i wyciągnęła strzępy Biblii, której kartki pożółkły w dymie i nosiły liczne ślady jej palców, tak że druk stał się niemal niewidoczny. Była to jedyna książka w dobytku 'osadnika. Żona jego przechowywała Biblię jako żalną pamiątkę dni, kiedy ich życie było bardziej szczęśliwe i prawe. Od dawna zwykła uciekać się do niej, kiedy gnębiły ją trudności, których nie dało się rozwiązać zwykłymi ludzkimi sposobami. – Na tych kartkach jest wiele strasznych rzeczy, Izmaelu – rzekła, kiedy otworzyła książkę i powoli obracała palcem strony. – Mówią też one, jak należy karać.

Mąż przykazał jej, aby odszukała jedną z tych krótkich zasad postępowania, które zostały przyjęte przez wszystkie chrześcijańskie narody jako bezpośrednie rozkazy Stwórcy i uderzają taką sprawiedliwością i słusnością, że nawet ci, co odmawiają im boskiego pochodzenia, uznają ich mądrość. Na jego prośbę pokazywała mu czytane wyrazy, a on przyglądał się im z jakimś dziwnym szacunkiem. Potem położył rękę na książce i sam ją zamknął na znak, że znalazł to, czego szukał. Widząc ten ruch, Estera, która tak dobrze знаła charakter męża, drgnęła i patrząc w jego spokojne, nieco zmrużone oczy, rzekła:

–A jednak, Izmaelu, w jego żyłach płynie krew moja i moich dzieci! Czy nie moglibyśmy okazać mu litości?

–Kobieto – odparł surowo – kiedy myśleliśmy, że to ten biedny stary traper popełnił morderstwo, nie było mowy o litości!

Estera nic nie odrzekła. Skrzyżowała ręce na piersiach i siedziała przez dłuższy czas w zamyśleniu. Potem raz jeszcze rzuciła niespokojne spojrzenie na twarz męża. Nie dostrzegła na niej śladu wzruszenia lub troski, tylko zimną obojętność. Doszła więc do wniosku, że los brata jest już przesądzony i nie próbowała więcej pośredniczyć w jego sprawie, tym bardziej iż rozumiała dobrze,

że zasłużył w pełni na karę, jaką mu przeznaczono. Nie padło już między nimi ani jedno słowo. Oczy męża i żony spotkały się na chwilę. Dźwignęli się z miejsc i w milczeniu poszli w stronę

obozu.

Osadnik zobaczył, że dzieci czekają na jego powrót z obojętnością, z jaką zwykli zawsze oczekiwać nadchodzących wypadków. Spędzono już bydło, konie stały w zaprzęgach, wszystko było gotowe, aby ruszyć w dalszą drogę, gdy on da znak, że taka jest jego wola. Działwa znajdowała się na swym wozie, jednym słowem, nie było żadnej przeszkody do odjazdu i dzika gromadka czekała tylko na powrót rodziców.

–Abner – powiedział ojciec z rozwagą, jaka cechowała wszystkie jego decyzje – niech brat twojej matki zejdzie z wozu

i stanie na ziemi.

Abiram wynurzył się ze swego miejsca ukrycia z drzeniem co prawda, ale nie pozbawiony nadziei, że uda mu się w końcu ułagodzić słuszny gniew krewniaka. Rzucił dokoła okiem, pragnąc dojrzeć bodajby na jednej twarzy choć jeden błysk współczucia, lecz gdy przekonał się, że daremnie się łudził, ożyły w nim z dawną siłą wszystkie złe przeczucia. Chcąc je zagłuszyć, podjął próbę nawiązania przyjaznej rozmowy z osadnikiem.

–Zwierzęta są pomęczone, bracie – powiedział. – Odbiliśmy już tak długą drogę. Czas byłby rozbić obóz. Mnie się zdaje, że daleko musiałbyś iść, nimbyś znalazł lepsze miejsce na nocleg.

–Dobrze, że ci się tu podoba. Zatrzymasz się tu pewnie na dłuższy czas. Synowie moi, zbliżcie się i słuchajcie. Abiramie White – rzekł zdejmując czapkę i przemawiając z taką powagą i spokojem, że nawet jego tępe oblicze miało coś wzniosłego – zabiłeś mi pierwородnego syna. Według praw boskich i ludzkich

musisz umrzeć!

Zbrodniarz, posłyszawszy nagle straszliwy wyrok, zachnął się z takim przerażeniem, jakie okazać mógłby ktoś, kto niespodziewanie wpadł w szpony potwora, przed którego mocą nie ma

ucieczki.

–Umrzeć! – wykrztusił, ledwie dobywając głosu. – Chyba

między najbliższymi człowiek może się czuć bezpieczny.

–Tak też myślał mój chłopiec – odrzekł osadnik i dał znak, aby ruszył zaprzęg wiozący jego żonę i dzieci, a sam zaczął bardzo

starannie badać skałę w swej strzelbie. – Strzelbą pozbawiłeś życia mego syna, słuszne więc i sprawiedliwe będzie, jeżeli ta sama broń położy kres i twojemu życiu.

Abiram rzucił dokoła siebie wzrokiem, który świadczył, że w głowie jego panuje zupełny zamęt. Zaśmiał się nawet, jak gdyby chciał przekonać siebie i innych, że to, co posłyszał, to tylko okrutny żart. Lecz ta okropna wesołość w nikim nie wzbudziła echa. Wszyscy zachowali powagę i spokój.

–Bracie – wyszeptał jakoś pośpiesznie i nienaturalnie. – Czy dobrze cię słyszę?

–Moje słowa są jasne, Abiramie White: popełniłeś morderstwo i musisz za to umrzeć!

Abiram poczuł, że opuściła go reszta nadziei. Nadal jednak nie znajdował w sobie dość męstwa, aby ze spokojem przyjąć śmierć, i gdyby nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa, próbowałby jeszcze ucieczki. Przerzuciwszy się gwałtownie od nadziei do krańcowej rozpaczki padł na kolana i rozpoczął jakąś dziką modlitwę, w której w bluźnierczy sposób splotały się wołania o litość do Boga i do krewniaka. Synowie Izmaela ze zgrozą odwrócili się, -od budzącego odrazę widowiska i nawet surowego z natury osadnika poruszył widok takiego upadku w nieszczęściu.

–Niech Pan udzieli tego, o co Go prosisz – rzekł – ale ojciec nie może zapomnieć o zamordowaniu dziecka.

Odpowiedziały mu najbardziej pokorne błagania o trochę czasu. Skazaniec zebrał o tydzień, o dzień, o godzinę z żarliwością odpowiadającą wartości, jaką zyskuje krótki czas, w którym zamknąć się ma całe życie człowieka.

–Abner – rzekł – wejdź na skałę i rozejrzyj się dokoła, abyśmy mogli być pewni, że nikogo nie ma w pobliżu.

Przez drżącą twarz zbrodniarza przemknęły błyski odżywającej nadziei, gdy jego siostrzeniec szedł wypełnić rozkaz. Odpowiedź brzmiała pomyślnie, wokół nie było widać żadnej żywej istoty prócz odjeżdżających zaprzęgów, od strony których ktoś jednak nadchodził, i to z wielkim pośpiechem. Izmael zaczął czekać aż wysłannik się zbliży. Z ręki jednej ze swych przerażonych i zdz* wionych córek otrzymał część\ książki, którą Estera przechował; walał z taką troskliwością. Dał dziecku znak, aby szło z powrotem i włożył te kartki w ręce przestępcy.

i

*** – Estera ci to przysłała – rzekł – żebyś w ostatnich chwilach życia pamiętał o Bogu.**

–Niechaj ją Bóg błogosławi! Niechaj ją Bóg błogosławi! Była dla mnie zawsze dobrą i kochającą siostrą. Ale żeby czytać, muszę mieć czas. Czas, mój bracie, czas!

–Nie zabraknie ci czasu. Sam wykonasz wyrok na siebie, a ja uwolnię się od tej nędznej roli.

Izmael przystąpił do wprowadzenia w czyn swej decyzji. Złoczyńca przestał się lękać o swą najbliższą przyszłość, posłyszawszy zapewnienie, że chociaż nieuchronnie czeka go kara, może jeszcze żyć przez całe dni. Na tej nędznej, nikczemnej istocie wiadomość o zawieszeniu wyroku uczyniła takie wrażenie, jakby mu darowano winy. Przykładał nawet gorliwie ręki do straszliwych przygotowań i był jedynym aktorem w tej posępnej tragedii, którego głos brzmiał żartobliwie i wesoło.

Pod jednym z powykrzywianych konarów wierzby sterczał cienki i płaski występ skalny, zawieszony wysoko nad ziemią i doskonale przystosowany do pewnego pomysłu Izmaela, któremu zresztą ten właśnie widok myśl ową nasunął. Na tej to niewielkiej półce postawiono zbrodniarza, związawszy mu z tyłu ręce w łokciach w ten sposób, że nie mógł się uwolnić. Od jego szyi do konaru drzewa przeprowadzono odpowiedniej długości sznur, tak przymocowany, że gdyby go napięto, skazaniec nie miałby oparcia dla stóp. W rękę wetknięto mu kartki Biblii, aby mógł szukać

w niej pociechy.

–A teraz, Abiramie White – powiedział osadnik, kiedy jego synowie ukończyli wszystkie przygotowania i zeszli ze skały – zadam ci ostatnie uroczyste pytanie. Może cię spotkać dwojaka śmierć. Albo ta strzelba natychmiast zakończy twą niedolę, albo też, prędzej lub później, zdławi cię ten sznur.

–Pozwól mi jeszcze żyć! Och, Izmaelu, nie wiesz, jak słodkie jest życie, kiedy nadchodzą ostatnie jego chwile!

–Niech więc tak będzie – rzekł osadnik i skinął na swych pomocników, aby podążyli za zaprzęgiem i stadami. – A teraz, nieszczęśniku, aby pocieszyć cię w tych ostatnich chwilach, przebaczam ci moje krzywdy i pozostawiam cię w ręku twego Boga!

Po czym odwrócił się i zwykłym swym, powolnym i ciężkim krokiem ruszył w drogę

przez równię.

Nim uszedł milę, dogonił zaprzęgi. Synowie znaleźli miejsce odpowiednie na nocny postój i czekali, aby zatwierdził ich wybór. W paru słowach wyraził zgodę.

Mąż i żona nie wymienili żadnych pytań ani wyjaśnień. Gdy jednak Estera miała udać się między dzieci na spoczynek, Izmael ujrzał, że ukradkiem spogląda na lufę jego strzelby. Kazał synom iść spać i oznajmił, że zamierza osobiście pilnować bezpieczeństwa obozu. Kiedy wszystko ucichło, wyszedł na prerię, gdyż czuł, że między namiotami braknie mu oddechu. Noc była jak gdyby stworzona na to, aby spotęgować w nim uczucia rozbudzone przez wypadki tego dnia.

Kiedy wzeszedł księżyc, zerwał się wiatr i przelatywał od czasu do czasu nad równiną. Czuwającemu nietrudno było wyobrazić sobie, że w zawrocie wiatru wplatają się jakieś dziwne dźwięki, jakby nie z tej ziemi. Zawładnęły nim niezwykle uczucia. Po raz pierwszy w życiu, w życiu tak długim i pełnym dzikich przygód, ogarnęło Izmaela dotkliwe uczucie samotności. Naga preria wydała mu się posępną, rozległą pustynią, poszum wiatru brzmiał jak szept umarłych... W chwilę później odniósł wrażenie, że jakiś krzyk przepłynął koło niego z wiatrem. Brzmiał tak, jak gdyby nie przyszedł z ziemi, ale leciał w górnym prądzie wiatru, zmieszany z jego szumem. Izmael zacisnął zęby, potężną ręką ujął strzelbę tak mocno, iż zdawało się, że zgniecie metal jak papier. Uspokoilo się na chwilę, potem powiał wiatr i osadnik posłyszał straszliwy krzyk przerażenia tak wyraźnie, jak gdyby ktoś krzyczał mu nad samym uchem. Mimo woli na jego własne wargi wybiegł podobny okrzyk, jak się to zdarza ludziom w niezwykłym podnieceniu. Zarzucił strzelbę na ramię i podążył ku skale krokami olbrzyma. Posłyszał krzyk, co do którego nie mógł mieć złudzeń i któremu niczyja wyobraźnia nie mogłaby dodać grozy. Krzyk nappełniał sobą każdą cząsteczkę powietrza, podobnie jak jeden oślepiający błysk elektryczności ogarnia nieraz cały horyzont. Wyraźnie słyhać było, że ktoś wzywa Boga, ale imię jego łączy ze straszliwymi bluźnierczymi słowami, których nie będziemy tu powtarzać. Osadnik stanął i zatkał uszy rękami. Kiedy je odsłonił, posłyszał niski chrapliwy głos, pytający z cicha:

–Izmaelu, mój mężu, czy ińc nie słyszałeś?

–Cicho! – odparł i nie zdradzając najmniejszego zdziwie-

nia z powodu nieoczekiwanego pojawienia się żony, położył na jej ramieniu swą ciężką rękę. – Cicho, kobieto! Na miłość boską,

milcz!

Nastąpiła chwila grobowej ciszy.

–Chodźmy – rzekła Estera – już ucichło.

–Kobieto, co cię tu sprowadziło? – zapytał mąż, którego krew płynęła już w normalny sposób i myśli się znacznie uspokoiły.

–Izmaelu, on zamordował naszego pierworodnego, ale nie przystoi, aby zmarły syn mojej matki leżał na ziemi, gołej ziemi,

jak ścierwo psa!

–Chodź ze mną – rzekł osadnik chwytając ponownie strzelbę i wielkimi krokami ruszając ku skale. Dzieliła ich od niej znaczna jeszcze odległość, a gdy znaleźli się bliżej miejsca egzekucji, szli wolniej, bo strach paraliżował im nogi. Ułynęło wiele czasu, nim doszli tak blisko, że mogli dojrzeć ciemny zarys drzewa i skały.

–Gdzie położyłeś ciało? – szepnęła Estera. – Patrz tu jest łopata i kilof, aby brat mój mógł spocząć w łonie ziemi.

Księżyc wypłynął zza wałów chmur i oczy Estery mogły dojrzeć to, co wskazywał jej palec męża: postać ludzką, kołysaną podmuchami wiatru pod powyginanym konarem wierzby. Na ten widok Estera schyliła głowę i zasłoniła oczy. Ale Izmael podszedł bliżej i przyglądał się swemu dziełu długo, z przerażeniem, chociaż bez wyrzutów sumienia. Kartki świętej książki rozrzucone były po ziemi, a nawet część skalnej półki została strącona przez zbrodniarza w chwili śmiertelnej męki. Lecz teraz wszystko ogarnęła cisza śmierci. Wykrzywiona bólem twarz wisielca ukazywała się chwilami w pełnym świetle, a gdy wiatr przycichł, złowieszczy sznur kładł się ciemną linią na jasnej tarczy księżyca. Osadnik uważnie podniósł strzelbę i wypalił, przecinając sznur. Ciało zważyło się na ziemię ciężką, nieczułą już na nic bryłą.

Aż do tej chwili Estera nie poruszyła się ani nie wyrzekła słowa. Ale nie ociągała się z pomocą, gdy trzeba było dokonać tego, po co tu przyszli. Wkrótce wykopano grób i przysposobiono go na przyjęcie ciała nieszczęśnika.

Osadnik położył swą szeroką rękę na piersi zmarłego i odpowiedział:

–Abiramie White, wszyscy potrzebujemy litości! Przebaczam ci z głębi serca! Niech Bóg w niebiesiech przebaczy ci twoje grzechy!

Kobieta pochylała głowę i wycisnęła na bladym czole brata długi, gorący pocałunek. A potem zrzucali bryły ziemi i usypali mogiłę. Estera padła na kolana. Mąż jej stał z odkrytą głową, gdy szeptała słowa modlitwy. Wszystko było skończone.

Następnego poranka widziano, jak zaprzęgi i stada osadnika posuwały się ku osadom. Gdy zbliżyły się do granic ziem zaludnionych, orszak ten zmieszał się z tysiącem innych.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Pojadę z tobą, dotrzymam ci kroku, Wierny towarzysz u twojego boku.

Szekspir

Żadne podobnie wstrząsające sceny nie przerywały drogi Pawni do jego wioski. Pokonał wrogów zupełnie, choć dzieło zemsty trwało krótko. Ani jeden zwiadowca Siuksów nie pozostał na terenach łowieckich, przez które musiał przejeżdżać Nieugięte Serce, toteż Middleton i jego towarzysze mieli podróż tak spokojną, jak gdyby jechali przez sam środek Stanów. Posuwano się wolno, aby nie męczyć kobiet. Jednym słowem, zdawało się, że gdy Wilcy odnieśli zwycięstwo, nie pozostało w nich śladu dzikości.

Rozmiary naszej opowieści nie pozwalają na szczegółowe przedstawienie triumfalnego wjazdu zwycięzców. Radosne uniesienie plemienia Pawni dorównywało jedynie ich dawniejszemu przygnębieniu na wieść o niewoli wodza. Matki, których synowie padli na placu boju, chodziły pełne dumy, żony sławiły męstwo swych mężów, wskazując ich blizny, a dziewczęta indiańskie śpiewały młodemu wojownikom triumfalne pieśni. Trofea po zabitych wrogach wystawiono na widok publiczny, podobnie jak to czyni się ze zdobytymi sztandarami w bardziej cywilizowanych krajach.

Chociaż odzyskany skarb Middletona był teraz względnie bezpieczny, oficera ucieszył widok dzielnych i oddanych mu artylerzystów, którzy stali wśród tłumu, gdy dowódca wraz z całym dziwnym orszakiem wjeżdżał do wioski, i wznosili wojskowe okrzyki na jego powitanie. Obecność tego oddziału, choć był on tak nieliczny, usunęła wszelki cień niepokoju z duszy Middletona. Zapewniała mu

swobodę ruchów, stanowiła o jego godności i zna-

18 – Preria

czeniu w oczach nowych przyjaciół, umożliwiła mu pokonanie trudności związanych z przebyciem ogromnego obszaru, jaki rozciągał się jeszcze między wioskami Pawni a najbliższymi fortami jego rodaków. Kiedy zaspokojono wszystkie potrzeby białych, jakie odgadnąć zdołał lud mający tak proste obyczaje i ograniczone wymagania, żaden intruz nie ośmielił się zbliżyć do namiotów, które przeznaczono na użytek przybyszów. Pozostawiono ich samych, aby zażywali odpoczynku w taki sposób, jaki najlepiej odpowiadał ich zwyczajom i skłonnościom. Ale plemię Pawni do późnej nocy śpiewało pieśni. W mroku nocnym słuchano niejednego wojownika, który z dachu wigwamu opowiadał o czynach swego rodu i opiewał jego zwycięstwa.

Mimd że uroczystość skończyła się bardzo późno, o wschodzie słońca wszystko, co żyło, zerwało się na nogi. Na twarzach Indian w miejsce radosnego uniesienia pojawił się inny wyraz, bardziej dostosowany do wydarzeń chwili, wiedzieli bowiem, że blade twarze, które obdarzyły przyjaźnią wodza Wilków, mają na zawsze pożegnać ich plemię.

Middleton nie bez pewnych obaw czekał na chwilę odjazdu. Uwielbienie, z jakim Nieugięte Serce patrzył na Inez, nie uszło jego zazdrosnemu oku, podobnie jak i zuchwałe pragnienia Mah-toriego. Widział dobrze, jak wspaniale umieją dzicy ukrywać swe zamiary, toteż uważał, że byłoby błędem nie do darowania nie przygotować się na najgorsze. Wydał zatem w tajemnicy odpowiednie instrukcje swoim ludziom, a ich przygotowania upozorowane były paradą wojskową, którą Middleton zamierzał rozpocząć swój odjazd.

Młody żołnierz poczuł wyrzuty sumienia, gdy zobaczył, że całe plemię, ze smutkiem na twarzach i bez broni w ręku, odprowadza białych na brzeg rzeki. Otoczyli kręgiem swego wodza i przybyszów i nie przejawiając żadnych wrogich zamiarów przyglądali się z dużym zainteresowaniem temu, co się działo. Ponieważ widoczne było, że Nieugięte Serce zamierza przemówić, biali zatrzymali się, okazując gotowość słuchania. Traper sprawował urząd tłumacza. Młody wódz zwrócił się do swego ludu, używając, jak zwykle Indianie, językXpełnego przenośni. Rozpoczął, nawiązując do sławy swego starożytnego narodu. Mówił o ich powodzeniu na łowach i na ścierce wojennej, o tym, że zawsze wiedzieli,

jak mają bronić swych praw i bić wrogów. A kiedy powiedział już dostatecznie dużo, aby okazać szacunek dla wielkości Wilków i zadowolić dumę słuchaczy, nagle zmienił temat i począł mówić o rasie, do której należeli przybysze. Wspomniał, że jest ich niezliczona ilość, podobnie jak przelotnych ptaków w porze kwiatów lub w porze spadania liści. Z delikatnością, w której indiański wojownik jest niezrównany, nie mówił wprost o tym, że wielu białych w stosunkach z czerwonoskórymi zdradzało skłonność do grabieży. Zdając sobie sprawę, że uczucie nieufności jest silnie zakorzenione w jego ludzie, starał się raczej za pomocą pewnych pośrednich wyjaśnień i usprawiedliwień złagodzić urazy, jakie u wielu z Pawni mogły być słusznie powstać. Przypomniał słuchaczom, że nawet Wilcy Pawni musieli wypędzić ze swych wiosek wiele złych osób. Wakonda zasłania czasami swe oblicze przed czerwonym człowiekiem. Bez wątpienia Wielki Duch bladych twarzy często spogląda chmurnie na swe dzieci. Ci, których ma w swej mocy sprawca złego, nigdy nie będą odważni ani dobrzy, jakikolwiek jest kolor ich skóry. Poleciał swym młodym wojownikom popatrzeć na ręce Wielkich Noży. Nie są próżne, jak u głodnych żebraków. Nie są też napełnione towarami, jak u tych łotrów kupców. Oni są, tak jak Pawni, wojownikami, niosą w swych rękach broń i umieją jej dobrze używać. Godni są, aby ich

zwać braćmi!

Gdy młody wódz wspomniał o urodzie Inez, serce Middletona poczęło bić szybko i kapitan rzucił niecierpliwe spojrzenie na niewielki oddział swych artylerzystów. Ale Nieugięte Serce jakby zupełnie już zapomniał, że kiedykolwiek widział tak piękną istotę. Jego uczucia, jeżeli oczywiście żywił jakie uczucia dla Inez, skrywała chłodna maska indiańskiej rezygnacji. Ścisnął rękę każdego białego wojownika, nie zapominając o najskromniejszym żołnierzu, lecz jego zimne, opanowane spojrzenie nigdy, ani na chwilę, nie powędrowało w stronę kobiet. Zadbął o ich wygodę, okazując taką rozrzutność i tkliwość, że aż wzbudziło to zdziwienie jego młodych wojowników, ale w żadnym innym drobiazgu nie uraził ich męskiej dumy nadmiernym zainteresowaniem słabszą płcią.

Kiedy całe towarzystwo Middletona znalazło się już w łodzi, traper podniósł niewielkie zawiniątko, które przez cały czas poże-

gnania leżało u jego stóp, gwizdnął na Hektora i ostatni zajął miejsce. Artylerzyści poczuli wiwatować, odpowiedział im okrzyk Indian, zepchnięto do rzeki łódź, która szybko i lekko pomknęła z prądem.

Po tym rozstaniu zapadła długa cisza, pełna zadumy, a może i łagodnego smutku. Przerwał ją traper, w którego oczach malowało się przygnębienie i żal.

–Wilcy są ludem walecznym i uczciwym – rzekł. – Mogę im to śmiało przyznać. Myślę, że góruje nad nimi tylko jedno plemię indiańskie, które kiedyś było potężne, a dziś jest rozproszone, mianowicie Delawarzy z gór. Spotyka się wprawdzie ludzi, którzy myślą i mówią, że Indianin jest czymś niewiele lepszym od zwierząt żyjących na tej nagiej prerii. Trzeba być jednak samemu uczciwym, aby wydawać sąd o uczciwości innych. Bez wątpienia, Indianie znają swych wrogów i nie starają się bynajmniej okazać im wielkiego zaufania ani miłości.

–To jest ludzkie – odparł kapitan – a im zapewne nie brak żadnej z naturalnych ludzkich cech.

–O nie. Niewiele im brak z tego, co może dać natura. Teraz, przyjacielu sterniku, popchnij łódź tutaj, na ten niski, piaszczysty cypel, a wyświadczysz mi grzeczność.

–Po co? – zapytał Middleton. – Niesie nas teraz naj bystrzejszy nurt, a jeśli zbliżymy się do brzegu, przestanie nam pomagać siła prądu.

–Nie zatrzymacie się na długo – rzekł traper i własnymi rękami zrobił to, o co prosił. Sternik widział już nieraz, jak wielki wpływ na jego dowódcę posiada starzec, toteż nie sprzeciwiał się jego życzeniu i nim znalazł się czas na dalszą dyskusję, dziób łodzi dotknął lądu.

–Kapitanie – mówił traper rozwiązując zawiniątko z namysłem, a nawet wręcz w taki sposób, jakby chciał pokazać, że ta powolność sprawia mu przyjemność. – Chciałbym panu zaproponować pewną transakcję. Nic to wielkiego zapewne, ale człowiek, którego ręka już nie potrafi użyć strzelby i który jest teraz tylko nędznym traperem, nie może ofiarować nic lepszego w chwili gdy się rozstajemy.

–Nie myślałem, że się rozstaniemy – powiedział Middleton i jak gdyby szukając jakiejś ulgi w zmartwieniu, zwracał po kolei

oczy na zasmucone twarze przyjaciół – przeciwnie, miałem nadzieję, że zechce mi pan towarzyszyć do mojego domu, w którym, daję na to uczciwe słowo, nie zabraknie niczego, aby się panu dobrze żyło.

–Tak, chłopcze, tak, nie żałowałbyś wysiłków. Ale na co zdadzą się ludzkie starania, kiedy czart się w coś wmiesza! Tak, jeżeli życzliwe przysługi i dobre życzenia by wystarczyły, mógłbym już dawno zostać posłem albo nawet gubernatorem stanu! Chciał tego pański dziadek, a tu, w górach Otsego, żyją jeszcze, mam nadzieję, ludzie, którzy by mi chętnie dali pałac na mieszkanie. Ale cóż warte bogactwo, jeżeli nie daje zadowolenia! W każdym razie niewiele już życia przede mną i nie wydaje mi się wielkim grzechem, że człowiek, który przez prawie dziewięćdziesiąt lat uczciwie wypełniał swe obowiązki, chce te ostatnie kilka godzin spędzić w spokoju.

–Słuchaj, stary traperze – rzekł Paweł chrząkając z rozpaczliwym wysiłkiem, jak gdyby ogromnie chciał, aby głos jego brzmiał czysto. – Chcę ubić z panem pewien interes, skoro już zaczął pan mówić o handlu, a chodzi ni mniej, ni więcej tylko o taką sprawę. Ja ze swej strony ofiaruję panu połowę mego domku, przy czym nie będę się drożył, jeżeli okaże się, że jest to, jak to mówią, większa połowa; najśodszy i najczystszy miód, jaki można otrzymać z dzikich akacji; jedzenia zawsze dosyć, a od czasu do czasu kawałek mięsiwa, czyli, skoro już o tym mowa, kawałek garbu bizona, bo zamierzam podtrzymywać moją znajomość z tym zwierzęciem... a to wszystko tak smaczne i czysto ugotowane, jak potrafią to zrobić ręce niejakej Ellen Wadę, tej oto, która wkrótce już zostanie Nelly... no i w ogóle tak się będę do pana odnosił, jak przyzwoity człowiek powinien traktować swego najlepszego przyjaciela albo też, powiedzmy, własnego ojca.

–Szanowny myśliwcze – zabrał głos doktor Battius – są pewne obowiązki, które każdy człowiek powinien wypełnić wobec społeczeństwa i ludzkiej natury. Czas już, aby powrócił pan do ziomeków i użył im zapasów doświadczalnej wiedzy, którą pan bez wątpienia zdobył podczas długiego pobytu na tych dzikich obszarach.

–Przyjacielu doktorze – odparł traper, patrząc mu spokojnie w oczy – Bóg mnie stworzył na to, ażeby coś robił, a nie

i

żebym gadał, i dlatego też uważam, że nie stanie się nic złego, jeśli zamknę uszy na pańskie zaproszenie.

–Dość – przerwał Middleton. – Napatrzyłem się i nasłuchałem tego niezwykłego człowieka dosyć, aby wiedzieć, że namowy nie zmieniają jego decyzji. Najpierw posłuchamy, przyjacielu, co miał nam pan zaproponować, a potem pomyślimy nad tym, co można by dla pana zrobić.

–To drobiazg, kapitanie – odparł starzec, któremu udało się wreszcie rozsuptać zawiniątko. – To śmieszny drobiazg w porównaniu z tym, co dawałem dawniej, załatwiając interesy, ale nie mam nic lepszego, nie trzeba więc tym gardzić. Oto są skóry czterech bobrów, które ściągnąłem na miesiąc chyba przed naszym spotkaniem, a tu jeszcze skóra szopa. Nie ma ona, oczywiście, dużego znaczenia, ale może się przydać do wyrównania naszych rachunków.

–I co chce pan robić z nimi?

–Daję je na wymianę. Te łotry Siuksy... niech mi Bóg przebaczy, że przypuściłem kiedykolwiek, iż to zrobili Konzowie – ukradli mi najlepsze z moich sidła, tak że muszę się obywać sidłami własnego pomysłu, a to zapowiadałoby mi smutną zimę, gdyby życie moje miało trwać do następnego roku. Dlatego też chciałbym, żebyście wzięli te skóry i dali je w zamian za sidła jednemu z traperów, których na pewno spotkacie po drodze. Te sidła przyślecie na moje imię do wioski Pawni. Nie zapomnijcie tylko o tym, aby znajdował się na nich mój znak: litera N, ucho psa myśliwskiego i zamek strzelby, a wtenczas żaden czerwonoskóry nie zaprzeczy mi prawa do nich. Za cały ten kłopot nie mogę nic ofiarować prócz podziękowań, chyba że mój przyjaciel, ten tu obecny bartnik, zechce przyjąć skórę szopa i wziąć na siebie załatwienie tej sprawy.

–Będzie tak, jak pan sobie życzy. Proszę położyć skóry na mój bagaż. Załatwimy tę sprawę jak własną.

–Dzięki, dzięki, kapitanie. Pański dziadek był z natury tak hojny i szczodry, że ci sprawiedliwi ludzie, Delawarzy, nazwali go "Otwartą Ręką". Chciałbym znów być taki, jakim byłem kiedyś, a to dlatego, by przysłać pani parę delikatnych nurków na jej pelerynki i palta i okazać tym panu, że wiem, jak grzecznością płacić za grzeczność. Ale teraz niech się pan tego nie spodziewa,

io jestem już stary i nie powinienem nic obiecywać. Będzie tak, ak się Bogu spodoba.

Starzec przystąpił do ostatniego pożegnania. Niewiele padło irzy tym słów. Traper brał każdego uroczyście za rękę i każdemu łowił coś miłego i życzliwego. Kiedy obszedł już wszystkich, własnymi rękoma zepchnął łódź w nurt, życząc, by ich Bóg prowadził. Odjeżdżający nie powiedzieli ani jednego słowa, nie poruzyli ani razu wiosłem, póki łódź nie znalazła się za pagórkiem, dóry zasłonił trapera przed ich wzrokiem. Pozostał w ich pamię-i, jak stał na niskim brzegu, wsparty na strzelbie. U jego stóp eżał na ziemi Hektor.

_____ Ji'

f

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY!

odpowiadające uzdolnieniom i kwalifikacjom Pawła.

_____ né i roztropnie popierała zachody Middletona i Inez,

mające na celu dobro jej męża, i po pewnym czasie udało im się dokonać wielkiej i korzystnej przemiany w jego charakterze. y, biegiem czasu zajął się uprawą ziemi i powodziło mu się coraz epiej. Otrzymał urząd w mieście. Dzięki tej stopniowej odmianie osu, której w republice w tak szczególny sposób towarzyszy zazwyczaj odpowiedni wzrost wykształcenia i poczucia własnej godności, wznosił się coraz wyżej, szczebel po szczeblu, aż wreszcie zyskała pewność, że ich dzieciom nie grozi już niebez-lo stanu, w jakim znajdowali się kiedyś ich

Rzeka była wezbrana i łódka jak ptak mknęła z szybkim prądem Podróż minęła szczęśliwie i szybko. Dzięki wartko płynącym wodom trwała trzy razy krócej, niż trzeba by podróżować łądem. Z wodami jednej rzeki wpływali na drugą – łączyły się-one bowiem ze sobą, podobnie jak w ciele ludzkim żyły łączą się z większymi arteriami – aż wkrótce znaleźli się na wielkiej rzece Zachodu i wylądowali bezpiecznie przed samymi drzwiami domu ojca Inez. *

Łatwo sobie wyobrazić radość Don Augustyna i zakłopotanie zacnego ojca Ignacego. Pierwszy płakał z radości i zanosił dziękczynne modły, drugi zanosił modły – ale nie płakał. Łagodni mieszkańcy prowincji zbyt byli szczęśliwi, aby dopytywać o powód radosnego ocalenia. Pragnąc, aby zacny ksiądz miał się czym zająć, Middleton powierzył mu sprawę połączenia węzłem małżeńskim Pawła i Ellen. W niedługim czasie udał się z małżonką na równiny Kentucky, pozorując wyjazd chęcią

złożenia wizyty kilku członkom rodziny Hoverów.

Znaczenie, jakie uzyskał w okolicy Middleton na skutek związku z córką właściciela tak wielkich dóbr, a również i dzięki osobistym zaletom, zwróciło na niego uwagę rządu. Powierzano mu różne odpowiedzialne stanowiska, co podnosiło go w oczach społeczeństwa i jednocześnie dawało możliwość pomagania innym. Jednym z pierwszych, którym Middleton uznał za stosowne okazać swe względy, był Paweł. W społeczeństwie, jakie żyło na tych obszarach przed dwudziestu trzema laty, nietrudno było znaleźć

cią. W obecnej] cnwm rawa jmw ^^^^ _____ ^

dzy prawodawczej stanu, w którym od długiego czasu _____

Słynie z mów, które potrafią wprawić całe poważne zgromadzenie w dobry humor, a jednocześnie odznaczają się szeroką, praktyczną znajomością stosunków panujących w kraju, a więc posiadają zalety, jakich nieraz brak bardziej zawiłym i misternie utkanym teoriom, płynącym z ust pewnych polityków z nieprawdziwego zdarzenia. Ale ta szczęśliwa przemiana dokonała się po wielu staraniach i upływie długiego czasu. Middleton zasiadł na urządzie o wiele wyższym, co odpowiada różnicy ich wykształcenia. Jemu to właśnie zawdzięczamy większość faktów, które tworzą osnovę naszej powieści. Mówiąc o Pawle i własnym szczęściu Middleton dorzucił parę słów o tym, co zdarzyło się podczas jego następnej podróży na prerię, a ponieważ uzupełnia to opisane przez nas wydarzenia, uważamy za stosowne zakończyć nasze pisarskie trudy

jego opowiadaniem.

W rok po owych wydarzeniach, jesienią, Middleton, nadal pełniący służbę wojskową, znalazł się na wodach Missouri w miejscu niezbyt odległym od wioski Pawni. Nie naglony żadnymi pilnymi obowiązkami, postanowił dosiąść konia i pojechać do siedzib tego plemienia, aby odwiedzić ich wodza i zasięgnąć wiadomości o losie swego przyjaciela, trapera, do czego usilnie go namawiał towarzyszący mu Paweł. Kiedy znaleźli się już dość blisko, Middleton wysłał gońca indiańskiego, należącego do zaprzyjaźnionego z Pawni plemienia, aby doniósł, że nadjeżdża, a sam dał rozkaz zwolnienia tempa marszu, chcąc, aby wiadomość, jak zwy-

czaj kazał, uprzedziła jego przybycie. Ku zdziwieniu podróżnych poselstwo nie dało żadnego rezultatu. Godzina mijała za godziny przebywali milę za milą, a nic nie wskazywało, że będą przyjęć-1 z honorami albo choćby bardziej skromnie, ale przyjaźnie. Ka walkada, na której czele jechali Middleton i Paweł, posuwała się, długi czas przez wyżynę, aż w końcu zjechała z niej i znalazła się, w urodzajnej kotlinie, na jednym poziomie z wioską Wilków Słońce zachodziło i nad kotliną rozpostarł się płaszcz złotawego światła, użyczając jej gładkiej powierzchni tak wspaniałych kołołów i blasków, jakie tylko może wyczarować ludzka fantazja. Nit zginęła jeszcze zupełnie zieleń łąk i stada koni i mułów pasły się spokojnie na rozległych, naturalnych pastwiskach, pod czujny strażą baczących na wszystko wyrostków indiańskich. Paweł wskazał dobrze znaną figurę Asinusa, który był spasiony, skon-, miał lśniąca i najwidoczniej rozkoszował się życiem, stojąc z opuszczonymi uszami i

przymkniętymi powiekami i dumając zapewne nad tym, jak cudowny jest taki stan błogiej bezczynności.

Przejeżdżali niedaleko jednego z młodych pasterzy, którego pieczy plemię powierzyło swój największy skarb. Chłopca dobiegł tupot kopyt końskich. Spojrzał w stronę jeźdźców, ale zamiast okazać zainteresowanie lub niepokój, natychmiast utkwiał z powrotem wzrok, tam gdzie leżała wioska.

–Dziwne to wszystko – rzekł Middleton, który czuł się nieco dotknięty, uważał bowiem takie zachowanie Wilków nie tylko za znieważenie swej rangi, ale i za osobistą obrazę. – Ten chłopiec słyszał o naszym przybyciu, bo inaczej ostrzegłby swe plemię,, a jednak nie raczył nawet rzucić okiem. Miejcie broń w pogotowiu, chłopcy, gdyż pewnie będziemy musieli pokazać dzikusom

naszą siłę.

–Co do tego, kapitanie, to chyba się mylisz – odpowiedział mu Paweł. – Jeżeli w ogóle można spotkać na prerii człowieka, na którym warto polegać, to jest nim nasz przyjaciel Nieugięte Serce. Ale nie należy sądzić Indian według zwyczajów ludzi białych. Popatrz! Nie zostaliśmy całkiem zlekceważeni, bo oto wreszcie grupa czerwonoskórych jedzie nas powitać. Co prawda, dosyć żałośnie się przedstawiają, zarówno jeśli chodzi o liczbę, jak

i wygląd.

Spostrzeżenia Pawła były słuszne. Ujrzeli grupę konnych,

którzy okrążyli niewielki zagajnik i jechali przez dolinę wprost ku białym. Posuwali się powoli i z godnością. Kiedy się zbliżyli, ujrzano, że nadjeżdża przywódca Wilków, wiodąc za sobą kilkunastu młodych wojowników plemienia. Wszyscy byli nie uzbrojeni i nie mieli nawet ozdób ani piór, w które Indianie przystrajają się zarówno ze względu na szacunek dla gości, jak i dlatego, że jest to oznaka ich własnej rangi i znaczenia.

Powitanie było przyjacielskie, chociaż z obu stron nieco chłodne. Middleton, urażony w swej godności, jak również zaniepokojony o autorytet Stanów, zaczynał podejrzewać, że działały tu jakieś intrygi agentów Kanady, a ponieważ zdecydowany był wymóc szacunek dla prezentowanej przez siebie władzy, musiał okazywać wyniosłość i dumę, których wcale nie odczuwał. Niełatwo było przeniknąć, jakimi pobudkami kierują się Pawni. Spokojni, pełni godności, choć bynajmniej nie odpychający, stanowili przykład uprzejmej rezerwy, którą daremnie staraliby się naśladować dyplomaci najbardziej wytwornych dworów.

Obie grupy zachowywały się w ten sposób aż do przyjazdu do osady. Middleton miał w czasie drogi dość czasu, aby rozważyć wszelkie możliwe przyczyny tego

dziwnego przyjęcia, jakie mu

tylko przyszły do głowy.

Kiedy wjechali do osady, ujrzeli, że wszyscy jej mieszkańcy zgromadzili się na otwartej przestrzeni, ustawieni – jak to było w ich zwyczaju – stosownie do wieku i godności. Zatoczyli ogromne koło, w środku którego stało kilkunastu najwybitniejszych wodzów. Nieugięte Serce zbliżając się skinął ręką, a gdy Indianie się rozsunęli, wjechał do środka wraz ze swymi towarzyszami. Zsiedli z koni, wierzchowce odprowadzono na bok i przybysze ujrzeli dokoła siebie krąg tysiąca poważnych, spokojnych, lecz zafrasowanych twarzy.

Middleton ze wzrastającym niepokojem rozglądał się dokoła, gdyż lud, z którym tak niedawno z żalem się żegnał, nie witał go ani jedną pieśnią, ani jednym okrzykiem. Nieugięte Serce dał Middletonowi i Pawłowi znak, aby szli za nim i poprowadził ich ku grupie stojącej wewnątrz koła. Tutaj goście znaleźli wyjaśnienie dziwnego zachowania Indian, które dało im tyle powodów do

obaw.

Ujrzano trapera, siedzącego na czymś w rodzaju prostego fo-

tela, zrobionego z wielką troską o to, aby dać mu wygodne oparcie i utrzymywać w prostej postawie. Dawnym jego przyjaciółom wystarczyło jedno spojrzenie, aby się przekonali, że starzec został wreszcie powołany do spłacenia ostatecznego długu naturze. Oczy jego były szkliste, równie pozbawione wyrazu, jak i niewidzące. Twarz się zapadła, rysy nieco wyostrzyły, na tym jednak kończyły się zewnętrzne zmiany. Zbliżającą się śmierć przypisać należało nie jakiejś chorobie, ale powolnemu, stopniowemu upadkowi sił fizycznych. Życie wciąż jeszcze tliło się w jego organizmie, chwilami wydawało się jednak, że zupełnie przygasa, a potem rozpałało się silniejszym płomieniem, wlewając nowe siły w osłabłe ciało starca.

Starca posadzono w ten sposób, że światło zachodzącego słońca padało wprost na jego pełne powagi oblicze. Głowę miał odsłoniętą, długie siwe włosy falowały w wieczornym wietrze. Na kolanach trapera leżała strzelba, a u jego boku, w zasięgu ręki, ułożono resztę przyborów myśliwskich. Pomiedzy stopami trapera spoczywał jego pies, który trzymał głowę przy ziemi, jak gdyby drzemiąc, i ułożony był w pozycji tak swobodnej i naturalnej, że dopiero spojrzawszy nań po raz drugi Middleton zauważył, że jest to tylko skóra Hektora, wypchana przez cierpliwych i zręcznych Indian na podobieństwo żywego zwierzęcia. Pies kapitana bawił się niedaleko z synkiem Tachechany i Mahtoriego, a obok nich stała matka chłopczyka, trzymając w ramionach drugie dziecko, które też mogło chlubić się zaszczytnym pochodzeniem, było bowiem synem Nieugiętego Serca. Koło umierającego trapera siedział Le Balafre, a wygląd starca świadczył, że godzina jego odejścia też nie jest daleka. Resztę grupy w środku koła stanowili zgrzybiali Indianie, którzy zapewne podeszli tak blisko, aby zobaczyć, w jaki sposób sprawiedliwy i nieulękły wojownik uda się w największą ze swych podróży.

Starzec odbierał w tej chwili nagrodę za swe życie, w którym tak bardzo wyróżnił się panowaniem nad sobą i energią, umierał bowiem spokojną, pogodną śmiercią.

Kiedy Nieugięte Serce przyprowadził gości przed umierającego, milczał chwilę, tak ze smutku, jak i z uszanowania, a potem pochylił się nieco ku starcowi i spytał:

–Czy mój ojciec słyszy słowa swego syna?

–Mów – odpowiedział traper. Zdawało się, że głos umierającego płynie z największych głębin jego piersi, ale słycać go było wyraźnie, gdyż dokoła panowała śmiertelna cisza. – Odchodzę z wioski Wilków i wkrótce już nie dobiegną mnie twoje słowa.

–Niechaj mądry wódz nie troszczy się o swoją podróż – ciągnął Nieugięte Serce z przejęciem, które kazało mu w tej chwili zapomnieć, że inni czekają, aby przemówić do jego przybranego ojca – gdyż stu Wilków oczyści jego ścieżkę z cierni.

–Pawni, umieram chrześcijaninem, gdyż byłem nim przez całe życie – odrzekł traper silnym głosem. Słuchacze doznali takiego wstrząsu, jak gdyby nagle zabrzmiał donośnie i swobodnie dźwięk trąby, który poprzednio dobiegał ich z oddali cichy i stłumiony. – Odejdę z tego świata tym, kim nań przyszedłem. Aby stanąć przed obliczem Wielkiego Ducha mego narodu, nie potrzeba konia ani broni. On zna kolor mej twarzy i będzie mnie sądził

wedle mej natury.

–Mój ojciec powie moim młodym wojownikom, ilu zabił Mingów. Opowie o swych męźnych i sprawiedliwych czynach, aby

mogli go naśladować.

–W niebie białego człowieka nie ma miejsca dla chełpliwego języka – z powagą odrzekł starzec. – Bóg widział, co czyniłem. Oczy Jego są zawsze otwarte. Będzie pamiętał o moich dobrych uczynkach i nie zapomni wychłostać mnie za zło, jakie popełniłem, chociaż na pewno okaże przy tym miłosierdzie. Nie, mój synu, błada twarz nie może wychwalać samego siebie i oczekiwać, że spodoba się to jego Bogu!

Nieco rozczarowany, młody wódz cofnął się skromnie o krok, aby pozwolić gościom podejść do umierającego. Middleton ujął w swe ręce wychudłe dłonie traperera i nieco łamiącym się głosem o-znajmił mu o swojej obecności. Starzec słucał go zrazu obojętnie i zdawało się, że myśl jego zaprzętają zupełnie inne sprawy, ale kiedy wreszcie słowa kapitana dotarły do jego świadomości, wyniszczoną twarz starca rozjaśnił wyraz radosnego przypomnienia.

–Mam nadzieję, że nie zapomniiał pan tych, którym tak wielkie oddał usługi – zakończył Middleton. – Bolałoby mnie, gdybym się przekonał, że tak słaby ślad pozostawiłem w pańskiej

pamięci.

-Niewiele zapomniałem z tego, co kiedykolwiek widzia-

łem – odparł traper. – Zamyka się już długi łańcuch żmudnych dni mojego życia, ale nie ma między nimi ani jednego, który bym chciał wymazać z pamięci. Rad jestem, że przybyłeś na te równiny, gdyż brak mi kogoś, kto by mówił po angielsku. Chłopcze, czy spełnisz prośbę starego, umierającego człowieka?

–Proszę ją tylko wymienić – rzekł Middleton – a będzie spełniona.

–Daleką trzeba przebyć drogę, aby oddać te drobiazgi – podjął starzec. Mówił z przerwami, gdyż brakło mu tchu i siły. !- Daleką i uciążliwą drogę. Ale nie zapomina się o przyjaźni i życz-liwości. Jest osada wśród gór Otsego...

–Znam to miejsce – przerwał Middleton, zauważywszy, że starzec mówi z coraz większą trudnością. – Niechaj pan powie, co mam zrobić.

–Weź zatem tę strzelbę, rożek na proch i róg i odeślij je osobie, której nazwisko wryto na kolbie. To kupiec wyciął te litery, gdyż dawno już zamierzałem posłać temu człowiekowi dowód mojej miłości.

–Tak się stanie. Może ma pan jeszcze jakieś inne życzenie?

–Niewiele mam poza tym do darowania. Sidła dam memu czerwonoskóremu synowi, gdyż uczciwie i serdecznie dotrzymał słowa. Niech stanie przede mną.

Middleton wytłumaczył wodzowi słowa trapera i ustąpił mu miejsca.

–Pawni – ciągnął starzec, który w czasie tej rozmowy mówił na przemian po angielsku i po indiańsku, zależnie od tego do kogo się zwracał, a także trochę i od tego, jakie myśli wyrażał. – Jest zwyczajem mego narodu, że ojciec pozostawia synowi błogosławieństwo, nim zamknie oczy na zawsze. Tobie daję to błogosławieństwo. Przyjmij je, gdyż modlitwa chrześcijanina nie uczyni drogi sprawiedliwego wojownika do błogosławionych prerii ani dłuższą, ani bardziej zawilą. Niechaj Bóg białego człowieka przyjaźnie spogląda na twoje czyny. Obyś nigdy nie zrobił nic takiego, by musiał zachmurzyć Swą twarz.

–Słowa mojego ojca weszły do moich uszu – odrzekł młody wódz czyniąc z powagą i szacunkiem gest zgody.

–Kapitanie – dodał starzec usiłując dać ręką znak Middle-tonowi, aby się przybliżył – rad jestem, że przyszedłeś. Myślałem

r

także o psie, który leży u moich stóp. Niechaj nikt mi nie mówi, że chrześcijanin może oczekiwać ponownego spotkania ze swym psem. Wszakże nie będzie w tym nic złego, jeżeli szczątki wiernego sługi spoczną opodal kości jego pana.

–Absolutnie nie ma w tym nic złego. Będzie tak, jak pan sobie życzy.

Wtedy starzec umilkł i przez dłuższą chwilę trwał w zadumie. Kilkakrotnie podniósł wzrok i pilnie wpatrywał się w Middletona, jak gdyby znów chciał się do niego zwrócić, ale widoczne było, że za każdym razem toczy się w nim jakaś głęboka walka i słowa zamierają mu na wargach. Kapitan, widząc wahanie trapera i chcąc go skłonić do szczerości, zapytał, czy nie mógłby czegoś jeszcze dla niego uczynić.

–Na całym szerokim świecie nie mam nikogo z rodziny! – odparł traper. – Na mnie wymrze mój ród. Nie było w nim dostojników, ale nikt chyba nie zaprzeczy, że zawsze byliśmy uczciwi i po swojemu użyteczni. Mój ojciec spoczywa niedaleko morza, a kości syna będą białały na prerii.

–Niech pan powie gdzie, a pochowamy pana u boku jego ojca.

–Ach, nie, kapitanie. Niech spoczną tam, gdzie żyłem, z dala od gwaru osad. Ale grób uczciwego człowieka nie powinien być ukryty, niczym Indianin w zasadzce. Zapłaciłem jednemu człowiekowi z osad, aby wyrzeźbił kamienny nagrobek i położył go w głowie grobu mego ojca. Kosztował mnie dwanaście skórek bobrów, a był przemyślnie i pięknie wyrzeźbiony! Ten kamień mówi przechodniom, że spoczywa tam ciało takiego to, a takiego chrześcijanina.

–Położę kamień w głowach pańskiego grobu – powiedział

krótko Middleton.

Starzec wyciągnął wynędzniałą dłoń i uściskiem wyraził podziękowanie.

Zapanowało milczenie i tylko od czasu do czasu umierający wypowiadał cicho jakieś urywane zdania. Zdawało się, że zamknął już swoje rachunki ze światem i czekał na ostateczny znak, aby odejść. Middleton i Nieugięte Serce stanęli z dwu stron obok niego i ze smutkiem śledzili grę jego twarzy.

W miarę jak dopalał się płomień życia, cichł głos starca. Na-

gle Middleton, zatopiony w myślach o tym, w jak dziwnej znalazł się sytuacji, poczuł, że ręka, którą trzyma, chwyta jego dłoń z nie wiarygodną siłą. Starzec, podtrzymywany z obu stron przez przy jaciół, zerwał się na równe nogi. Przez chwilę spoglądał dokoła, jak gdyby chciał wezwać obecnych, aby go słuchali (reszta; i ludzkiej próżności!), a potem wzniósłszy po wojskowemu głowę, powiedział głosem, który wszyscy usłyszeli, jedno wymowne słowo:

–Jestem!

To zupełnie nieoczekiwane zdarzenie oraz malujące się na twarzy trapera niezwykle połączenie wzniosłości i pokory, jak również niezwykła siła jego głosu sparaliżowały na chwilę wszystkich obecnych. Kiedy Middleton i Nieugięte Serce, którzy bezwiednie wyciągnęli ręce, aby podtrzymać starca, ponownie na niego spojrzeli, przekonali się, że ten, co był przedmiotem ich troski, już nigdy nic nie będzie od nich potrzebował. Z głębokim żalem złożyli martwe ciało na fotelu. Następnie wstał Le Balafre, aby oznajmić plemieniu koniec smutnej ceremonii. Głos starego Indianina brzmiał jak echo płynące z niewidzialnego świata, do którego wzniósł się duch zacnego trapera.

–Waleczny, sprawiedliwy i mądry wojownik odszedł na ścieżkę, która go zaprowadzi do błogosławionej ziemi jego ludu – powiedział. – Był gotów, kiedy wezwał go głos Wakondy. Idźcie, moje dzieci. Pamiętajcie o sprawiedliwym wodzu bladych twarzy i oczyśćcie z cierni swoje ścieżki.

Grób wykopano w cieniu wspaniałego dębu. Do dziś pilnie czuwają nad nim Wilcy Pawni i pokazują go podróżnym i kupcom, mówiąc, że jest to miejsce, gdzie spoczywa sprawiedliwy biały człowiek. Po pewnym czasie w głowie grobu położono kamień z prostym napisem, o jaki prosił traper. Middleton pozwolił sobie tylko dodać: **"Niechaj niczyja niegodna ręka nie zakłóca mu spokoju!"**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-02

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/